ZAMEK KRAKOWSKI.

—

TOM II.

Wyższa Szkoła Ekonomiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

ZAMEK
KRAKOWSKI.

ROMANS HISTORYCZNY Z WIEKU XVI

PRZEZ

AUTORA LISTOPADA.

Et dulce moriens meminiscitur Argos
VIRGILIUS.

TOM II.

WYDANIE DRUGIE POPRAWIONE.

PETERSBURG.
NAKŁADEM B. M. WOLFFA.
1853.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
090805

POZWALA SIĘ DRUKOWAĆ,

z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury liczby exemplarzy prawem przepisanéj. Petersburg, d. 16 Stycznia 1850 r.

Cenzor I. Srezniewski.

CZCIONKAMI E. PRATZA.

I.

W czasie kiedy Pan Samuel przedzierał się do miasta, przyjaciele i słudzy domu Wapowskich porwali ciało nieboszczyka Kasztelana i zanieśli go przed okna pokoju Króla, błagając o zemstę. Na dziedzińcu zamkowym wszczął się tumult, który dopiéro uspokojonym został, kiedy Xiążę Prymas i Panowie Rady wyszli na przeciw tłumu, oświadczając że Najjaśniejszemu Panu obowiązków jego przypominać niema potrzeby, że jak najrychléj sprawiedliwość będzie wymierzona, i że rozkazują im w imieniu Prawa żeby się natychmiast rozeszli, a ciało niewinnéj ofiary odnieśli wdowie i sierotom po dostojnym mężu pozostałym.

Ale kiedy o tém co się stało gruchnęła wieść po mieście, napełnioném szlachtą, nadzwyczajny ruch powstał. Liczni stronnicy domów Wapowskich, Koniecpolskich, Tęczyńskich, w niepohamowanéj złości zabierali się napaść na kamienicę Panów Zborowskich, żeby zagładzić cały ich ród; a z drugiéj strony, jakkolwiek przeciwne stronnictwo było liczebnie słabsze, przyjaciele Panów Zborowskich rąk nie opuścili. Wszyscy dyssydenci wyznania Augsburgskiego i Helweckiego, bawiący w Krakowie, wmówili sobie że Król podburzony od Ichmościów duchownych, zabiera się korzystać z przestąpienia Pana Samuela, żeby odnowić w Krakowie sceny wydarzone w Paryżu, w nocy Świętego Bartłomieja, w których sam grał niepoślednią rolę. To wszystko uzbroiwszy się udało do kamienicy Panów Zborowskich, a

ta w jednéj chwili przybrała postać obronnéj twierdzy, tém więcéj że Panowie Zborowscy trzymali poczet nadwornego żołnierza, młodzieży z ich dóbr na Rusi, a do nich przywiązanéj z ruskiém poświęceniem. Umysły wrzały, wszystko się gotowało do wojny, i bez wątpienia byłaby nastąpiła gdyby nie roztropność Pana Jana Zamojskiego.

Znajdował się on w orszaku Królewskim w czasie nieszczęśliwego a dopiéro opisanego zdarzenia, i wraz z innymi był jego naocznym świadkiem. Przeszyty zgrozą, żadnéj jednak namiętności osobistéj nie dał do siebie przystępu. Bo kiedy na prędce Król zebrał Radę z tych którzy z nim razem stali na galerji, większość, pod wpływem wrażenia świeżego wypadku, radziła żeby Król natychmiast kazał imać winowajcę in flagrante delicto, przekładając że lada zwłoka da mu sposobność ucieczką zasłonić siebie od zasłużonéj kary, a każdy z nich ofiarował osobistą i dworską pomoc Królowi. Pan Zamojski pierwszy odważył się temu oprzeć.

— Nie myślę, — rzekł, — Najjaśniejszy Panie żeby dla poskromienia tego który gwałci prawa, godziło się także je gwałcić. Na bezprawie, dostateczne jest prawo. A gdyby jego stróże stawili bezprawie przeciwko bezprawiu, tém samém daliby niebezpieczny przykład tym co żadnym prawom ulegać niechcą. Prawo: *neminem captivabimus nisi jure victum*, stwierdzone przysięgą Pańską, przez żadną władzę zdeptane być nie ma. Bo cóżby znaczyły prawa, gdyby je wolno było na boku zostawiać, skoro one w jakimś szczególnym wypadku zdają się być niedogodnémi. Jakkolwiek pod oczami naszémi nastąpił okropny wypadek, jego sprawca dotąd jest winowajcą tylko w opinii naszéj: wtedy dopiéro stanie się rzeczywiście takim w obliczu prawa, kiedy wyrok sądowy za takiego go ogłosi. Nie jest to żadna igraszka wyrazów, Panowie; ani bynajmniéj to zwraca moją uwagę że Pan Samuel może tém otrzymać dość czasu dla ratowania siebie ucieczką. Bo mniéj jest straszna ucieczka jednego winowajcy, niż upadek powagi prawa, które jest tarczą wszystkich niewinnych.

— A więc, — odezwał się Pan Koniecpolski, — mimo

siebie puścić krzywdę uczynioną Pani Wapowskiéj, i sieroctwo jéj dzieci?

— I owszem. Jako przyjaciel jéj domu, podzielam jéj nieszczęście: ale jako obywatela, nic innego mnie nie obchodzi tyle, ile krzywda publiczna; a nadto wiele pokładam ufności w prawach, bym jedną chwilę wątpił że nikt bezkarnie nie stanie się jéj sprawcą. Mojém więc zdaniem jak najśpieszniéj posłać po Panu Zborowskim pozew, ażeby na rok naznaczony, stawił się przed sądem Króla, najwyższego sędzi całego narodu. Nawet o to niema potrzeby się kwapić i szukać między nami delatora, sama Pani Kasztelanowa Przemyska i jéj córki nieomieszkają zapozwać zabójcę ich męża i ojca, a Król, stosownie do prawa, wezwie do rady sądowéj mężów których uzna godnych swojéj ufności. Żadnego środka do wytłómaczenia siebie nie można odmówić Panu Samuelowi. Jak go przekonają sądownie o występek, wtedy niech miecz prawa, a nie namiętność prywatna go karze.

— To są wszystko dylacye tylko, — rzekł Pan Koniecpolski — bo jużci Pan Zamojski niezaprzeczy, że Pan Samuel nie jest w możności wytłómaczenia siebie. Wyrok jaki na niego zapadnie jest tak łatwy do przewidzenia, że o nic nam chodzić nie powinno, tylko żeby zabezpieczyć wykonanie tego co jest niewątpliwém. Przyznam się Państwu, że tu niepojmuję Pana Zamojskiego, lubo zawsze miło mi było iść za zdaniem tak światłego męża. Jakże może chcieć, żeby ten co w przytomności Króla zabójstwo popełnił, i to na takim który w jego imieniu rozkazy mu przynosił, chwilę jedną cieszył się wolnością... Chyba że oczekuje z jego strony nowych jeszcze bezprawi! Zmiłujcie się Panowie, nieścierpcie by natężeniem wyrazów Prawa pisanego, szwank zadawano Prawu natury, powszechnego i szczegółowego bezpieczeństwa. Niech mnie Bóg chroni, bym radził imać choćby najuboższego szlachcica nie przekonanego prawem. Ale czyż delictum flagrans nie jest prawną konwikcją. Odwołuję się do rozsądku. Czy sam Pan Samuel się zaprze że dopiéro zabił Pana Kasztelana Przemyskiego? Czy Pan Zamojski się zaprze że razem z nami na to patrzał? Jakie-

goż większego przekonania jeszcze potrzeba? Jeżeli po takim zuchwalstwie, po takiéj zbrodni Pan Samuel ma się cieszyć życiem, wolnością, i jeszcze znajdywać między nami obrońców — a prawdziwie trzeba się wynieść z posiadłości Rzeczypospolitéj! I ja, będąc Senatorem, należę do układu praw, i zaręczyłem Królowi i Narodowi przysięgą, że o ile jest we mnie siły, będę baczył aby nic przeciw nich się nie działo. Podobnéj myśli przypuścić nie mogę żeby Pan Samuel bez sądu był karany. Niech się broni przed Królem, ale niech będzie w bezpiecznem miejscu, żeby sobie śmiechu nie robił z wyroku Królewskiego, skoro naprzeciw niego zapadnie.

— Zapewne, — odrzekł Pan Zamojski, — że robić sobie igraszkę z wyroków sądowych jest to wielkie nieszczęście dla kraju. Wszakże mniejsze, niż igraszkę z samego prawa. Nikt z nas niema powagi ferować wyroku na przeciw Pana Samuela. Jesteśmy świadkami wypadku, ale nie jego sędziami. A nasze świadectwo dopiéro będzie dokumentem nieodzownym, kiedy zostanie zeznane przed sądem i przyjęte od niego. Do téj chwili, nasze przekonanie, jakkolwiek gruntowne, jest tylko osobiste: a przekonanie osobiste nie jest przekonaniem prawném. Świadek jest stroną, nic więcéj. I dla tego właśnie niemoże być sędzią. Król jeden, lubo jako człowiek, razem z nami był świadkiem zabójstwa Pana Wapowskiego, jako Król, będzie sądził obwinionego. Bo w nim jest podwójna osóba: człowiek jak każdy z nas, i pasterz ludu dzierżący władzę od Boga, który pomazańcom swoim nieodmawia łask nadzwyczajnych do sprawowania rządów. My, poddani, jesteśmy tylko ludzie, i żadnych łask nadzwyczajnych oczekiwać niemamy prawa. Król z Bożéj łaski panuje. Wszakże Pan Wojewoda Kijowski, mąż świadomy prawa i ozdoba Senatu, nie zaprzeczy, że żaden z nas, tu przytomnych, nie może przyjąć wezwania do udziału z Królem władzy sądowéj w téj sprawie, właśnie dla tego, że może być pociągnięty na świadka. A więc w cóż się obróci jego rozumowanie że delictum flagrans stanowi przekonanie prawne, skoro ci co na niego patrzali sądzić nie mogą, a tych którzy go sądzić będą

jeszcze trzeba przekonać że był delictum istotnie. Bo wedle praw naszych, sędzia nie sądzi z przekonania prywatnego, ale z tego jakiego nabywa prawnym przewodem.

— Mości Zamojski, — rzekł Wojewoda Kijowski, — Waszmość wysokim swoim rozumem, każdą rzecz, w postaci jakiéj zechcesz wystawisz. Ja się spierać z Waszmością nie myślę. Ale wyznam, że boli mnie, i srodze boli, iż zbójca znajduje dla siebie głos przychylny, prawie przy zwłokach nieszczęśliwéj swojéj ofiary. Bo najgorliwszy stronnik Pana Samuela, cóżby za nim wyrzekł innego, niż to co mówi Pan Zamojski? Jużci postępku tego ani chwalić, ani zasłaniać by nie śmiał, cała usilność jego byłaby w tém, żeby mu zapewnić niespełnienie wyroku, aż nadto pewnego. Bo już nie idzie rzecz dla przyjaciół Pana Samuela o zachowanie jego czci, ale o ocalenie jego życia.... Ale pamiętaj Panie Zamojski, że łzy wdowy i sierot będą o pomstę wołały do Boga na Waszmości!

— Dla Boga! Mości Wojewodo, — odrzekł Pan Zamojski, — nie myśl by ten który przypomina powagę prawa, téj drogiéj spuścizny wszystkich, był obowiązanym szermierzem czyjéjś szczególnéj sprawy. Żadnych złych stosunków niemiałem z Panem Samuelem, wyznaję że podzielałem dla niego powszechny szacunek, ale na Boga i na cześć szlachecką poprzysięgam, że gdyby on był moim najzawzięt-szym nieprzyjacielem, najsroższym prześladowcą, inaczéj bym nie mówił. Ale na co mamy się spierać: znajduje się między nami Pan Kasztelan Sanocki, który dotąd się nieodzywał. On z rozkazu nieboszczyka Króla wydał zbiór praw naszych. Głos powszechny narodu, że on z pomiędzy nas wszystkich najgruntowniéj pojmuje ducha naszego prawodawstwa, skłonił Króla, ojca poddanych swoich, do tego wyboru. Na jego zdaniu chętnie polegam. Niech powie, czy wolno Pana Samuela pozbawiać wolności bez wyroku sądowego.

Pan Herburt obrócił się na to wezwanie do Króla i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie! Jako wierna Rada Waszéj Królewskiéj Mości, winienem wyznać, że Pan Zamojski ma

zupełną słuszność. Że szlachcic tylko za wyrokiem sądowym może być imanym.

Tu się odezwał Xiążę Radziwił-Sierotka:

— Bądź co bądź, Panowie bracia, a ściśle trzymajmy się prawa. Pan Samuel który publicznie wykroczył przeciwko niemu, tém mniéj ulegnie bezprawiu. Owszem my byśmy poniekąd jego usprawiedliwili, gdybyśmy na stronie zostawiwszy prawo, gwałtu przeciwko niemu się dopuszczali. On wahać się niebędzie gwałt gwałtem odpierać, i święty gród naszych Królów wojną domową skalanym zostanie. A możemy-li wziąść na sumienie krew niewinną która się przelać może... Godzę się zupełnie z kolegą naszym, Panem Kasztelanem Sanockim, i Panem Zamojskim. Czekajmy cierpliwie żałoby wdowy po nieodżałowanym mężu i pozostałych po nim sierotach, i wzbudźmy w sobie ufność w dobrym naszym Królu, że sprawiedliwości im nie odmówi.

— A więc, — przerwał Pan Koniecpolski, — bezkarność tak dobrze jak już zaręczona Panu Samuelowi. Jak wyrok królewski zapadnie, zaręczam że Pan Samuel umknie, a potém powróci. Bo jak zniknie pierwsze wrażenie, nikomu przez myśl nie przejdzie spełniać na nim wyrok. Każdy się oglądać będzie na przewagę rodu Zborowskich. Bezpiecznie Pan Samuel odnawiać będzie swoje zbrodnie, rozzuchwalony pobłażaniem urzędów. A tak zdeptane będą te same prawa za którémi Panowie tak obstajecie. Bo zapytuję Panów, jeżeli — o czém niewątpię — nastąpi na niego wyrok śmierci a od niego ucieczką w obcą ziemię się schroni, a późniéj wróci do nas, kto ma nim ten wyrok spełnić?

— Każdy Starosta Grodowy, — rzekł Pan Zamojski, — w którego powiecie znajdować się będzie dekretowany, winien będzie na nim wyrok spełnić.

— Bądź pewny, Mości Panie Zamojski, że co tylko u nas na gorącym razie się nie spełni, potém per non sunt pójdzie. Chociaż tak obstajesz za prawem, a jednak gdybyś był Starostą, a dekretowany Pan Samuel stanął na ziemi twojéj juryzdykcji uległéj, pomyślilbyś sobie jak każdy: a na co mam kłaść zdrową głowę pod Ewangelią, i pewnie byś mu nieprzypomniał dekretu.

— Wielce mnie krzywdzisz, Mości Wojewodo, myśląc że dla bojaźni narażenia się jakiemuś domowi, zapomniałbym o obowiązkach mojego urzędu. Nie mam zaszczytu być Starostą, nie taję się z tém, że lubo potępiam postępek niniejszy Pana Samuela, miałem szacunek dla jego osoby, bo widziałem w nim wielkie przymioty i wielkie zdolności, które nie małe korzyści przynieśćby mogły dla Rzeczypospolitéj; i teraz nawet, nie ma ofiary godziwéj, którejbym niezrobił, żebym go mógł widzieć usprawiedliwionym w obliczu prawa. — Ale zaręczam Państwo nieskażoną moją czcią szlachecką, że jak tylko wyrok Królewski go wskaże, niebędę w nim widział, tylko zbrodniarza; wszystkie jego przymioty niezaprzeczone znikną z przed oczu moich. I gdybym był Starostą, a on się ważył znajdować w okręgu mojéj juryzdykcji uległym, niema potęgi, niema uczucia, któreby zdołały mnie przeszkodzić spełnienia na nim wyroku.

Król nic nie mówił — wychowany w szkole matki, nawet najmniejszém poruszeniem nie zdradził myśli swojéj. Po wysłuchaniu téj rozmowy, która w języku francuzkim się odbywała, zamknął posłuchanie témi słowy:

— Dziękujemy wam za gorliwość okazaną w ochronie naszego Majestatu. Z wierną i światłą radą waszą, nie lękamy się błądzić. Spodziewamy się że dziś jeszcze wdowa i sieroty pozostałe po Panu Kasztelanie Przemyślskim staną przed nami z żałobą. I tego tylko oczekujemy dla otwarcia naszego zdania. Jutro Pan Kanclerz Koronny ogłosi narodowi postanowienie nasze, które, pozwalamy sobie ufać, powaśnione umysły pojedna. Nie pozostaje nam jak tylko wam polecić, abyście niczego niezaniedbali dla utrzymania spokojności w mieście. Szczególnie to poruczamy wam, Mości Panowie Koniecpolski, Tęczyński i Herburcie, z Senatu, i wam, Mości Panowie Zamojski i Nowodworski, ze stanu rycerskiego. Macie wziętość u szlachty, posiadacie ufność jaka się od niéj wam przynależy. Idźcie do niéj, oświadczcie że tumult nie jest drogą właściwą dla tych którzy potrzebują sprawiedliwości, że mają Króla z własnego wyboru, który niczego niepragnie jak tylko ją zapew-

nić wszystkim poddanym swoim. Spieszcie się, bo każda chwila jest drogą. Na was polegam że spokojność zachowa się w stolicy naszéj.

Mężowie jak najspieszniéj udali się na rynek, który już był przybrał postać obozu. Tłumy szlachty uzbrojonéj snuły się po téj jego części która dotykała kamienicy Zborowskich. Ich oczy, złowieszczbne pociski rzucały na okna przy których widzieć się dawali w zupełnym rynsztunku uzbrojeni przyjaciele i słudzy Zborowskich, gotowi siłą siłę odpierać.

Jeszcze ledwo dwie a najwięcéj trzy godzin upłynęło od nieszczęśliwego zdarzenia, a już Pani Wapowska i jéj obydwie córki, czarno ubrane, z rozpuszczonemi włosami, wmieszane w szeregi szlachty, błagały u nich zemsty i zachęcały do rozpoczęcia bitwy. Szlachta na widok błagających tylu wdzięków, kipiała gniewem i oczekiwała niecierpliwie przybycia dwóch śmigownic, które z pałacu Wapowskich na Stradomiu świeżo wyniesionego, ciągnąć miały na rynek, żeby kamienicę Panów Zborowskich gruzami nasypać: a tym sposobem zmusić jéj załogę do wyjścia w pole.

Wybór Króla był szczęśliwy. Szlachcie wiadome były ścisłe stosunki Panów Koniecpolskich i Tęczyńskich z domem Wapowskich. Pan Herburt miał powszechny odgłos mądrego i cnotliwego męża. A Panowie Zamojski i Nowodworski, a szczególnie pierwszy, niezmordowany obrońca równości szlacheckiéj, posiadali jéj nieograniczoną ufność.

Kiedy przybyli, właśnie wtedy odbywała się perypecja strasznego dramatu.

Pan Burzymski, szlachcic z Ziemi Przemyskiéj, najzapaleńszy stronnik domu Wapowskich, podjął się był poselstwa do Pana Marszałka Koronnego od szlachty, żeby mu zanieść jéj propozycję. Przypuszczony po-pod okno Pana Marszałka, z nim rozmawiał i domagał się żeby natychmiast mu wydano Pana Samuela, oświadczając że lada chwila śmigownice nadejdą, i jeżeli Pan Marszałek zechce ochraniać brata, będą łamali mury: sobie tylko przypisze rzeź niechybną wszystkich tych co się znajdują w kamie-

nicy. Pan Marszałek usiłował z początku go przekonywać że Pana Samuela w niéj nie było, ale zuchwały młodzieniec pokazał się raptownie obok swojego brata i jeszcze urągać się zaczął z posła. Pan Burzymski pałając zemstą powrócił do swoich i oświadczył że wszelkie usiłowania pojednawcze na nic się nieprzydadzą, i że to tylko otrzymają, co siłą i męztwem zdobędą.

W tém śmigownice pokazały się na rynku, a okrzyki radości szlachty je powitały.

Ale Pan Koniecpolski przedarł się już do Pani Wapowskiéj i stanął przed nią razem z jéj przyszłym zięciem, Panem de Villaret, którego Król był wysłał do niéj a który razem z Panami Rady przeciskał się przez tłumy.

— Co widzę! — rzekł Wojewoda do niéj. — I Waćpani, okryta łaskami Królewskiemi, śmiesz deptać powagę Króla i szukać sprawiedliwości gdzie indziéj niż u podnóża jego tronu. Uproś WPani szlachtę żeby zaniechała téj buntowniczéj swawoli. Rozkaż natychmiast, ażeby te śmigownice i ten twój poczet nadworny, wróciły do twego pałacu, a sama z córkami, w assystencji jéj przyszłego zięcia, udaj się najrychléj do Zamku, szukać opieki Króla i prawa, jak przystoi małżonce Senatora, a nie imać się gwałtu, kiedy sama jesteś nieszczęśliwą gwałtu ofiarą.

Podczas gdy Wojewoda Kijowski reflektował prawdziwie ojcowskim głosem Kasztelanowę, Pan Zamojski niemniéj szczęśliwie przekonywał szlachtę.

— Panowie bracia, — mówił im, — co robicie! Dla prywatnego występku chcecie wojnę domową rozpoczynać. Czy nie dość, że czyn gwałtu i bezprawia pozbawił nas cnotliwego i zasłużonego Senatora. Jeszcze chcecie żeby tysiące ludzi padło ofiarą.... A cóż to? niemamy praw, niemamy zwierzchności, żeby aż szukać sprawiedliwości w swawoli. A czy myślicie że ją tam znajdziecie? Usprawiedliwiacie niebaczni postępek zbrodniarza który zakrwawił mieszkanie ojca Narodu. Bo cóż on zrobił innego, jak to, co sami chcecie zrobić. I on wzgardził zwierzchnością a do samowolnéj siły udał się po sprawiedliwość. Nie przywołujcie na siebie i na dzieci wasze gniewu Bożego, okazując się

niegodnymi tych swobód które ojcowie wasi krwią swoją wam zabezpieczyli. Bo bez posłuszeństwa dla zwierzchności i praw, bez wierności dla pasterza postanowionego nad wami od Boga, swobody zachować się niemogą. Postępując jak postępujecie; wpadniecie we wzgardę u postronnych, we wzgardę u naszych potomków. Rozejdźcie się do mieszkań waszych, czekajcie spokojnie wyroku Królewskiego.

— Jakże mamy się rozchodzić, — odezwał się Pan Burzymski, — kiedy Pan Marszałek Koronny niechce nam wydać winowajcy.

— A jakiém prawem wy się tego od niego domagacie? Jakaż z was juryzdykcja? Nie jesteście Sejmem, nie jesteście Konfederacją, jesteście tylko tłumem w tumulcie zebranym na rynku, i chcecie żeby Marszałek Koronny, pierwszy Minister Rzeczypospolitéj, mąż świadomy prawa, ulegał waszym rozkazom. Ma on nad sobą zwierzchność w osobie Króla, w zgromadzeniu Panów Rady, w Sejmie, tym winien ulegać, i zawsze im ulegał. A gdyby, czego nieprzypuszczam, jéj ulegać nadal niechciał — jak zwierzchność was powoła do dania jéj pomocy, wtedy, na mocy prawa, sumiennie działać będziecie, jako obywatele. A teraz żeby nastraszony waszemi pogróżkami, Pan Marszałek Koronny zadość uczynił woli waszéj, wy sami, ochłonąwszy z namiętności która was zaślepia, wzgardą odpłacilibyście jego słabość. Co do mnie, miłuję nad własny żywot wasze swobody, wasze osoby, krew moja jest waszą iściznę, a jednak gdyby Król, przestrzegając godności swojéj, przez was obrażonéj, chciał ją pomścić w krwi waszéj i poszedł ze strażą swoją na przeciwko was, a powołał wszystkich wiernych poddanych do siebie, ja pierwszy niewahałbym się stanąć w jego szeregach. Wszakże wy, wy w tumulcie zebrani, przyznajecie sobie jakieś pełnowładztwo, którego cała Rzeczpospolita niema. Bo Król z Senatem i Sejmem, nieodważyli by się więzić obywatela prawnie nieprzekonanego. A wy tego śmiecie się domagać.

To przymówienie się Pana Zamojskiego, wielkie wrażenie zrobiło na umysłach. Dały się słyszeć ze wszech stron głosy już wcale innéj natury.

— Niema co mówić, — odzywali się. — Nasz Zamojski gada jak z xiążki. Nie w swoją rzecz wdaliśmy się. To darmo, my nie jesteśmy juryzdykcyą dla Pana Marszałka. Rozchodźmy się co prędzéj, a czekajmy co starsi postanowią. Nie mając wyroku Królewskiego za sobą, niemamy prawa porywać się. Na zbrodnie – sąd, a nie tumult: bo co prawda to prawda.

Historja świadczy, że nasza szlachta, zawsze łatwa do poruszenia, nigdy głuchą nie była na głos rozsądku, byle przyzwoicie do niéj obróconego. Prawo robiło na niéj największe wrażenie, i o ile oporu w niéj znajdowała wola indywidualna, chociażby oparta na najgruntowniejszych zasadach, o tyle ta sama wola uzyskiwała jéj przyzwolenie, skoro się okazywała ozdobiona powagą prawa, zawsze miłego dla narodu. Miłość i wiara w Prawo, dopiéro poźniéj omdlewać zaczęły w sercach obywatelów: a wkrótce potém powstała do niego niechęć powszechna. Ale już to był symptomat śmierci rychłéj narodu. Zauważano że ludzie, którym pozostaje mało chwil do życia, zniechęcają sobie zwyczajne pokarmy i do takich czują pochop, których dostać nie mogą: a jeżeli je przypadkiem dostają, wnet tracą smak i do nich. Ale wówczas była jeszcze wielka czerstwość w narodzie. Szlachta zebrana poruszeniem czułości, ale zwyciężona rozsądkiem, spokojnie się rozeszła. A Pani Kasztelanowa z córkami i Panem de Villaret udały się piechotą do Zamku. W jednéj chwili porządek przywrócony został, tak dalece, że nawet ci którzy zamknęli się byli w kamienicy Panów Zborowskich, wyszli na rynek, i bez przeszkody, swobodnie wrócili do swoich mieszkań. Nawet Panowie Zborowscy przestali być gabanymi od szlachty. Pan Marszałek i Pan Kasztelan Gnieźnieński pojechali do Zamku. Jeden tylko Pan Samuel pozostał, nie żeby się miał lękać jemu niechętnych, ale że rozczulony został żalem Pani Kasztelanowéj Przemyskiéj i jéj córek; a że pomimo popędliwości swojéj miał czułe serce, łez wstrzymać nie mógł, gdy ujrzał te osoby których nieszczęścia był sprawcą, i poznał, że pokazywać się jemu w miejscach gdzieby je mógł spotkać, byłoby tylko urąganiem się z ich niedoli.

II.

Panowie Zborowscy wydobywali wszystkich sił żeby ocalić brata. Ale lubo poznali że Król więcéj był zniewolony nadzwyczajną odwagą Pana Samuela, niż obrażony zniewagą swojego Majestatu, wszakże jednak niewiele dobrego wróżyli z następstw jakie mogły wyniknąć dla niego z sądu który niemógł być odmówionym Pani Wapowskiéj. Ona niczego niezaniedbywała by rozżarzać niechęć powszechną przeciwko Pana Samuela, a nawet przewidując, że na przypadek wyroku śmierci, który, wedle brzmienia prawa niechybnie miał być ferowanym, ucieczką od niego starać się będzie uchylić, i tu nawet nie okazała się mniéj czynną. Mając na zawołanie licznych klientów, i jéj niegdyś małżonka i innych magnatów skoligaconych z jéj domem, a którzy jéj sprawę uważali być sprawą ich własną, sprawą całego narodu, porozsyłała ich po całéj okolicy, ażeby jéj wróg miał wszelkie drogi do ucieczki przegrodzone. Domyślała się słusznie, że Pan Samuel będzie się starał dostać na Zaporoże, a że w takiéj podróży trudno mu będzie ominąć Ziemię Przemyślską, do niéj skwapliwie porozsyłała gońców, żeby szlachtę tameczną, duszą i sercem oddaną jéj domowi, podniecić; przekładając jéj, jakaby to była hańba niczém niezatarta, żeby zabójca jéj Kasztelana przedarł się przez Ziemię Przemyślską. A z drugiéj strony Panowie Tęczyński i Koniecpolski całą okolicę Krakowa zasypali swoimi stronnikami, żeby zapewnić wykonanie wyroku, który spodziewali się otrzymać.

Jakkolwiek Pan Zamojski ubolewał nad śmiercią Pana Wapowskiego i potępiał jéj sprawcę, niemniéj przeto go oburzały kroki extralegalne których się dopuszczała jego wdowa i jéj przyjaciele. Miłośnik ustaw krajowych i mąż prawości nieskażonéj przypuścić niemógł, żeby obywatel oprócz prawa jakiéjkolwiek innéj opieki szukał. A że śmiało i otwarcie w tym względzie swoje zdanie wynurzał, Pani Wapowska uważała go być stronnikiem domu Zborowskich, i pałając gniewem, żadnych mu nieoszczędzała potwarzy, które wszakże niezdolne były zachwiać cnotliwego męża. I owszem, sprawa Pana Samuela poniekąd ulepszała się w jego przekonaniu. Z początku widział w nim jedynie zbrodniczego gwałciciela praw, teraz zaczynał w nim widzieć jeszcze człowieka prześladowanego od potężnego stronnictwa, wzywającego opieki prawa o tyle tylko, o ile jemu okaże się dogodném, a w przeciwnym razie gotowego samemu go zgwałcić, by odwołać się do siły prywatnéj.

Pan Samuel, jak wszyscy ludzie gwałtownych namiętności, czuł w sobie upadek sił moralnych. Zamknięty w swojém mieszkaniu, całkowite godziny siedział nieruchomy na krześle, lub w milczeniu mierzył izbę szerokiemi kroki. Czasem wychodził do swojéj stajni pieścić konie, a szczególnie ulubionego rumaka, na którym popisywał się na turnieju. Bracia jego, chociaż ich wystawił na niechęć powszechną, żadnéj mu nierobili z tego powodu wymówki, oszczędzali owszem jego czułość, a zawsze gotowymi się okazywali podzielać z nim choćby najniefortunniejsze przygody. A tym czasem robili mu największe przysługi. Bo wiedząc o uległości Walezyuszów dla domu Rakuzkiego, niezapomnieli o własnych stosunkach z tym domem, i znaleźli w posłach Cesarskich i Hiszpańskich zręcznych obrońców Pana Samuela przed Królem, który wychowany wśród wojen domowych, nie tyle czuł obrazę swojego Majestatu, ile ją czuć mogli Polacy, a nie przestawał nawet w duchu sprzyjać młodzieńcowi, który nawet i w tym postępku, męztwem i przytomnością zniewolił był wszystkich otaczających go Francuzów. Panowie Zborowscy ani przypuszczali żeby ich brat był śmiercią karany, tak jak tego domagało się prawo. Ale

dobrze wiedzieli że bezkarnie to mu ujść nie może, i że co najmniéj, zmuszony będzie opuścić posiadłości Rzeczypospolitéj. A już to samo niemało ich zasmucało.

Pan Samuel umiał oceniać życzliwość braci, tém więcéj że oprócz Marszałka i Kasztelana Gnieźnieńskiego, jeszcze i inni bracia, rozpierzchnięci w różnych częściach Polski, zjechali do Krakowa, jak tylko dowiedzieli się o przygodzie brata. Bo pomimo dumy i gwałtowności tego rodu, największa a rzadka w narodzie jedność łączyła wszystkich siedmiu braci. Jedność, która nawet różnicą wyznań osłabioną nie była. Nie można było mieć zajścia z jednym Zborowskim, żeby ich nie mieć wszystkich przeciwko sobie. Postępek jednego z nich, chociażby był najgorszy, wszyscy starali się usprawiedliwić; brat w bracie żadnéj słabéj strony nieupatrywał: i jakże by mógł ją upatrzyć, kiedy w swoich z nim stosunkach znajdował ciągłą łagodność, uprzejmość, wyrozumiałość. Cała publiczność miała świeżo dowód téj jedności braterskiéj, kiedy po śmierci Kasztelana Krakowskiego, wszyscy bracia zdali się na starszego z pomiędzy nich, Marszałka Koronnego, który sam poukładał schedy i poobdzielał niemi braci swoich. A ci bez wahania się podpisali co tylko im podał. Był to może jedyny dział w całéj Polsce, który się w kilku godzinach ukończył, bez wezwania pomocy jurystów.

Marszałek i Kasztelan, więcéj mężowie stanu, w usilności by zjednać jakąś przychylność dla swojéj strony, unikali starannie rozjątrzać Panię Wapowskę. Spotykając się z nią, znosili cierpliwie obelgi które na cały ich dom miotała zażalona wdowa. Ale młodsi bracia mniéj byli ostrożni. Owszem na każdém spotkaniu rozdrażniali już i tak zawziętą nieprzyjaciołkę, utrzymując przed jéj stronnikami że na śmierci Pana Wapowskiego nic Rzeczpospolita niestraciła, że chyba jurgieltnik jego wdowy, może prywatną sprawę przekształcić w publiczną, że jéj tylko nawiązka po głowie męża należyć się może od tego, który przypadkiem a nie z umysłu go zabił, a że oni zgodnym sposobem sowitszą nawiązkę jéj gotowi zapłacić, niż tę którą od sądu godzi się jéj spodziewać. Krzysztof szczególnie, najmłodszy

i najburzliwszy ze wszystkiéj braci Zborowskich, żadnéj sposobności nie opuszczał by dokuczać przyjaciołom przeciwniczki. Na obiedzie u Pana Dembińskiego, Kasztelana Zatorskiego, który w obu stronach miał zachowanie, kiedy w jego przytomności Pan Koniecpolski, Wojewoda Kijowski, ubolewając nad nieszczęśliwym położeniem Pani Wapowskiéj dowodził, że jeżeli sprawca jéj niedoli a gwałciciel Majestatu, ukaranym niebędzie, wszczynająca się swawola od chwili śmierci Zygmunta Augusta, dojdzie ostatniego wyuzdania, Pan Krzysztof odważył się jemu odpowiedzieć: — Większy zaszczyt dla domu Wapowskich, że mąż Pani Kasztelanowéj poległ z rąk Zborowskiego, niż że przez gładkość swojéj żony otrzymał w Senacie krzesło. Zresztą możecie sobie wyroki pisać na naszego brata, ale jeżeli będą uciążliwe, ani przypuśćcie do myśli, żebyście je wykonać zdołali. — Takowe zuchwalstwo młodzieńca względem Senatora zasłużonego a powszechnie w narodzie szanowanego, nawet sługom i przyjaciołom domu Zborowskich podobać się nie mogło.

Ciężko jest być przedmiotem powszechnéj niechęci, nawet takiemu, który w sumieniu swojém nosi przeświadczenie że na nią nie zasłużył; a cóż dopiéro, kiedy to sumienie jeszcze głos podnosi. Pan Samuel bez wątpienia miał wielką pociechę w przywiązaniu braci i Pana Mroczka. Ten szczególnie, z największą obojętnością dla własnego bezpieczeństwa i przyszłości, umiał mu dochować niczém nieskażoną przyjaźń. Bo kiedy Król, uporządkowawszy wszystko do rychłego rozpoczęcia sądów, już naznaczył mężów do zasiadania z nim cum voce consultiva, kiedy na wezwanie Pani Wapowskiéj, Pan Odrowąż Pieniążek, znakomity prawnik, podjął się być obrońcą jéj sprawy: taka była niechęć dla Pana Samuela, i obawa narażenia się potężnym stronnikom zażalonéj wdowy, że nawet w całéj Palestrze Krakowskiéj ani jeden się nieznalazł taki, któryby chciał stanąć za Panem Samuelem. Tem mniéj obywatel niebędący prawnikiem z professji, mógł się narazić na zemstę, która wcześniéj czy późniéj niechybnie uczuć by mu się dała Tak dalece przyjaciele Panów Zborowskich byli upadli na duchu,

że nawet Pan Proniewski, generalny plenipotent Marszałka Wielkiego Koronnego, jurysta i rębacz zawołany, wymówił się od téj usługi. — Radzić będę, — rzekł do pryncypała swojego; — jak z czarnego zrobię białe, ale przed sądem Królewskim, jako obrońca Pana Kasztelanica, za nic nie stanę. Ja ojciec dzieciom i człowiek w dorobku. Przebojami iść na Panią Kasztelanowę Przemyską, jest to chcieć własne dziatki w sieroctwo obrócić. Broń Boże nieszczęścia, moja szabla jest na usługi Pana Samuela aż do granic Rzeczypospolitéj. Ale żebym potępiał czynność nieboszczyka Kasztelana — bo broniąc Pana Samuela musiałbym ją potępić — na to się odważyć niemogę. Jéj zbójcy napełniają Kraków, a tu jeszcze z Panami Tęczyńskim i Koniecpolskim wojować trzeba, — to dla szlachcica za wiele.

Pan Kaźmierz Mroczek jeden pokazał się nieustraszonym. Obeznany z prawem jak każdy szlachcic, sam się domagał być obrońcą obżałowanego. I gdy został przed Króla za takiego uznany, na wstępie mógł się przekonać jak niebezpieczne przyjął powołanie. Bo tego samego wieczora, powracając od jednego przyjaciela, blisko kamienicy Zborowskich napadniętym został od kilku rębaczy Pani Wapowskiéj. I trzeba było być tak silnym i odważnym, żeby się oprzeć przemagającéj tak dalece liczbie, i bez szwanku dostać się do domu. Odtąd Pan Mroczek pod żupanem nosił koszulkę żelazną i tak chodził na sądy, bojąc się zdradzieckiego uderzenia. Bo wiedział już z doświadczenia, że Pani Wapowska niechce go oszczędzać.

Wszakże, pomimo pociech co mu przynosiła i krew i przyjaźń, Pana Samuela smutek był aż nadto widoczny.

Kiedy razu jednego siedział zadumany w swojéj komnacie, drzwi się rozwarły i ujrzał Pana Zamojskiego. Od nieszczęśliwego zdarzenia, które Pan Samuel rad byłby swoją krwią okupić, Pan Zamojski nigdy go nienawiedził. To jego przybycie wielce go zadziwiło, i uprzejmie powitał gościa, dla którego zawsze osobliwszy miał szacunek.

— Panie Samuelu — rzekł do niego, — musi już być Waszmości wiadomo, że jutro jego sprawa wprowadzoną będzie

przed sąd Królewski. Przychodzę więc przynieść mu moją przyjacielską radę.

— Z wdzięcznością przyjmuję ten dowód Waszmościnéj życzliwości dla mnie, i z góry podzięki za nią składam.

— Waszmości sprawa wzięła tok pomyślniejszy niż się mogłeś spodziewać, tém, iż Król Jegomość zniewagę swojego Majestatu zdaje się uchylać, kiedy sam Waszmości niezapozywa, a tylko każe mu się stawić na prawne wezwanie pozostałych wdowy i sierot po Panu Wapowskim. Gdyby Król był zażądał mojéj rady, nie taję się z tém, że pomimo przyjaźni którą dla Waszmości czuję, inne by było moje zdanie. I przełożyłbym mu że główniejsze przewinienie Waszmości jest właśnie w téj zniewadze. I tu niczémbyś wymówić się nie mógł. Ale gdy zamiast sprawy publicznéj, już tylko w sprawie prywatnéj bronić się będziesz, tém samém położenie Waszmości już się ulepszyło. Wszakże niepodobna pochlebiać sobie byś mógł być usprawiedliwionym. Bo chociaż może już nie pójdzie rzecz o crimen lesae Majestatis, zabójstwo Senatora jest tak jawne, że nie możesz o nie niezostać przekonanym sądownie. A następstwo tego grozi mu największém niebezpieczeństwem. Moja rada, żebyś Waszmość nie czekając wyroku, wyniósł się jak najrychléj z posiadłości Rzeczypospolitéj, a pamiętny na obowiązki jakie winieneś mieć dla niéj, nieprzestawał i na obcéj ziemi jéj służyć.

— Za taką radą iść nie mogę. Bo gdybym uchylał się od sądu, tém samém przyznałbym się do winy.

— Od winy żadnym sposobem oczyścić się nie możesz, a przynajmniéj, idąc za moją radą, ocalisz to co możesz jeszcze ocalić — życie, i nawet jakąś nadzieję zachowania sławy. Jak nie staniesz na wezwanie Królewskie, wyrok śmierci oczewiście zapadnie, będziesz wskazany nie jako reus, ale jako contumax. A przeciwko zaocznemu dekretowi zawsze iść można. Udasz się za granicę, masz drogę otwartą do uzyskania nowéj sławy, która i na ojczyznę spaść może. Wyrok za gwałt prywatny zapadły, nie przynosi takiéj niecześci, jak występek przeciwko Stanu; tém więcéj jeżeli jest zaoczny. Sprawa z publicznéj, zrobiwszy się prywatną, ła-

twiejsza może stać się zgoda z jedną rodziną, niż z całym narodem. Nikogo dziwić nie powinno, że Pani Wapowska z taką gorliwością nastaje na gardło Waszmości: gdyby inaczéj postąpiła, niezasługiwałaby na szacunek. Ale non est dolor, quod tempus non minuat, nec molliat. I ta jéj strata z czasem znośniejszą dla niéj się stanie, a w stosownéj mierze i jéj zawziętość się zmniejszy. Staraj się Waszmość żeby to jego wygnanie niebyło dla nas, twoich ziomków, bezkorzystne; a potém może z samą Panią Wapowską, może z jéj spadkobiercami, za pośrednictwem przyjaciół się pojednasz i swobodnie powrócisz, zasilony doświadczeniem, powiększony sławą, na tę rodzinną ziemię, któréj ci przeznaczono być ozdobą.

— Umiém oceniać pobudki które Waszmość skłoniły do dania mnie tak przyjacielskiéj rady. I byłbym niewdzięcznym gdybym jego życzliwości nieodpłacał nieograniczoną w nim ufnością. Uchylać siebie od sądu, jest to rzecz, do któréj przez żaden sposób skłonić się nie dam. Chociażby wyrok na przeciwko mnie miał być taki, jakim go pragnie otrzymać Pani Wapowska, moja ucieczka potępiła by mnie w obliczu wszystkich a czuję się być niewinnym. Bo skoro tylko obraza Majestatu Królewskiego jest usuniętą, klnę się na honor rycerski, że względem Pani Wapowskiéj nic niemam sobie do wyrzucenia. Żadnego zajścia z jéj mężem nigdy niemiałem; byłem kiedyś u niego domownikiem, a jeżeli dla pewnych okoliczności zaprzestałem bywać w jego domu, to nieprzeszkadzało bynajmniéj wzajemnemu szacunkowi i wspólnéj życzliwości. Wszystkim wiadomo, że zawsze z uprzejmością spotykaliśmy się z sobą. Nigdy na jego życie nie nastawałem, nawet Pana Tęczyńskiego śmierci nie pragnąłem. Bóg świadkiem moim, że gdybym chciał zabić Pana Tęczyńskiego, Pan Wapowski niemiałby dość czasu, żeby temu przeszkodzić. Chciałem go tylko rozbroić, i tém go upokorzyć publicznie, i byłbym tego dokonał, gdyby Pan Wapowski, stanąwszy między nami, niewydarł mi pewnego zwycięztwa. W uniesieniu rzuciłem na niego czekan, nawet zdaje mi się że ten rzut niebył silnym: rzuciłem jak z niechcenia, bez zamierzenia miejsca w które

miałem ugodzić. Niepojmuję jakim sposobem trafiłem go w głowę tak mocno, że chociaż czapką była zasłoniętą, topor zagrzązł w jego czerepie. Cisnąłem czekan z niechcenia. Jest-to nieszczęśliwy traf, z wyraźnego Boskiego dopuszczenia. Nasze wyznanie przypuszcza przeznaczenie, któremu wola ludzka oprzeć się nie może. Wiesz o tém Panie Zamojski, boś sam był wychowany w naszéj wierze. A gdybym w tém miał jakąś wątpliwość, niniejszy wypadek przekonałby mnie, że tak jest a nie inaczéj. Tak jak się tłómaczę przed Waszmością, tak i przed sądem tłómaczyć się będę, a jeżeli go nie zdołam przekonać, jeżeli on przypadek osądzi być rozmyślném zabójstwem: niech i tak będzie. Wolę niewinną głowę poddać pod miecz prawa, niż ucieczką przyznawać się do zbrodni.

— Panie Samuelu, winienem okazać się dla Waszmości równie szczérym, jak się nim dla mnie okazujesz. Ani przypuszczam żeby najmniejsza obłuda była w twojém wyznaniu. Bo wiém że o wszystko prędzéj cię posądzać można niż o kłamstwo. Ale inne jest przekonanie prywatne, a inne sądowe. Tam się rzecz opiéra na dowodach literalnych, na zeznaniach świadków, a nie na uczuciach osobistego szacunku. I ja pierwszy, lubo szczérze wierzę w Waszmości słowa, a jednak z tém się nietaję, że jeżeli, co bezwątpienia nastąpi, będę powołany do Waszmościnéj sprawy jako świadek, moje zeznanie nie może ciebie nie potępić. Zastanów się nad tém, Panie Samuelu, pokąd jeszcze masz porę, i o tém pomyśl.

— Mości Zamojski, powtarzam że czuję się być niewinnym śmierci Pana Wapowskiego. I ani ucieczką, ani niczém inném do winy się nie przyznam. Wyznaję, że w uniesieniu zapomniałem, że w bliskości Króla dobycie miecza jest występkiem. Ale sam raczyłeś mnie potwierdzić to, o czém już oświecił pozew Pani Wapowskiéj: że tylko o zabójstwo jéj męża a nie o zniewagę Majestatu Królewskiego mam być sądzony.

— Jeżeli obraza Króla nie będzie przedmiotem głównym w téj sprawie, zawsze ona będzie przytoczona jako okoliczność wielce pogorszająca postępek Waszmości. Przypuścić

nie można, żeby Pan Odrowąż Pieniążek, mąż tak doświadczony w zawodzie prawniczym, o niéj zamilczał. Wreszcie, powtarzam, w saméj wyłącznéj nawet sprawie o zabójstwo tak dobrze jak bezbronnego Senatora, nic pomyślnego dla siebie Waszmość obiecywać nie możesz.

— A jeżeli taka wola Pana Boga, żebym pomimo mojéj niewinności położył głowę pod miecz prawa, niech i tak będzie: wolę zginąć, niż uciekłszy z kraju tułać się bez czci zagranicą jako delinkwent za zbrodnię dekretowany.

— Bez wątpienia, kto stanął przed sądem a tém samém uznał jego prawość, a potém ucieczką chroni się od jego wyroku, wielką podłość popełnia, nadużywając ufności prawodawstwa, które go niewięzi jako posądzonego, ale dopiéro jak jego ogłosi winowajcą, ima jego osobę. Sława droższą nam być powinna niż życie; a wyrok prawa, nawet na zbrodniarzu spełniony, nie kazi cześci jego imienia. Zadość uczynienie wraca występnemu wszystkie zaszczyty niewinności. Wszakże winieneś Waszmość dobrze porachować się z sobą, czy, broń Boże nieszczęścia, będziesz miał dość stałości, żeby dla zachowania czci, życie, nie mówię puścić na losy — bo to dla Waszmości nie jest rzecz nowa — ale go zaofiarować... Jeżeli nie jesteś siebie pewny, przyjm raczéj moją przyjacielską radę: nie stawaj przed sądem i uchroń się od niego ucieczką. Przynajmniéj będziesz się mógł wymówić, że widząc go być pod wpływem namiętności, pobudzonéj świeżym wypadkiem, niemiałeś w nim ufności, ale jak nieco ochłonie z pierwszego wrażenia, staniesz przed nim dla oczyszczenia siebie; że wyrok zaoczny jeszcze nie stanowi zupełnéj konwikcji. Położenie Waszmości będzie smutne, wszakże jeszcze nie rozpaczliwe. Ale jak staniesz przed sądem, a tém samém uznasz jego prawość: jak przed nim wyczerpiesz bezskutecznie wszystkie środki usprawiedliwienia siebie, a potém okażesz się słabym: zważ sam jaki cios zadasz czci twojego imienia i twojéj własnéj, tylu znakomitemi czynami utwierdzonéj.

— Mało mnie znasz, Mości Panie Zamojski. Jutro stawię się przed sądem Królewskim na prawne wezwanie Pani Wapowskiéj. Bez obłudy, jak szlachetnie urodzonemu czło-

wiekowi przystoi, na każde zapytanie odpowiem. A jeżeli o mojéj niewinności nie zdołam przekonać, ulegnę mojemu przeznaczeniu bez szemrania. Życie niema dla mnie tyle powabów, żebym aż czcią szlachecką i rycerską miał je okupywać. Takie jest niezłomne moje postanowienie: oświadczyłem je przed braćmi moimi; i gdybyś Waszmość mnie lepiéj znał, niewątpiłbyś że słowo które z ust moich wyszło, nigdy cofnięte niebędzie.

— Zacnym jesteś mężem, Panie Samuelu. Szanowałem Waszmość jako walecznego rycerza, w nim zawsze pokładałem wielkie nadzieje dla kraju: dziś szanuję go jako prawdziwego obywatela. Bądź co bądź, a jeżeli będziemy posłuszni prawom, Bóg nas nieopuści. — I z okiem nieco zroszoném pożegnał Pana Samuela.

Nazajutrz sprawa wprowadzoną została. Sala zamkowa gdzie się sądy Królewskie odbywały, jakkolwiek obszerna, tak była napełniona szlachtą, że trudno było przez nią się przecisnąć. Król siedział na tronie, a w około niego siedmiu wybranych dostojnych mężów, z których cztéréj z Senatorskiego Stanu, dla dania mu rady i tłómaczenia tego co się odbywało prawie w obcym dla niego języku: bo jakem powiedział, Król słabo był obeznany z łaciną. Krata niska przegradzała świątynię, że tak powiém, gdzie był Król i Assessorowie przez niego naznaczeni, od téj przestrzeni gdzie zebrała się była ciekawa publiczność. Osobna była ławka na któréj siedziała Pani Wapowska z obiema córkami, a przy nich Pan Koniecpolski, Wojewoda Kijowski, ich opiekun. Wdowa i sieroty były odziane w grubéj żałobie, która im jeszcze przydawała wdzięków. Na téjże saméj linii, ale po przeciwnéj stronie, siedzieli i stali świadkowie, wszyscy ci którzy razem z Królem byli na galeryi zamkowéj w czasie nieszczęśliwego zdarzenia, i jeszcze inni przypozwani przez stronę powodową. Wszakże Pan Zamojski niebył między nimi. Bo że był umiarkowanym, że miał sumienie nadto oświecone by pozwalać sobie wynurzać jakie bądź zdanie o tém, co już było wyłącznie własnością sądu, aby poniekąd wpływać na przekonanie tych, którzy, jedynie na dowody prawne się zapatrując, powinni być

głuchymi na te wszystkie uboczne szemrania: — więc Pani Wapowska ogłosiła go stronnikiem Panów Zborowskich, i niechciała odwoływać się do jego świadectwa. Ale między świadkami niemającymi stosunków ścisłych z dworem, widać było Pana Ezechiela Zdorę, który zdawał się być nieco pomieszanym w tym dla siebie zupełnie nowym zawodzie, bo z widoczną niespokojnością w około spoglądał i z jakiémś roztargnieniem ciągle igrał rękoma obiemi z łańcuchem otrzymanym od Króla, a który był zawieszony na jego szyi. Pośrodku kratek podnosił się gatunek pulpitu na którym leżały xięgi praw, papier, kałamarz i pióra; a za nim stali Pan Odrowąż Pieniążek i Pan Kaźmierz Mroczek. Obżałowanego niebyło widać, a nawet Pani Wapowska i jéj adherenci już byli wszędzie rozgłosili że Pan Samuel nie stanie na pozew po nim podany, i że zaniechawszy bezkorzystnéj dla siebie obrony, ucieczką ratować się będzie.

Nie bez zadziwienia ujrzała publiczność wchodzącego Pana Samuela w towarzystwie swoich braci. Już-by samym przepychem ubioru oczy jéj zwrócił ku sobie. Miał na sobie żupan z materji złotéj, opasany jeszcze bogatszym pasem kaszmiru, z po-za którego wyglądała rękojeść kindżału, oprawna w brylanty i turkusy. Na tem miał kontusz owego wieku, a raczéj gatunek ferezii która się niezapinała ani miała wylotów. Ta zwierzchnia odzież była z axamitu szkarłatnego, w koło wykładana bogatym sobolem. Szyja jego była spięta ogromnym soliterem, a pod pachą nosił czapkę z takiegoż axamitu i okoloną takimże sobolem co i suknia wierzchnia; a największą jéj ozdobą była mała kita z czaplich piór, przypięta brylantową spinką. Przybliżywszy się do kraty, skłonił się przed Majestatem Królewskim prawie do saméj ziemi, po czém skłonił się grzecznie przed ławką w któréj siedziały jego przeciwniczki i otrzymał w nagrodę pogardliwe i razem zawzięte spójrzenie Pani Wapowskiéj, poczém lekkim ukłonem powitał Pana Odrowąża Pieniążka, który mu się odkłonił z uniżonością; ścisnął za rękę Pana Kaźmierza; nakoniec odwrócił się do zgromadzonéj Publiczności, którą uczcił potrój-

nym ukłonem. Jakkolwiek umysły były przeciwko niemu uprzedzone: spokojność wyrażona na nadobném obliczu młodzieńca, dumna odwaga jaśniejąca w jego ognistych spojrzeniach, postawa pełna wdzięku, to nawet zaniedbanie w poruszeniach, cechujące ludzi powołanych do wysokich zaszczytów, a które kiedy ludzie gminni chcą naśladować ile razy im się zdarza być w towarzystwie nie dla nich stworzoném, by okazać że oni są w niém jakby u siebie, staje się nieznośném grubiaństwem, to wszystko tak wielkie a powszechne sprawiło wrażenie, że jakaś niespokojność pojawiła się na twarzy Pani Wapowskiéj.

Król powstał, zdjął tokę, i pierwszy zaintonował — Veni Creator. — Wszyscy przytomni, wyznawcy wschodniego i zachodniego obrządku uklękli i głosy swoje złączyli z głosem Królewskim. Dyssydenci tylko w milczeniu stali, wszakże głowy schylili; jeden tylko Pan Ezechiel, który jeszcze nieumiał przed sobą rozebrać gdzie i poco się znajduje, widać z roztargnienia ukląkł razem z prawowiernymi. Po odśpiewanym hymnie, wszyscy powstali, Król zasiadł na tronie i kazał wprowadzić sprawę.

Wszyscy umilkli, a głos wymówny Pana Odrowąża Pieniążka dał się słyszéć. Żadnego środka niezaniedbał żeby odwrócić wszelką przychylność od Pana Samuela. Przewidując że jego obrońca będzie usiłował dowodzić iż jego czynność na moście zamkowym była nierozmyślną, najusilniéj zbijał to coby mogło o tém przekonać; przytaczał dowody dawnéj niechęci Panów Zborowskich naprzeciwko Pana Tęczyńskiego; niechęci w sercu Pana Samuela jeszcze podwojonéj za to, że niegdyś sługa Tęczyńskich odważył się z nim mierzyć na turnieju. Tu zręcznie zwrócił uwagę Publiczności na wyniosłość domu Zborowskich, którzy ani zwierzchności chcą uznać nad sobą w wierze, ani przypuszczać szlachtę do równości z sobą w obywatelstwie. Że Pan Samuel od chwili w któréj klient Pana Tęczyńskiego usiłował wydrzeć mu zwycięztwo, ciągle ścigał tego zacnego i zasłużonego ojczyźnie Senatora, który nadto miłuje zwierzchność i prawa krajowe, żeby miał być łapczywym do przyjęcia samowolnego boju. Że to odwoływanie się do

siły osobistéj jest dowodem największéj wzgardy dla Prawa. Bo skoro wyzwanie na rękę nie jest upoważnione wyrokiem Króla lub Hetmana, wedle Statutu Litewskiego jest najściem, jest występkiem, na który kary są w tymże Statucie naznaczone. Że napad na Pana Tęczyńskiego, nawet bez względu na miejsce w którem się zrobił, już jest czynem rozbójnika, a cóż dopiéro pod bokiem Królewskim, kiedy ten co w jego imieniu i za jego rozkazem wyraźnym usiłując pohamować zapęd napastnika, śmierć poniósł z jego ręki. — Potém swój indukt zakończył temi słowy:

— Dotąd, Najjaśniejszy Panie, mówiłem jako prokurator nieszczęśliwéj wdowy i osierociałych dzieci, błagających Twojéj sprawiedliwości i Twojéj opieki. A jakkolwiek napozór stawam w sprawie prywatnéj, rzeczywiście jestem obrońcą sprawy publicznéj. Bo jeżeli zuchwałość poddanego przyprowadzić może do wdowieństwa i sieroctwa żonę i plemie Senatora, a ten zapamiętalec gardłem nieprzypłaci téj zbrodniczéj zuchwałości, — gdzież i jakież bezpieczeństwo otrzymają żony i córki nasze. A wszakże w bissurmańskiéj niewoli poddany jest bezpiecznym od poddanego! Niech-że przepadną nasze przywileje jeżeli mają otwierać wrota podobnéj swawoli, jakiéj dopiéro się dopuścił Pan Samuel Zborowski. Ani przypuszczam, Miłościwy Panie, byś miał większą litość nad zbójcą, niż nad nieszczęśliwemi ofiarami jego zbrodni. Ten sam Bóg który potężne ludy powierzył Tobie, wyrzekł: «Niech świat przepadnie, a niech sprawiedliwość się czyni.» A w niniejszéj okoliczności sprawiedliwość Twoja ocali świat, a właśnie pobłażanie Twoje go zaprzepaścić może. Teraz nie odzywam się jako obrońca jednéj rodziny, ale jako szlachcic, jako obywatel. Odsunąłeś sprawę obrazy Majestatu Twojego, boś czuł się nadto wielkim by aż obstawać za własną sprawą Twoją. Ale jeżeli czcią jestem przejęty, jeżeli Twoje umiarkowanie, Twoja dobroć, Twoja wspaniałomyślność, godna być wyrytą na spiży i marmurze, jeżeli ich pamięć przekazaną będzie od pokolenia do pokolenia, aż do najpóźniejszych wieków: pozwól bym i tu, Miłościwy Panie, podniósł głos swój i naprzeciwko téj dobroci, która chociaż zniewala i

ulepsza niektórych, innych upoważnia do lekceważenia wszelkiéj zwierzchności. Ani uważaj siebie Królu być tylko stroną kiedy rzecz idzie o obrazę Twojego Majestatu. Jeżeli nasze sprawy są Twojemi sprawami, jeszcze więcéj Twoja sprawa jest sprawą naszą, sprawą całego narodu. Ty jesteś nadto potężnym, nadto wyższym od innych, by ktokolwiek mógł rzeczywiście ciebie obrazić. Przystoi ci litością odpłacać czyn szaleństwa, jako lew obojętnie patrzy na robaka który żądło bezsilne przeciw niemu podnosi. Ale my poddani Twoi, Miłościwy Panie, nie jesteśmy na stopniu tyle wysokim by nas krzywda doścignąć nie mogła. Dla tego składamy sławę i życie nasze pod opieką Twojego berła, jakby w twierdzy niezdobytéj. A będą-li bezpieczne, jeżeli nasza największa krzywda, zniewaga naszego Pomazańca, publicznie wyrządzona, ujdzie bezkarnie? Jako patron przyprowadzonéj do rozpaczy rodziny Wielmożnego Kasztelana Przemyskiego, nie proszę, ale domagam się głowy urodzonego Samuela Zborowskiego, bo Prawo, którego Ty jesteś stróżem i wykonawcą, Miłościwy Królu, do tego mnie upoważnia. A jako szlachcic, na stronie zostawując żeś crimen lesae Majestatis odsunął od niniejszéj sprawy, w imie twoich poddanych domagam się o karę za krzywdę, co ją każdy z nas poniósł w Tobie.

Po skończonym indukcie przystąpiono do wysłuchania świadków. Wszyscy zeznali że widzieli jak Pan Samuel dobywszy miecza naglił Pana Tęczyńskiego do potykania się z sobą, od czego Pan Tęczyński długo się wzbraniał, aż nakoniec zmuszony został dobyć i swojego oręża, kiedy Pan Samuel mu zagroził że go płazem znieważy. Ale żaden z nich niemógł nic powiedzieć o pierwszym powodzie téj kłótni: czy ten napad był rozmyślny, czyli był skutkiem jakiegoś słowa obraźliwego ze strony Pana Tęczyńskiego. Wszakże ledwo że nie wszystkie zeznania potępiały Pana Samuela; jedno tylko pokazało się dla niego przychylniejsze. Między przypozwanymi świadkami był Pan Strzemień Marszycki, Cześnik Podlaski, człowiek niemłody, ale znany za człowieka wielkiéj poczciwości i jednego z naj-

słynniejszych rębaczów na Podlasiu. Kiedy z kolei przyszło i jego zapytywać, on zrobił takie zeznanie:

— Nie wiém o co wszczęła się kłótnia, bo już przyszedłem do rzeczy gotowéj. Widziałem że Pan Zborowski krzyżował szablę z Panem Kasztelanem Bieckim i słyszałem jak ten Pan składając się reflektował go, żeby go zaniechał a sprawę na inne miejsce odłożył. Wszakże jurata fide winieniem wyznać, że przekonany jestem, iż Pan Samuel ani chciał zabić, ani nawet ranić Pana Kasztelana, a tylko go nastraszyć.

— Na czém-że Waszmość opierasz to zdanie? — odezwał się jeden z Assessorów Królewskiego Sądu.

— Od lat czterdziestu robię szablą i w podobnych opałach nie dziesięć i nie sto razy sam się znajdowałem. Pana Samuela pierwszy raz widziałem na turnieju w którym taką sławę zjednał sobie. I zaraz poznałem w nim gracza jakich podobnych nigdy mi się spotkać nie zdarzyło. Otóż na moście, jakkolwiek krótko trwała bitwa, dobrze zauważyłem że Pan Kasztelan dwa razy tak się był odkrył, że człowiek doświadczony niechybnie po łbie był by go uderzył, a cóż dopiéro taki jak Pan Samuel. Jeszcze wtedy powiedziałem stojącemu obok mnie Panu Czarkowskiemu, Podlasianinowi jak ja, a który i tu znajduje się między świadkami: dajmy temu pokój, Pan Samuel wyraźnie żartuje, nic z tego nie będzie. Niech sam Pan Czarkowski powie, czy tak czy nie.

Pan Czarkowski potwierdził swojém zeznaniem to co dopiéro powiedział Pan Marszycki.

O okolicznościach zabójstwa Pana Kasztelana Wapowskiego nic innego świadkowie niezeznali, tylko to co już wszystkim wiadomo było: że Pan Samuel cisnął na niego czekan który miał w lewym ręku, a który śmierć mu zadał.

Przystąpiono do wyśledzenia pierwszych powodów niechęci które mogły pobudzić Pana Samuela do szukania kłótni z Panem Tęczyńskim, i nie bez słuszności przypisywano ją wypadkom ostatniego turnieju. Wszyscy świadkowie zeznali że kiedy Pan Zdora na rozkaz sędziów turnieju musiał podnieść kratę od szyszaka, wtedy najnieprzyzwoitszemi słowami Pan Samuel wyrzucał Panu Tęczyńskiemu

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Kielcach

że szlachcica swojego dworu na niego nasadził, sam unikając potykania się z równym sobie we wszystkiem; że wyrazami pełnémi wzgardy skrzywdził Pana Zdorę a w nim całą szlachtę, która chociaż służy Panom, nie przestaje dla tego być im równą.

Przywołano nakoniec Pana Ezechiela Zdorę, ażeby własne świadectwo przyłączył do tylu świadectw. Wszyscy ciekawi byli jego zeznania, bo w istocie ono było najważniejsze. I Pani Wapowska i jéj przyjaciele, wielce nań rachowali, gdyż wiedzieli że on był osobiście obrażonym, klientem Pana Tęczyńskiego i żonatym z jego należącą.

Zapytany Pan Ezechiel o wyrazy któremi go dotknął był Pan Samuel, i czy do niego z tego powodu czuje urazę, odpowiedział témi słowy:

— Jużci że mnie złajał Pan Samuel, to pewna: ale jak — co dosłownie tego niepamiętam; ile że rzecz mnie dotykająca była uboczną, bo on wtedy mowę obracał do Pana Tęczyńskiego. A przyznam się Państwu, że padłszy o ziemię w ciężkiéj zbroi i mając miecz ugrzęznięty w piasku — co się stało powodem że już nie mogłem potykać się pieszo — nie bardzo uważałem co się w około mnie mówiło. Wreszcie co było między mną a Panem Samuelem, to nasza rzecz a niczyja, i niewiém w czémby to mogło obchodzić cudzego. Bo jeżeli mnie skrzywdził Pan Samuel, a ja, dajmy na to że już nazajutrz czując się zdrowym, zapomniałem jednak o moich rękach, mamci przecie język żeby się na niego poskarżyć, a jednak do tylu dni nieskarżę się, więc musi być jedno z dwójga: albo nie mam siebie za obrażonego, albo muszę się poczuwać że dałem jakiś powód do obrazy.

— Waszmość odpowiadaj na zapytania sądu, — przerwał mu jeden z Assessorów; — i odpowiadaj rzetelnie, jakeś to ewinkował przysięgą, niczego swojego nie dodając.

— Ja też odpowiadam jak umiem. I właśnie dla tego że przysiągłem muszę w jakieś szczegóły się wdawać. Bo chociaż może Państwo myślicie że dla protestanta przysięga nic nie znaczy, pozwólcie sobie powiedzieć, że ta moja przysięga tak mnie zmieszała, że dopiéro zaczynam do sie-

bie przychodzić. Ani myślcie żebym oszczędzał Pana Samuela dla tego tylko że jednéj ze mną wiary. Bo, po pierwsze, ani Pana Samuela ani mnie nieczęsto znaleźć można w kirku; powtóre, że mam żonę która, jak Panowie, za Papieżem trzyma; po trzecie, że w Kosmyrzowie pokryłem parafialny kościołek dachówką z Gdańska sprowadzoną; czém się nie pochwali żaden z moich sąsiadów, chociaż i pości i modli się tak gorliwie. Trzech obywatelów katolików dość majętnych do tego kościoła należy, a żaden swoich trzech groszy nie dał, tylko ja, dyssydent, wszystko z własnéj kieszeni ofiarowałem na chwałę Bożą.

— I cóż to do sprawy należy? — rzekł ten-że sam Assesor zniecierpliwiony.

— Jużci, kiedy przynoszę moje świadectwo, muszę też starać się przekonać że można jemu zaufać. Otóż, czy mam żal czy nie do Pana Samuela, to moja rzecz: a czy tak czy owak, żem przysiągł, muszę wszystko opowiedzieć, tak dla potępienia jego, jako i dla ocalenia. Więc wyznaję, żem słyszał jako powiedział Panu Kasztelanowi, którego byłem sługą a z którym mam teraz zaszczyt kolegować w Kawalerji Narodowéj — że odda mu za swoje, za to, że Pan Kasztelan niechciał wyjść z równym sobie a nasłał na niego służalca. Cóś to było takiego. Ale winienem i to wyznać, do czego nigdy Pan Samuel się nieprzyzna, choćby go obcęgami rwano, że ja dałem powód do jego zapamiętałości. Bo kiedy uklęknąwszy na moim brzuchu kindżał przyłożył do mojego gardła, żebym go o życie prosił — ja mu powiedziałem; kól psi synu, ażebyś potém zdechł z całym twoim rodem. Pozwolicie Państwo że po takiéj antyfonie mogła mu żółć zakipić. Inny by za to zakłuł mnie na miejscu, i w złości w jakiéj byłem, sam niebyłem od tego: a on tylko że nic-do-rzeczy się odezwał A i to winienem wyznać, że Pan Samuel żałował tego co w gniewie powiedział, i zaraz potém wysłał do mnie Pana Kaźmierza Mroczka, który go bronić będzie przed sądem Najjaśniejszego Pana. Nie triumfuj, Mości Odrowążu, żeś tak mądrze gadał. Obaczysz jeszcze co powie Pan Kaźmierz. Ja jego znam z maleńka, i widzę po jego minie że nieczuje się

być poruszonym na kulbace. Pan pięknie mówisz, ale poczekajmy, niech-no Pan Kaźmierz się jeszcze odezwie, a obaczymy czyja stal twardsza. Chociaż Bogiem a prawdą, zamiast tego językowego pierstwa, najwłaściwiéj by było, ażeby kto co ma przeciwko Pana Samuela, rękawicę rzucił, czy jedną, czy wiele by się jego nieprzyjaciołom podobało, a on by ją podniósł: a może by się znaleźli tacy co by i inne podnieśli; a tak najprościejszy byłby środek dojścia kto praw a kto niepraw.

— Nie Waścina rzecz dawać rady Królowi Jegomości, — odezwał się groźnie jeden z Assessorów Senatorskiego stanu. — Czy Waść skończyłeś swoje zeznanie, czy masz jeszcze cóś do powiedzenia? Tylko Waść nie odskakuj od sprawy i nie wdawaj się nie w swoje rzeczy.

— Przyznaję się do winy, Jaśnie Wielmożny Panie, ale proszę ją odpuścić temu który odkąd żyje, ani razu nie stawał przed sądem. Ale otoż na czém stanąłem? Ale, ale. Że Pan Samuel posłał do mnie na wieś Pana Kaźmierza Mroczka z oświadczeniem, że chce pojednać się ze mną i z bracią szlachtą, która, choć nieproszona, raczyła wziąść udział w mojéj niby krzywdzie — lubo ja siebie bynajmniéj niemam za skrzywdzonego; bo żebym się miał za takiego, tobym o to gdzieindziéj nie na sądy Najjaśniejszego Pana pociągnął Pana Samuela. Bo nie jestem ani babą ani piercem żebym z językiem chodził po ludziach.

— Jeżeli Waść nieprzestaniesz zapominać o miejscu gdzie się znajdujesz, — odezwał się tenże sam Senator, — by pleść niewłaściwie koncepta, doczekasz się tego że przez Woźnego rokowanym będziesz.

— Bóg świadek że nikogo obrazić nie chcę. Powiém tylko że Pan Samuel zaprosił się do mnie na obiadek szlachecki, gdziebyśmy naszą zgodę kielichem zakropili, zaprosiłem ile mogłem szlachty: byłby spust mojéj piwnicy. Jeno że djabli nadali to nieszczęśliwe spotkanie na moście — żeby on przepadł. Wszakże i Pan Samuel i Pan Kasztelan Biecki dla którego czuję obowiązki, oba zdrowi, więc nie ma o czém gadać. A co do Pana Kasztelana Przemyskiego — jak mnie Bóg miły, nikomu jego śmierci przypisać nie można.

Nie ręka ludzka go zabiła, ale Bóg go powołał, może żeby mu dać u siebie jeszcze cóś lepszego niż to co miał na ziemi. Bo chyba taki co nigdy niewidział jak się ludzie biją między sobą, utrzymywać może że Pan Samuel chciał go zabić. A cóż to? Pan Samuel mańkut, żeby chcąc czekanem łeb komu rozbić, nie wziął go w prawą dłoń. On go cisnął z niecierpliwości, bez mierzenia. Jest to przypadek jak to bywa na świecie; a któż za przypadek odpowiadać może. Jeżeli przyznacie to złéj chęci Pana Samuela, śmiech z siebie zrobicie. Wszakże wy Panowie i szablą i czekanem umiecie obracać; otóż ja każdemu z was pozwolę na siebie czekanem rzucić lewą ręką, byle tylko niebył mańkutem, i żeby o to był zakład — koń z rzędem, naprzykład. Niech mnie trafi, a jeżeli żyw zostanę, nie tylko że nie będę miał żalu, ale jeszcze mu podziękuję za naukę.

— Nikt z tym gadułą do końca nie dojdzie, — rzekł Kanclerz Koronny, który zasiadał w sądzie najbliższy Tronu Królewskiego; — zdaje się że już inkwizycja skończona. Z rozkazu Jego Królewskiéj Mości, solwuję sessją na dzień jutrzejszy o téj saméj porze. Mości obrońco obżałowanego, słuchałeś induktu strony powodowéj: czy do dnia jutrzejszego będziesz miał dość czasu by wygotować replikę?

— Moja replika gotowa, — odpowiedział Pan Kaźmierz.

— A więc sessja jest odwołana do jutra.

Król wstał z tronu i powrócił do swoich komnat, a wszyscy za jego przykładem się rozeszli.

III.

Na téj pierwszéj sessji sądowéj, był ustęp który nie małe sprawił wrażenie na publiczności. Podczas induktu Pana Odrowąża, kiedy żywemi barwami malował cnoty i wierność Królowi Pana Kasztelana Przemyskiego, gdy przyszedł do opowiadania jego zabójstwa, wdowa po nim pozostała, rozczulona tym obrazem zemdlała, i z rozkazu Króla sessja zawieszoną została, aż póki jéj nieocucono.

Ale z drugiéj strony zeznanie Pana Marszyckiego a szczególnie Pana Ezechiela Zdory, od którego poniekąd cała ta sprawa wzięła początek, o ile jakąś lepszą nadzieję wznieciła w sercach przyjaciół domu Zborowskich, o tyle ułagodziła uprzedzenia niektórych osób bezstronnych, a jedynie z powodu tego wypadku niechętnych Panu Samuelowi.

Zauważano, że Pan Generał Humiecki, który lubo wuj obżałowanego, głośno się był oświadczył przeciwko niemu a nawet przestał bywać u jego braci i w każdém z nimi spotkaniu dość zimno przyjmował ich powitania — po zeznaniach dopiéro przytoczonych, nieco więcéj uprzejmym okazał się dla siestrzana I nie bez widocznéj poufałości rozmawiał z Panem Marszyckim, który z nim odbywał kiedyś dwie wyprawy przeciwko Turkom. I to mu przypomniawszy, dodał:

— Mości Panie, wszak to już kopa lat jakeśmy się rozstali pod Suczawą, dawszy się porządnie w znaki Sułtanowi Jegomości. Pamiętasz Waszmość wiele to zawojów leżało na

ziemi, a były i takie gdzie można było znaleść niemało cekinów weneckich. Nie jeden towarzysz wtedy tak się obłowił, że potém folwark wziął w dzierżawę. Wasi podlasianie tam się popisali. Wasz Wojewoda, nieboszczyk Branicki — z którym byłem w powinowactwie, bo mój stryj miał za sobą jego siostrę — prowadził was na koniu bułanym. Maść szkaradna, ale jaki był z niego koń cnotliwy. Wojewoda był tak otyły że nie bez trudności dostawał się na kulbakę: to kiedy brał konia za cugle, ten się zginał jakby wielbląd, żeby jego panu było łżéj nogę zarzucić. A kiedy już go miał na sobie, tak lekko szedł jak chart za zającem, zdawało się że Wojewoda na ziemi swoją tuszę zostawił. Doświadczony to był żołnierz z Wojewody, a choć przed sobą wystawiał brzucha jakby ciężarna niewiasta, pracował że aż miło. Ja od Waszmości starszy, przecie praeterita pamiętam, a Waszmość o mnie koledze zapomniałeś.

— Sam czuję żem skrewił, gdy dotąd niezłożyłem mojego uszanowania Jaśnie Wielmożnemu Panu w jego własném mieszkaniu. Ale zwyczajnie szlachcic na wsi zdziczały, za interesem przybywszy do Krakowa, dotąd w mieście się nierozpatrzył. Ja Pana na turnieju choć opodal siedzącego od razu poznałem.

— I czemuś się do mnie nie zbliżył? Na biedę nam przyszło starym żołnierzom za kratami sądowemi odświeżać dawną zażyłość.

— Ot ja Panu wyspowiadam się. Pomyślałem sobie: była kiedyś przyjaźń i koleżeństwo między nami, lecz wtedy Pan Humiecki, magnata syn wprawdzie, ale był tylko Chorążym Pancernego znaku, a Marszycki był Rotmistrzem w pospolitém-ruszeniu Podlaskiém. Równemu z równym gładko szło. A teraz Pan Humiecki wysokim dygnitarzem, ą Marszycki zwyczajnie szlachcic jakim był wtedy, i urzędniczek powiatowy. A nuż ja mu zacznę przypominać to co kiedyś bywało, a on mnie powie że tego niepamięta: ot i gębę mi zasznuruje. Tyle będę miał w zysku że w sercu dreszcz, w głowie wstyd, a tylko ręka zaświerzbi. Ale że JWPan zawsze łaskaw, to jutro mu służyć będę.

— Otoś powiedział nic do rzeczy — bo zaraz zabieram

Waści z sobą: a kiedy powiém tak, mam tego za kpa co mi powie nie. A co to? myślisz że jestem Generałem Ziem Podolskich, to tylko sami Podolanie bywają u mnie? Znajdziesz wielu i swoich Podlasian. Pobawimy się — i nie na sucho. W Węgrzech wino się rodzi, a w Krakowie się wychowuje. Masz obowiązek mnie starego kolegę pocieszać, bo mój siestrzan Samuś nabroił, że Bóg wie co jeszcze za to mu się dostanie. A choć to ja niby i niepatrzę na niego — bo któżby u kaduka pochwalił to co zrobił, ale krew nie woda, a na frasunek, dobry trunek. Ot, niegniewajmy się na Pana Boga, że nas podstarzył. Żebyśmy byli dotąd młodzi, możebyśmy takoż głupstwa robili. A wszystko jednak nie takie. Bo inna rzecz burdę zrobić na boku — i Waszmość nie bywałeś od tego — a inna, pod bokiem Jego Królewskiéj Mości. A resztę Waści opowiém u siebie — i niedawszy mu czasu do odpowiedzi zabrał go do swojéj kolasy.

Panowie i Szlachta opuścili Zamek. Każdy wracał do kwatery swojéj albo do kogoś na biesiadę. Pan Samuel rad był pójść na przechadzkę z Panem Mroczkiem, na którego bardzo się krzywili przyjaciele Pani Wapowskiéj; jeno że go z reflektował Marszałek Wielki Koronny, że mając na sobie sprawę gardłową, niewypada mu jeszcze biesiadować, jakby lekce ważył sprawę, którą sam Król sądzi: i rad nie rad musiał z nim siąść do kolasy. Wielu było takich którzy z Zamku poszli prosto do Falendysza żeby się nagadać z sobą do woli przy butelce o tém co dopiéro widzieli. A Pan Ezechiel, wziąwszy pod rękę Pana Mroczka powiedział:

— Wiesz co Kaźmierzu — nie tylko ja, ale i Pan Bóg chce, żebyśmy się z sobą nierozstali. Bo sprawa na mnie spadła jak dachówka z dachu. Wiém że mnie przypozwano, jak to oni mówią, na świadka, ale mnie jeszcze odprawy niedano. Może mi niewypada do Kosmyrzowa odjechać bez pozwolenia, aż póki sądy się nie skończą. A więc możemy z sobą czas przepędzić. Idźmy do Falendysza, tam wypocząć. Bo przyznam się tobie że ta dzisiejsza sessja więcéj

mnie zmęczyła niż ten turniéj, na którym ugrzęzła moja szabla, a który był początkiem całéj téj biedy.

— Dobrze Ezechielku — służę tobie do Falendysza. Tylko bądź ostrożny, bo tam będzie mnóstwo Wapowczyków. Jak zaczniesz pleść co ci ślina do gęby przyniesie, żebyśmy czasem w kabałę nie wpadli.

— A co to się z tobą stało, Panie Kaźmierzu, żeś tak unikający od kłótni: nie takimi znaliśmy się kiedyś.

— Widzisz Ezechielku, teraz niebardzo mogę rozrządzać sobą. Słyszałeś że jutro mam replikować Panu Odrowążowi, który niepospolicie nastawał na gardło Pana Samuela. A sam uważać możesz jaki szwank by poniósł Pan Samuel w sprawie, gdybym raniony z powodu kłótni, jutro nie mógł stanąć na sądach.

— O to pokój. Nie myślę nikogo zaczepiać: bo z bitwy w winiarni wszczętéj, ani konia ani rysztunku w zysku nie przybędzie: a jeżeli kto z nami będzie szukał zwady, przez gorliwość dla Pani Wapowskiéj, albo dla Panów Tęczyńskich lub Koniecpolskich, nad tém niéma czego sobie głowy suszyć, bo to będzie napaść mazgajów. Kto tylko w Krakowie słynie za rębacza, ten sprzyja Panu Samuelowi. Uważałeś jak Pan Marszycki, chociaż go nieznał, a przecie usiłował go swojém świadectwem ocalić. Wszakże ja sam, lubo mnie obraził, a jednak starałem się go ratować jak mogłem, że nawet sądownie mnie zburczano. Bo ani kruk krukowi oka nie wykole, ani gracz powstanie przeciwko gracza. Mnie złości brały że tak unosili się nad wymową Pana Odrowąża. A to prawdziwie, trzeba być piecuchem, żeby się bawić językowemi szermami. Co to mnie za zawód, językiem zrobić białe z czarnego, a czarne z białego. Uda mu się, to dobrze, a nie uda, to drugie dobrze: czy siak, czy owak, bezpieczeństwa swojego nienaraża. Niech-no sprobuje bronić pryncypała szablą czy toporem, przeciwko takiemu z którym bitwa to nie przeliwki; niech łba nadstawia, a wtedy przyznam że jest prawdziwym przyjacielem. Ale ta najęta przyjaźń za kratkami, funta kłaków nie warta. Na widok tych pierców, moja natura się wzdryga; radbym każdemu z nich plunąć w oczy. Bo czy może być

większa podłość, jak za pieniądze szczekać przed kratami przeciwko takiemu, przeciw któremu nic złego się nieczuje. Jurysterya a szelmostwo, są to towary z jednego sklepu. A patrz jak już ona u nas zaczyna popłacać. Każdy Pan ma już swojego urzędowego złodzieja, któremu wszystkie interesa powierza, jak ciele rzeźnikowi. A ten coraz je więcéj płącze, żeby się bez niego niemógł obchodzić. Napatrzyłem się temu wszystkiemu na dworze Pana Tęczyńskiego Kasztelana: że aż mi obrzydło widzieć, jak ci szermierze językowi brali prym nad nami, ludźmi oręża. A ciekawy jestem, broń Boże napadu, na co się oni przydadzą. Czy będą przekonywali Turków czy Tatarów, że napadać na Rzeczpospolitę jest przeciw Statutowi Litewskiemu? Pochowa się to po domach, aż się wszystko tak uspokoi że będą mogli na nowo jurystować, chociażby i pod Turkiem. Jeżeli nie uwolnimy się od tych jurystów, to oni się tak wkorzenią w Rzeczypospolitéj, że już ich pozbyć się nie będzie sposobu. Oni naszych potomków na ostatnich tchórzów wykierują. Ten Pan Odrowąż tak mnie zniecierpliwił swoją gadaniną, że gdyby nie przytomność Króla i Panów Rady, byłbym pięścią zamknął mu pysk... Jak zaczniem sobie biesiadować u Falendysza, nikogo zaczepiać niebędę. Ja sobie szlachcic zwyczajnie, mnie z każdym trzeba żyć w zgodzie; ale wymawiam sobie, że jeżeli jaki jurysta, broń Boże, do nas się wmiesza: wypędzę go. Bo jużci byłaby hańba dla ludzi pasowanych na rycerzów, biesiadować z wymiotem naszego szlachectwa. Niech sobie gałgany do szynkowni idą.

— Ale mój Ezechielku, jakże chcesz żeby tam gdzie jest prawo, niebyli tacy którzy to prawo tłómaczą.

— Otóż i licho, że prawo tłómaczą. I cóż dobrego z tych juryzdykcyów sądowych. Wszystko to są sądy ludzkie, a niema jak sąd Boski. Ktoś mnie zadaje że to lub owo zrobiłem przeciwko prawu, a ja mu na to: kłamiesz, i rękawiczkę ciskam. Jeżeli on pewny swojego to ją podniesie: jeżeli nie, moja niewinność górę weźmie. A jeżeli się potykać będziemy, czy można przypuścić, żeby Bóg niesłusznéj sprawie sprzyjał i jéj dał zwycięztwo. To się nie zgadza

z Jego sprawiedliwością. Więc moje zdanie, — i jeżeli kiedy będę posłem na Sejmie, to bądź pewny że wniosę — żeby wszystkich jurystów oddać Tatarom w zamian za tyle ludzi niewinnych, co w ich jassyrze jęczą. Oddałbym głowę za głowę. A Tatary niebyliby od tego. Bo juryści pokaźni: potrafią mlec kukurydze w żarnach. A potém urządziłbym dla każdéj juryzdykcji sądowéj po kilku rycerzów, którzyby szablą indukowali sprawy.

— Wtedy byłby z ciebie zawołany jurysta, Ezechielku: niebyłoby sprawy którejbyś się niepodjął, byle ją można szablą bronić.

— Niewierz temu Kaźmierzu żebym za lada sprawą łba nadstawiał, dla tego jedynie żebym nagrodę otrzymał. Jeżeliby mi ona się wydała być nic do rzeczy, do jéj obrony pieniędzmi by mnie nie skłoniono. Dla mnie pieniądz wtedy tylko znaczy coś, kiedy go potrzebuję. To prawda że go zawsze potrzebuję, bo on mnie się nie trzyma, tak ulatnia się w kieszeni jak kamfora. Ale niemożna mi wyrzucić bym go wielce miłował, bo bym go troskliwiéj chował. Z resztą, klnę się na naszą przyjaźń, że z przyrodzenia nie jestem chciwy, a tylko z potrzeby takim niekiedy muszę się okazać... Ty mnie bąknąłeś że Pan Samuel na zgodę chce mnie ofiarować jedną z piękniejszych swoich zbroi... Przydałaby się ona do mojego zbioru. Te cacka — «utile dulci.» Wszakże ja każdą jego zbroję znam na pamięć, a jednak bardzo się waham, czy ją przyjąć czy nie.

— I dla czego byś nieprzyjął to co ci z dobrego serca Pan Samuel chce ofiarować.

— Widzisz Kaźmierzu, byłem pociągnięty na świadka przez Panią Wapowskę na zgubę Pana Samuela, i Pan Kasztelan Biecki coś mnie nadmieniał o obowiązkach świadków, i że znając moją uczciwość, sam mnie nastręczył Pani Wapowskiéj, gdyż się spodziewał że nie zawiodę ufności jaką we mnie zawsze pokładał, jako w dobrym swoim krewnym. Ja do tego kazania niewielką uwagę przywiązałem, i odpowiedziałem mu trochę zniecierpliwiony: że dziękuję mu za jego troskliwość, którą mnie raczy uczyć że kłamać przed sądem niepowinienem; ale wcale niedziękuję za to że

mnie zainstynktował na świadka — bez czego bym się obszedł. Ile że chociaż byłem świadkiem niejednéj burdy, jakoś dotąd nigdy oto niebyłem powołany do sądu... Otóż zawiedli się na mnie — bo moje świadectwo dane było na korzyść a nie na zgubę Pana Samuela. Z czego wiém że na przeciwko mnie wielkie burze powstaną — ale ja o to mało dbam. Choć gotowi na mnie sprowadzić moją żonę, żeby mnie głowę suszyła za to, że kiedy sąd mnie powie dział odpowiadaj Waść na to, ja nie poszedłem do Pana Tęczyńskiego z prośbą żeby mnie nauczył co mam odpowiedzieć... Wszakże nie pospolitego figla by mnie spłatali żeby sprowadzili moją żonę do Kosmyrzowa... choć jabym sobie dał radę!... Ale otóż i Pana Falendysza rezydencja przed nami — tam przedłużymy dyskurs. Sucho mi cóś w gardle że tak rozgadałem się na dworze.

Mnóstwo było szlachty pijącéj, a między dwóma przyjaciołmi koléj traktamentu wypadała na Pana Mroczka, który wybrał sobie stolik osobny, kazał przynieść parę butelek wina i zasiadł przy nim z Panem Ezechielem. Szlachta w około nich ciągle rozprawiała o sessji Królewskiéj. Krzyżowały się zdania rozmaite. Było wielu stronników Pani Wapowskiéj, Panów Koniecpolskich i Tęczyńskich. Ci, naturalnie, dowodzili, że Pan Samuel rozmyślnie napadł na Pana Tęczyńskiego, a na nieboszczyka Kasztelana rzucił czekaném nie żeby go nim pogłaskać. Ale byli i tacy którzy dowodzili że zeznania Pana Marszyckiego i Pana Zdory wcale w inném świetle wystawują sprawę Pana Samuela. I tak te swoje zdania wynurzali. Wszakże spostrzegłszy między sobą Pana Zdorę i Pana Mroczka, ostrożniéj z sobą mówić zaczęli i oddalili się z bliskości stolika przy którym oni biesiadowali.

Panu Ezechielowi szlachta niezdawała się robić najmniejszéj subjekcji: witał się rubasznie z swoimi znajomymi, a na tych których nieznał, obojętnie patrzał, i wedle swojego obyczaju głośno wynurzał myśli swoje.

— Kaźmierzu, — rzekł, — mówiłem że trudno by było cóś na mnie wymyślić piekielniejszego niż żonę sprowadzić

w te strony — a jednak i przeciwko takiemu pociskowi mam tarczę.

— Ciekawy jestem jaką — bo o tobie ludzie mówią że przy niéj języka zapominasz w gębie.

— Już to mowom ludzkim dość przez półowę wierzyć.... Żebym się miał bać Pani Barbary Zdorzynéj — to nie prawda: ale że babskich swarów i gderania nie lubię — to prawda. Owoż tedy jeżeli mi Imość nieproszona wpadnie do Kosmyrzowa, przyjmę ją najgrzeczniéj, nawet tak czule jak potrafię. A jeżeli zechce się zanadto intromitować i do mojego majątku i do mojéj osoby, ja z nią kłócić się nie będę.

— Poddasz się jéj.

— I to nie — gładko wyniosę się z domu z moim giermkiem, a klucze i gospodarstwo zostawię Szerszeniowi, któremu na odjezdne zostawię te słowa: «Imość tu — a ja sobie ruszam na Ruś do mojego stada. Jak się Imość dowie że ja tam, na łeb na szyję wróci, żebym jéj gospodarstwa do góry nogami nieprzewrócił — a ja tu nazad.... Bo ja nie lubię kiedy gospodyni w domu. Waść sam wiesz że u mnie chłopcy chleb pieką.... Otóż pamiętaj że jak powrócę, a cokolwiek z domu ubyło, żadną wymówką nie ocalisz swoich uszów. Waść uważaj Imość za gościa, ale niepozwalaj jéj do niczego się wtrącać. Niech sobie wreszcie hula po spiżarni i folwarku, ale do mojéj zbrojowni, stajni i piwnicy — wara».... A powtarzam tobie, że chociaż zbroja o któréj mnie wspomniałeś, bardzoby mi się przydała, a jednak, jak to mówią na Rusi, «na dwoje maty wróżyła,» czy ją przyjmę czy nie przyjmę. Bo lubo to co mówiłem przed sądem in favore Pana Samuela, było szczérą prawdą; że jeżeli za niego tak obstawałem, że aż mnie zburczano sądownie — to nie dla żadnéj chęci nagrody, ale jedynie że przykro takiemu co nie dla saméj ozdoby nosi szablę, że poczciwego człowieka, za czyn rycerski, pierce biorą w obroty. Wszakże jednak źli ludzie gotowi rozgłosić, żeście u mnie świadectwo datkiem nabyli... Przysiągłbym że Pani Kasztelanowa Przemyska już to musi trąbić przed swoimi.... Uważajże Kaźmierzu, czy to przystoi

bym przyjmując upominek od Pana Samuela, poniekąd upoważniał złe języki do rzucania na mnie podobnéj potwarzy.

— Pluń na te babskie gadaniny, Ezechielku: co cię one mają obchodzić, kiedyś na sumieniu czysty.

— Tak mówisz — więc ani się waham iść za twojém zdaniem. A kiedy się tak rzeczy mają, więc z duskursu jakoś to od siebie przypomnij Panu Samuelowi, żeby mnie tę zbroję odesłał. Bo jak nas uczono: qui cito dat, bis dat.... Ty masz wielki rozum, Kaźmierzu. Pamiętasz, jak w szkole Zborowskiéj Rektor, rozumny jak Niemiec, zawsze ciebie nam wszystkim za wzór wystawiał.... Mnie złości brały że tak wszyscy się unosili nad perorą Pana Odrowąża. Cóż to za mądrość chcieć przez cudze ręce komuś zdjąć głowę z karku. Niech się o to pokusi szablą — wszak nosi szablę przy sobie — dopiéro przyznam że z niego mądry człowiek.... Ależ otóż i on tu przyszedł... Patrz Kaźmierzu, jak go otaczają — a ja najlepszego mojego konia stawię przeciwko jego uszów, że jak jutro odezwiesz się, to jego perora pójdzie w kąt.... Dalibóg niewytrzymam — pójdę do niego, powiedzieć mu bajkę o kpie....

— Zmiłuj się Ezechielu — póki ta nieszczęśliwa sprawa się nieskończy, zaniechaj wszelkiéj burdy. Ty wiesz że Pani Wapowska z swoimi kolligatami tak wszystkich stropiła, że nikt podjąć się niechciał obrony Pana Samuela. Że przyszło do tego, że ja, który swoją palestrę odbyłem na Zaporożu, muszę go bronić przed kratami. Jak wpadniem w burdę — nuż na mnie szwank: bo jak wiesz, gdzie drwa rąbią, tam drzazgi latają. Zważ jaka się zrobi krzywda Panu Samuelowi, kiedy jutro niebędzie komu replikować.... A potém, jak zaczepisz jego, a on sensat, bić się niezechce a ciebie pociągnie do Grodu, i świadków postawi żeś bez przyczyny napadł na niego — co najmniéj ciebie spotka, to że kilkanaście niedziel wieży wysiedzisz, i zapłacisz grzywny, za które takichże kilkanaście niedziel mógłbyś pohulać.

— Masz słuszność, Kaźmierzu.... Oj żeby paraluż naruszył te wszystkie juryzdykcje sądowe — istny postrach na

ludzi poczciwych.... Będę siedział spokojnie obok ciebie, póki naszego nieodpijem: a choćby kto zaczepił, puszczę to mimo siebie, i oddam za swoje dopiéro jak wasza sprawa się skończy.

Tu nastąpił ustęp dość zabawny. Wszczęła się między szlachtą, jak tylko się pokazał Pan Odrowąż, żwawsza rozprawa o interessie Pana Samuela. Jak to bywa w podobnych okolicznościach, jedni mówi i czarno, drudzy biało. Wszakże więcéj było głosów przeciwko Pana Samuela, niż za nim. Pan Mieroszewski, Podstarosta Krakowski, utrzymywał że skoro sprawa o crimen lesae Majestatis jest odsuniętą, zeznanie Pana Marszyckiego zupełnie oczyszcza Pana Samuela. A co się tycze zabójstwa Pana Wapowskiego, można je uważać jeno za przypadkowe. Przeciwko temu zdaniu powstawał i Pan Odrowąż i wielu stronników Pani Wapowskiéj. Przyszło do tego, że jeden z nich odezwał się:

— Oto zdajmy się na Pana Falendysza, który nam wino nalewa, a który przecie będąc członkiem skabinatu, musi mieć doświadczenie — niech on powie, jaki by w podobnych okolicznościach ogłosił wyrok.

Pan Falendysz podobnych zadań nie lubił rozwiązywać, bo rad był nikomu się nie narażać. W każdéj sprzeczce ścisłą neutralność utrzymywał, a z równą gorliwością przeciwnym sobie stronnictwom wino nalewał. Tak obcesowie zapytany o zdanie, zmieszał się i zaczął mu się plątać język w gębie, jak gdyby siebie był jeszcze więcéj utraktował niż gości. Nie można było zrozumieć jego mowy.

— Wszak prawda, — odezwał się Pan Odrowąż, — że Waść trzymasz za Panią Kasztelanową Przemyslską.

— A jakże nie! Mości Dobrodzieju. Wszakże ja zawsze byłem sługą jéj domu, i nieboszczyka Pana Kasztelana łaską szczególną się zaszczycałem. Bywało jeżeli czego potrzebuje, zaraz posyła żebym się przed nim stawił.... Co też to beczek przeniosło się z mojéj piwnicy do jego pałacu! Bo to Pan był jakich mało: i żył jak Senatorowi przystało i długów nie robił. Mnie samemu, za wszystko zawsze gotówką płacił. On tych rachunków cierpieć niemógł.

— Więc Waszmość potępiasz czynność Pana Samuela Zborowskiego? — rzekł Pan Santaman, Dworzanin Marszałka Koronnego, który się najwięcéj sprzeczał z Panem Odrowążem.

— Nie, nie, — ja owszem sługą jestem całego domu Zborowskich. Nieboszczyk Pan Krakowski mnie na nogach postawił... Wszak to ja się wychował na jednéj z burs którą nieboszczyk jego ojciec jeszcze zafundował. Bo to ja jego jeszcze pamiętam, kiedy wjazd robił do Krakowa jako Wojewoda. Miałem wtedy lat ośm, ale pamiętam jak gdyby to się stało wczoraj... To był ale Pan — ale i jego syn i jego wnuki od niego się nieoddalili. Bo jaka jabłoń, takie będą i jabłka.

— To jak uważam Waszmość niesprzyjasz Pani Kasztelanowéj Przemyskiéj, — odezwał się Pan Odrowąż.

— Ja, Panie Dobrodzieju? A broń Boże! A cóż to? czy ja poganin, czy ja potępieniec, żebym nieczcił, nieszanował, tak zacnéj Pani!... Wszakże to ona — niech jéj Pan Bóg wszelkiém szczęściem, jakiego zapragnie, pobłogosławi! — moją córkę do chrztu trzymała — a ja bym miał jéj źle życzyć!... Ja poczciwy człowiek — mięsiste mam serce. Pan Dobrodziéj mnie krzywdzisz, wątpiąc o mojém przywiązaniu dla całego domu Wapowskich.

— Dziwny z Waszmości człowiek, — odrzekł Pan Podstarosta; — kogo przed Waścią ostatniego wspomną, ten ma słuszność w jego przekonaniu.... Otoż to mi sędzia, któremu obie strony dyktują dekret.... Jużci, jeżeli Pan Samuel praw, to Pani Kasztelanowa niema słuszności: a jeżeli ma słuszność, to Pan Samuel występny. Albo jedno, albo drugie... Jakże się Waści zdaje, — która strona wygra sprawę u Króla, i któréj życzysz wygranéj?

— Ja, Mości Dobrodzieju, obydwóm stronom dobrze życzę; a dałby Bóg żeby moje usługi dla nich jak najdłużéj trwały, i żeby zawsze były łaskawie przyjęte.

W tém jeden młody człowiek który wydawał się wielce burzliwym — bo ciągle miał cóś do rozkazania Panu Falendyszowi, i z niczego niebył zadowolniony; a głośniéj od

innych krzyczał — zbliżył się do Falendysza i rzekł do niego, groźnie nakręcając wąsa:

— Waści trzeba koniecznie zgryść orzeszek. Pan Zborowski zabił na moście Zamkowym Pana Wapowskiego o to sprawa przed Królem; każdy z nas oświadczył się z przychylnością dla jednéj lub drugiéj strony. Więc Waści zapytujemy: komu życzysz wygranéj — czy Pani Wapowskiéj, czy Panu Zborowskiemu?

— Ja o żadnéj sprawie niewiem, Mości Dobrodzieju.... Z wielką boleścią serca dowiaduję się od Pana, że Pan Kasztelan nieżyje: ale z jakiego przypadku — o tém niewiem.

— Jużci, — przedłużył młody, — od godziny o niczém inném niemówią.

— A! Mości Dobrodzieju, ja tylko słucham rozkazów zacnego Państwa u mnie zebranego: komu mam przynieść wino, i jakie. A czybym na co innego oprócz ich rozkazów zwracał uwagę... Przepraszam Pana że muszę odejść, bo oto z tamtego końca mnie wołają. — I odszedł spiesznie.

Pan Ezechiel wstał z miejsca swojego i rzekł do młodego:

— Waść się nieodezwałeś właściwie do Falendysza. Powiedziałeś że Pan Samuel Zborowski zabił Pana Kasztelana Przemyskiego, a tém uprzedzając Sądu Królewskiego wyrok, godnego męża nazywasz zbójcą. Otóż żebyś Waść wiedział: nie Pan Samuel go zabił, ale czekan jego ręką rzucony — co wcale inna rzecz.

— A co to? Waszmość jak widzę trzymasz przeciwko nam, za Panem Samuelem?

— Za kim ja trzymam — Waści nic do tego.

— Dziwi mnie, że Waszmość sam od niego doświadczywszy krzywdy, tak wspaniałomyślnym się pokazujesz.

— Naprzód, kiedy Waść do mnie mówisz, to niekręć wąsa, bo ja tego nie lubię. — I to mówiąc tak silnie uderzył go po ręku, że młodemu ochota odpadła nastrajać bohaterską minę. — Otóż — na czém stanąłem?.. Ale! powtóre, jeżeli doświadczę od kogo krzywdy, do Waści niepójdę po radę jak mam postąpić; jakoż, jeżeli mnie przypadnie ochota Waści skrzywdzić, nikogo o radę pytać nie-

będę, jak to mam do skutku przyprowadzić. Czy rozumiesz mnie?

— Ja — ja, Mości Dobrodzieju, nikogo nie myślę krzywdzić: ja tylko podzielam zdanie tych Panów; ale i ja siebie nie dam skrzywdzić. — I zaczął się cofać po za życzliwymi jemu biesiadnikami.

— Otóż dasz, jak ja cię o to poproszę. — I już zabierał się przedrzeć przez szlachtę, jeno Pan Kaźmierz cóś mu szepnął do ucha i wyprowadził go z sobą na ulicę.

Ale jak tylko wyszedł, młodzieniec wpadł w silny paroxyzm odwagi.

— Masz szczęście, — krzyknął, — żeś mi z oczów zniknął: dałbym ja tobie... A co ty mnie za wielki Pan, żebym nieśmiał przed tobą moje zdanie odkrywać... Także mi bohatér!... Poczekaj! nie ucieczesz przedemną.

I zabierał się wylecieć za nim z winiarni. Ale jego przyjaciele go nie puszczali.

— Uspokój się, Olesiu, — perswadował mu jeden z nich. — Wiemy żeś tęgi do korda. Ja sam byłem z dziesiątek razy wezwany od ciebie na świadka do bitwy, i nie bez największéj usilności zdołałem ciebie pogodzić z przeciwnikiem. Ale komuż niewiadomo że na każdéj zgodzie z najświetniejszym honorem wyszedłeś.... Ty już masz reputację zrobioną, na co ci się przyda szukać zaczepki z tym burdą, który sam poznał że z tobą nieprzelewki, kiedy tak prędko ztąd się wyniósł.

— Nie! nie! ja jemu nie daruję! — I szamotał się z tymi którzy go na ulicę puścić niechcieli, i ciągle się odgrażali. Aż w tém Pan Ezechiel, który był zapomniał w winiarni laskę z toporkiem, wrócił z przyjacielem.

— Kroć djabłów! — krzyknął. — Mości Falendyszu, odszukaj mi Waść mojego toporka.

— Oto jest, — odpowiedział winiarz, podając go. — U mnie nic nie zginie.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać... Ani wątpiłem o poczciwości Waścinego domu i Waścinych gości... Teraz bywaj zdrów! — do obaczenia się, może da Bóg jutro... Ale co

to znaczy, że kiedym wchodził, wielki hałas aż na ulicę ztąd dawał się słyszeć; a teraz się uciszyło?

— To tak Panie — bawią się u mnie wesoło.

W saméj rzeczy, Pana Alexandra już nie było potrzeby wstrzymywać: stał spokojnie za szlachtą i niepokazywał się, ani się odzywał. Dopiéro jak kwadrans upłynął po powtórném wyjściu Pana Ezechiela, wysunął się na przód z butną miną, i zaczął wąsa nakręcać, jak za dobrych czasów.

— Dałbym ja tobie topor, — odezwał się, — żeby mnie przyjaciele nie wstrzymali, i nieprzypomnieli że wszczynać kłótnie w winiarni jest rzeczą nie przynoszącą zaszczytu szlachcicowi... Jaki mnie Hetman! niepozwalać żebym wąsa kręcił w jego przytomności... A co tobie trutniu do moich wąsów... Otóż ja je kręcę na złość tobie... Nie zawsze w winiarni ciebie spotkam, znajdę ciebie i na inném miejscu: dopiéro się dowiesz co to jest szukać zwady z Panem Alexandrem Porajskim, herbu Pomian... Pod ziemią odemnie się nie schowasz!

Szlachta w około niego śmiać się zaczęła.

— Porzuć Waść, — rzekł do niego Pan Miroszewski, — te wszystkie przechwałki. Dopiéro wziąłeś po łapie za to że nakręcałeś wąsa — jak będziesz się tak głośno odzywał, żeby czasem nieusłyszał Pan Zdora, i niewrócił z zapytaniem dla Waści wcale nieprzyjemném: dla czego tak krzyczysz?

— Jeszcze na takiego nie natrafiłem, któregobym się obawiał, — odpowiedział Pan Porajski, zawsze nakręcając wąsa. A jeżeli nie dałem jemu za to zuchwalstwo, to jedynie dla tego, że winiarnia nie jest miejsce dla rozpraw rycerskich. Ale co się odwlecze, to nieuciecze.

— Daj pokój, Panie Alexandrze, — odezwał się Pan Odrowąż. — Snać że dziś niebyłeś w kolei męztwa. Musiały się tobie przyśnić żaby téj nocy: bo coś nie spisałeś się dopiéro — porwał się jak lew, a zginął jak mucha.

— Ja swojego czasu pokażę co umiém — znają mnie — o to pokój. Ale też i Państwo niebardzo obstawaliście za waszą sprawą, kiedy Zdora przeciwko niéj się oświadczył.

Chcieliście żebym za was wszystkich ja jeden łba nadstawiał.

— Wolałbyś milczéć, niż pleść nic do rzeczy — rzekł na to Pan Burzymski, przyjaciel domu Wapowskich, a znany powszechnie z waleczności. — Pan Zdora żadnego z nas nieobraził: oświadczał swoje zdanie jak my — nemini vox deneganda. Jeden drugiemu niema prawa narzucać swojego zdania. Wolny głos każdego winien być szanowany... Waść tylko niepotrzebnie się wyrwał, i bardzo sprawiedliwie dostałeś po łapie. Miéj-że to za naukę, że kiedy nie jesteś pewny siebie, nieporywaj się... Ja szacuję Pana Zdorę, chociaż nie podzielam jego zdania; bo to człowiek śmiały jak szlachcicowi przystoi, i umie kordem podeprzeć w potrzebie to co jego język wymówił. A choć Waść za nami niby trzymasz, ja do Waścinego głosu żadnéj nieprzywiązuję wagi. Bo Waścina dzielność w języku tylko.

— Waszmość mnie krzywdzisz.

— At, nienastrajaj miny: bo na tém się już znamy. Uciekaj-że sobie ztąd, pókiś cały, a nam nieprzeszkadzaj rozmawiać.

Chłopiec jak niepyszny wysunął się z winiarni; a szlachta do późnego wieczora rozmawiała z sobą, i cieszyła się usługą Pana Falendysza.

IV.

Nazajutrz rozpoczęła się na nowo sessja Królewska, wedle tegoż samego porządku co i pierwsza. I ta sama była publiczność.

Pokąd Król się nie pokazał, gwar był między szlachtą; bo każdy swoje zdanie o sprawie chciał oświadczyć. Po różnych kierunkach sali, żwawe wszczynały się rozprawy.

Uważano że Pan Generał Humiecki, który dotąd nieodzywał się za siestrzeńcem, już usiłował przekonywać Panią Wapowskę że za nadto do niéj przemawia żal słuszny po stracie szanownego jéj męża, kiedy ją przypisuje rozmyślnéj niechęci Pana Samuela. Że powinna by nieco się ułagodzić.

— Moja Mościa Kasztelanowa Dobrodziko, — dodał; bierz Pani ze mnie przykład. Musiałem kochać moją nieboszczkę żonę, kiedy, choć mi dzieci niezostawiła, a jednak wiarę, co jéj za życia poprzysiągłem, dochowałem nawet po jéj śmierci... Czy to jedna matka wabiła mnie do swojéj córki... Mógłbym się ożenić z kim bym sam chciał — zwyczajnie wdowiec jeszcze młody, a do tego z imieniem, z urzędem i z siakim takim kawałkiem ziemi... Nawet Xiążęta Zbarascy, bracia mojéj żony, mnie to doradzali. Ale ja, Mościa Dobrodziko, na żadną kobietę patrzeć niechciałem... Co to — taki żal moje serce ściskał, że tego i opowiedzieć nie zdołam... Dość że wszystko mi było obrzydło. Przez dwa lata, niewiém czy raz na tydzień bywałem w stajni. A kiedy po tych dwóch latach pojechałem moje stado

oglądać: już go nie poznałem — to była jakby nowa znajomość... Więc musiałem ją kochać... Ale też jéj niebyło równéj, i niebędzie. — Ot może nic do rzeczy się odezwałem? Bo i Pani, i jéj córki, także jesteście urodziwe: ale zwyczajnie — każda liszka swój ogon chwali... Otoż, Mościa Dobrodziko, miałem lekarza sprowadzonego z Wiednia, w którym moja żona największą ufność pokładała, i on ją miał w ręku swoim; a jak się pokazało, źle ją leczył, bo jéj krew niepotrzebnie puścił, i tém ją zabił. Chciałem Niemca powiesić, i do tego słudzy mnie namawiali; ale jakoś ochłonąwszy, pomyślałem sobie: jużci on jéj niechciał zabić — i spuściłem mu. Tyle tylko że kazałem mu wyjechać z domu, z admonicją, żeby unikał oczów moich — bo człowiek niezawsze panem siebie; a nawet kazałem mu wypłacić co mu się tam należało, żeby między swoimi naszą Polskę nie paskudził, że doświadczył krzywdy... To kiedy ja mogłem być tyle wyrozumiałym, że nawet Niemcowi nieszczęśliwy wypadek odpuściłem, — dla czegoż Imość Dobrodzika tak jest zawzięta, że aż na gardło swojaka nastajesz!.. Wierz mnie Imość, że to się niechwali.

Pani Kasztelanowa nie tylko że téj perswazji dobrze nieprzyjęła, ale tak się oburzyła na Generała, tak go zburczała, że stary od niéj śpiesznie się oddalił i poszedł na stronę przeciwnoległą ławcę w któréj ona siedziała, żeby rozmawiać z Panem Mroczkiem, Zdorą, Marszyckim i innymi, bądź przyjaciołmi Pana Samuela, bądź przynajmniéj źle mu nieżyczącymi.

Właśnie był w silnym paroxyzmie wielomóstwa — ile że i jego siostrzeńcy Panowie Zborowscy znajdywali się w téj grupie; kiedy woźniowie, tubalnemi swojemi głosami, huknęli: — Mości Ponowie! uciszcie się. Najjaśniejszy Pan, Król nasz Miłościwy idzie! — Wszyscy umilkli. Król zasiadł na tronie, w około niego doradzcy. Poczém powstał, i jak pierwéj, i mężowie sądowi i cała publiczność, za przewodem Królewskim, przywołali pieniem Ducha Świętego. Po czém, strona odwodowa powołaną została do repliki. I Pan Mroczek rozpoczął rzecz swoją.

Pan Mroczek stawał w obronie Pana Samuela, nie tyle

jako prawnik, ile jako przyjaciel i towarzysz broni. Nawet zaczął od prozby o wyrozumiałość dla tego, który idąc za głosem przyjaźni i sumienia, stawa w zawodzie zupełnie dla niego obcym, a tém samém niebezpiecznym; zwłaszcza mając do czynienia z przeciwnikiem tak głośnym w narodzie i wymową i głęboką praw świadomością. Wszakże, jeżeli jest słabym przeciwko tak dzielnego zapasnika we względzie swoich zdolności osobistych; tak silnym czuje się być słusznością sprawy swojéj, że ta przewaga Imci Pana Odrowąża bynajmniéj go nie przestrasza. I owszem, staje się dla niego nowym powodem ufności. Gdyż w szlachetnym i otwartym narodzie Polskim, zawsze publiczność chętniéj się uprzedza za tym, który choć bez wymowy uczonéj, usiłuje ocalić cześć i życie obywatela, niż z takim, który światło, nauki, wymowę — dary Boskie użyczone dla ocalenia wszystkich, obraca na pognębienie jednego. A tém więcéj, jeżeli ten, na którego życie nastaje, jest mężem zasłużonym Królowi i ojczyznie. Tu przebiegł w krótkich słowach cały zawód Pana Samuela, od wyjścia jego ze szkół. Wspomniał o jego czynach na wojnach Tureckich, Inflanckich i Połockich — w czém się odwołał do świadectwa dostojnych mężów tu przytomnych, a którzy mu hetmanili jako Pułkownikowi Królewskiemu, Rotmistrzowi, nawet prostemu Towarzyszowi. Bo będąc jeszcze Towarzyszem, pod Kiesią, miał szczęście życie ocalić temu samemu Wielmożnemu Tęczyńskiemu, Kasztelanowi Bieckiemu, wówczas Rotmistrzowi. Na dowód czego, złożył list do ojca obżałowanego, własnoręczny tegoż Wielmożnego Tęczyńskiego, którego tu, z prawdziwym żalem, widzi tak wielce dla siebie nieżyczliwym. Nie przepomniał jego Hetmaństwa na Zaporożu, jego ciągłych utarczek z Tatarami; a mianowicie, jak zmusił Hana Krymskiego do oddania mu wszystkich jeńców polskich, których miał w jassyrze, a tym sposobem bez okupu mnóstwo szlachty z Województw Ruskich, wróciło na łono swoich rodzin. Po czem, zwrócił uwagę publiczności na to, iż Pan Samuel, jako nikogo nigdy nieciągnął, tak też od nikogo niebył pociągany do sądu; i że imie jego, głośne w dziejach rycerskich narodu, jest nieznane juryz-

dykcjom i aktom publicznym. Z czém się niemogą pochwalić, ani Wielmożna Wapowska, ani Wielmożni Koniecpolscy i Tęczyńscy. Daléj przystąpił do tłómaczenia faktu stanowiącego corpus delicti. Że Pan Samuel nie stawił odwodowych świadków, aby przekonać że ani życiu, ani zdrowiu Wielmożnego Tęczyńskiego szkody niechciał przynosić; a nawet na żadnego z powodowych świadków obmowy nie podał. Owszem zsyła się chętnie na ich-że samych świadectwo. Bo to jest rzecz widoczna, jasna jak słońce: że gdyby nastawał na życie Wielmożnego Tęczyńskiego, Wielmożny Wapowski nie miałby ani dość czasu, ani dość siły, żeby temu przeszkodzić. I że tu, urodzonego Strzemienia-Marszyckiego zeznanie, jest stanowcze. Że nawet niepojmuje, iż Wielmożny Tęczyński, Senator tyle światły, tyle głośny z cnot i męztwa w Rzeczypospolitéj, tak dalece może się unosić przywiązaniem dla W. Wapowskiéj, iż nawet mimo siebie puszcza szwank który jego własnéj sławie przynosi wniesienie urodzonego Odrowąża. Bo jużci wyzwanie na rękę nie jest wzbronione szlachcicowi. Byle tylko przyzwolenie Hetmana upoważniło do prywatnego boju: następstwa jakie by z tego wynikły, nie są podwładne żadnéj juryzdykcji. A nie było przykładu w naszym rycerskim narodzie, żeby Hetman zezwolenia swojego odmówił takiemu, który więcéj ufności pokładając w sądzie Bożym, niż w sprawiedliwości ludzkiéj, do swojego oręża się odwołał. Dla czegoż Pan Samuel, jeżeliby był chciwym krwi Wielmożnego Tęczyńskiego, aż pod zamkiem Króla Jegomości miałby jéj szukać! Czyżby niemógł z nim walczyć na innem miejscu? Czyż można przypuścić, żeby Wielmożny Tęczyński, tak dalece zapomniał o męztwie swojém, którego tak świetne potylokrotnie dawał dowody, żeby chcący z nim potykać się po rycersku, nie mógł go znaleść tylko aż prawie pod bokiem naszego Króla. A jednak urodzony Odrowąż niechce mieć w uwadze, że jeżeli usiłuje wystawić Pana Samuela jako człowieka idącego po krew Wielmożnego Tęczyńskiego, tém samém wystawia tegoż świetnego Senatora, za człowieka z niewieściém sercem, więcéj przestrzegającego swojego bezpieczeństwa niż sławy, kiedy jego aż zmuszać

potrzeba do walki, która owszem powinna być najmilszą zabawą dla męża szlachetnego, a tém więcéj jeżeli jest pasowany na rycerza. Nie z mniejszą zręcznością udowodnił, że śmierć W. Wapowskiego przez żaden sposób jego klientowi przypisaną być nie może. Że każdy czyn jest tylko przypadkiem, skoro do spełnienia onego wola nie wpływała. Że żaden człowiek, bez zgwałcenia prawideł zdrowego rozsądku nie uwierzy, żeby mąż wzwyczajony do wszelkiego rodzaju bitw, ciskając czekan lewą ręką, miał zamiar śmierć zadawać. Wszakże mając miecz w prawéj ręce, czyż by się jemu mógł oprzeć Wielmożny Wapowski, nawet w połączeniu swoim z Wielmożnym Tęczyńskim, a cóż dopiéro kiedy ten ostatni, wedle zeznania powodowych świadków, oręż schował w pochwę jak tylko stanął między nimi. Wszakże Wielmożny Wapowski, mąż ze wszech miar zasłużony ojczyznie, a którego stratę Pan Samuel niemniéj od innych opłakuje, nigdy niebył tak dalece znanym z rycerskiego rzemiosła, żeby aż świeży zwycięzca turnieju, miał się obawiać jego szabli. Wreszcie gdyby tak było w istocie że w czekanie całą nadzieję pokładał: czyżby niemiał przynajmniéj tyle przytomności, żeby prawą dłonią go cisnąć. Czyż owszem wszystko niepowinno aż nadto przekonywać, że to był rzut z niechcenia, widoczny traf, który rozporządzeniu Bożemu a niczyjéj woli przypisać należy. A tę swoją replikę zakończył temi słowy:

— Widać, Najjaśniejszy Królu, Panie nasz Miłościwy, że niedobrze musi się poczuwać w sprawie swojéj, urodzony Jegomość Pan Odrowąż Pieniążek, kiedy będąc mężem tak biegłym w prawnictwie naszém, odstępuje poniekąd od własnego pozwu, i przenosi rzecz na zupełnie obce stanowisko. Pozew był położony w interesie prywatnym, — bo o zabójstwo Wielmożnego Wapowskiego. Na czyje powodztwo? Na Wielmożnéj Kasztelanowéj Przemyslskiéj, pozostałéj po nim wdowy. Kto jest jéj umocowanym? Oto urodzony JM. Pan Odrowąż Pieniążek. O tém, ostrzeżeni byliśmy prawnie... Przebóg! jakaż odmiana! .. Zamiast sprawy prywatnéj, pociągnięci jesteśmy do sprawy publicznéj: bo zarzucają nam już nie zabójstwo obywatela, ale zniewagę uczynioną

jakby przez nas Majestatowi Twojemu! Zamiast umocowanego Wielmożnéj Wapowskiéj, staje przed nami umocowany jakoby Waszéj Królewskiéj Mości i całego narodu... Moglibyśmy takowy niewcześny zarzut odpłacić milczeniem — bo jakież tu aktorstwo urodzonego JMciPana Odrowąża? Jeżeli jako umocowanego Waszéj Królewskiéj Mości — niechże złoży umocowanie któreby nas obowiązało do dania mu odpowiedzi... Ale urodzony JMciPan Samuel Zborowski, mniéj troskliwy o bezpieczeństwo własne, niż o sławę wiernego poddanego Waszéj Królewskiéj Mości, takim sposobem niechce być bronionym. Owszem gotów jest odpowiadać na każdy zarzut, czy prawny, czy nieprawny: bo czuje się być tyle czystym na sumieniu, że żaden jemu szkodzić nie może. Lecz jeżeli my dowiedli że lubo urodzony JMćPan Samuel Zborowski stał się przyczyną wypadkową śmierci Wielmożnego Wapowskiego, w tém niebyło udziału jego woli; jeżeli nie mniejsze dowody złożyliśmy na to, że choć wprawdzie dobył miecza na przeciwko Wielmożnego Tęczyńskiego, to nie w tym celu, by mu chciał życie odebrać lub zadawać rany — w cóż więc się obróci zarzut jemu uczyniony, jakoby obraził majestat naszego Pomazańca. Możnali przypuścić że nasi przodkowie, owi mężowie tak mądrzy, tak wielcy, tak troskliwi o zachowanie czci i godności naszych Panujących, kiedy aż karę śmierci napisali na tych, którzy by się ważyli znieważyć przytomność Królewską porwaniem się do szabli: mieli w uwadze jedynie czyn materjalny wyjęcia szabli z pochwy, chociażby w niewinnéj myśli... Jeżeliby my zapoznawali ducha praw naszych, a tylko ślepo trzymali się jego wyrazów, których nawet znaczenie podlega warunkom czasu, oto byśmy dopiéro stali się podobni tym Faryzeuszom, tak obrzydłym naszemu Zbawicielowi, a którzy przestrzegając litery prawa, wykraczali bezczelnie przeciwko jego duchowi. Wszakże wielki Apostoł narodów powiedział, że litera zabija, a duch ożywia .. Jeżeli urodzony Samuel Zborowski ma być karany jako reus lesae Majestatis, dla tego że nie schował miecza w pochwę, skoro Król Jegomość pokazał się na galerji zamkowéj, (bo wszyscy świadkowie jednogłośnie zeznali, że

kiedy go był dobył, na téj galerji jeszcze nikogo niebyło) o jakże dawno powinien być ukarany! Pod Kiesią, pod Połockiem, w przytomności nieśmiertelnéj pamięci Króla naszego Zygmunta-Augusta, nieschował on miecza w pochwę, ale tępił go na karkach nieprzyjaciół. A kiedy Xiążę Mikołaj Radziwił, Wojewoda Wileński, Kanclerz i Hetman Litewski, pod Wolmarem ostatni cios zadał Kawalerom Mieczowym, zabrawszy w niewolę Gotarda Ketlera, ich Wielkiego Mistrza: komu on dziękował za to świetne zwycięztwo?

— Panu Samuelowi publicznie dziękował, — odezwał się Pan Ezechiel. — Wszakże ja i Pan Mroczek, byliśmy wtedy towarzyszami. Pan Samuel z nami złamał Rajtarów, co aż ze Szwecji przybyli w pomoc Ketlerowi. Jeszcze to wtedy...

— Milcz Waść! krzyknął groźnie jeden z Assessorów Senatorskiego stanu. — Tu nie szynkownia żeby każdy miał prawo się odzywać. Mości Mroczku, przedłużaj Waść swoją rzecz.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, i wy, dostojni doradzcy Jego Królewskiéj Mości, Pan Samuel Zborowski wierny poddany Króla Jegomości i przysięgły Jego sługa, nie poczuwa się do występku zniewagi Jego Majestatu, dla tego że bez szkodliwego zamiaru, ujrzany został niespodzianie przez Waszą Królewską Mość z mieczem w dłoni; i to wtedy kiedy o Jéj przytomności wiedzieć niemógł. Gdybyśmy byli tak skorzy jak JM. Pan Odrowąż do rzucania podejrzeń na stronę nam przeciwną, z większą słusznością moglibyśmy jemu samemu zarzucić rozmyślniejszą zniewagę Najwyższego Majestatu. Bo odwołuję się do bezstronnéj publiczności: czy niedowierzanie rozsądkowi Króla, czy przypominanie Mu Jego obowiązków, czy te zuchwałe nauki Jemu dane: komu ma prawo przebaczać, a kogo jest obowiązany karać, któreby w Grodzie bezkarnie nieprzeszły, nie właściwiéj mogłyby być podciągnięte pod crimen lesae Majestatis, niż przypadkowe zabójstwo, pod okiem Króla Jegomości wydarzone? Ale my nadto szanujemy słuszny żal Wielmożnéj Imci Pani Kasztelanowéj Przemyslskiéj i jéj zacnych córek, żebyśmy nie mieli wyrozumiałości dla

wszelkich usilności ich prokuratora, aby z nas, chciażby nieco z nadwyrężeniem własnego sumienia, zrobić błagalne ofiary cieniom znakomitego małżonka i ojca. Tąż samą wyrozumiałością powodowany, nigdzie nie zanosiłem skargi na przeciw napadowi, którego omal niepadłem ofiarą, w stolicy Waszéj Królewskiéj Mości, — fakt całéj publiczności wiadomy. A jeżeli tę moją krzywdę mimo siebie puściłem, to jedynie dla tego, że dusza mojego klienta jest nadto wspaniała, nadto wielka, abym się odważył przynieść jéj w pomoc, podejrzenia na przeciw osobom pragnącym jego zguby, ale których nieszczęścia podzielać umie. O jakże przyrodzenie urodzonego Samuela Zborowskiego musiało się nagle odmienić, kiedy ten mąż, który w całkowitym swoim zawodzie wojennym, nawet w ziemiach nieprzyjaznych Waszéj Królewskiéj Mości, słynął łagodnością niemniéj jak bohaterskiemi czynami; którego oręż, straszny najezdzcom Rzeczypospolitéj, służył za tarczę tym których zdołał rozbroić; który po zawartym pokoju, jeńców swoich zawsze bez okupu uwalniał; który tyle podupadłych domów szlacheckich od najazdów Tatarskich, własnym zasobem wydźwignął, — raptownie został krwi chciwym, żądnym śmierci sędziwego starca, gwałcicielem powagi Królewskiéj, nieubłaganym zabójcą.

Tu znowu się wmieszał Pan Ezechiel.

— Mówcie Państwo co chcecie, a ja muszę się odezwać. Wszakże Król Imć mnie zna, bo siedziałem za Jego stołem, i ten łańcuch złoty, własnemi rękoma zawiesił na mojéj szyi. Gdyby Pan Samuel był tak zapamiętały jak go wystawuje jurysta Pani Kasztelanowéj, to kiedy nasiadł na mnie już bezbronnego, podczas ostatniego turnieju, a ja go zbeształ z ostatnich słów, to by mnie zakłuł jak wieprza, a Pan Odrowąż niemiałby potrzeby fatygować się, żeby mu dowodzić że źle zrobił, bo jużby nie było komu za to mu zapłacić. Bo ostrzegam Państwo że on tu nie staje z dobrego serca jak Pan Kaźmierz, ale...

— Mospanie Zdora, — rzekł poważnie Pan Kanclerz Koronny, — jeżeli Waść nieprzestaniesz zapominać w jakiém miejscu się znajdujesz, mieszając się do rzeczy, które do

Waści nienależą; jeżeli się jeszcze raz odezwiesz, zmuszony będę kazać Waści przez woźnych wyprowadzić z łona zgromadzenia, które nieprzyzwoitością gorszysz.

Pan Ezechiel schował się między szlachtę; a Pan Kaźmierz tak zakończył:

— Skończyłem rzecz moją, Miłościwy Królu. Dowiodłem że urodzony Samuel, ani nastawał na życie lub zdrowie Wielmożnego Tęczyńskiego, ani był zabójcą Wielmożnego Wapowskiego, ani wyrzucać sobie może zniewagę Majestatu Twojego. Nie potrzebuję przypominać Tobie, jak to uczynił Urodzony JM. Pan Odrowąż, że winieneś być sprawiedliwym. Bo wiem dobrze, że ten Bóg, który Tobie powierzył tyle potężnych narodów, użyczył Tobie téj mądrości, niezbędnéj dla sprawowania rządów nad niemi. Wiém że w obliczu Twojém, przypadek za czyn rozmyślny uchodzić nie może. Pełni ufności, oczekujemy wyroku Twojego, któremu jakibykolwiek on był, kornie zawczasu się poddajemy. A przeczuwamy że ten Twój wyrok, będzie zgodny ze świadectwem co go nam nasze sumienie przynosi, a które służy nam za rękojmię naszéj ufności.

Kanclerz rozkazał ogłosić przez woźnego ustęp, i wszyscy wyszli do sali ustępczéj.

Pan Ezechiel odezwał się do Pana Mroczka:

— Wiesz Kaziu, że Cycero lepiéj od ciebie nie mówił. Żeby cyganie sądzili, musiałbyś wygrać sprawę swoją. Tego kwiję Odrowąża, którego cierpieć nie mogę, pobiłeś na głowę. Ani się spodziewałem że z ciebie taki pierca. Choć i na Zaporożu, niewywietrzała u ciebie nauka prawa. A ja, ani weź.... Ale teraz jestem spokojny, bo jak wpadnę w jaką kabałę, ty mnie wycofasz. A uważałeś jakiego Piotra mnie napędził Jaśnie Wielmożny Kanclerz Koronny. Aż mrówie po mnie przeszło... Patrz jak na mnie z ukosa patrzą Pani Wapowska i Pan Tęczyński, ale ja z tego drwię. Co oni mnie mogą zrobić! Ja choć nie magnat, mam swoją wziętość u szlachty: jedzą i piją u mnie w Kosmyrzowie, a nawet obiecali mnie że na przyszły Sejm wybiorą mnie Posłem. Podejmę się może tego, na złość Pani Wapowskiéj i Panu Tęczyńskiemu, — którego łaskę utra-

ciłem! Otóż dopiéro nieszczęście! Do Kosmyrzowa zapraszam, zaczynając od Pana Samuela, którego szczerze kocham, lubo dwa razy dał mi się we znaki. Ale to nasza rzecz: na tém juryści się nie znają. A wiesz Kaziu, że sam mnie przekonywałeś, że to nie jest przeciwne mojéj dobréj szlacheckiéj sławie, przyjąć od Pana Samuela zbroję, którą, jakeś mnie upewnił, dla mnie przeznacza. Mnie nie wypada to jemu przypomnieć, ale ty jakoś to ułóż gładko, żeby bez mojego przymówienia się, zbroja przeniosła się z Krakowa do Kosmyrzowa — w tém twój rozum.

I nieczekając odpowiedzi, przystąpił do Pana Samuela, i rzekł mu:

— Panie Hetmanie, «z wielkiéj chmury, mały deszcz.» Zwyczajnie juryści: nie umieją ręką, więc językiem biorą nas w obroty. Ale i ozór niepomoże, kiedy sprawa jest czystą. Ja Pański przyjaciel — bo niemogę niekochać tego który dobrze się sprawuje z mieczem i toporem, chociażby ze szkodą moją. Jużci Bogiem a prawdą, choć Pan jesteś dzielnym, ale żeby mój miecz niebył ugrzązł, jeszcze by była długa rozprawa na pieszo, kto tu zwycięzca turnieju: czy Pan czy ja, i komu brylantowa kita będzie przysądzona. Za Panem było szczęście. A coś mnie nadmienił Pan Kaźmierz że Pan to sam poznajesz i żeś łaskaw na mnie. — To się nie mówi, żeby mu tam coś przypomnieć. Broń Boże! — ja niczego niepragnę. Będzieli łaskawa pamięć o mnie, to dobrze; a nie — to mojéj życzliwości bynajmniéj nie osłabi. A tym czasem, że nie wątpię iż Pana sądowie oczyszczą, jutro go zapraszam do Kosmyrzowa na obiad. Będzie tam dość szlachty: wszystko rębacze, a więc dla Pana muszą być życzliwi. U mnie w domu pierca na lekarstwo nieznaleść, bo ja się tymi ludźmi brzydzę. A wiém że Pan szlachcicowi nie odmówisz swojéj bytności.

— Pewnie że nieodmówię. Poczytuję sobie za zaszczyt, że umiałem zyskać jego skłonność, wyznaję że gdyby Waszmości miecz niebył zagrzązł w piasku, była by jeszcze straszna rozprawa między nami. Na honor rycerski klnę się, że nigdy mi się niezdarzyło tak mężnego oporu doświadczyć. Xięcia Radziwiła z rąk moich wydarłeś. Ja dostałem

od Króla Imci nagrodę, ale sumiennie jéj część i Waszmości się należy. Kita dzielić się nieda. Ale największą łaskę Waszmość mnie uczynisz, jeżeli wybierzesz dla siebie jedną całkowitą zbroję w mojéj zbrojowni. Wymawiam sobie tę do któréj jestem nawykły, ale każda inna niech służy jemu. Pewnie dzielniejszemu rycerzowi niemogła by się dostać.

— Niech Pan wierzy, że nie jestem w pretensji żadnéj nagrody, a jeżeli to przyjmuję co mi z dobrego serca na pamiątkę ofiarujesz, to jedynie dla tego, że niechcę go obrazić, jakoby niby pogardzając jego łaską. Owszem, dobre za nadobne. I żeby Pana przekonać ile dla niego jestem szczerym w mojéj życzliwości, otwarcie powiem, że ponieważ Pan mnie zostawujesz wybór między swojemi zbrojami, najwięcéj mi się podobała ta, co Panu się dostała po Gotardzie Ketlerze, z hiszpańskiéj stali, a na ciemno szmelcowana, jako zwyczajnie rycerza zakonnego. Niema na niéj ani złota ani srebra, ale wiem, że jak ją przywdzieje, naniesie mnie ona i złota i srebra. Jeżeli ją z łaski pańskiéj otrzymam, pierwszy raz co w niéj wystąpię na ostre, będę walczył na szczęście Pańskie. A jednak choć nie taję się z tém, iż ta zbroja by mnie uszczęśliwiła, wyznaję że większe dla mnie szczęście mieć Pana za moim stołem, niż nią się cieszyć w mojéj szlacheckiéj zbrojowni.

— Mój dobry Panie Zdora, i jedno i drugie mieć będziesz: dziś jeszczę Ketlerowską zbroję znajdziesz u siebie, a jutro będziesz mnie miał na obiedzie — chyba że mnie głowę każą położyć pod miecz katowski.

— Ani tego Pan nieprzypuszczaj — to być niemoże: chyba by Król oszalał. A gdyby to miało nastąpić, to Pan Odrowąż niedługo by się cieszył że to zdołał wyjednać. A choć by potém miała bieda stać się ze mną, przysięgam Panu, że go wyzwę na rękę; a jeżeli mi nie stanie, to go uduszę: a czy tak, czy siak, pójdzie za Panem na tamten świat. Ale wiem że to musi pójść jak my chcemy, a nie tak jak oni chcą.... Ot pójdę zapraszać szlachtę, a może da Bóg, uproszę potém Pana Generała Ziem Podolskich.

I zaczął prosić szlachtę i znajomą i nieznajomą nawet, ale kogo tylko uważał z miny być graczem do korda, a tém samém, wedle niego, sprzyjającym Panu Samuelowi. I tak zaprosił do siebie Pana Marszyckiego i Pana Czarkowskiego, lubo z nimi znajomości niemiał, ale że świadectwo przyjazne Panu Samuelowi przynieśli; i pokoju im niedał, póki jemu bytności na dzień jutrzejszy nie obiecali. Potém udał się do Pana Generała Ziem Podolskich z swojemi zaprosinami.

— Bardzo chętnie mu służyć będę, — odpowiedział stary; uprzedziłeś mnie Waszeć, bo sam zabierałem się zaprosić do Waści. Jesteś chłopcem wedle mojego serca. Bo i gdzie potrzeba, na Waści rachować można, i tu przed kratami popisałeś się. Mnie pusty śmiech wziął, jak gładko przymówiłeś Panu Odrowążowi: szkoda że ci Kanclerz niedał skończyć... A pamiętasz jak ja Waści spotkałem na Rusi... w téj to karczmie... kiedy to jeszcze wylizywałeś się od téj biedy którą tobie napłatał Samuś.... Djable Waści się wtedy noga powinęła. Nie wszelki rów koń przeskoczy. Ale omal nieoddałeś Samusiowi za swoje. Ja Waści z oka niespuścił. Xiążę Janusz powinien by Waści ozłocić, bo bez Waści, bardzo by było źle koło niego. Nie ma co mówić — i dzielnie bronią robisz, i umiesz prowadzić konia. Waścin koń uważałem mocny w nogach i krzyżach, że nie można lepszych mu życzyć. Szkoda że kłapouchy — żeby nie to, to niewiém czegoby on nie był wart. Zkąd go Waść dostałeś?

— Ot jakoś Pan Bóg mi naraił, że nie wiele dobyłem z kieszeni za niego. Wiém że urodził się w stadzie Kniazia Dolskiego.

— Jestem w domu — i żebyś mnie Waść zostawił cokol wiek czasu, zgadłbym zkąd pochodzi. Bo to u Kniazia zawsze kłapouchy się rodzą. Z niemałym kosztem podnawia stado, a krwi tatarskiéj pozbyć się nie może.... Słyszałem że Waść u siebie masz kilka koni wcale dobrych?

— Jak będę miał szczęście służyć Jaśnie Wielmożnemu Panu w moim domku, pochwalę się przed nim mojemi

koniakami. A cóż by szlachcic robił na wsi, żeby niemiał w stajni na co popatrzyć.

— Mówisz rozumnie jakby z xiążki. Każesz swoje konie przeprowadzić przedemną, a jak zrobię ich przegląd, może Waści dam jaką dobrą radę. Życzę Waści tyle lat żyć ile koni przeszło przez moje ręce, żartowałbyś z przedpotopowych ludzi... Będę u Waści niezawodnie. I cieszę się nieomal żeś przyjacielem Samusia. Było tam coś między wami, jako zwyczajnie młodymi. Ale ja z góry wiedziałem że będzie między wami filadelfia. Ludzie naszego rzemiosła nie baby ani piecuchy, żeby długo sierdzistość piastować w sercu. Pobiją się a potém jeszcze lepsza przyjaźń. Ja to wiém z doświadczenia. Waść musiał słyszéć, jaki to zemnie bywał gracz do tych rzeczy, swojego czasu: a i dziś nie bardzo od tego. Ale dawniéj, bywało kiedy tydzień przejdzie bez zwady, to człowiek aż choruje, jakby jemu czegoś niedostawało. A że zawsze szczęśliwie się wiodło, do głowy przypuścić niemogłem żeby się mogło mnie nie udawać. Otoż trafiłem na swojego. A już miałem więcéj lat czterdziestu. Nie byłem ojcem dzieciom, bo tak się Panu Bogu podobało, ale już od trzech lat byłem wdowcem i Starostą grodowym. Owoż tedy, wracałem z Krakowa na Podole, a obróciłem podróż ne Łęczne, bo przypadał tameczny jarmark. Myślę sobie: może się zdarzy co dobrego pod siebie kupić. Jakoż na wstepie od szlachcica z Ziemi Łukowskiéj kupiłem klacz, nierosłą ale dzielną. Szlachcic niewiedział co ma, ale ja ledwo okiem rzuciłem, poznałem co to jest. Kazałem ją okulbaczyć i siadłem na nią, żeby ją zażyć. Szczęście, pociecha, — tak chodziła, powiadam Waści, że nad moją nadzieję. Może kilkadziesiąt kroków przejechałem, aż tu zbliża się szlachcic młody, z pięknym wąsem, z miną bundiuczną, także na koniu; i mówi do mnie: Panie bracie, a czy masz tę klacz na przedaż. Ja mu na to: i koszula na przedaż, kiedy za nią dobrze zapłacą. — A wiele byś Waszeć chciał za nią? — Trzy tysiące, ani słowa. A on: At byś Waszeć porzucił żartować, a wziąłbyś za nią sto złotych, gdyby kto je dał. — Tu mnie wszystkie złości porwały. Jakto, w mojéj przytom-

ności łżyć kobyłkę, która przecież mnie dźwiga! A durniu jakiś! odpowiedziałem, schowaj sobie swoje sto złotych na odzienie, a mnie zaniechaj. — Co, ja dureń! ty sam taki. I dobył szabli. Ja też za swoją. Dawaj nacierać jeden na drugiego, nie zsiadając z konia... Aż jak palnie mnie po łbie — widzisz tę kresę: omal całego palca w niéj nieschowasz — mój mocny Boże! wśród dnia wszystkie gwiazdy niebieskie ujrzałem. Musiał mnie dobrze przywitać, kiedy aż zemdlałem. Zanieśli mnie na kwaterę, jak nieżywego. Tylko że zaraz ratowali mnie. Było w Łęcznéj kilku cyrulików żydów, to wszystko do mnie się zbiegło, i jakoś po kilkunastudniowéj męce, człowiek mógł wyjechać. A że w czasie mojéj kuracji napierałem się, żeby się poznać z tym któremu się udało wziąść górę nademną, stawił się przedemną, i wielce mnie przepraszał że w tak cierpkim sposobie zabrał zemną znajomość. Nie ma za co, odpowiedziałem; to zrobiłeś zemną, co chciałem zrobić z Waścią, a więc kwita. Ale ja jestem Humiecki, Starosta Trembowelski, (bo nim byłem wtedy) do usług Waścinych, — proszęż mnie na wzajem powiedzieć, komu mam być obligowany za tę pamiątkę, która odtąd będzie zdobiła moje czoło. Bo co to mi za szlachcic, co nie ma kresy na łbie! A on mnie: Dzierżanowski, Herbu Grzymała, do usług Pańskich. I cóż? tak my się zaprzyjaźnili, że go z Łęczny zabrałem z sobą. A że chociaż bez majątku, był karmazynowym szlachcicem, wyswatałem mu panienkę posażną, a moją krewnę, Pannę Genowefę Tyrawskę Chorążankę Czerwonogrodzką, będącą na opiece u mojego brata. Oboje najpiękniéj z sobą dotąd żyją. Mają i majątek z łaski Pana Boga i liczne potomstwo. A on mój od serca przyjaciel, jakim Waść będziesz Samusia.

— Już nim jestem, Jaśnie Wielmożny Panie. I właśnie jutro daję obiad, żeby mu jak najwięcéj przyjaciół zrobić. Bo wiém że kto go pozna z blizka, musi go pokochać.

— Da Bóg, będziemy się bawili u Waści, jeżeli tylko coś złego niewypadnie: bo my tu gadamy na ustępie, a może teraz właśnie jego na gardło wskazują. Prawnicze szranki są istném bojowiskiem. Choćbyś miał i liczne i do-

świadczone wojsko, pokąd nieprzyjaciel nie uciekł, nie rachuj na zwycięztwo: a kiedy masz sprawę, nie mów żeś ją wygrał pokąd dekretu tobie nie ogłoszą.

— Co też Jaśnie Wielmożny Pan przypuszczasz! To być niemoże żeby Panu Samuelowi aby jeden włos spadł z głowy. Wszakże słyszeliśmy dopiéro Pana Kaźmierza Mroczka — z czém tylko był się wyrwał Pan Odrowąż, on to w puch rozbił: gdzie tamten szablą chciał uderzyć, dwie przeciwko jednéj znalazł. Już niewiem jakiby to był sąd, który by się nieprzekonał o niewinności Pana Samuela... A czy uważał Pan, jak to zgrabnie jakoć obrócił nasz Kaźmierz, że Pan Odrowąż swoim wniesieniem robi Pana Tęczyńskiego tchórzem. Uśmiałem się serdecznie... Już to ludzie dobrze mówią, że kiedy djabeł czego niedokażę, to babę nasadzi, a ta mu zawsze dopisze. Mamy tego dowód oczéwisty. Wszakże Wielmożny Tęczyński wsławiony żołnierz i wielce dumnego animuszu, a jednak tak go Pani Wapowska oczarowała, że dla jéj pięknych oczów pozwala żeby o nim trzymano że jest bojaźliwego serca.

Tak rozmawiali w ustępczéj sali, kiedy raptem podwoje izby sądowéj się rozwarły, a woźniowie, stanąwszy na progu, na cały głos przywołali strony do wysłuchania dekretu. Wszystko wtłoczyło się drzwiami razem z sobą pomieszane, bo każdy był ciekawy wyroku. I dość czasu upłynęło, nim się uciszyło. Nakoniec doczekawszy się porządku, Kanclerz Koronny zaczął czytać wyrok Królewski, który wszystkich zadziwił i powszechne nieukontentowanie wzniecił. Panowie Zborowscy i ich adherenci pragnęli uniewinnienia Pana Samuela, stronnictwa zjednoczone Pani Wapowskiéj i Panów Tęczyńskich i Koniecpolskich, domagali się na niego kary śmierci; a Król chwycił się półśrodka — odwieczny szaniec, po za którym ludzie słabi przywykli szukać bezpieczeństwa, chociaż go nigdy tam rzeczywiście znaleść niemogą. Wyrok Królewski wskazał Pana Samuela na banicyą, nie dotykając ani jego majątku, a nawet mu zostawił kilkanaście tygodni czasu do ułożenia swoich interesów i wyniesienia się z Rzeczypospolitéj.

Po ogłoszeniu wyroku, ani jedna ani druga strona nie-przyszła dziękować Królowi, jak to było w obyczaju. Wszyscy co prędzéj rozeszli się, z oznakami gniewu, mniéj lub więcéj jawnemi.

V.

Panowie Zborowscy piechotą wracali do kamienicy swojéj, a z nimi liczniejsi niż kiedykolwiek przyjaciele. Bo ciż przytomnych sądowi Królewskiemu, którzy niebyli deklarowanymi stronnikami przeciwników domu Zborowskich, a wahali się między jednymi a drugimi, przeważyli się byli ku niemu, usłyszawszy replikę Pana Mroczka; i z tym popędem przyrodzenia polskiego do objawienia przekonania raz powziętego, głośno wynurzali swoją życzliwość i odprowadzali wywołanego męża. Panowie Zborowscy byli zasmuceni. Pan Samuel z rezygnacyą zdawał się przyjmować swoje przeznaczenie. Pan Mroczek, zawsze gotów podzielać zły i dobry los przyjaciela, był zamyślony. Wszyscy dawni i nowi przyjaciele Pana Samuela podzielali smutek rodziny. Jeden Pan Ezechiel okazywał się wesołym i ciągle po swojemu usiłował spokojność Pana Samuela podnieść na stopień równy jegoż samego wesołości.

— Winszuję Panu wygranéj, — rzekł do niego. — Bo jużci niemogę mieć za karę, kiedy każą człowiekowi jechać do cudzych krajów, jeżeli ma o czém podróż odbywać. Człowiek nie drzewo, co przeboleje kiedy go przesadzą, a i ono jeżeli niebardzo stare, oswoi się z nowym gruntem. A potém, czy to Rzeczpospolita w ogniu, żeby za nią tak tęsknić! A jeżeli Bóg się zmiłuje nad nami i jaką wojnę na nią naprowadzi, otóż i Pańskie wygnanie się skończy. Bo żaden Hetman nie pyta tego który się zaciąga do jego chorągwi: czy jest na nim dekret czy nie, ale czy umie

nacierać na harcu, uderzyć toporem w łeb takiego który nadto bliską chce zabierać znajomość, powalić kopiją najezdnika ażeby go przekonać że on nie jest zrośnięty z koniem, jak ten posąg Centaura co stoi w sieniach zamku w Zborowie — odbić szablą cudzą kopiję, żeby tam nielazła gdzie jéj nie zapraszają... A o tém Pana pytać nie potrzeba. Dziwni to ludzie, bracia Pańscy, że tak nosy na kwintę pospuszczali. Jak gdyby już niebyło świata po-za Rzeczpospolitą! Wreszcie jeżeli powiew jéj powietrza już ma być tak słodkim, a któż Panu zabroni mieszkać na Zaporożu — gdzie ani ziemstw ani grodów nieznają, a o sądach Królewskich ani słychu. Pan, wedle obietnicy swojéj, pozwolisz mnie jutro służyć sobie obiadem w moim domku. A tam ubawimy się — ile że, za pozwoleniem Pańskim, snuje mi się w głowie pewien projekt.

— A jaki?

— Niech-no się on lepiéj wywarzy, a jak się Państwo rozgościcie w Kosmyrzowie, da Bóg objaśnię.

— Jeżeli on mnie się tyczy, chętnie na niego przystanę, bo idąc za zdaniem rycerza z tak poczciwém i mężném sercem jak Waszmość, można być ledwo że niepewnym, iż się nieomylę.

— Dziękuję Panu za łaskawe mniemanie. Bo choć Pan Kaźmierz powiada że bezpieczniéj się spuścić na moje ramie, niż na moją głowę, przecie mojéj głowy nieoddałbym za głowę choćby i Pana Odrowąża. Wszakże kiedy komu przyznają że siako-tako umie użyć ramienia w potrzebie, tém samém i jego głowie niewszystko przeczą. Ręka umie uderzyć, ale jak i gdzie, już tu bez głowy obejść się niemożna. Zresztą to, co mi po mozgownicy biegać zaczyna, to niejest żadna rada na korzyść Pana — a broń Boże! Ja dobrze znam że Pan jesteś za nadto rozumniejszym od prawdziwego swojego sługi, żeby ten się odważył wystąpić przed nim z radami. To się tyczy jedynie pewnego chudego pachołka, ale który do Pana wielce się przywiązał.

— Ja tyle Waszmość i kocham i szacuję, że mam prawo

do jego ufności, więc możesz mnie powierzyć o co rzecz idzie.

— Nie razem Kraków zbudowany. Bo widzi Pan, jeszcze człowiek niedał sobie słowa, że zrobi tak albo inak. Jak mówią na naszéj Rusi: na dwoje maty wróżyła. Człowiek się kiwa, kiwa, póki nie padnie na prawo lub na lewo, a jak padnie, dopiéro leży. Otoż niech-no się położę w myśli, a wtedy powie się wszystko, rozumie się, jeżeli coś będzie warto powiedzenia: bo jeżeli nie, najlepiéj milczyć. Do jutra wszystko się wyklaruje. Mnie teraz w głowie, że jak zbroja Gotharda Ketlera, która mi jest obiecana od Pana, stanie w Kosmyrzowie — co się nie mówi żeby mu tę obietnicę przypominać — a broń Boże! I owszem, jeżeli Pan o nią wielce dbasz, lubo nie bez smutku — bo co prawda to prawda — a jednak chętnie Pana spuszczam z obietnicy. A jeżeli Pan, co daj Boże, trwasz w przedsięwzięciu swojém, żeby ona pokrywała kości poczciwego szlachcica i szczerze do Pana przywiązanego, i jakieś się z tém wymówił, dziś jeszcze ją odeszlesz do Kosmyrzowa — otoż jutro przy obiedzie będziemy pili jéj zdrowie, a ja ją przywdzieję na siebie. Wierz Panie, że ta zbroja jakby dla mnie wykuta — już ja ją próbował. Owoż tedy, jak ją poczuję na sobie, wtedy i w mojéj głowie się rozjaśni, i może da Bóg, to co ja teraz myślę, zupełnie zhołduje moje przekonanie, a wtedy przed Panem wyspowiadam się z mojego postanowienia, jak papieżnik przed swoim xiędzem.

— Bądź pewny, Panie Ezechielu, że ta zbroja dziś przed wieczorem będzie w twoim Kosmyrzowie — dałem na to słowo; a choć w innych rzeczach różnie bywało, co niech Bóg miłosierny przyjmie za żart, ale odkąd żyję, słowa danego nikomu niezłamałem.

W tém ujrzeli jezdzca na przeciw nich kłusem postępującego ale który o kilkanaście kroków przed nimi stanął.

— Co to za człowiek, — rzekł Pan Samuel do Pana Ezechiela; — kogoś tu szuka między nami.

— A to Szerszeń, — odpowiedział Pan Ezechiel; — to mój famulus armiger i moja prawa ręka w mojém gospodarstwie Kosmyrzowskiém. On mnie szuka, za pozwoleniem

Pańskiém, z nim na osobności pomówię, bo to coś musi być nagłego, że aż konno sam przybiegł, a nie wysłał pachołka.

To rzekłszy, poszedł na stronę, i kiwnął na Szerszenia.

— A co to Waść mnie przynosisz — złe czy dobre?

— Dobre, Panie, — Imość Dobrodzika, szanowna małżonka Pańska, przed dwóma godzinami przybyła do Kosmyrzowa, a ja do Pana z jéj karteczką przybiegłem.

— Oj! żebyś tego niewymówił! .. A czy mi synka przywiozła przynajmniéj?

— Nie, zostawiła go w domu, na Rusi, niechcąc go narażać na tak długą podróż. Sama przyjechała, ale zdrowa, dobrze wygląda.

— Żeby tobie służyła trutniu, kiedy ci się tak podobała. No, no, ruszaj-że sobie nazad, a powiedz jéj że sam zaraz nadbiegnę, i że będę miał jutro na obiedzie parę tuzinów gości, na których przyjęcie muszę się przygotować. Jeżeli chce być gospodynią, zgoda i owszem, a jeżeli nie, to niech się sobie schowa: do jéj woli zostawuję; jużci ja moich gości nie odproszę. A na ciebie się spuszczam, żeby nikomu nic niebrakowało. Po mojemu, rznij w czambuł co tylko żyje w Kosmyrzowie, ażeby wstydu niebyło. Słuchaj Waść. Imości niema czego bronić, bo to gospodyni, jedno żeby nosa swojego niewściubiła ani do zbrojowni, ani do piwnicy. A pojutrze jéj oddasz klucze od piwnicy, bo niewiém czy co w niéj zostanie, o tém wątpi kościół Boży... A to utrapienie, te niespodziane radości!... Ruszaj że Waść nazad; a pamiętaj żeby było czém przyjąć moich gości, jeżeli chcesz całym zostać — w tém twoja głowa. Szczęśliwéj podróży życzę.

Wrócił nieco zasępiony do swojéj grupy.

— Ezechielku, — rzekł do niego Pan Mroczek, którego Pan Samuel właśnie wtedy trzymał obok siebie; — cóż to za przygoda na ciebie się zwaliła? bo coś straciłeś fantazją.

— At do kata! tyle gości pozapraszałem, a tu jawi się w Kosmyrzowie gość ani proszony, ani spodziewany.

— A któż taki?

— Któż? także zachciało się: moja żona, Pani Barbara Zdorzyna — aż z Rusi djabeł mi ją tu napędził. Ale to musi być sztuka Pana Tęczyńskiego, Kasztelana Bieckiego.

— I w czém-że przybycie żony ma Waszmości zasmucać, odezwał się Pan Samuel; — czy źle żyjecie z sobą?

— I owszem, żyjemy jak gołąbki, nigdy się z sobą niewadzim: ona na Rusi, a ja w Krakowskiém. Otoż i ztąd markotność, że człowiek nawykłszy do zgody, boi się jak dobry małżonek, żeby ta przykładna jedność czasem nie poszwankowała. Otóż nie — wie Pan co: jéj przyjazd na dobre wyszedł. Wahałem się, wahałem, czy mam wprosić się do Pana, żeby z nim i Panem Kaźmierzem opuścić Rzeczpospolitę. I to było, co mi się po głowie kręciło, a co ociągałem się wyznać. Bo z jednéj strony, coś mnie za Panem ciągnęło jakby postronkiem, a z drugiéj, żal mi było koni moich, których wszystkich z sobą zabrać nie mogę, toż i zbrojowni; a nie bez tego żebym nieprzeczuwał iż będzie mi tęskno za przyjaciołmi, co to ich spotykam u Falendysza. I nad tém wszystkiém człowiek się zastanawiał, a sam niewiedząc jak tu powiedzieć, cét czy liszka, wolał milczéć. Ale przyjazd mojéj połowicy ostatecznie rozwiązał zadanie. — Jadę z Panem, choćby na kraj świata, jeżeli Pan moją usługą niewzgardzisz.

— Najchętniéj bym się na to zgodził, i nic dla mnie nie może być milszego, ale czy mam prawo zezwolić na taką ofiarę Waszmości, by opuścić ojczyznę a tułać się z wygnańcem.

— Jeżeli tylko o to idzie, a więc rzecz już zrobiona; daję Panu słowo że gdzie Pan tam i ja. Pan, kiedyś mnie powtórzył obietnicę téj zbroi Kettlerowskiéj, którą już chciałbym mieć na sobie, dodałeś bardzo zgrabnie, że co tam było w jego życiu, to było, ale że danego słowa nigdy niecofnąłeś. Otoż ja, lubo nie jestem Senatorskiém dzieckiem i nie taję się z tém że jestem synem sługi jego domu, taką samą naturę mam co i Pan. Zawsze dotrzymam słowa. Niech powie Pan Kaźmierz, czy kiedy złapał mnie kto na uczynku żebym skłamał. — Chyba przed żoną. Wszakże i ja pasowany na rycerza, razem z Panem Kaźmierzem, a

nikt niepowiedział żebym nie był wart tego. Przecie pamiętam admonicje nieboszczyka Pana Bałabana, Strażnika Koronnego, który na tym obrzędzie był moim kmotrem: żebym, bądź co bądź, nigdy nie skłamał, i że po tchórzostwie nic więcéj nie kazi męża rycerskiego stanu jak kłamstwo. A przyznam się Panu, że to trafiło do mojego serca bez trudności: bo nigdy nie miałem pochopu do tak brzydkiéj wady. Jużci, kto żyje z łokcia, z wagi, wreszcie z języka — jak ten szczekacz Odrowąż: to Bogiem a prawdą za złe takiemu poczytać nie można, że musi się czasem wyłgiwać. Ale my, co lepiéj się jeszcze tłómaczymy tym językiem co go nam do lewego boku przyczepiono, niż tym co go nam w gębie Bóg umieścił, na jakiego djabła mielibyśmy łgać? Daliśmy sobie słowo: ja, że Pana nieodstąpię, a Pan że nie jesteś od tego; a więc między nami rzecz skończona.

— W nieszczęściu człowiek poznaje, jaki to skarb z przyjaciela. A mając z sobą Mroczka i Waszmości, niebędę miał prawa użalać się na moje losy. Ale zważ sam, Panie Ezechielu, czy mi się godzi narażać na żal żony opuszczonéj, i pozwolić byś zostawił dom, gospodarstwo, przyjaciół, aby się puścić ze mną na tułactwo!

— Otoż jest straszne słowo! A czy wie Pan o tém, że tułackie życie właśnie dla mnie stworzone. Ja wolę széroki gościniec, niż murowany pałac, a cóż dopiero mój szlachecki domek, gdzie człowiek z biedy a nie z rozkoszy siedzi. Kiedy się siądzie na krześle, to z początku niby dobrze, a potém nogi mdleją, a na kulbace w sam raz, zwłaszcza kiedy czuje się zbroja na sobie, a jeszcze taka naprzykład jak ta którą z łaski Pańskiéj otrzymam. Ja ją na siebie przywdzieję, jak tylko puścimy się w podróż. Mnie więcéj do ciała przystaje zbroja stalowa, niż opończa choćby z axamitu. Co do gospodarstwa, ja do tego ani wielkiéj zdatności nieprzyznaję sobie, ani też czuję zbytniego zamiłowania. Wszak ja mam na Rusi obszerne gospodarstwo, a do niego się niewtrącam: moja Imość zagarnęła go sobie, prawie bez mojego oporu. A zatrzymałem dla siebie to bzdurstwo pod Krakowem, które nie musi być bardzo

łakome, kiedy się ona o niego nie napierała. A i tu, ten moczymorda Szerszeń, którego Pan dopiéro personaliter oglądałeś, wszystko ma w swoim ręku, a ja chyba przez piąte dziesiąte wiém co się u mnie dzieje. Prędzéj by mi był żal za mojemi końmi, — ale co najlepszego w Kosmyrzowie z sobą zabiorę, a moje stado na Rusi choć Pańskiém okiem nietuczone, przecie nie chude — od czegoż Swiryd. Zresztą mnie nie żyć na Kosmyrzowie: grosz nie styka się z groszem, ostatkiem gonię; choć niedawno odebrałem siłą mocą od Pana Tęczyńskiego procent od summy u niego lokowanéj — od tego samego, co chciał ażebym przeciwko Panu świadczył. Ale to była gratyska, która drugi raz wątpię żeby mi się udała. Bo przeczuwam że Pani Chorążyna Zdorzyna temu zapobieży. Oj Panie, na mnie wiszą dwie kondemnaty: raz za procent który niedawno się wziął, a już zwietrzał; powtóre żem się za Panem oświadczył. Wiém że o to będzie gdyranie babskie: bo to i skąpa i krewna jakaś domu Tęczyńskich. Otóż, jak Pan może poznać z tego co mówię, nie tak to bardzo wiele łez się wyleje, jak ją pożegnam opuszczając Polskę. Wprawdzie chciałbym czasem oglądać mojego Kazia. Ale jużci, ani mam do tego powołanie żebym się trudnił jego wychowaniem, ani by mi to Imość pozwoliła, ile że baba ma dobrze w głowie, wychowa go do piętnastego roku, a nim skończy szkoły, a żyw będę, sam mu pomogę z nich uciec, żeby go na piecucha niewykierowano. A że mu moja żona majątku przysporzy, o to pokój... Więc rzecz skończona: ma Pan rękę. Wzgardzasz-li moją usługą, albo ją przyjmujesz?

— Przyjmuję, przyjmuję, — rzekł Pan Samuel, wyciągając dłoń swoją: — a te dłonie złączone, znak nierozerwanéj przyjaźni, niech Mroczek przebije.

— Ślubuję Panu wierność i posłuszeństwo.

— A ja tobie — pozwól że tak do ciebie mówię jako już do swojego — ślubuję tobie przyjaźń i udział do wszystkiego co będzie mojém.

— Udział do złego jak do dobrego, wszystko mi będzie miło dzielić z Panem. A teraz żegnam Pana. Bo trzeba się przygotować, ażeby się nie powstydzić szanownych gości,

potém uściskać kochaną połowicę, i zawczasu myśléć o wybraniu się, bo to nie na tydzień, ani na dwa.

Poszedł Pan Ezechiel do swojéj kwatery na Kleparzu gdzie już wierzchowiec na niego czekał. Puścił się więc do Kosmyrzowa, ale stępą. Niech to będzie między nami, ale tego utaić nie można, że z miną żwawszą ruszał na ostatni turniéj, i że nie przyśpieszał konia, owszem odwlekał jak mógł chwilę spotkania się z żoną. Stanął nakoniec przed gankiem, zsiadł z konia, oddał go masztalerzowi: w tém żona wybiegła z domu i rzuciła się w jego objęcie. Pan Ezechiel rad że na wstępie nieprzywitała go gdyraniem, z niemniejszą czułością ją uściskał, i obaj małżonkowie weszli razem do komnaty.

— Co, Ezechielku, może się gniewasz że niespodziewanie przybywam do ciebie w goście?

— Nie, nie, moje życie, i owszem. A czyżbym się na to z tobą ożenił, ażeby się gniewać kiedy ciebie mogę oglądać... A jakże tam u was nasz Kazio?

— Zdrów, moje serce, do ciebie podobniuteńki.

— A moje stado?

— Oj to stado kością w gardle mnie stoi.

— Tylko nie gdyraj, kochanku, przez dziś i jutro, żebyś mnie humoru niepopsuła, a pojutrze zrobisz ze mną co ci się spodoba. Musiał tobie powiedzieć Szerszeń że jutro będziemy mieli gości: trzeba ich przyjąć z miną wesołą, a jak mnie zasępisz, jakiż to będzie wstyd dla mnie, jak pomyślą szanowni goście, że z tego jestem markotny, że u mnie jedzą i piją.

— I zkądże tobie przyszło zgromadzać u siebie tyle gości.

— Widzisz, moja kochana żono, jakoś to tak wypadło, że nie mogłem się od tego uwolnić. Uważasz ten złoty łańcuch, co go mam na szyi? Sam Król mi go zawiesił. Jestem «eques auratus» — to wielka rzecz. Otoż z tego powodu zaprosili się u mnie, to ten to ów, żeby ten łańcuch oblać. To jest rycerska rzecz, a niezbędna.

— Musiałeś przecie zaprosić Pana Kasztelana Bieckiego, mojego wujaszka i niegdyś opiekuna?

— Ja nikogo niezapraszał; ja nie marnotrawnik żebym się rzucał na ludzi, żeby mieć z kim się upić. Pfe! Sami się do mnie pozapraszali. A ja niemogłem powiedzieć: nieprzyjmę was w moim domu. Oto bym dopiéro się popisał! Chyba wdową chcesz zostać, że byłabyś rada mnie poróżnić z najpierwszymi rębaczami Rzeczypospolitéj.

— Któż będzie z personatów? żeby przecie wiedzieć zawczasu jak ich przyjąć.

— Będzie Pan Humiecki, Generał Ziem Podolskich.

— To dobrze; widziałam go parę razy w domu Pana Kasztelana — mojego wuja: on nawet jest ze mną trochę w kuzynostwie. A więcéj kto?

— Będzie i an Mroczek.

— Nic osobliwego.

— Będzie, będzie.... otoż kiedy się tobie zachciało cóś osobliwego, — będzie Pan Kasztelanic Krakowski, a Hetman Zaporoża, Jaśnie Wielmożny Samuel Zborowski.

— Co ja słyszę! ten rozbójnik, który zabił JW. Kasztelana Wapowskiego, za co lada dzień tracony będzie. — A to zkąd?

— Dajże Imość pokój! Już sąd na niego zapadł. Daj Boże WPani tak dobrze mieć jak on przymocowaną głowę do karku. Kazano mu podróżować za granicą i nic więcéj.

— Rozumiem — wywołano go z kraju. I ty należąc przezemnie do familii Tęczyńskich, będziesz przestawał z banitą?

— Powiedziała co wiedziała! Otoż naucz się WaćPani, że wyrok Królewski ani zaczepił jego czci. I na co te wymówki! Będzie dwadzieścia kilka osób u nas jutro na obiedzie — niema gadania. Ja na wszystko pozwolę, tylko tego niepozwolę żebym na kpa wyszedł. Kto będzie, to będzie, a każdemu będę rad. Moja Basiu! proszę ciebie, moja wola przez jutro; a potém przez cały rok twoja; a wolemy o czem inném mówić. Czy nieprzywiozłaś mnie gościńca z Rusi. Żebyś ty mnie jakiemi kilkuset złotemi zasiliła, oj to by była z ciebie nieoszacowana żona!

— Czy ty oszalał, Ezechielku. Ta to u nas na Ukrainie taka golizna! Sterta koło sterty, a pieniędzy, pasz. Czy ty

myślisz że to Krakowskie, co to plewę spieniężysz na Kleparzu. Ja owszem tu przybyłam żeby od ciebie dostać. Ty tu żyjesz po kawalersku, a na folwarku ani snopa niewidać: więc musisz mieć pieniądze — nie taj się przed żoną.

— Co, ja?! albo ja żyd żebym grosz dusił.

— Tać to ja wiem, że u ciebie grosz tylko na hulanki i na konie, a o żonie i dziecku ani pomyślisz.

— Ale moja kochana, kiedy tu łatwo wszystko spieniężać, gospodaruj-że sobie na Kosmyrzowie, a ja sobie pojadę na Ukrainę, obaczysz jak nasze sterty spieniężę!

— Obejdzie się. Ty tam potrzebny jak piąte koło w bryce. Posłuchaj-że, Ezechielku, dziś my z sobą jak mąż z żoną. Jutro na twoim obiedzie znajdować się nie myślę. Nieprzyjaciel Pana Kasztelana — mojego wuja, a do tego banita ... tak, tak, niekiwaj głową.... to nie dla mnie towarzystwo. Hulaj sobie z swojemi burdami bezemnie. Burdy niemieli przystępu do domu Pana Kasztelana — mojego wuja. Może byli tacy między wami sługami, ale my, należące do familji, nigdy z niemi nieprzestawały. Ja jutro rano pojadę do Krakowa na nabożeństwo, a z kościoła zajadę do Pana Kasztelana — mojego wuja. Wiém że mnie nie puści Pani ciotka, chyba aż pojutrze, po obiedzie. Winnam Państwu Kasztelaństwu moją attencją złożyć, a potém jest i interes bo mam procent do odebrania od mojéj summy. A pojutrze wieczorem przyjeżdżam do ciebie, bo myślę że nazajutrz po przepiciu do wieczora się wytrzeźwisz. Mamy wiele z sobą do mówienia o interesach.

— Dobrze, moja kochana, jak każesz; tylko do pozajutra wieczór zostaw mnie saméj zabawie.

I w saméj rzeczy, cały ten dzień przeszedł gładko. Była wzajemna grzeczność, swarów broń Boże. Owszem wieczerzali spokojnie, i tak daléj.

Pan Ezechiel ze wschodem słońca opuścił małżeńskie łoże, i na wstępie wielka radość go spotkała. Bo gdy wyszedł na ganek, ujrzał do siebie biegnącego Szerszenia,

który mu oznajmił że już spał, kiedy przybył dworzanin Pana Samuela z jakąś zbroją dla niego przeznaczoną, i że ją złożywszy w jego ręce, natychmiast wrócił do Krakowa. Pan Ezechiel, uszczęśliwiony pożądanym upominkiem, natychmiast zbroję na siebie przywdział, ciągle unosząc się nad jéj doskonałością.

— Szerszeniu, rzekł rozbierając się, — dopiéro jestem człowiekiem. Własna skóra do ciała nie tak przypada, jak ta zbroja. To cóś lepszego niż cały Kosmyrzów, i spodziewam się że będzie dla mnie intratniejsze. Już niewiem komu z taką zbroją niedam rady: tchórzowi ją daj a musi zostać odważnym. Słuchaj Szerszeniu, naprzód pilnuj téj zbroi jak oka we łbie, i nikomu niepozwalaj ani końcem palca jéj dotykać, jakby jakiéj świętości. Wszak nie długo mieć będziesz o niéj staranie.

— Albo Wielmożny Pan myślisz wkrótce się jéj pozbyć?

— Ale — otoś mnie poznał! Mnie co innego w głowie. Imość tylko co niewidać jak mnie Piotra napędzi. Już zabierała się wziąść mnie w obroty za ten wielki obiad co go dziś sprawuję, a co to będzie jak się dowie że już po procencie, z téj to summy co to mamy u Pana Kasztelana Tęczyńskiego. Jedno że to wszystko odłożyła do jutrzejszego wieczora. Ale ja niegłupi tego na miejscu czekać. Słuchaj że Szerszeniu, na ciebie się spuszczam że mi pomożesz głowę od téj biedy uchylić. Zrób wszystko co ci rozkażę i tak jak rozkażę. A pamiętaj że ty nie baba, ażebym niepotrafił obydwóch uszów tobie oderznąć jak mnie skrewisz.

— A Wielmożny Panie! czy kiedy w życiu nieumiałem spełnić rozkazów pańskich. Pan każe, sługa musi.

— Prawda, Szerszeńku, z ciebie sługa niepospolitego rozumu, zgrzeszyłbym żebym ci tego nieprzyznał. Owoż tedy, ja myślę pożegnać Kosmyrzów jutro rano.

— A czy na długo?

— Co tobie do tego... Więc tak — Kosmyrzów, a szczególnie moją zbrojownię i stajnię, twojéj opiece poruczam, bo po dzisiejszéj uczcie nie będzie czego w piwnicy pilnować, a jeżeli na przypadek cóś się tam z resztek pozosta-

nie, niech tobie służy: a gospodarstwo Kosmyrzowskie oddaję tobie do wiernych rąk. Pan Kaźmierz ułoży mnie w Krakowie instrument na komis dla ciebie, ja go podpiszę, a ty się bezemnie wyjadaj o to z Imością. Mnie nic do tego — rozumiesz?.. Dziś, choćby zaraz, wypraw do Krakowa prosto do kamienicy Panów Zborowskich mojego giermka Jasia Brochwicza, na klaczy Nielepce, do któréj jest wzwyczajony, a którą dla niego przeznaczam. Dodasz mu mojego węgrzynka Kubę, który choć głupiec, ale jestem przywykły do jego usług, i wyprawisz go na koniu skarogniadym Brandycie, właśnie pod niego. Ale rozumie się w zupełnym moderunku, jak zwyczajnie na wojnę. I z sobą poprowadzą Sułtana i Podbielca, ale objuczą ich; ty wiesz co rycerzowi potrzeba na długą wyprawę, na ciebie się spuszczam. Tylko miéj baczność, żeby nikt niepotrzebny niezazierał do stajni, kiedy będą juczyć konie. I niech tak ruszają powoli tam gdziem mówił, a Pan Kaźmierz zajmie się niemi. Moja Imość jak się obudzi, wybierze się do Krakowa na nabożeństwo. Tu sęk żeby ich po drodze nie napędziła: gotowa im kazać zawrócić; niby nie brakowało jak to. Więc tak ułóż z woźnicą Grzesiem, który ją zawiezie do Krakowa, żeby ona moich ludzi niespotkała. Jeżeli ich z daleka spostrzeże, niech się rzuci w prawo czy w lewo, niech błądzi nareszcie: dla tego mu głowa z karku niezleci. A daję słowo rycerskie, że jeżeli mi się źle spisze, dostanie toporem po łbie. Imość nocuje w Krakowie, a ja jutro rano biorę na siebie Ketlerowską zbroję, z całą jéj assystencją, i na moim ulubionym Boreaszu, do Krakowa; a gdybym oko zostawił w Kosmyrzowie, po niego niewrócę. A notabene, spuszczę przyłbicę, żeby broń Boże spotkania Imości wracającéj z Krakowa, mnie niepoznała. I w Krakowie może jakie parę tygodni posiedzę, więc będziesz się znosił ze mną Bo to lub owo wypadnie tobie przypomnieć. Ty mnie zawsze znajdziesz albo w kamienicy Państwa Zborowskich, albo u Falendysza. Zrozumiałeś?

— Wszystko co Wielmożny Pan zaleciłeś, natychmiast będzie się spełniało.

— Dobrze, synu; tego spodziewałem się po tobie. A nie

mam potrzeby przypomnieć, że trzeba żeby dziś o drugiéj po południu moi goście byli syci i napojeni. Do wieczora hulanka, potém się trochę wyśpię, a zrana — naprzód.

— Niech Pan będzie spokojny. Wszystko pójdzie jak z płatka.

I w saméj istocie wszystko się spełniło. Brochwicz i Kuba wyprawieni zostali z objuczonemi końmi, nim Pani Zdorzyna się obudziła. Ona wyjechała poszóstną kolasą do Krakowa. Wszystkie przygotowania do uczty się zrobiły. Pozjeżdżali się Panowie i szlachta. Niejednokrotnie spełniano kielichy za zdrowie Pana Samuela, wszyscy obiecując sobie rychły jego powrót. Dopiéro wieczór zaczęli się rozjeżdżać, każdy należycie podochocony. A gospodarz ze wszystkich myśli swoich wynurzywszy się przed Panem Samuelem i Panem Kaźmierzem, zwyczajnie jako gospodarz, najwięcéj się utraktował; tak dalece, że go trzeba było wynieść do łóżka i że nie miał dość przytomności żeby się pożegnać z gośćmi. A nazajutrz, uzbroiwszy się w Ketlerowskiéj zbroi, ruszył samopas do Krakowa; gdzie, bez szwanku, to jest bez spotkania z swoją połowicą, się dostał, i ulokował w izbie Pana Mroczka, którego nad wszystko miłował, i rad był że odtąd jego przygody podzielać będzie.

Pan Samuel czasu niestracił. Ani chciał korzystać z terminu zostawionego jemu wyrokiem Królewskim. Akt donacyjny na wszystkie swoje dobra, przyznał braciom rodzonym, Panu kasztelanowi Gnieźnieńskiemu i Panu Krzysztofowi, wedle konferencji danéj mu od Marszałka Koronnego. A w towarzystwie Pana Mroczka, Zdory i kilku sług i przyjaciół, we dwadzieścia koni, puścił się ku Zaporożu.

Droga jemu wypadała przez Ziemię Przemyślską, i ku niéj obrócił kroki. Ale drugiego dnia pochodu, rzucił się nagle w prawo, ku Karpackim górom, z niemałém zadziwieniem Pana Ezechiela. Było to w skutku rady Pana Mroczka, do któréj niebył przypuszczony. Cała Ziemia Przemyślska, podburzona przez Panią Wapowskę, była jakby w powstaniu, żeby na przejeżdżającym Panu Samuelu pomścić śmierć jéj Kasztelana. Pan Mroczek radził jéj unikać. Była o to żwawa sprzeczka z Panem Samuelem, który ufny

w męztwie, i swojém i téj garstki jego towarzyszów broni, chciał tę Ziemię przejść przebojem. Ale Pan Mroczek zrobił mu uwagę, że chociażby, o czém niewątpi, udało się im przedrzeć przez hufce szlachty im nieżyczliwéj, to nastąpić nie może bez przelania krwi szlacheckiéj. Z czego nowe potwarze wzrastać będą naprzeciwko Pana Samuela, które mu przeszkodzić mogą do powrotu w ojczyznę. Że jemu więc wypada wynieść się z posiadłości Rzeczypospolitéj najspokojniéj, unikając wszelkiéj walki. Że przez wzgląd na braci pozostałych a narażonych na niechęć potężnych stronnictw, winien iść za tą radą. I że najwłaściwiéj dla niego, przez Węgry i Siedmiogród dostać się do Zaporoża. Ta rada trafiła do przekonania Pana Samuela, ile że idąc za nią, miał sposobność widzenia się z Xiężniczką Gryzeldą, i złożenia u jéj nóg nagrody, którą był otrzymał na tym turnieju, gdzie zebrał tyle wawrzynów, ale który był pierwszą przyczyną jego tułactwa.

VII.

O ćwierć mili od Hermansztadu, na rozłożystym pagórku, wznosił się zamek Kumiswar, mieszkanie Xiążąt Siedmiogrodzkich.

Jak wszystkie zamki owego wieku był w stanie obronnym.

Wznosiły się dwie baszty: w jednéj kaplica zamkowa i zbrojownia, w drugiéj komnaty xiężniczek krwi xiążęcéj, i ich służebnic. A między temi dwiema basztami mur dwupiątrowy: na dole siedziba rycerzów i hajduków, zawsze uzbrojonych dla straży zamkowéj; a na górze mieszkanie panujących i ich dworu. Zamek był okrążony szerokiemi fossami, gdzie woda z sąsiedniego potoku wpuszczona, jeszcze utrudzała i tak trudne przybycie do zamku. Bo do niego było tylko jedno wnijście — brama zasklepiona nad mostem zwodowym, przy któréj stała warta. Nad tą bramą, na wałach zamkowych, przez całą dobę luzowały się szyldwachy.

Jedném słowem, ten zamek był twierdzą porządnie opatrzoną, zwłaszcza jak w owych czasach, bardzo trudną do zdobycia: a tém samém, przy tak częstych napadach bissurmańskich, służąca nie tylko na mieszkanie xiążąt, ale i na schronienie majętności poddańskich w chwilach trwogi. Siedmiogrodz, położony między dwóma potężnemi mocarstwami: z jednéj, z posiadłościami Rakuzkiego domu, który już i Węgry był obrócił w dziedzictwo swoje, z drugiéj z wzrastającą ciągłemi podbojami Portą Ottomańską; nie był dość

silny, ażeby zupełną niepodległość mógł mieć upewnioną. Cesarze i Sułtani kolejno rozciągali zwierzchność swoją nad tą krainą, któréj władzcy, stosownie do okoliczności, jednego lub drugiego ogłaszali się być lennikami.

Stefan Batory wówczas panujący, umiał korzystać z wojen Niemieckich, w które dom Rakuzki dał siebie uwikłać, żeby się z jego zwierzchności wyłamać; a z drugiéj strony, walcząc odpornie z Bissurmanami, tyle szacunku uzyskał w Carogrodzie, że Dywan nie tylko że pokój zawarł, ale nawet starał się najściślejszą z nim przyjaźń zachować; raz że wiedział o jego stosunkach z Hospodarami Multan i Wołoszczyzny, niemniéj z zaludnieniami wojowniczémi Rascyi i Czarnogórza, i bał się nie bez słuszności przyprowadzić do rozpaczy tego, któryby mógł poruszyć te wszystkie narody; powtóre, że gdyby nawet ta usilność go zawiodła, mógłby się oddać w zupełne poddaństwo tego samego domu Rakuzkiego, którego niechciał być lennikiem. Kierowany roztropną polityką, Dywan wolał żyć w zgodzie i jedności z Xiążęciem wielkodusznym, choć szczupłe władztwo posiadającym, niż natężać siły, żeby mu te dzierżawy przemocnie wydrzeć... I po raz pierwszy od tylu lat, Siedmiogrodz cieszył się i pokojem i niezawisłością.

Przywykliśmy uważać rząd Turecki jako ślepe narzędzie popędów gwałtownych, bez wyobrażenia sprawiedliwości i jakiego-bądź umiarkowania względem narodów jemu podwładnych. Taki sąd sprostowanym być powinien.

Bez wątpienia Turcy, tém samem że nie są oświeceni prawdą Chrześciańską, mogą być uważani za barbarzyńców. Ale też przypuścić nie można, żeby horda najezdnicza, zdołała utworzyć mocarstwo potężne i obrócić w swoje poddaństwo tyle narodów i wiarą i obyczajami z nią nic wspólnego niemających, utrzymać je w zwierzchności swojéj wśród zaciętych walk z ukształconą Europą, bez jakichś poważnych zasobów moralnych. Dziś nawet Porta Ottomańska, jakkolwiek osłabiona w swojéj potędze, stoi jednak pośród rozwalin Europy, i niezdaje się być zupełnie wydziedziczoną z przyszłości, kiedy tyle nagromadzonych pocisków niezdołało ją jeszcze obalić. W czasach wzrostu jéj

potęgi nie można przeczyć że miewała za sobą silne stronnictwa w narodach chrześciańskich, co ich kolejno w poddaństwo obracała.

W wieku XVII całe niemal Węgry o jéj zwierzchność się dobijały i byłyby przeszły pod jéj władzę, żeby waleczność i poświęcenie się Jana Sobieskiego niebyły stanęły na przeszkodzie. Mołdawianie i Wołochy nigdy niechcieli się szczerze jednoczyć z Polakami, w oporze przeciwko Turkom. Bo ich jarzmo nie jest tak nieznośne, jak się zdaje tym, co przywykli na słowo cudze sądzić o narodach i rządach. Turcy, pomimo fanatyzmu co go im wyrzucają, odkąd przeszli Bosfor, nowym poddanym swoim przemocą nie narzucali Koranu, nawet zostawili im wewnętrzne urządzenie, stosowne do ich nałogów. Wkrótce Fanarioci tak wielkie wpływy uzyskali w Dywanie, że Pasza który się im naraził, z wielką trudnością utrzymał się na swoim zarządzie. Haracze na poddanych nałożone, są ograniczone, wszelki gwałt bissurmana nad chrześcianinem, nigdy wolą rządową uprawnionym niebył. Mieszkańcy, jakiekolwiek były ich wyobrażenia religijne i społeczeńskie, żyją w swobodzie i dostatkach, lubo tam niema tego porządku, z którego my Europejczycy tak jesteśmy pyszni. I gdyby w czasie wzrastającéj potęgi Ottomańskiéj, Europa, jak dziś, była wyłącznie zajęta korzyściami materjalnemi, żeby duchy narodowe już wówczas były się zasklepiły w giełdach, w rękodziełach i w spekulacyach handlowych, wątpić niemożna że Koran byłby ją całkowicie owładnął. Ale w popędzie swoim spotkał się z duchem Chrześciańskim, duchem swobodnym od wszelkich korzyści osobistych, i on jeden zdołał ocalić resztę świata.

Xiążę Stefan, jakkolwiek gorliwy wyznawca wiary chrześciańskiéj, umiał ocenić prawość rządu Ottomańskiego i jego wierność w zachowaniu zawartego przymierza, i kiedy go Opatrzność obdarzyła wyższém przeznaczeniem niż panowanie nad szczupłém Xięztwem, nigdy o nich niezapomniał, i stosunków przyjacielskich raz zawartych, nie zerwał.

Żaden Mocarz większéj od niego nieprzywiązywał ceny

do czasu. I ztąd od młodości swojéj wtrawił się do wielkiéj a niezbędnéj dla panujących nauki, przedłużania go poniekąd, roztropnym rozkładem jego użytku. Każda godzina miała u niego swoje przeznaczenie. I ten porządek chyba dla gwałtownych przyczyn bywał naruszony. Były godziny dla pobożności, były godziny dla pracy, były i dla rozrywki. Ale codziennie, dwie godzin przed samym obiadem przeznaczał na czytanie, i w tych chwilach, poświęconych dla ukształcenia umysłu, mistrz Livius Groppius, jego niegdyś nauczyciel, miał wstęp do jego pracowni.

Mistrz Livius był człowiekiem wielce uczonym, a Xiążę Stefan zawsze go szanował, przyznając, że jego naukom winien był to zamiłowanie do rzeczy godnych i uczciwych, które zawsze cechowały wszelkie jego postępki. Mistrz Livius zadziwił był kiedyś Akademią Padewską swoją rozprawą: «De omni re scibili,» tak dalece że go Senat Akademicki usiłował zatrzymać w Padwie, ofiarując mu Rektorstwo, ale on, przywiązany do domu Batorych, niechciał się przenieść do tego głównego siedliska nauk, przekładając ojczysty Siedmiogrodz nad wszystkie ponęty Auzońskiéj ziemi. Xiężna Batorowa, za powrótem mędrca do ojczyzny, umiała ocenić jego zdolności i powierzyła mu wychowanie swoich dwóch synów: Xięcia Stefana, i brata jego, Xięcia Andrzeja. I można wyznać że z największém poświęceniem się oddał się wyłącznie ich wychowaniu. A rosa naukowa niepadła na niepłodną skałę, owszem, obaj Xiążęta, a zwłaszcza Stefan, tak wielkie postępy zrobili, że wkrótce niemieli nic do zazdroszczenia swojemu mistrzowi.

Mistrz Livius Groppius, po skończoném wychowaniu Xiążąt oddany swobodnemu życiu, zaniechał nauki w których tak wielki odgłos był sobie zjednał, a oddał się wyłącznie Alchemii i Astrologii, jak większa część uczonych owego wieku. Xiążę Stefan, odziedziczywszy Siedmiogrodzkie Xięztwo, chcąc nazawsze przywiązać do swojéj osoby mistrza którego miłował jak ojca, w zamku Kumiswarskim nad jedną basztą wyniósł obserwatorjum, gdzie mistrz odtąd życie pędził, nigdy niepokazując się na salach zamkowych.

Wszakże, jako się wyżéj powiedziało, codziennie nawiedzał dostojnego swojego ucznia, w chwilach przez niego przeznaczonych uczonym zabawom.

Xiążę Stefan po odbytéj konferencji z rządcą dóbr swoich stołowych, w których, jak na-ówczas zwłaszcza, najdoskonalsze gospodarstwo zaprowadził, tak dalece że bez obciążania poddanych, z własnych przychodów utrzymywał i dwór i znaczną część wojska, wziął ulubionego Horacego w rękę, i siedząc na-przeciwko okna, zaczął czytać, często poglądając na dziedziniec. Okazywała się w nim jakaś niespokojność, bo oczekiwał Pana Bekieszę, który wedle ostatniego swojego listu, miał właśnie w dniu tym powrócić z Krakowa, gdzie od śmierci Zygmunta-Augusta przebywał, jako poseł jego przy Rzeczypospolitéj. List w którym powrót zapowiadał, tém zdolniejszym był pobudzić ciekawość Xiążęcia, że w nim oświadczał, że ma jemu osobiście bardzo ważne rzeczy donieść, a tych pismu powierzyć niemoże. Xiążę był w tym stanie roztargnienia, zwykłym człowiekowi który radby uspokoić umysł czytaniem, a uwagi przywiązać niemoże do tego co czyta.

W takiém był położeniu, kiedy mistrz Livius Groppius do niego przybył, i powitał go chrześciańskiém powitaniem, bo jak to zwykle było w owczas między uczonymi, którzy nie opuścili staréj wiary dla mądrych nowinek Wittembergskich i Genewskich, Mistrz Groppius do niezaprzeczonéj a głębokiéj nauki świeckiéj łączył wielką pobożność.

Xiążę powstał, wyszedł przeciw niemu, by ucałować sędziwe skronie, i rzekł:

— A to ty, doctissime magister. Na twój widok składam martwą xiążkę, bo mam przed sobą żywą, która mnie więcéj oświeci.

— Ars longa, vita brevis. A jednak jak widzę, celsissimus princeps czyta tego bałamuta Horacego. Ludibria ingenii, niegodne zająć mędrca. Arcana philosophica, to jest pokarm posilający i wznoszący umysł.

— Daj pokój sapientissime magister; w Horacym jest wiele filozofii. Jak on nas naucza gardzić tą wielkością marną za którą śmiertelni tak się zapędzają, oczy zamrużając nad jéj krótkotrwałością. Nieraz czytając tego miłego poetę, marzy mi się pociecha życia wiejskiego: «procul negotiis fori et potestatis.»

— To co poeta-dworak chwali, nie wiele wagi mieć powinno dla władzcy ludów. Inne jest szczęście, celsissime princeps, do którego dążyć winieneś.

— Ani w wielkości, ani w dostatkach, szczęście się nieznajduje, doctissime magister. To nie tylko się naucza w waszéj filozofii, ale o tém wiedzą i baby które dzieci powieściami usypiają. Priusquam me initiavisti in scientia humana, moja piastunka opowiadała mnie że był jeden Król Bulgarski wielkich cnot, a którego poddani jak ojca miłowali. Otoż tak zapadł na zdrowiu, że wszyscy lekarze zwątpili byli o jego życiu. Jedno jeden mędrzec oświadczył, że jeżeli włoży na siebie koszulę człowieka szczęśliwego, i w niéj przez dobę poleży, nazajutrz zupełną czerstwość odzyska. Wszyscy zaczęli szukać tego człowieka, między takimi których odgłos powszechny szczęśliwymi mianował, ale napróżno, bo pokazało się że bogate szaty najdotkliwsze zgryzoty pokrywały. Zaczęto chodzić po siołach, a i tam nic niewskórano, bo każdy na los się użalał. Już mieli powracać, kiedy przechodząc przez puszczę, znaleźli trafem węglarza pracującego, który się zdawał wielce wesołym. Przybliżyli się do niego zapytując go, czy ma siebie za szczęśliwego. Odpowiedział że tak jest, i że niczego niepragnie, będąc rad z swojego losu. Otoż widzisz, rzekł mu jeden z posłańców, ty niczego niemasz do żądania, a my w imieniu Króla przychodzimy do ciebie prosić o dar dla niego. — Jaki dar — odpowiedział węglarz. — Oto żebyś mu jedną twoją koszulę darował. — A kiedy ja ani jednéj koszuli niemam, odrzekł biedny węglarz. Jak mnie widzicie, oto i cały majątek: szarawary podarte i gołe plecy.

— Optima et valde philosophica fabula, celsissime princeps, ale nie dla Waszéj Xiążęcéj Mości. Xiąże nie jesteś kontent z swojego przeznaczenia, bo Siedmiogrod nie jest dość

wielkim, żeby sprostać wielkości jego duszy. Ale wkrótce, celsissimus princeps zamiast kołpaka Xiążęcego, Królewską koronę będziesz nosił... Wyczytałem to w gwiazdach. Evolutio Martis in signo Leonis, w téj saméj chwili w któréj się Wasza Xiążęca Miłość narodziła, obiecują wywyższenie jego godności. Tylko co niewidać jak celsissimus nasz będzie powołany od Opatrzności na Pasterza wielkich narodów. Si fallor, niech wszyscy powiedzą że stary Groppius nie wie co to jest astrologija.

— Mój drogi nauczycielu, wiem że ty mnie wszelkiego dobra życzysz. I dziękuję ci za pomyślną wieszczbę. Nec sperno, nec ardor wysokich zaszczytów. A co mnie Opatrzność przeznaczy, z ufnością przyjmę. Wiesz co, poczciwy starcze. Oto w téj chwili czuję się być nieco uspokojonym. Od pierwszéj młodości mojéj, usiłowałem ćwiczyć siebie w nauce prawdziwie chrześciańskiego życia, żeby w każdéj przygodzie statecznie ufać w Bogu, zgadzać się z świętą wolą jego, dopełniać powinności swojego stanu, i być obojętnym na wszystko co się stać może. Jeżeli stoiki mogli się na to zdobyć, cóż dopiéro my, chrześcijanie, którzy już to mamy, czego tamci szukali. A jednak, patrz jaka nikczemna jest nasza natura. Lada zdarzenie, wszystkie nasze przedsięwzięcia obala. Dziś się spodziewam powrotu Bekieszy z Polski, i znam go tak ścisłym w dopełnieniu tego co przyrzeka, że ani wątpię, że jeżeli niestracił życia lub wolności, niezawodnie dziś przybędzie, a jednak niemogę przezwyciężyć niespokojności z jaką go oczekuję. Nie poznaję siebie, aż mi wstyd.

— Nic dziwnego, celsissime princeps; na niebie jak na dłoni wyczytać można, że zbliża się dla Waszéj Xiążęcéj Miłości, chwila stanowcza. Już mądrość ludzka zauważyła że kiedy na świecie coś się ma zdarzyć takiego, co wychodzi ze zwyczajnego porządku rzeczy, wtedy zawsze poprzedniczo okazują się jakieś znaki, które nawet mędrca zadziwiają: niebo się krwawi, deszcze kamienne padają, czasem bydlęta głosem ludzkim przemawiają, czasem widzą wojska potykające się na niebie. Lud się wtedy trwoży, a viri periti in arcanas naturae, starają się dociec czy te znaki są groźne

czy przyjazne. Jeżeli cały świat posiada w sobie ducha wieszczbnego, człowiek, będąc Microcosmos, musi mieć w sobie jakiś jego udział. I to nam tłumaczy przeczucia, bezprzyczynne smutki, sny ostrzegawcze, co wszystko wchodzi w skład scientiarum quae tractant de rebus occultis. Ale cóż, celsissime princeps, totus orbis delirat; zarzucił astrologiją, która inter res humanos est scientia scientiarium. Ten Kopernik zgubił naukę, bo ją przeznaczył wyłącznie do wyrachowania obrotów ciał niebieskich, a z niéj odepchnął badania stosunków tych obrotów z życiem ludzkiém. Zamiast Astrologii, nauki duchowéj, wprowadził naukę cielesną. Już nawet weszło w obyczaj astra, sidera, planetae, nazywać corpora coelestia, kiedy wszystko uczonego powinno przekonywać, że te agmina coelorum, składają się z duchów, którym Najwyższy powierzył straż wszystkich sił natury, a szczególnie człowieka, owego najdoskonalszego stworzenia, po którego pojawieniu odpoczął. Tak, tak, Najjaśniejszy Xiąże, astronomija bez astrologii, jest to ciało bez duszy. Uczeni teraźniejsi do niéj lgną, bo świat nasz wstąpił w smutne i ciężkie koleje, które dopiéro potomkom przekażą nieszczęścia, bo nieszczęście nie jest czém inném jedno zboczeniem od swojego przeznaczenia, jak to mądrze twierdzi Theofrastus Paracelsus, w swoich Arcana Philosophiae. — Szczęście niemoże być pochwycone tylko duchem, a jeżeli sam duch zcieleśnieje, cóż dobrego dla ludzi zrobi nauka, owa mistrzyni ludzkości.

— Bardzo pięknie mówisz doctissime magister, — odrzekł Stefan roztargniony, bo mu co innego było w głowie, niż mądre rozprawy Mistrza Groppiusa. Xiążę Stefan lubił nauki i uprawiał je w chwilach swobodnych, ale będąc mężem nadzwyczaj praktycznym, nie zaciekał się nad niemi, jak jego stary nauczyciel, który przeciwnie wyobrażenia nie miał o tém co może być praktycznego w życiu, i sądził o ludziach i o ich rzeczach, z wysokości swojego obserwatorjum. Wszakże dostojny jego uczeń wielce go szanował, i choć najczęściéj o czém inném myślał, kiedy ten mu swoje zaciekania się objawiał, zdawał się jemu przysłuchiwać z wielką uwagą, żeby nie martwić poczciwego starca.

Z drugiéj strony, Stefan Batory, jako prawie wszyscy wielcy mężowie jego czasu, pokładał jakąś wiarę w astrologii, wiarę więcéj pomimowolną niż wyrozumowaną. Tak dalece, że ile razy coś ważnego a wychodzącego ze zwyczajnego trybu życia chciał uskutecznić, miał w obyczaju, nie otwierając się w zupełności, zapytywać Groppiusa, czy to co myśli pożądany skutek otrzyma, a dobra wieszczba podwajała jego ufność w przedsięwzięciu. Zapewne że to, wedle dzisiejszego mniemania, niebyło racionalne, ale każdy wiek ma sobie właściwy sposób sądzenia o rzeczach. A nawet, lubo argumenta dzisiejszego racionalizmu bardzo gruntownie przekonywają, że astrologija była tylko podaniem baśni, i że gwiazdy niemogą mieć najmniejszego wpływu na przeznaczenia ludzi, wszakże to jest rzeczą niewątpliwą, że astrologija za sobą postawić może niezaprzeczone fakta.

Stefan Batory siedział zamyślony, a starzec rozwijał swój temat ulubiony, o szkodach które nauka poniosła od systematu przez Kopernika wymyślonego; systemat przeciwko któremu tak dzielnie powstawał Tycho Brahe; i właśnie był w największym ferworze swojego opowiadania, kiedy Xiążę raptownie powstał i odezwał się z pośpiechem: — A to on, nieinaczéj, to Bekiesz!

W saméj rzeczy, rycerz w całkowitym rysztunku, a za nim giermek pokazali się u wrót zamkowych. Sam mistrz Groppius poznał że wypada na swobodniejszy czas odłożyć koniec swojéj wymównéj i uczonéj rozprawy, ażeby od Xięcia być z uwagą słuchanym. I nizko się skłoniwszy rzekł:

— Zostawuję Vestram celsitudinem, bo wiém że Pan Bekiesz ważne i pomyślne rzeczy przynosi. A stary Groppius wam niepotrzebny. Powlekę się do mojego laboratorium, poki dzień przyświeca, zajmę się wielkiém odemnie rozpoczętém dziełem — wynalezienia jedynego lekarstwa na wszystkie niemocy ludzkie. Było one znanem Theophrasto Paracelso, tylko że tajemnica jego składu już zatraconą została. Znalazłem w pismach Magni Alberti, że aqua roris jest głównym agentem tego dobroczynnego środka; do czego w równéj proporcii dodać trzeba spiritusu magnani-

mitatis Na tém się rzecz rozbija co on rozumie przez: spiritus magnanimitatis. — Bo mędrcowie in scientiis occultis wyraźnie wypisać się niemogą, w słusznéj obawie żeby źli ludzie ich wynalazków nienadużywali. Ja myślę, celsissime, że spiritus magnanimitatis jest nic innego tylko aurum potabile. Cała więc rzecz, żeby złoto przyprowadzić do stanu płynu. I nad tém od roku się męczę. A jak słońce zajdzie, — bo pomimo mojego uszanowania dla Pana Kopernika, nigdy się niedam przekonać żeby było nieruchawe, — a gwiazdy się pokażą na utwierdzeniu niebieskiém, będę śledził ich obrotów, azaliż nie dowiem się jeszcze czegoś pomyślnego dla Waszéj Xiążęcéj Mości.

Starzec wyszedł, a Pan Bekiesz stanął na progu. Xiążę powstał na jego powitanie, a wierny sługa przyklęknąwszy, rękę pańską przycisnął do ust swoich. Stefan go podniósł i wziął w swoje objęcie, poczém rzekł:

— Przybyłeś do mnie tak uzbrojony, jakbyś chciał na mnie napadać.

— Ani chwili stracić niechciałem, spiesząc do Najjaśniejszego Pana z pomyślnemi wiadomościami.

— Naprzód siadaj i zdejm przynajmniéj szyszak, bo musisz być zmęczony

— O mnie niema co myślić, są ważniejsze rzeczy. Król Henryk uciekł z Polski, jak tylko dowiedział się o śmierci brata. Już to od dawna wiadomo Waszéj Xiążęcéj Mości. Panowie Tęczyński i Zebrzydowski byli się za nim puścili w pogoń, i na saméj granicy Szlązkiéj go dopędzili. Było tam wiele gadania, koniec-końców Król niechciał wrócić, ale najsolenniéj przyrzekł powrót swój za sześć miesięcy; nawet pieczęć koronną z sobą zabrał. Owoż tedy nie sześć ale omal nie cały rok na niego czekano w Polsce, aż nakoniec niemogąc się doczekać, drugi tydzień temu jak Xiążę Prymas ogłosił bezkrólewie.

— I jacyż są kandydaci do Korony Polskiéj.

— Różni; między innymi Car. Ale największe robi zabiegi Cesarz Rzymski, żeby ku sobie, lub ku synowi swojemu skłonić głosy, i nieskąpi wszystkim obietnic. Rozenberg, czyli jak go Czechy i Polacy nazywają, Rożogorski,

który ma w Polsce wiele wziętości, jest umocowanym od Cesarza na przyszłéj elekcji.

— Więc jest rzecz skończona, Cesarz Rzymski zostanie Królem Polskim, a wtedy nam już nic niepozostaje, tylko wybór między dwóma jarzmami; które lepsze — Niemieckie, czy Tureckie? które byś wybrał Bekieszu?

— Żadnego! Jeszcze Cesarz nie jest Królem, i wątpię żeby nim został, choć ma wielu Panów za sobą; bo szlachta Litewska i Ruska, ani słyszéć o nim niechce. Jak to często bywa, inter duos litigantes, tertius gaudebit. I mam przekonanie że lada chwila, Waszéj Xiążęcéj Mości będę mógł powinszować korony Polskiéj.

— Gdzież-by mnie ubogiemu Xięciu myśléć o skłonieniu głosów, mając przeciw sobie tak potężnych współzawodników.

— Najjaśniejszy Xiąże wyobrazić sobie niemożesz, ile masz stronników w Polsce. Pan Jan Zamojski, lubo się dotąd niezdeklarował za nikim, szczerze pracuje dla Waszéj Xiążęcéj Miłości. Z jego rady opuściłem Kraków. On mnie powiedział: Xiążę Prymas ogłosił bezkrólewie, a więc Waszmość co najprędzéj wracaj do Hermansztatu, i oświadcz Xięciu Stefanowi żeby był w gotowości. Jak będziesz tu siedział, podejrzenie wzbudzisz między Rakuzczykami, że dla swojego Pana pracujesz, i będą się mieli na ostrożności. Ale niech-no szlachta rozpryska się między podanymi kandydatami, nastąpi kłótnia, jedna partia drugiéj ustąpić niezechce, a jak wystąpim z nowym kandydatem, ich wszystkich pogodzim. U nas niespodziany zawsze lepszy. Cała rzecz ażeby wytrzymać. Bo jak partje się pokłócą, a czasu namarnują, przyjdzie do tego, że każdy zatęskni się za swoim domem, i na każdego pozwoli, byle nie na takiego którego partja przeciwna prowadzi. Wtedy dopiéro będzie pora nam się odezwać. Trzeba tak rzecz wykierować żebyśmy swoje zrobili, ażeby każdemu się zdawało że na swojém postawił, niedopuszczając narzuconego kandydata. Ja mam kilka tysięcy szlachty za sobą, a żaden z nich niewie co myślę; owszem raz mówię za Carem, raz za Cesarzem, niby chcąc ich skłonności wyrozumieć. O Xięciu Stefanie ani wzmianki. Gdybym zawcześnie się za nim odezwał, moiby powiedzieli że im

chcę narzucać kandydata. A wiesz jak nasza szlachta dumna. Ale niech-no ja pomiarkuję, że już nadszedł punkt culminans zwady, i że się zabierają szable wydobyć z pochew, a naczelnicy stronnictw, tak się wygadają że aż ochrypną; wtedy ja ze świeżym głosem wystąpię, jednego po drugim wszystkich kandydatów pod nieba będę wynosił, dla skaptowania ich przyjaciół, a potém skończę: że między tak doskonałymi mężami niema sposobu wyboru uczynić, a więc czyby się im wszystkim niezdało by na innego jednomyślnie zezwolić. Szlachta się zaraz uciszy, i będą się odzywać głosy: a kogo, kogo? Dopiéro ja im podam różnych z grona obywatelstwa naszego, — bo wiém że na żadnego z nich niezezwolą; a potém jakby z niechcenia rzucę nazwisko Xięcia Stefana... Mam w Bogu nadzieję, że na szczęście Rzeczypospolitéj, wszystkie partje na niego się zgodzą, bo u nas cała rzecz na cierpliwości i na wytrzymaniu. Tego prawidła zawsze się trzymając, chociaż nie jestem magnatem, między szlachtą otrzymałem ufność, że magnaci radzi nie radzi muszą mi się kłaniać.

— Poznaję Zamojskiego — vir belli et consilii. Jakem go poznał, zaraz powiedziałem że wysoko pójdzie. Powiedz-że Bekieszu, kto tam réj wodzi Rakuzanom?

— Jak zawsze, dom Zborowskich, Najjaśniejszy Xiążę. Jednak i on musi być za nami. Bo niema podobieństwa żeby Cesarz się utrzymał. Gdyby w Polsce pluralitas votorum rozwiązywała losy kandydatów, niezawodnie Car by przekreskował Cesarza; bo szlachta Litewska i Ruska jemu duszą i ciałem oddana. Ile że rozeszła się między nią pogłoska, że Zygmunt August umierając, instynktował otaczającym jego śmiertelne łoże Panom, ażeby po jego śmierci Carowi koronę powierzyli. Wszakże ona wie dobrze, że do tego żadnym sposobem szlachta koronna się nie skłoni; a każdy boi się zostać przyczyną wojny domowéj i rozpadnienia Rzeczypospolitéj na części, i tak dość słabo spojone z sobą. Jeżeli więc dla pojednania umysłów, Pan Zamojski w swoim czasie poda Waszą Xiążęcą Mość na kandydata, wątpić nie można że Panowie Zborowscy pierwsi popierać go będą; ile że ich brat, Pan Samuel, bawi na dworze Miłościwego

Xięcia, i w listach swoich do braci szczyci się jego życzliwością. Powszechnie mówią w Polsce że umiał sobie zjednać szacunek i łaskę Waszéj Xiążęcéj Mości. Czemu chętnie wierzę, bo znam go osobiście. Nawet na ostatnim turnieju Krakowskim, pod jego dowództwem walczyłem, gdzie szczególnie za jego sprawą odnieśliśmy zwycięztwo.

— Wiem o tém, a nawet i to że Zamojski niechciał siebie wpisać w poczet zapasników, ani się nawet znajdywał między widzami, na tych krwawych igrzyskach. W czém pokazał się roztropniejszym od was. Jutro odnowisz dawną twoją zażyłość z Panem Samuelem Zborowskim. On, kiedy przybył do Hermansztadu, miał wielkie prawo do uprzejmości mojéj. Vir generosus, audax, hostium debellator. A miałem dla niego obowiązki wdzięczności. Bo moją Gryzeldę, wracającą z jéj ciotką Xiężną Rascji z pielgrzymki Kijowskiéj, zasłonił od napaści kozackiéj i tatarskiéj, Sicut alter Achilles, rozbił obóz Tatarów, ich wszystkich zabrał w niewolę, swoich rodaków w jassyr zajętych, a mnie nie mało jeńców bissurmańskich posłał w darze, za których wszystkich moich poddanych wykupiłem z Krymskiéj niewoli. Kiedy stawił się przedemną cum amplexu wynurzyłem mu moją wdzięczność. Jest-to rycerz z szlachetném sercem, z dobremi skłonnościami, ale tak burzliwy, że wątpię iżby z niego był wódz dobry.

— Mówią powszechnie, że piękna Gryzelda podbiła jego serce.... Na turnieju nosił szarfę z jéj ręki otrzymaną w nagrodę świetnéj usługi, co ją dla niéj dopełnił, i że się stara o jéj dozgonną przyjaźń.

— Tak mówią.... i to mi nie jest tajno.... Wszakże, dzięki Bogu, wolno mi o tém niewiedzieć. Kiedy się przed nią stawił, w mojéj przytomności złożył u jéj nog nagrodę którą otrzymał na tym waszym turnieju. Jest-to stosowne do praw rycerskich, a które od zachodu i do nas się wprowadziły. Wedle obyczaju błędnego rycerstwa, przyjęcie takowego upominku do żadnéj wzajemności serca niezobowiązuje. Rozpowszechnionym niedorzecznościom i roztropni muszą ulegać, póki one same z siebie nie upadną. Ale niech to co mówię ciebie nie obraża, Bekieszu, bo wiém że ty wierzysz robu-

stissime w to wszystko w co wierzą passowani rycerze. Dla ciebie turniéj jest przedmiotem najwyższéj czci, i radbyś ciągle na nich się popisywać. I ja przecie jestem rycerzem passowanym z ręki Betlem Gabora... Nie krzywię się na Samuela że z przyzwoitością zaleca się mojéj synowicy, bo moja w tém rzecz, ażeby z tego nic się niewywiązało. Ale jako nigdy w szczupłém mojém Państwie nie pozwoliłem na żaden turniéj, tak, jeżeli Bóg mnie powierzy kiedy obszerniejsze ludy, nie dopuszczę ażeby z przelewu krwi chrześcijańskiéj robiono sobie zabawę. I podwoiłem mój szacunek dla Pana Zamojskiego, jak się dowiedziałem, że chociaż w dzielności nikomu nie ustępuje, a jednak niechciał brać uczestnictwa w tych krwawych zabawach, niejednokrotnie naganionych od zwierzchności Kościelnéj. I Król Henryk wolałby był prowadzić Polskie rycerstwo do odzyskania zwierzchności nad Multanami i Wołoszą, niż rozdawać cacka tym, co kaleczyli siebie na Kleparzu.

— A któżby, Miłościwy Xiąże, nie przełożył prawdziwéj wojny nad wszelkie rycerskie igrzyska, które dla tego tylko nam są miłe, że w czémkolwiek wojnę przypominają. Ale sądząc z tego co Wasza Xiążęca Mość dopiéro raczyłeś mnie powiedzieć, widzę że biedny Samuel wielce się zawodzi w nadziejach swoich. Bo w listach do swojego brata, Marszałka Koronnego, ciągle się z niemi wynurza. A ten brat pochlebia sobie że potężny dom Zborowskich spokrewni się z panującym rodem Batorych. I to właśnie jest powodem że tak słabo popiera kandydację Cesarza Rzymskiego. Bo chociaż zawsze głosi się być jego stronnikiem, a nawet jest głową jego stronnictwa, nikt niepoznaje ani jego zręczności, ani dawnéj jego czynności. Kiedy, jako u pierwszego Ministra Rzeczypospolitéj, byłem u niego na pożegnaniu, on wziął mnie na stronę, i z wielką otwartością do mnie mówił o swoich achdokwi dla brata. Wystawiał przedemną ogactwa ich domu i potęgę, ilość jego zwolenników; że chociaż jest tylko szlacheckim, wszakże w świetności nieustępuje panującym, i że żaden Król Polski niemający tego domu po sobie, na Tronie nie poczuje siebie być bezpiecznym. Chciał na wzajem mnie wyrozumieć, czy może

mieć jakąś nadzieję dla brata ze strony Waszéj Xiążęcéj Mości: czy jego brat wzgardzonym zostanie, czy owszem będzie mu kiedyś można powinszować tak wysokiego szczęścia.

— A ty co na to odpowiedziałeś?

— To co mogłem powiedzieć... Jako rycerz, kłamanemi słowy siebie nie zasłoniłem, ani miałem nawet potrzeby niemi się zasłaniać. Powiedziałem, że widoki Waszéj Xiążęcéj Mości względem jego dostojnéj synowicy nie są mi znane. Ale że go słyszałem nieraz z tém się odzywającego, że dla Xiężniczki Gryzeldy, którą uważa być córką swoją, nie pragnie Xiążęcia panującego rodu, ale męża z krwi szlachetnéj, walecznego, cnotliwego, sławnego w swoim narodzie.

— Dobrześ powiedział Bekieszu, i ja sam nic innego bym niepowiedział.

— A więc nadzieje Samuela nie są płonne.

— I owszem, jeżeli ma jakieś nadzieje, nie może mi wymówić bym go do nich czémkolwiek upoważnił. Szacuję go jako młodzieńca świetnéj krwi, pełnego dzielności i zaszczytów, ale losu mojéj synowicy jemu niepowierzę. Quid virtus sine prudentia?.. Jest to miły szaleniec, ale jakąż rękojmię szczęścia dla mojéj Gryzeldy w nim dopatrzyć mogę. Całe życie jego jest pasmem obłąkania i walecznych czynów. Patrzałeś na ostatni jego postępek w Krakowie, kiedy tak dalece nie umiał owładnąć sobą, że zapomniał o prawach téj Rzeczypospolitéj któréj jest członkiem, o czci którą był winien swojemu Królowi, sam byt swój puszczając na losy — a to wszystko dla prywatnéj urazy. Gdyby nie taki niewieściuch jak Henryk, ale Król godny tego zaszczytu siedział na tronie, czyżby Pan Samuel dawno niebył przypłacił gardłem swoją zuchwałość... Słabości rządu podziękować może, że bawi w Hermanstadzie. A wszakże on jest banitą, wywołańcem, a ja stryj, opiekun Gryzeldy, miałbym ją jemu oddać. Udało mu się wywinąć od kary śmierci, ale wyrok banicji cięży na jego sławie. A i tu, jaka nieroztropność w jego postępkach. Zamiast co by miał myśléć o oczyszczeniu siebie, on jak błędny rycerz przybywa do

mnie, i oddaje się próżnowaniu, kiedy każda chwila powinna by być jemu drogą. Żeby się był udał na swoje Zaporoże, jako wódz bitnego narodu, mógłby świetnemi czynami zatrzeć hańbę wyroku Królewskiego, zasłużyć się téj Rzeczypospolitéj tyle, by aż jéj zwierzchność zniewolić do wejścia z nim w umowy, ażeby zdjąć wszelką tamę jego dalszym korzystnym usługom. On o wszystkiém zapomniał. Napróżno kozactwo wysyłało gońca po gońcu, zapraszając go do powrotu; napróżno do tego go naglił jego wierny Mroczek, — człowiek dla którego wielki szacunek powziąłem; nic jego przemódz nie mogło, aż nareszcie kozactwo sprzykrzywszy sobie bezrząd, a jego niedoczekawszy się, ogłosiło drugiego Hetmana... I cóż pomogą świetne przymioty, kiedy roztropność niemi nie kieruje!

— To co mówi Miłościwy Xiąże, wszyscy przyjaciele Pana Samuela, nawet jego bracia, powtarzają. Ale jeżeli Wasza Xiążęca Mość inne masz widoki dla Xiężniczki, czy czasem Pan Samuel nie za nadto długo gościł na jego dworze. Bo między innemi wieściami, krąży, że ona nie jest dla niego zupełnie obojętną.

— Być może. Pan Samuel ma wszystko co może skłonić życzliwość dziewicy. Jednak nie myśl żeby z tych zalotów coś się niebezpiecznego zawiązało. Gryzelda niema dla mnie nic skrytego, wie że jéj szczęścia pragnę. Jéj ciotka, Xiężna Rascji, kobieta dobra jak anioł, ale roztropna jak dziecko, uroiła sobie żeby koniecznie ich połączyć. Biednéj Gryzeldzie pokoju nie dawała. I po pierwszém przywitaniu ze mną zaraz wystąpiła z swojemi projektami, jakby coś najmędrszego wymyśliła. A ja ofuknąłem ostro, przekładając że tylko mnie opiekunowi i stryjowi, a nie komu innemu myśléć o postanowieniu Gryzeldy. Takie jéj zadałem ad intendum, że się rozpłakała poczciwa kobieta, aż mi żal się jéj zrobił. Bądź pewny Bekieszu, że w tych wszystkich zalotach Samuela, dla spokojności Gryzeldy żadnego niema niebezpieczeństwa. Ona z krwi Batorych, którzy są wyżsi nad te wszystkie miłostki, tak zajmujące dusze słabe. Dziewki naszego rodu, w małżonkach winne szukać podpory dla naszego domu, mężów zdolnych do rozkazywania ludziom, a

nie błędnych rycerzów, których męztwo i dzielność oprócz trochy osobistéj chwały, żadnego pożytku rzeczywistego nie przynoszą. Mówiłem o tém z Gryzeldą, i znalazłem ją taką jaką być powinna. Nie taiła się przedemną, że gdybym jéj rozkazał oddać Samuelowi swoją rękę, bez trudności była by mi posłuszną; ale bez mojego zezwolenia nikogo kochać nie będzie. To wielce roztropna dziewczyna. W jéj położeniu w jakiém zostawała, pod opieką szalonéj ciotki, kilka razy oswobodzona męztwem gładkiego rycerza, przez tę ciotkę popartego, mogła by zapomnieć co winna swojemu panu, stryjowi, drugiemu ojcu. Otóż nawet najmniejszéj nadziei mu niedała. Ciotka wymogła na niéj że szarfę swoją pozwoliła mu nosić na zbroi, ale ty wiesz, Bekieszu, bo jesteś mistrzem w prawie rycerskiém, że to nie jest upominkiem miłości, ale szacunku; że mężatki, w przytomności małżonków swoich, rycerzom których szacują pozwalają nosić takowe znaki, a przez to nie cierpią na sławie. Musimy się stosować do obyczajów przyjętych, jakkolwiek ich pochwalać nie możemy. A nieuwierzysz ile to było przykro dla dziewczyny, że w Krakowie ogłosił siebie być jéj rycerzem. Kiedy jéj oddawał nagrodę którą otrzymał na waszym turnieju, ona go przyjąć niechciała, póki ja sam do tego ją nie upoważnił. Cnotliwa i dumna dziewka z Gryzeldy. Już blizko roku jak Samuel ciągłemi dziwactwami okazuje jéj przywiązanie swoje, zadziwia niemi naszych poważnych Siedmiogrodzan; którzy granic ziemi naszéj nieprzekroczyli, a tém samém nieznają obyczajów zachodu. A cóż one i jemu pomogły? Nie może jéj ani jednego słowa powiedzieć którego by kilku nie słyszało; na tańcach zamkowych, ile razy do niéj się przybliży, widzi koło niéj ochmistrzynię która ją o krok nie odstępuje. Bezemnie do Gryzeldy nikt nie trafi, a on nie śmie o widokach swoich otworzyć się przedemną; i to mu zaszczyt robi, widać że kocha poczciwie, kiedy jest nieśmiały; a mnie od niemałéj przykrości uwalnia, bo jest zacnym, a nawet podobał mi się, a jednak musiałbym mu odmówić. Ja o czém inném myślę dla Gryzeldy. Wreszcie to młode, poczekać może. Dziś trzeba tobie dobrze wypocząć, Bekieszu, boś okryty kurzawą jak ugęszczany gościniec

w czasach posuchy. A jutro będziesz z nami hasał; dla moich gości Polskich daję polowanie, Gryzelda ze swoim sokołem na nim będzie się popisywała. Wiesz Bekieszu, że poczet Pana Samuela nie liczny, ale bardzo mi się podobał. Ten Mroczek, co to za godny człowiek, jak przywiązany do Pana swojego, jakie roztropne mu daje rady. Lubię z nim rozmawiać. On mnie nauczył co to jest Zaporoże, bo on jeden go rozumie, niewyłączając jego pana, chociaż tam kilka lat hetmanił. Gdybym został Królem Polskim, czego się niewiele spodziewam, pomimo nadziei które mi tam robisz, niczego bym niezaniedbał, ażeby go do usług moich przywiązać.

— Moje nadzieje o koronie polskiéj dla Waszéj Xiążęcéj Mości, lada dzień w pewność się zamienią. Kiedy byłem na pożegnaniu u Xięcia Wiśniowieckiego, Wojewody Wołyńskiego, najmożniejszego z Panów Ruskich, on mnie powiedział: do zobaczenia, bo jak mi się zdaje, wkrótce tu nam przywieziesz Xięcia Siedmiogrodzkiego; pilnuj ażeby do nas przybył w dobrém zdrowiu, a jemu teraz złóż moje ukłony i zapewnienie, że mu gorliwie pomagać będę na elekcji. A Pan Wołyński nie grzeszy wielomóstwem. Ale czy Miłościwy Xiąże pozwoli siebie zapytać, zawołany kopijnik Ezechiel Zdora, miałli szczęście jego uwagę zwrócić ku sobie?

— A to nieoszacowany człowiek, on nie traci czasu na myśleniu. Wyuczył nasze Siedmiogrodzianki tańcować Krakowiaka, a z ich mężami i ojcami pije do upadłego. Mówi że wszystko dobrze w Hermansztadzie, tylko to złe, że turniejów niema. A co się w Polsce dzieje, z nim o tém ani gadaj; tyle tylko o niéj wie, że u jakiegoś Falendysza w Krakowie dobre wino, i że gdyby nie Grody i Ziemstwa, Polska była by rajem. Czasem z nim rozmawiam dla rozrywki, i zawsze mnie rozśmieszy, zwłaszcza kiedy występuje z swojemi projektami. Wywzajemniając się za jeńców tatarskich co mi je Pan Samuel wysłał, kiedy i jemu i jego szlachcie rozdawałem upominki, dostała się Ezechielowi jedna ze zbroi po Skanderbergu, ale tak ciężka, że między mojemi hajdukami dwóch tylko ją przywdziać mogą. Pan

Samuel mnie wtedy powiedział, że niemożna było dla niego szacowniejszego daru obmyśléć. Pan Samuel probował tę zbroję, i tak w niéj chodził swobodnie, jakby była z jedwabiu, co wszystkich naszych niemało zadziwiło. A Ezechiel, chcąc się jeszcze lepiéj popisać, wziął ją potém na siebie, i oświadczył że w niéj Krakowiaka potańcuje. I w saméj rzeczy całą salę obiegł z jedną damą, ale krew mu się puściła z gęby, że ledwo téj swawoli życiem nieprzypłacił. I chociaż jego siła nadzwyczajne wrażenie sprawiła, on tak się wstydził, że nie dość długo dotrzymał, że ledwośmy go uspokoili. Potém radził mnie żebym szedł do Carogrodu, dowodząc że mam ludzi dwójnasob więcéj niż potrzeba do wymiecenia Turków. Osobliwszy człowiek! Półwarjata, hultajowaty, a jednak słowny: obiecał mnie że w czasie swojego pobytu na Siedmiogrodzu żadnéj zwady nie stanie się powodem, i chociaż znany za największego burdę, święcie słowa dotrzymuje. Temu niedziel kilka, dowiedział się że ku granicom Wołoszczyzny kupa rozbójników często się pokazuje, napada na domy obywatelskie i dopuszcza się rabunków i rozmaitych okrucieństw. Pokoju mnie nie dał póki jego niewyprawiłem dla ich uspokojenia. Wyprawiłem piętnastu jezdzców uzbrojonych pod jego rozporządzeniem, i dałem mu prawo postąpić z rozbójnikami jak się jemu podoba. Bardzo dobrze się sprawił. Nieminęło dni dwadzieścia a on ich wszystkich wyłapał i powiesił. To bitny naród ci Polacy, z nimi niewiém czegoby dokazać nie można, byle tylko mieli wodza umiejącego ich prowadzić.

— Takiego wodza znajdą wkrótce w Waszéj Xiążęcéj Mości.

— Wszystko się stanie jak się Bogu podoba. Dziękuję ci za dobre wieszczby. A teraz ciebie odprawiam, bo widzę że już o jedném skrzydle podlatujesz, tak jesteś zmęczony. Nawet z swoją żoną jeszcze się niewidziałeś.

— Przed wszystkiém obowiązek służby, Najjaśniejszy Xiąże!

— Nie od dnia wczorajszego znamy siebie, Bekieszu. Ruszajże sobie do żony, niech ci nagotuje wannę; nic tak nie-

odpoczywa jak ciepła kąpiel. A po niéj, jak się wyśpisz, tak będziesz rzeźki, że choć zaraz potém ruszać na szturm Carogrodu z Ezechielem. A pamiętaj, żeby jutro rano być z nami na łowach.

VIII.

Ledwo jutrzenka obudziła ptastwo do pienia a pracowite pszczoły do roboty, już na zamku Kumiswarskim, robiono przygotowania do łowów. Konie w bogatych rzędach były prowadzone przez giermków, arkiebuziery nadworni z wielkim łowczym jeszcze od wczorajszego wieczora obozowali nie daleko puszczy, obrzuconéj sieciami, a na dziedzińcu zamkowym wszystko gotowe, czekało tylko na ukazanie się Panów.

Pierwsi co wyszli z zamku, byli: Pan Samuel Zborowski, za nim Pan Kaźmierz Mroczek, i Pan Ezechiel Zdora. Wszyscy trzéj zawołani myśliwi, stosownie do obyczajów Polskiego rycerstwa; a prawie razem z nimi pokazał się przy wrotach zamkowych Pan Bekiesz. Na jego spotkanie wybiegł Pan Samuel jako do zażyłego przyjaciela, którego nie raz ugaszczał w Krakowie, a z którym się jeszcze niewidział. Węgierski magnat skoczył ze swojego rumaka by rzucić się w objęcie Pana Polskiego. Oba wziąwszy się pod rękę przechadzać się zaczęli po dziedzińcu, i Pan Samuel już się zabierał wynurzać przed nim stan swojéj duszy, kiedy raptem dźwięk trąb i huk kotłów oznajmił przybycie panującego Xięcia. Pan Bekiesz opuścił raptownie przyjaciela, żeby trzymać konia swojego Pana za cugle, spełniając swój urząd Wielkiego Koniuszego, a Pan Samuel za nim ubiegł kilka kroków, ale stanął jak wryty, na widok Xiężniczki, która oparta na ramieniu swojéj Ochmistrzyni, wolnym krokiem postępowała za swoim stryjem.

Nadobna dziewica miała na sobie strój turecki, szarawary żółte, dołmanik pąsowy wyszyty w potrzeby złote, pas z po za którego wyglądała kindżału rękojeść z kości słoniowéj w koral oprawna; a na głowie zawój z czaplą kitą. Z lekka skoczyła na konia izabellowatego, który tak doskonale był ujeżdżony, że myśli jéj zdawał się zgadywać. Ledwo się na nim pokazała, jéj ulubiony sokół Antar z rąk jéj pazia wleciał na jéj prawe ramię. Był to dar Despoty Rascji, najsłynniejszego ptasznika owego czasu; tém dla niéj droższy, że jéj wuj dostojny sam go wprawił do wszystkich tajemnic ptasiego myśliwstwa, zaczął jego wychowanie od chwili, kiedy piórka tylko co zaczęły się na nim wysypywać, i powtarzał że go układa dla kochanéj siestrzenicy, a razem córki chrzestnéj. Żaden Król podobnego sokoła nieposiadał; nieznał rzemienia, swobodnie latał, siedząc to na ramieniu, to na zawoju swojéj pani, nigdy swojego stanowiska na łowach samowolnie nie opuszczał. Jeżeli spostrzeże na przestworzu błękitném jakiego ptaka, zatrzepoce skrzydłami, a dopiéro za pozwoleniem pani puszcza się z szybkością myśli, znika i ze zdobyczą wraca na rękę Gryzeldy, oczekując w jéj pieszczotach nagrody. Dotąd między ludem Siedmiogrodzkim krążą pieśni o sokole Antarze, a epocha i szczegóły jego skonu pokryte zasypem czasu, wielu pracowitych wyszukiwań i uczonych rozpraw stały się powodem. Ale gdy te usilności nie zdołały objaśnić zadania w sposobie zupełnie zaspakajającym, słyszałem że jeden głęboki filozof niemiecki, nam współczesny, trafił na myśl szczęśliwą, nabywającą u nas powagi, że ten Antar nigdy nie istniał, a tylko jest symbolem narodu Siedmiogrodzkiego. Gdyby ów filozof miał słuszność, wieleż to czapel i kuropatw przedłużyło by swój żywot, w kwiecie młodości przecięty przez tego nielitościwego sokoła, który szczególnie na tém polowaniu okrył się wiekopomną chwalą, i tak świetne okrzyki uwielbienia otrzymał od wszystkich, a szczególnie od goszczących Polaków.

Xiężniczka zażyła konia, i ani wzruszyła się na kulbace, chociaż jéj rumak dwa razy podskoczył; po czém stanęła koło stryja, którego boku już nie opuściła. Xiąże Stefan

patrzał z upodobaniem na zgrabność Gryzeldy, i obracając mowę do Pana Bekiesza: — a cóż, czyż to nie prawdziwy potomek naszego Attylli, który konno zmierzył całą Europę.

— Tak jest, Najjaśniejszy Xiąże, ale tylko przez odwagę, bo co do urody, Attylla w domu Batorych niepoznał-by krwi swojéj. Czytałem w Jornandesie opis szpetności naszych przodków.

— At, bredził poczciwy biskup. Nasi przodkowie byli piękni, bo byli waleczni. Mości Zborowski, — dodał, — ciesz się Waszmość i jego rodacy z nim przybyli, będziemy mieli piękne łowy. Jeszcze wczoraj miałem doniesienie: obrzucono siećmi duży kawał puszczy, a w niéj trzymają w oblężeniu odyńca, olbrzymiego wzrostu, kilka macior i warchlaków co niemiara; a moje arkebuziery stoją za sieciami żeby się przez nie zwierz nieprzebił. Kto odyńca zabije, temu przeznaczam w nagrodę złoty puhar, który otrzymałem od Cesarza Rzymskiego, w czasie jego koronacji na Króla Węgierskiego.

— Najjaśniejszy Xiąże, — rzekł Pan Samuel, — uwielbiam męztwo Xiężniczki Gryzeldy, a lubo go niepodziwiam w potomku krwi Batorych, wszakże bez truchlenia myśléć nie mogę, że się naraża na tak niebezpieczne polowanie.

— Żadnego dla niéj niebędzie niebezpieczeństwa, odrzekł Stefan Batory; — w puszczy co kilkanaście kroków jest pień dębowy, a jak tylko odyniec się zbliży, Gryzelda i jéj ochmistrzyni nań skoczą i spokojnie z niego na odyńca patrzéć będą. Kilka moich myśliwych o krok od nich nieodstąpią. I ona będzie miała strzelbę, jéj palce nie tylko dla igły i wrzeciona, ale i dla dostojniejszych zabaw. Gdybym na polowanie bez niéj wyjechał, nigdy-by mi tego nieodpuściła. Nieprawda, Gryzeldo?

— Bardzo-bym była zmartwioną, bo by mi się zdawało że straciłam łaskę Najjaśniejszego stryja.

— Pochlebnico! — rzekł Stefan, lekko ją uderzając po policzku. — Ty wiesz że tobie niczego nie odmawiam.

Postępował orszak. Stefan Batory po lewéj stronie miał Gryzeldę, po prawéj Samuela Zborowskiego. Za nimi rycerze postępowali, a na końcu kalwakaty, odosobnili się Pan

Kazimierz z Panem Ezechielem, żeby z sobą swobodnie rozmawiać. Pierwszy zaczął Pan Mroczek.

— Wiesz, Ezechielku, że nie można się dziwić naszemu Panu Samuelowi że jest zakochany w Xiężniczce Gryzeldzie, tak że aż dla niéj swoje hetmaństwo Zaporozkie zaprzepaścił. Jest-to mol który mojego serca gryźć nieprzestanie, a jednak jestem wyrozumiały na jego obłąd. Patrz, co to za piękność, jak ten zawój jest jéj do twarzy.

— A piękna, piękna, niema co mówić; a zwłaszcza mnie mężowi Pani Zdorzynéj, nieprzystoi być wybrydnym w ocenieniu piękności. Z tém wszystkiém Bóg z nią, ja tylko podziwiam jéj sokoła, bo o nim ludzie cuda powtarzają. Albo ten jéj koń izabellowaty; jaka zwinność, jaka zgrabność. Gdyby tu był Pan Generał Humiecki, sam by przyznał, że ten koń jest bez ale. Mój Kaziu, ty masz głowę choćby do kanclerstwa, a ja sobie zwyczajnie, at. Ty wszystko umiesz przeniknąć. Jak tobie się zdaje, kto u nas będzie Królem? Wszak w Krakowie agituje się elekcja, gdyż Rzeczpospolita rozstała się z Królem Henrykiem.

— Albo ty go żałujesz?

— Prawdę powiedziawszy, ja nie bardzo żałuję cokolwiek się wydarzyło, bo żal nie cofnie tego co się już stało. Ale że wedle mojego widzimi się Król Henryk był dobrym, z tém się nie taję.

— I cóż w nim było tak dobrego?

— Jużci, choć on nie mówił ani po łacinie ani po polsku, a jednak że był na swojém miejscu, tego sumiennie nie można zaprzeczyć. On lubił turnieje, na których te sensaty dzisiejsze psy wieszają; a bardzo niesprawiedliwie, bo bez turniejów nie może się utrzymać stan rycerski Owoż tedy, żeby nic innego tylko to, że Król Henryk jest wielkim promotorem turniejów, to już by był godnym panowania nad narodem szlacheckim; a trudno zapomnieć i o innych jego cnotach prawdziwie Królewskich.

— Jakież to cnoty?

— A wspaniałomyślność. Jużci, jak prawnicy rozprawiali, to Pana Samuela trzeba było na gardle ukarać. Pamiętasz jak ten utrapiony Pieniążek tego się domagał, a co powie

kilka słów, to zaraz i do xięgi prawa się bierze, żeby dowieść że ma słuszność za sobą. Ja nie wiém jak ja wtedy nieoszalał ze złości. Widziałeś jakie były forsy na przeciwko Pana Samuela, a jednak Król niechciał oddać na pastwę bacom i piercom zwycięzcę turnieju. Oto mi Król! A potém jak by niebyło, zna się na ludziach. Naprzykład ten łańcuch co mi go dał, wszak tam kilka funtów złota pomimo roboty, a nadewszystko zaszczyt. Wszakże na całym dworze Xięcia Stefana equitów auratów tylko trzech: Pan Bekiesz, ja, Mistrz Livius Groppius, który ciągle czyta w gwiazdach co się ma stać na ziemi. Powiedz-że sam Kaziu, cobyś ty trzymał o mnie, żebym powiedział, że to jest dla Rzeczypospolitéj szczęście, że my się jego pozbyli. Na to niepozwolę, chociażby mnie szynami rozpalonemi pieczono.

— Wszakże nie my jego, ale on nas opuścił, a więc nic nam nie pozostaje jak myśléć o innym.

— W Krakowie teraz o tém myślą, i może już cóś wymyślili. Wreszcie, niewiem dla czego to mnie obchodzi, bo wiem że ani ciebie, ani mnie nie obiorą. Daj Boże tylko żeby jak zaczną brać na rozum nasi panowie, bo szlachta zawsze za panami pójdzie, — czasem nie sprowadzili nam z zagranicy jakiegoś piecucha, który by im na wstępie pozwolił rozchwytać między sobą wszystkie starostwa, a potém leżał do góry brzuchem.

— Źle trzymasz o panach naszych, Ezechielku, a ja inne mam nadzieje, cóś mi szepce, że Xiążę Stefan Batory tylko co nie widać jak będzie naszym Królem.

— Bardzo-bym się z tego cieszył, bo choć on dał się z tém słyszeć, że nie lubi turniejów, i że ma to za zabawę niechrześciańską; z drugiéj strony jest niezaprzeczenie walecznym rycerzem, doświadczonym wojownikiem, i o tém wątpić nie można, że dla nas obmyśli jakąś wojnę. Do tego jest panem łatwego przystępu. Darował mi zbroję którą omal życiem nieprzypłaciłem. Pan Samuel że w niéj swobodnie chodził, ja, chcąc go zakasować, kaduk mi nadał, że chciałem w niéj pohasać. Zdawało mi się że najwyższa góra Karpacka zwaliła się na moje barki; — nie mam szczęścia

do emulacji z Panem Samuelem... Jednak ten Skanderberg musiał być niepospolity człowiek : na takiego nacierać na ostre, to dopiéro robota. A jednak dalibóg, i przed nim bym się niecofnął, byle-by było bić się o co. Przyznam ci się Kaziu, że człowiek starzeje, już teraz nie ma pochopu bić się na to tylko żeby ludzie mówili : ach jak on się tego bije! i na tém koniec. To rzecz dobra dla panów, jak Pan Samuel naprzykład. Bo pan choć podupadnie, to jak kot zawsze pada na łapki a to jakiś krewny zamrze, po którym się obłowi, a to od Króla nachwyta Królewszczyzn; ale my szlachta, czego własnym przemysłem nie zdobędziem, to nam samo z siebie w kieszeń nie wpadnie. Ot ja naprzykład, ani wiém, ani chcę wiedzieć kto moim krewnym, bo wiém że gdyby morowe powietrze ich co do nogi wymiotło, po nich wszystkich niedostałoby się z czego cztéry podkowy sprawić mojemu koniowi. Kiedy kto się przypytuje do mojéj koligacji, aż mrówie przechodzi po mnie, bo pewny jestem że do kieszeni zaziera. Ty, Kaziu, jesteś dla mnie prawdziwie ojcem, a nie domyślasz się ile mam dla ciebie powodów wdzięczności.

— I cożem tobie tak dobrego zrobił?

— O to, że gdybym ciebie nie kochał, tak że mi tęskno kiedy ciebie niewidzę, nigdy bym się z wami nie puścił na wędrówkę. A tylko bym lawirował żeby się nie zaczepić o Panią Chorążynę Zdorzynę, która mnie aż w Kosmyrzowie znalazła A teraz myśl tak swobodna, że kiedy człowiek się z rana przebudzi, to cieszy się że jeszcze żyje. Jednak przeczuwam że moja magnifica, mnie się niedoczekawszy, musiała moje stado przerobić na talary, bo to nie z takiego rodu jak Xiężniczka Gryzelda, co to na koniu siedzi jak Zaporożec, aż miło patrzéć. Moja, to zwyczajnie zadrypana gospodyni : aby tylko krowy były zdrowe, a na konie stadne patrzy jak ja na jurystę. Nic by niebrakło jak to, żeby się pozbyła mego stada. Ale ja na te przygody filozof. Jeszcze się nierozeszło to co się zarobiło na ostatniéj wyprawie przeciwko rozbójnikom, a co mi obywatele tameczni ponadawali upominków!.. Jednak trochę za gorąco postąpiłem z tymi hultajami; żałuję że ich wszystkich ka-

załem powiesić. Żebym niektórym pozwolił uciec, znowu by to teraz rabowało, a Xiąże Stefan pewnieby mnie na przeciwko ich posłał. Szkoda, ale może da Bóg, że inni się narodzą.

— Rada gęba, kiedy pan śpi. Jak tobie nie wstyd, Ezechielku, takie pleść androny.

— Tylko nie łaj, mój Kaziu, bo do ciebie stracę śmiałość. A jak odwyknę przy tobie głośno myśléć, cóż ja będę wart. Że ty niedbasz o żadne akcydensa, to nie wielka sztuka; ty jesteś tak wzięty, że choć o sobie nie myślisz, inni o tobie myślą. Xiąże Stefan dał się z tém słyszéć, że gdyby był Królem Polskim, to by zaraz przywiązał ciebie do swojéj osoby; a że sam mówisz że na to się zanosi, więc porządne starostwo masz jak w kieszeni, i to tymczasem tylko. Bo ciebie Senatorskie krzesło nie może ominąć. A mnie żyć i zgnić w rycerskim stanie: gdzie, jak sam o sobie niepomyślę, to na bardzo suchym kęsie poprzestać trzeba będzie. Albo to moja żona spyta się, czy mam co jeść i w czém chodzić? Chociaż wszystko moje, ale coś spadek po moim ojcu nie na rękę mi poszedł; nawet Szerszeń nie daje wiedzieć o sobie czy jeszcze żyje, czy już umarł. Już i Kosmyrzów moja opętana baba musiała zagarnąć; albo ten kiep Szerszeń, choć żyw, umiał się bronić? Jednak jeżeli skrewił, dotrzymam mojéj obietnicy: niech się pożegna z swojemi uszami, jak tylko powrócę do Polski. Bo to nie jest w moim obyczaju żebym słowa niedotrzymał... Zresztą kaduk bierz moje dziedzictwa: wiém że one nie ominą mojego chłopca. A ja sobie jakoś dam radę póki kości są całe, choć grosz się mnie nietrzyma. Żeby z miennicy wychodziły pieniądze czworoboczne, możeby z nich była dla mnie dłuższa pociecha, ale djabli nadali że biją okrągłe, jakby na to umyślnie żeby się toczyły. Co też to ja pieniędzy namarnował, a pytaj na co! Maciek zrobił, Maciek zjadł. Tylko i to prawda że kiedy jestem przy pieniądzach, czuję że nie mam tyle odwagi jak kiedy jestem goły.

— A więc jak widzę, Ezechielku, te twoje zdobycze na

rozbójnikach, już się muszą mieć ku ostatkowi, że tak tęsknisz za nową wyprawą.

— O! nie, jeszcze połowa tego co się zarobiło nie poszła między ludzi. Ale widzisz co ludzie gadają, to i wygadają. Jak Xiąże Siedmiogrodzki zostanie Elektem, nie tracąc czasu ruszy do Krakowa i nas z sobą zabierze. Człowiek rad by swoim pokazać się nie jak charłak, ale z miną gęstą. Już trzech Węgrzynów zawerbowałem do mojéj służby; ani koń wiatrem tyje, ani na pokrycie jezdzca pióra rosną: wszystko to kosztuje. Ale ty wiesz że u nas dworno się pokazać to zaraz i dobre mniemanie. Człowiek rad by się jeszcze przed szlachtą popisać z jakiemiś preciozami, żeby źli ludzie nie myśléli że człowiek na Siedmiogrodzu pasł świnie, uczciwszy uszy, jak marnotrawny syn Ewangelii. Bo każdy ma swoich nieprzyjaciół, a ja więcéj niż kto inny, bo nie jednemu zalałem topione sadło za grzbiet. A czy uważałeś co Xiąże Stefan dopiéro powiedział... Wiesz Kaziu, że z tego polowania może być dobra sprawa.

— Do czego to mówisz?

— Albo niesłyszał jak Xiąże obiecał, że kto odyńca zabije, dostanie puhar złoty który wyszedł z rąk Cesarza Rzymskiego. Musi to być coś wielce szacownego. Oj żeby mi się udało tego odyńca powalić! I dla czegoż-by mi się to nie miało udać. Strzelam dobrze, a nie trzeba mnie uczyć jak oszczepem ugodzić. Nie tacy to myśliwi Siedmiogrodzanie żebym się obawiał z nimi stanąć w spółzawodzie, ile że przez grzeczność nam jako gościom będą ustępowali strzały. Pan Samuel i ty dla mnie straszni. A Bogiem a prawdą tylko ciebie się boję. Bo Pan Samuel jak się zacietrzewi nad swoją Xiężniczką, to i zwierza prześlepi. Ale ty daj mi słowo, że jeżeli odyniec będzie bliższy mnie niż ciebie, że ty do niego nie strzelisz, a ja na wzajem przyrzekam na honor rycerski, że tak z tobą postąpię. Co mamy sobie przeszkadzać, wszak to my towary z jednego sklepu... Czy zgoda?...

— Zgoda! masz na to rękę.

Kiedy tak rozmawiali, zbliżali się do jeziora które dotykało puszczy, gdzie na nich czekał wielki Łowczy, i gdzie

się spodziewali obfitego żniwa myśliwskich wawrzynów. Błękit niebios okazywał tę przezroczystość, tak rzadką na północnéj stronie Karpatów. Na całém górném sklepieniu oko upatrzyć nie mogło ani drobnéj plamki, a jednak coś być na niém musiało, kiedy Antar raptownie zastrzepotał skrzydłami, a wszyscy jezdzcy zatrzymali się. Xiężniczka dała hasło, ptak zerwał się z jéj ramienia, pokołysał się chwil kilka, ważąc swoje skrzydła po nad głowami swojéj pani, potém wzniósł się w górę z szybkością strzały, z cięciwy Nogajskiéj wypuszczonéj, i wkrótce, wedle pięknego wyrażenia Niemeńskiego wieszcza, roztropił się w błękicie. Wszystkich przytomnych oczy podniosły się ku niebiosom, kiedy raptownie pokazał się naprzód punkt czerniejący się, który coraz się powiększał, aż nad nim i drugi się pojawił. Pierwszy przed wzrokiem widzów stopniami wzrastając okazał nakoniec ptaszka: można było już w nim rozpoznać skrzydła; drugi punkt jeszcze nieprzybierał żadnéj postaci.

— A to czapla! czapla! — zaczęli krzyczéć giermkowie. Już i Antara skrzydła rozpoznawać się dają. Wkrótce i tyran powietrzny i jego przyszła ofiara, w całéj okazałości się pojawili. Tu nastąpiło najciekawsze widowisko. Czapla, widząc że na próżno usiłuje uciec od rączéj pogoni, chwyta się z rozpaczy ostatniego środka; jak niegdyś ściśnięci Trojanie, zdała się powiedzieć sobie: Una salus victis, nullam sperare salutem. — Rozpuszcza skrzydła, grzbiet odwraca ku ziemi, i nadstawuje ostrego dzioba, ażeby nieprzyjaciel w niecofnionym zapędzie na nim się przebił.

Piękna Gryzelda, na widok niebezpieczeństwa grożącego jéj ulubionemu ptakowi, zbladła: wszyscy widze duch wstrzymywali w piersiach, czekając biciem serca rozwiązania téj walki.

Ale doświadczony Antar nie dał siebie omamić fortelem na jego zgubę użytym. Zatrzymał się w pogoni, i na nowo wzniósł się do góry, śledząc obrotów swojéj zdobyczy. Czapla długo obmyślonego stanowiska nie zmieniła, z oka niespuszczając wznoszącego się nad nią napastnika. Aż nakoniec znużona wróciła do dawnego polotu, ażeby cokolwiek sił odzyskawszy znowu dzioba nadstawić. Ale ledwo przenikliwemu Antarowi grzbiet pokazała, ten jéj niedał

czasu do odnowienia tak dla siebie niebezpiecznego oporu. Rzucił się na nią, szpony swoje wkorzenił w jéj grzbiecie, a swoim ciężarem ją przywalając, razem z nią padł o kilka kroków przed jezdzcami.

Okrzyk powszechny odpłacił zwycięztwo, tém świetniejsze, że czapla miała siedm piór na głowie. Giermkowie przyskoczyli, schwycili czaplę ze szponów Antara, który natychmiast wleciał na rękę Gryzeldy, uradowanéj ze zwycięztwa swojego ulubieńca, a która radość swoją wynurzyła ptakowi najtkliwszemi pieszczotami.

Czapla, chociaż on był jéj wnurzył śmierciodawcze groty, nie była tak raniona, żeby aż o jéj życiu rozpaczać. Xiężniczka rozkazała siedm piórek, ozdobę jéj głowy, wyrwać na znak zwycięztwa, ażeby ich użyć na nową kitę którą przeznaczała stryjowi. A własną ręką maścią gojącą obsmarowała okrutne ślady szponów Antara, i kazała ją puścić swobodnie.

— W imieniu całego naszego towarzystwa, — odezwał się Stefan Batory, — dziękuję ci Gryzeldo, za przyjemność cośmy ją mieli z twojéj łaski. Niepozostaje nam jak starać się tobie wywzajemnić, i tak zgrabnie powalić odyńca jak twój Antar czaplę. Otoż i kres naszéj wyprawy. Dopomóż nam Boże, za przyczyną świętego Huberta.

Tu przeżegnał się; a za przykładem Xięcia toż uczynili wszyscy myśliwi, oprócz Pana Samuela i Ezechiela Zdory.

Wielki Łowczy z kilku arkiebuzjerami czekał na przybywających gości przed drożyną która prowadziła głębią puszczy aż do ostępu okolonego przez kilka tysięcy narodu, który wedle owczasowego obyczaju, za ziemię co ją dla swojéj korzyści uprawiał, innego ciężaru nie poniósł, tylko straż dzikiego zwierza i gotowość do stawienia się w puszczy, ile razy Xiąże zechce użyć łowieckiéj zabawy.

Xiąże i wszyscy zsiedli z koni, i za przewodem Wielkiego Łowczego udali się ścieżką konarami rozłożystych buków przegrodzoną od promieni słońca. Nakoniec, po dwugodzinnym pochodzie, stanęli przy obławie.

Stefan Batory, doświadczony łowiec, od tego zaczął, że chciał się upewnić czy ostęp należycie ściśniony. Zbliżył

się do koła, sam stanął między dwóma obławnikami, i wręczył swoją myśliwską trąbkę strażnikowi po prawéj stronie stojącemu, który natychmiast ją oddał sąsiadowi swojemu. Z rąk do rąk trąbka podana, wkrótce zwrócona została Xięciu przez strażnika który stał po jego lewicy.

— Ostęp ściśnięty należycie, — rzekł Xiąże; — proszę Panów do środka za sobą.

Ścieżka prowadziła do obszernéj posieki, na któréj gdzie niegdzie były pnie — szczątki niebotycznych dębów, na to zostawione, ażeby w razie niebezpieczeństwa, myśliwy mógł na nie skoczyć, i tém ochronić żywot swój od wszystko przed sobą rozcinającego kła. Polowanie na odyńca wymaga nadzwyczajnéj przytomności. I nie bez słuszności na naszéj świętéj Litwie jest przysłowie, że na niedźwiedzia trzeba iść z felczerem, a na dzika z xiędzem. Dzik ruszony przez kundysów, téj posieki ominąć nie mógł, i sam Xiąże na niéj porozstawiał myśliwych. Pan Samuel upominał się żeby mu wolno było stanąć przy Xiężniczce i jéj ochmistrzyni, razem z dwóma doświadczonymi arkebuzjerami, którym Xiąże poruczył jéj straż. I lubo widać było że to się Stefanowi niepodobało, wszakże nie sprzeciwił się woli tego którego ugaszczał. Dostojniejsi myśliwi rozstawili się o trzydzieści kroków jeden od drugiego w pół kole, od strony przeciwnéj téj, którą zwierz napędzony od kundysów i dojeżdżaczów, miał się pokazać. I tak, Xiężniczka i jéj mały orszak po prawéj stronie patrzéć mogli na Pana Kaźmierza Mroczka, po lewéj, na Pana Ezechiela Zdorę; potém Pan Bekiesz, daléj inni magnaci Siedmiogrodzcy; a sam Xiąże na lewém skrzydle zamykał obszerne pół kole. Każdy miał strzelbę, oszczep, a że jeszcze ognista broń nie tyle była wydoskonaloną żeby wielką ufność w niéj pokładać, oprócz Stefana Batorego, Samuela i Ezechiela, wszyscy mieli arbalety lub łuki; nawet Pan Mroczek był opatrzony w łuk i kołczan, do których użycia wprawił się na Zaporożu, ile że Xiąże wymówił sobie, żeby aż do pokazania się odyńca, nikt nieważył się użyć strzelby.

Nie długo czekali. Najpierwéj weszła do posieki maciora z siedmiu warchlakami, i powitana została chmurą strzał.

Pan Mroczek sam sześć strzał wypuścił, i każda utkwiła w grzbiet maciory: warchlaki padały pod ciosem grotów. Maciora okryta sterczącemi strzałami, wyglądała jak jeż. Jednak, pomimo sączącéj się posoki, biegła po posiece, zdając się w rozpaczy szukać pomsty nad zabójcami jéj dziatek. A nakoniec Pan Bekiesz, oszczepem koniec położył jéj żalom. Już się zabierali myśliwi wyruszyć z miejsc swoich, żeby z bliska oglądać leżącą maciorę, kiedy gęste a coraz głośniejsze szczekania, oznajmiły zbliżenie się odyńca. Każdy się zatrzymał na miejscu swojém. Była to chwila stanowcza, ale straszna. Pisk rozdartych kundysów, krzyki dojeżdżaczów, szczekania psów zjajanych, wszystko to było przeraźliwe. Nakoniec pokazał się odyniec olbrzymiéj wielkości, i w największym pędzie rzucił się prosto ku téj stronie gdzie stała Gryzelda. Jéj ochmistrzyni od początku polowania stała na pniu, ale jéj wychowanka, ufna w przytomność swoją, zawcześną ostróżnością nie chciała podejrzenia wzniecić o swojéj odwadze. Na widok odyńca puściła z cięciwy strzałę, która w jego grzbiecie utkwiła, ale to jego pędu nie wstrzymało. Odyniec prosto na nią poszedł. Pan Samuel, zawsze przytomny, porwał Xiężniczkę w silne swoje ramiona, a nie bacząc na siebie postawił ją na pniu, na którym stała jéj ochmistrzyni, mimo siebie puszczając niebezpieczeństwo własne. Niezawodnie byłby rozcięty przez odyńca, jedno Pan Mroczek z szybkością błyskawicy opuścił swoje stanowisko, i oszczepem ugodził w bok odyńca tak silnie, że ten odstąpił, i prosto poszedł na przeciwko Pana Ezechiela. Na próżno nietylko strzały z łuków zostały na niego wypuszczone, ale nawet rusznice rzygały na niego swoje pociski: nic go wstrzymać nie mogło. Ruszył w niepohamowanym zapędzie na Pana Ezechiela, który oszczepem próbował siebie zasłonić. Trafił go w grzbiet, ale oszczep się złamał, a odyniec rozdrażniony ugodził go kłem i powalił o ziemię. Wszystkim się zdawało, że Ezechiel na pół rozcięty, na tém polowaniu już zakończył swój zawód rycerski: i byłoby tak w istocie, żeby on był tak lekko wystąpił na łowy jak inni. Jedno że on jeden niechciał się rozstać ze zbroją swoją, nosił ją na sobie pod burką: i ten

jego obyczaj, od którego nigdy nieodstępywał, ocalił mu życie. Kieł burkę na dwoje przedarł, twardy pancerz był uszkodzony, ale przynajmniéj jego skóra ocaloną została. Wszakże odyniec go powalił, a nawet podeptał. Myślano że już po nim, ale wszyscy struchleli kiedy ujrzeli wściekłego zwierza, który zdeptawszy Ezechiela, obces się rzucił ku téj stronie, gdzie stał Xiąże. Pęd jego był tak szybki, że nikt nie miał czasu biedz na ratunek. Nieustraszony Xiąże, z kordelasem w ręku, przykląkł i stanął naprzeciwko rozjuszonego odyńca, kordelas na niego nastawiwszy. Odyniec, zaślepiony w swoim rozpędzie, przebił się na stalowe żądło i padł bez życia u nóg Xiążęcia.

Okrzyk uwielbienia dał się słyszéć po całéj posiece. Xiężniczka Gryzelda pobiegła do stryja, wszyscy się ruszyli z miejsc swoich, nawet Pan Ezechiel powstawszy, nieco chromając wraz z innymi poszedł, by winszować Xięciu tak znakomitego zwycięztwa.

— Widziałem Waści, — rzekł Xiąże do Ezechiela. — w niemałém niebezpieczeństwie, i przyznam się że byłem zwątpił o jego życiu.

— I niezawodnie był bym się z nim rozstał, żeby nie moja zbroja. Nie wiedzie mi się na Siedmiogrodzu, Najjaśniejszy Xiąże. I odkąd żyję, pierwszy raz byłem zdeptany.

— Ale nie masz już na kim się mścić, bo już Waścia nieprzyjaciel leży, i Waścin ząb odwetuje na nim swojéj krzywdy. Odyniec rzadkiéj wielkości, jego głowa godna służyć na uczcie dla tak znakomitych gości. Polowanie nam się udało wyśmienicie. Widzisz, Gryzeldo, że wywiązałem się tobie za twoją czaplę. Możemy teraz myśléć o powrocie i oddać się miłéj zabawie, jako debellatores ferarum. To tylko rozsądzić trzeba, komu się należy puhar przyobiecany zwycięzcy.

— A jużci, — powiedział Pan Ezechiel, — on nie powinien wychodzić że skarbcu Waszéj Xiążęcéj Miłości, bo któż tu oprócz niego jest zwycięzcą!

— Non decet samemu sobie dawać nagrodę. Mości Panie Mroczek! jak powrócim do Kumiswaru, raczysz ten puhar przyjąć z rąk moich. Dobrze zauważyłem, że kiedy Pan

Zborowski rzucił od siebie i strzelbę i rohatynę, żeby moją Gryzeldę na bezpieczném położyć miejscu, byłby życiem opłacił swoją szlachetną posługę, gdyby nie przytomność Waszmości.

Skłonił się ledwo że nie do saméj ziemi Pan Kazimierz na te słowa Xiążęcia.

Daléj, obracając mowę do Ezechiela:

— Waścina zbroja trochę uszkodzona, trzeba ją oddać mojemu płatnerzowi; ale żebyś nie miał powodu żałowania żeś podzielał moją zabawę, przyjmiesz z rąk moich jedną z tych dziesięciu zbroi, com je sprowadził z Wenecji tego roku. Zbroja lekka, a która się przyda Waszmości.

Pan Ezechiel padł do nóg Xięciu, po czém powstał, i skoczył; poczém powiedział: — Trochę chromałem po niegodziwém obejściu się ze mną tego wroga, co tu leży przed nami; ale po łaskawéj obietnicy Waszéj Xiążęcéj Miłości, wszelki ból ustał. Już to mam drugą zbroję z łaski Najjaśniejszego Xięcia, którego obym mógł nazwać moim Krolem i jemu pokazać, że te zbroje nie gnuśne barki będą pokrywały, ale ku jego sławie i potędze będą obrócone.

— Wiém, Mości Panie Ezechielu, żeś wart nosić tę zbroję, i dla tego właśnie jemu ją przeznaczyłem.

Poczém Xiąże kazał rozstawić namiot, gdzie przepyszne śniadanie pokazało się dla dostojnych łowców. Tam parę godzin przeszło w miłém obcowaniu, zakrapianém tokajem; nad którym szczególnie Pan Ezechiel się unosił, tak dalece, że kiedy dano hasło żeby wracać do Kumiswaru, nie bez żalu kończył biesiedowanie, które-by rad do dnia jutrzejszego przedłużyć.

VIII.

W Zamku Kumiswarskim była przygotowana uczta dla myśliwych.

Stefan Batory, stosownie do obietnicy, puhar złoty z prześliczną rzeźbą oddał Panu Mroczkowi, a zbroję Panu Ezechielowi, który na jéj widok zapomniał o swojéj niefortunnéj przygodzie, a nawet o bolu co go doświadczał potrosze. Daléj, Xiążę dziękował Panu Samuelowi, jako wybawcy pięknéj Gryzeldy.

Za stołem udało się Panu Samuelowi, zająć miejsce obok niéj. Zamierzał jéj otwarcie wynurzyć swoje uczucia, jednak długi czas nie umiał przerwać milczenia. Ów dumny, niewstrzymany w zapędach młodzieniec, czuł się bojaźliwym w obliczu młodéj dziewicy. Nakoniec odważył się wyrzec te słowa:

— Prawdziwie, Pani, muszę mieć jakieś wielkie zasługi u Boga, że tyle razy mnie pozwolił być jéj pożytecznym.

— To prawda. rycerzu, że bez ciebie kilka razy straciłabym życie, albo wolność, która jest darem jeszcze droższym niż życie. Przyjm najtkliwsze moje dzięki, i bądź pewny że czuję iż niczém odpłacić nie mogę tego, coś dla mnie uczynił.

— Ach! Pani, wdzięczność jest to uczucie tak zimne, tak słabe, że do czynów cokolwiek szlachetnych nie może być bodźcem.

— I owszem. Bo czémże inném siebie można związać.

— Pani, czas mówić otwarcie. Może byłem nadto zu-

chwałym, ale moje uczucia nie są mi podwładne. Pochlebiam sobie, że te uczucia zdołają otrzymać od Pani coś więcéj niż wdzięczność za to, co osoba dla któréj byłbym nienawistnym, miała-by prawo odemnie oczekiwać. Zgwałciłbym honor rycerski, gdybym z narażeniem własnego żywota, nie biegł na ratunek każdego zostającego w niebezpieczeństwie. Nieprzyjaciel mój miałby prawo do mojéj pomocy. A dopiéroż... Nie do usług więc przezemnie uczynionych, ale do uczuciów moich się odwołuję. Czyż one nie zdołają zmiękczyć jéj serca, czy żadnéj nadziei mieć mi niewolno.

— Nie mogę, nie chcę nawet ciebie rozumiéć, rycerzu. Bo jeżeli macie prawa, których bez hańby gwałcić nie możecie, i my mamy nasze, którym niemniéj winneśmy ulegać. Przyjm moje najczulsze dzięki za to wszystko coś dla mnie uczynił i dopełniaj miarę swojéj szlachetności, nie mówiąc mnie nic takiego, czego, pomimo mójéj wdzięczności dla ciebie, słuchać mi nie wolno.

— Nie Pani, winnaś mnie słuchać. Miłość, którą pałam ku tobie, nie zasługuje na wzgardę. Jeżeli zbyt wysokie moje nadzieje, to jedynie osoby twojéj się tyczy. Nie taję się że jestem wielce zuchwały, starając się o wzajemność najpiękniejszéj, najdoskonalszéj na świecie dziewicy. Ale ta wyniosłość moich nadziei, krzywdy jéj nieprzynosi. Xiężniczka panującego rodu bez zhańbienia siebie, może oddać swoją rękę szlachcicowi Polskiemu. Nie jestem Xiążęciem ani nawet Hrabią, ale obieram Królów, i mogę być Królem obrany. Każdy z nas Królewską koronę nosi w herbie swoim, jako godło udzielności szlacheckiéj. Szlachta nasza często się kojarzy małżeństwy z krwią Królów, i tém jéj nie ubliża. Wszakże niedawno Tarnowski, mój krewny, otrzymał z ręki Króla Zygmunta, córkę panującego władzcy Mazowsza ze krwi Piastów. Jeżeli więc tyle będę szczęśliwy, że Pani pozwolisz mnie się spodziewać — bez wahania się, bez sromu, odważę się głośno prosić o nią tego, kto jéj losem rozrządza. Nie wiém, jakie być mogą jego myśli, ale wiem dobrze że nikt się nie odważy cóś zarzucić domowi Zborowskich. Niech Pani tylko da mnie do tego jaki

zachęt, niech przynajmniéj wyrzecze że ten krok mój ją nie obrazi, — wszak przynajmniéj na to zasłużyłem. Pani milczysz?

— Zdaje się że to milczenie jest najwłaściwszą odpowiedzią.

— Więc Pani mną pogardzasz... jéj wzgarda jest jedyną odpłatą moich uczuciów, którémi pochlebiałem sobie iż zdołam zasłużyć przynajmniéj przelotnie na jakąś łaskawą pamięć.

— Czuję, rycerzu, największą wdzięczność dla ciebie, a co do uczuciów o jakich wspominasz, o nich nie wolno mi wiedzieć. Nadto jesteś szlachetny, żebyś nadużywał téj wdzięczności, tak słusznie tobie należnéj, obrażając mnie mową któréj niepowinnam słuchać. Jesteś mężem szlachetnym, niezcierpiałbyś od nikogo słowa twój honor obrażającego: bądź-że i dla innych równie jak dla siebie samego względnym.

— Czyż moje słowa w czémkolwiek dotknąć mogły honor Pani; czyż już tak nizko upadłem, żeby wyznanie najgoręt-széj, najszlachetniejszéj miłości, mogło aż krzywdzić Xiężniczkę? Zborowski może być nieszczęśliwym, ale chociażby na córkę Królewską podniósł oczy swoje, o zuchwałość posądzonym niebędzie.

— Rycerzu, zaprzestań mnie obrażać, i niechciéj bym żałowała tego, że mam dla ciebie obowiązki. Jesteś rycerzem głośnym na świecie i przez wielkie czyny i przez najszlachetniejsze cnoty. Ja jestem córką i siostrą rycerzów. Pozwól, ażebym, stosownie do obyczajów rycerskich, prosiła ciebie o dań.

— Pani! rozkaż, a przysięgam tobie na godło mojéj tarczy, że dopełnię rozkazu twojego.

— Wierzę ci, rycerzu, boś nigdy danego słowa niecofnął. Śmiało ci wyznaję, że ta powolność twoja, podwaja we mnie wszystkie powody wdzięczności, jakie mam dla ciebie. Pozwalasz dać sobie rozkaz, o którego spełnieniu, bez krzywdy twojéj, niegodzi mi się wątpić. Daj-że mi słowo, że odtąd o żadnych twoich uczuciach mnie nigdy mówić

niebędziesz, póki do tego nie będziesz upoważniony od mojego stryja i pana.

— Ach, Xiężniczko, jakże srogi dałaś mnie rozkaz! Wszakże sumienia rycerskiego nieskażę. Nad życie i miłość droższy mi honor. Ale czy będę nagrodzony kiedyś za taką ofiarę?

— Jeżeli głośne wyznanie najtkliwszéj przyjaźni, chcesz uważać za nagrodę, to najchętniéj ci ją przyrzekam: i po otrzymaniu dani tak dla mnie drogiéj, śmiało, a nawet w przytomności wszystkich, mogę ci oświadczyć przyjaźń, któréj obowiązki są tak święte.

— W imieniu téj przyjaźni, zaklinam Panią, żebyś mnie powiedziała, czy mogę błagać dostojnego jéj stryja i opiekuna o to upoważnienie, o którém raczyłaś wspomnieć. Czy moja otwartość otrzyma od niego jaką otuchę, czyli owszem ten krok nieodbierze mi nazawsze wszelkiéj nadziei. Wszak to o co Panią upraszam, nie przekracza granic przyjaźni?

— Rycerzu, pamiętaj że dań oparta na twoim honorze została otrzymaną. Osądź czy twoje żądanie nie naraża na szwank twojego słowa. Nie zbliżajmy się do granicy któréj nam przestąpić niewolno. A na znak mojéj przyjaźni masz rękę którą ci jawnie podaję.

Samuel z zachwyceniem ucałował tę rękę. Xiąże Stefan, który naprzeciwko siedział i uważał że z sobą żwawą toczyli rozmowę, odezwał się:

— Gryzeldo! domyślam się że musisz Panu Zborowskiemu wdzięczność oświadczać za usługę którą tobie wyrządził na łowach. Przyznaj się, dziewczyno, że musiałaś być w wielkim strachu.

— Tak prędko wszystko się odbyło, Najjaśniejszy Stryju, — odpowiedziała Gryzelda, — że niemiałam czasu się nastraszyć. Ale byłabym wielce niewdzięczną, gdybym aż dopiéro teraz przypomniała sobie że winnam podziękować Panu Zborowskiemu. Jeszcze w kniei nadziękowałam się jemu, może do naprzykrzenia. A teraz na znak zupełnie innego dzięku podałam mu rękę.

— I czémże nowém, Gryzeldo, tobie się wysłużył?

— Otrzymałam od niego dań, o którą bardzo prosiłam, a na którą bez trudności zezwolił.

— Bekieszu! — rzekł Xiąże, obracając mowę do swojego Wielkiego Koniuszego; — tobie musi serce bić z radości, że w mojéj krwi tak się zachowują obyczaje błędnego rycerstwa. Jak dama otrzyma dań, już nikomu nie wolno ją zapytywać jakiéj ona jest natury: tak stoi w prawach rycerskich; nieprawda, Bekieszu?

— Nie inaszéj, Najjaśniejszy Xiąże. Bo co jest między szlachetną damą a walecznym rycerzem, jest tak święte, tak dostojne, że chcieć to przeniknąć, chcieć to podejrzéwać, jest jakiémś świętokradztwem.

— Patrzcie, z jakim zapałem odzywa się mój Bekiesz, — odrzekł Xiąże, nakręcając wąsa. Gdyby nie było praw rycerskich, on by je wymyślił. Waleczność i ubóstwienie płci pięknéj, są to obowiązki rycerza. I to ubóstwienie zaszczyt a nie krzywdę jéj przynosi. Bekiesz, naprzykład, za piękność każdéj damy którą widzi, gotów jest gonić na ostre, a jest najwierniejszym małżonkiem. Bo szlachectwo i rycerstwo które jest jego uwieńczeniem, jest strażą, wyrażeniem chrześcijańskiego prawa. Jeżeli się da wyścignąć w dopełnieniu przepisów Chrystusa, wtedy stanie się niegodném przodkowania innym stanom. Bezpieczeństwo, cnota każdéj niewiasty, są poruczone rycerzowi, który nie tylko że dla jéj obrony jest zawsze gotowym do walki, ale nawet nic jéj nie powie takiego, coby ją zarumienić mogło.

Poczém, śmiejąc się dodał, patrząc na Pana Ezechiela, siedzącego za stołem między Panem Mroczkiem i jednym Panem Węgierskim, a ktory właśnie wtedy ostatek tokaju wylewał z flaszy.

— Wszakże Waszmość jesteś znakomitym rycerzem, Mości Panie Zdora, i musiałeś się zalecać damom, kiedy będąc tylu laty odemnie młodszy, przecie wyprzedziłeś mnie w opuszczeniu stanu kawalerskiego. Wyznaj przed nami, wiele też w twojém życiu skruszyłeś kopji za cześć i piękność dam?

— Nie wiele, Miłościwy Panie; i Bogiem a prawdą może się pokaże że ani jednéj. Bo choć to razu jednego, w cza-

sie wojny Inflanckiéj, miałem rozprawę z Panem Kazimierzem Mroczkiem, gdzie mi się niepowiodło, gdyż mnie na kilka cali skórę rozpruł, — czego jednak nie żałuję, bo tém jeszcze ściślejsza przyjaźń między nami się zawiązała. Mówiono że nam rzecz poszła o jakąś Niemkę, co być może; ale tam niechodziło ani o cześć, ani o piękność, ale zwyczajnie, jak to bywa między młodymi, że dłoń jak zaświerzbi, że aby jeden powiedział białe, to drugi zaraz odpowie czarne. Aż się skończy na czerwoném. Były tam w Zborowie posądzania o mojéj jakoby kochliwości, a bardzo niesprawiedliwe. Wszakże z tego nieprzyszło do żelaza, ale kazano mnie zamek opuścić, czy uczenie powiedziawszy, dano mnie consilium abeundi. A nawet zapomniano, że cóś się mnie należało; — co się nie mówi żeby przymówić domowi Zborowskich, a broń Boże! Żebym dziesięć lat jemu służył, pewnie bym niewysłużył tego, co otrzymałem z łaski Pana Kasztelanica Krakowskiego, co tu z nami za stołem siedzi, — łaski, któréj nie tylko że się niezapieram, ale owszem z niéj się szczycę.

— Ale czy podobna, — przedłużył Xiąże, — żeby Waszmość na turniejach nie nosił barwy jakiéjś damy.

— Nie, Najjaśniejszy Xiąże, to są wszystko pańskie wymysły, a ja sobie szlachcic zwyczajnie. Jak mam hełm i pancerz dobrze hartowany, tyle wiary w nich pokładam, że nie myślę, żeby im jakaś wstążka lub szarfa coś przydać miała. I na coby mi się to przydało. Wreszcie tylko na turniejach bywają przykłady, że ludzie kruszą kopije za cześć dam, — co wszakże jakoś nigdy do mnie nieprzystawało. A nie tak wiele tych turniejów odbyłem, żebym ich na palcach jednéj ręki przeliczyć niepotrafił. Widać że zapóźno się urodziłem, bo odkąd pasowany zostałem na rycerza, coś te turnieje zaczęły być bardzo niegęstemi.

— Wieleż, naprzykład, ich odbyłeś?

— Nie wiele, Miłościwy Panie. Niemam czego liczyć trzech, które sprawił świętéj pamięci Pan Krakowski w Zborowie na weselu trzech najmłodszych panien; — razem szły do ślubu i było trzy turnieje w dziesięciu dniach: w jednym dniu się bili, a dwa dni odpoczywali.

— I dla czego Waszmość ich nieliczysz?

— Bo tyle tylko było pociechy, żem na nie patrzał. Moja zbroja była wtedy płaszcz czarny z doktoratką, birecik był moim hełmem. Wszakże to mnie wkładano do stanu duchownego. Mój ojciec nieboszczyk chciał koniecznie mnie widzieć pastorem, bo ja tejże saméj wiary co i Pan Kasztelanic i świętéj pamięci jego Jaśnie Oświecony ojciec, który jednak rewokował przed śmiercią, — co daj Boże żeby było na zdrowie jego duszy. Ale widać że nie było woli Pana Boga, żebym jego słowa nauczał, bo niemogłem oprzeć się jego natchnieniu, by uciec ze szkoły, i przystać do żołnierki. A odtąd człowiekowi było w głowie żeby mieć co jeść i pić, czém się odziać i uzbroić, a nie to, czy ta lub owa ładna, albo szpetna. Pierwszy raz potykałem się na turnieju co go Pan Gotard Ketler sprawił w Nitawie, po zaprzysiężeniu poddaństwa nieboszczykowi Królowi, gdzie zarobiłem dwa rysztunki z końmi, jak na początek dobre; tam i Pan Kasztelanic, i Pan Kaźmierz Mroczek popisywali się, i ja tam swoim nieszkodził. Niemcom było źle a nie nam. Potém byłem na drugim turnieju w Birżach, gdzie Xiąże Krzysztof Radziwiłł także dyssydent, — i właśnie dla tego kazał sobie służyć mnie chudemu pachołkowi, — dawał turniéj in gratiam Marszałkowstwa Wielkiego Koronnego, które świeżo był otrzymał od Króla; i tam człowiek pokazał co umie. A trzeci był w Krakowie, na którym znajdował się Wielmożny Bekiesz, Koniuszy Waszéj Xiążęcéj Mości, i kilka razy skrzyżował miecz swój z moim mieczem. Tam mnie się noga powinęła, wszakże bez wstydu wyszedłem, i chociaż zależało od Pana Kasztelanica przeze mnie się kłaniać swojemu Jaśnie Oświeconemu ojcu, a jednak sam wyznał, że odkąd bawi się żelazem, takiego oporu niedoświadczył. Koniec-końców, chociażem leżał na piasku jak długi, bardzo mi tego niejeden pozazdrościł, jak się dowiedział że za to Król mnie posadził za swoim stołem, zawiesiwszy wprzódy na mojéj szyi ten oto łańcuch złoty. Otoż i wszystkie moje turnieje.

— A nimeś się Waszmość ożenił, czy nie było krwawéj przeprawy z jakim współzalotnikiem.

— Z współ... E! widać że Miłościwy Xiąże nie tylko że niewidział mojéj żony, ale nawet o niéj niesłyszał. To bardzo godna kobieta, zacnego rodu, bo spokrewniona z domem Tęczyńskich, ale nie z takich żeby aż za nią łba nadstawiano. Oto żeby było komu przyszło do głowy mnie powiedzieć: zaniechaj trutniu tego ożenienia, albo bij się ze mną. Dalibóg bym stchórzył. Ale do stu biesów, wszyscy jakby się zmówili; każdy winszował, a nikt niezazdrościł. I tak bez szwanku postąpiłem do kobierca.

— Jak widzę, zdajesz się żałować żeś wstąpił w stan małżeński.

— Distinguo, Miłościwy Panie. Bezżeństwo jest rzecz bardzo miła, ale ten tylko o tém wie, co z niego wyszedł. Ale to wyznanie mojéj żonie krzywdy nie robi, bo żebym był mężem Cesarzówny Rzymskiéj, nic innego bym niepowiedział, tylko co powiedziałem dopiéro. Wolałbym być bezżennym, niż mieć najpiękniejszą, najdoskonalszą żonę; ale że na górze zapisano było iż koniecznie muszę się ożenić, wolę mieć moją żonę, niż jakąkolwiek inną. Bo z inną może bym się zasiedział w domu, może by mi wojaczka obrzydła. Albo to ja nie mam kollegów co to bywało w boju jak rybka w wodzie. A potém jak to się rozkochało, a pożeniło, to tak pognuśniało że ani ich namówisz do wojennéj wyprawy. Ja pójdę na wojnę, prawi, a nuż za powrótem nieproszonego gościa znajdę w domu. Zaniechaj mnie, nie pójdę. Żebym doprawdy miał kochliwe serce, nie mnie ludzie, ale ja sam bym siebie ożenił, a że djabeł nie śpi, nuż bym zgłupiał jak ci moi koledzy, i wziął się do pilnowania żony, — chociaż trudno się od niéj dopilnować jeżeli gładka. Ztąd temu dla którego mam szczególny affekt, jako naprzykład Panu Kaźmierzowi, jeżeli już koniecznie mu wypadnie się żenić, a trzeba wiedzieć że on ma szczególne powołanie do tego stanu, do którego ja bez najmniejszego powołania trafiłem; otoż, jako przyjaciel życzę mu żony szpetnéj, a to dla tego, że jego sława mi jest tak drogą jak moja własna.

— Dziękuję WaćPanu za łaskę, — odezwał się Pan Mroczek; — jednak prosiłbym o mniéj przyjacielskie nieco życzenie.

— Ot gadasz, a bierz ze mnie przykład. Czy, żeby nie moja żona, byłbym z wami wyjechał na Siedmiogrodz, czy miałbym szczęście liczyć siebie między sługami Najjaśniejszego Stefana... o którym ludzie mówią, — a co ludzie gadają, to i wygadają, — że lada dzień będzie Królem Polskim, Wielkim Xięciem Litewskim; którego radbym z tego powodu zdrowie wypić, tylko że już flasza próżna.

— Na potém to zostawmy, — rzekł Xiążę Stefan, nieco zmarszczywszy czoło; bo zauważył po wielomówstwie Pana Ezechiela, że nieco za nadto zabawił się tokajem. Słusznie się więc obawiał żeby czasem niezapędził się w jakieś nieprzyzwoitości, około których już ze dwa razy się obracał. A nadewszystko niepodobało się jemu to powinszowanie korony, o którą się starał z wielką ostróżnością. A tém więcéj że podejrzliwy dom Rakuzki ciągle utrzymywał, pod różnemi pozorami, na jego dworze takich, którzy o każdym jego kroku donosili do Wiednia. Kiedy zaraz potém wstali od stołu, Xiążę Stefan wziął na stronę Pana Mroczka, i powiedział mu:

— Zabierz mi ztąd gładko twojego Ezechiela, bo zaczyna dokazywać, a tu są tacy, przy których nieżyczę sobie przysłuchiwać się jego niektórym dyskursom.

Ale Pan Mroczek nie miał potrzeby spełniać rozkazu Xięcia, bo Pan Nemeczij, ów magnat który obok Pana Ezechiela siedział za stołem, już go był zaprosił do siebie na tokaj, jeszcze starszy niż ten co mu tyle smakował u Xięcia; i zastał ich obu przy podwojach, zabierających się do wyjścia.

IX.

Codzienne były uczty i zabawy w Kumiswarze. Prawie co wieczor zbierali się magnaci Siedmiogrodzcy i goście z różnych narodów, na pokojach xiążęcych, gdzie Gryzelda zastępywała gospodynię. Pan Samuel, wierny rycerskiemu słowu, podobnéj myśli nie mógł przypuścić, żeby przeciwko niemu wykroczył. Często cierpiał katusze na widok tylu wdzięków którym hołdu otwartego już mu nie wolno było składać. Z drugiéj strony Xiężniczka Gryzelda czuła siebie być swobodniejszą względem rycerza. Bez obawy z nim rozmawiała, jako z dobrym przyjacielem, którego kilkokrotne przysługi, z narażeniem życia, dawały mu prawo do jéj wdzięczności. O ile się mniéj już oglądała na siebie, o tyle wdzięki jéj rozumu i ukształcenia, więcéj się okazywały. Dotąd Samuel upojony powabami jéj osoby, zgadywał tylko skarby jéj umysłu, teraz one mu świeciły w całkowitym swym blasku. Ale tém właśnie jego uczucia coraz więcéj wzrastały, chociaż ze strony Gryzeldy najmniejszy promyk nadziei do niego nieprzybłądził. Jaki też był stan wewnętrzny Gryzeldy, — trudno dociec. Wszakże to pewna, że uczucie które w niéj wszelkie inne przeważało, było przywiązanie do stryja. Za nic w świecie jego woliby się nie oparła, co więcéj, mało-by było dla niéj przyzwolenie od niego otrzymane; cel jéj życia był zgadywać jego myśli, i to tylko czynić, co domyślała się iż jest dla niego przyjemném. Stefan Batory taką ufność pokładał w jéj sposobie myślenia, że żadnym najmniejszém niedowierzaniem jéj du-

szy nie obrażał. Lubo miała przydaną sobie ochmistrzynię, wdowę jednego zasłużonego magnata Siedmiogrodzkiego, w rzeczy saméj Gryzelda była panią swojéj woli, a jéj stryj nikogo innego oprócz niejże saméj nie pytał o to wszystko co się jéj mogło dotyczyć. I nigdy nie miał powodu tego żałować.

Wątpić nie można że Pan Samuel jéj się podobał, bo uroda i waleczność nie mogą nie otrzymać przychylności od dziewicy, któréj serce jeszcze jest wolne. Ale od téj przychylności aż do namiętnéj miłości, krok bardzo széroki. Gryzelda miała serce czułe, ale wcale nieromansowe. Dla niéj ideał doskonałości był jéj stryj, — człowiek rozważny, niezachwiany, nieustraszony, ale jak najmniéj namiętny, a w osobie swojéj okazujący przykład Xięcia Panującego w wieku dojrzałym, który od młodości swojéj nigdy nieuległ nawet przelotnéj miłości. W czasie koronacji Cesarza Rzymskiego na Króla Węgierskiego, znajdując się w Budzie, zadziwił i zgorszył szlachetną młodzież z różnych stron Europy zebraną, obojętnością swoją na zabiegi Xiężn i Xiężniczek Niemieckich około zniewolenia jego serca. A nawet na turnieju, po którym z rąk Cesarza nagrodę zwycięztwa otrzymał, kiedy sam Cesarz nalegał żeby koniecznie ogłosił się rycerzem jakiéjś przytomnéj damy, on przyjął barwę matki Cesarza, Monarchini sędziwego wieku, wielkiéj pobożności, i u jéj nóg złożył nagrodę. A obojętność swoją tém tłómaczył, że nadto jest zajęty wydźwignieniem sputoszałego Xięztwa od najazdów Bissurmańskich, żeby mieć dość czasu do zatrudzenia siebie miłostkami. Żeby zniewolić Gryzeldę, trzeba było być jemu podobnym, albo być od niego popartym. I jakkolwiek jéj ciotka, Władczyni Serbów, jakieś pierwiastki skłonności zdołała zaszczepić w jéj sercu, zaledwo za powrótem swoim do Hermansztadu poznała, że jéj opiekun widokom jéj ciotki nie sprzyja, wszelką usilność obróciła ku temu żeby o nim zapomnieć. A kiedy Pan Samuel, pełen nadziei, pojawił się znowu przed damą swoich myśli, w jakkolwiek drażliwém znalazła się położeniu, roztropnością swoją przewyższyła wszelkie oczekiwania Stefana. W obcowaniu umiała Samuelowi okazywać przyjaźń

i wdzięczność, ale nic więcéj. Pan Samuel nie mógł się użalać by zapomniała o jego usługach, ale nie mniéj nie miał prawa pochlebiać sobie że z jéj strony może liczyć na wzajemność innych uczuciów, które usiłował w niéj wzniecić, ani też jéj wyrzucać, że czémkolwiek daje mu zachętę do tego czego podzielać nie może. Rzecz pewna, że takowe postępowanie wymagało niemało ofiary, ale Gryzelda umiała na nią się zdobyć. Duma wysokiego rodu, kojarząc się w jéj duszy z dumą chrześcijańską, ułatwiała jéj wykonanie wszystkiego co było dostojném i szlachetném.

Stefan Batory od niejakiego czasu, lubo tego nieokazywał, w istocie miał nadzieję osiągnienia Korony Polskiéj, a nawet więcéj niż nadzieję. Co chwila oczekiwał uroczystego wezwania do Krakowa, z którym nieprzestawał się znosić. Już Panowie Zborowscy jawnie się za nim oświadczyli, już dom Rakuzki odstąpił był od kandydacji, na inną elekcję odkładając swoje zabiegi. Los uśmiechał się Batoremu. A jednak nie zmniejszało to jego wstrętu od upoważnienia Pana Samuela do jakichś nadziei. Pan Samuel codziennie postanawiał otwarcie prosić Xięcia o rękę Gryzeldy, przynajmniéj o pozwolenie zasługiwania na jéj wzajemność, ale ledwo w tym zamiarze do niego się przybliżał, nie umiał się zdobyć przed nim na żadną otworzystość serca; język mu lodowaciał, czekał jakiéjś zachęty, w obawie ażeby odmówieniem, już jego los na zawsze niefortunnie rozwiązanym nie został. A téj zachęty niemógł się doczekać. Odchodził smutny, wszystkie namiętności, nietylko miłości, ale pychy, gniewu, burzyły się w jego duszy. Najsprzeczniejsze przedsięwzięcia tłumnie kołysały jego umysł. Chciał jechać na Zaporoże, zepchnąć nowego Hetmana, który korzystał z jego niebytności, a potém w kilka tysięcy kozaków napaść na Hermansztadt, i przemocnie porwać Xiężniczkę. Potém zabierał się jechać do Wiednia, żeby z wojskiem Niemieckiém popierać elekcją Cesarza, a sobie wyjednać inwestyturę jakiéjś prowincji; bo tę obojętność Stefana Batorego temu przypisywał, iż nie mieścił się między panującemi. Jedno drugiego się nietrzymało: jak zwyczajnie u człowieka nieumiejącego walczyć z namiętnościami, ale każ-

dej z nich kolejno poddając się, często myśli swoje powierzał Panu Mroczkowi, który go jak mógł roztropnością miarkował. Czasem używał prawa przyjaźni, żeby mu ostro mywówić niektóre myśli, które ze zgrozą odepchnięte być powinny przez prawego obywatela, a z któremi niebacznie się bawił. Sam Pan Samuel się ich wstydził, po czém znowu do nich powracał, i je znowu wynurzał przed Panem Mroczkiem, który już ich cierpliwiéj słuchał, bo widział że jego przyjaciel jest nieszczęśliwym, że w tych powierzaniach znajduje jakąś ulgę, a wreszcie że nic z nich się nie wywiąże.

Ale dla czego Xiążę Stefan tak był jemu przeciwnym? lubo go szacował, i czuł nawet jakąś skłonność ku niemu. Nie było to z powodu iż nie nosił mitry, bo nie raz dawał się słyszéć z tém, iż nie pragnie Xięcia dla synowicy. A między szlachtą nie świetniejszego znaleźć niemógł od Pana Samuela. Nawet Pan Bekiesz, który wiele miał śmiałości do Stefana Batorego, a miał przyjaźń z całym domem Zborowskich, a szczególniéj z Panem Samuelem, raz jemu przełożył, «że gdy rzeczy niewątpliwie się na to zanoszą, że wkrótce do mitry Siedmiogrodzkiéj dołączy koronę Polską, nic nie może być dla niego pożyteczniejszém, jak usadowić Xiężniczkę Gryzeldę w jednym z najpotężniejszych domów Magnacii Polskiéj. Że tym sposobem, w ciągu panowania swojego zawsze mieć będzie przewagę na Sejmach, gdyż cała Mało-Polska jest złożona z krewnych, przyjaciół i klientów Zborowskich. Że ich jest ośmiu braci, a każdy z nich bogaty jakby udzielny Xiążę. Że wreszcie nic nie można zarzucić osobie Pana Samuela, oprócz popędliwości, która wiekiem i piastowaniem urzędów utemperować się musi; a że jeżeli banicja zastanawia Xięcia, to jak najłatwiéj zdjętą zostanie, byle się pogodził z pozostałą po Panu Wapowskim wdową, któréj żal musi się uśmierzyć, a tém pochopniejszą sama okaże się do zgody, jeżeli jéj Król do niéj przemówi jako za narzeczonym swojéj synowicy.» Stefan Batory słuchał tych przełożeń Bekiesza cierpliwie, zdawał się nie mieć nic przeciwko temu, wszakże nie tylko że nic

na to nie odpowiedział, ale czmychał nakręcając wąsa, co było u niego znakiem że nie rad tego słuchał.

Pan Bekiesz nie mógł tego przypisać jakimś innym widokom swojego Pana, względem postanowienia Gryzeldy, bo będąc jego powiernikiem, o nich-by wiedział, zatapiał się napróżno w odgadnieniu przyczyn jego wstrętu, których-by Xiążę za nic jemu nieodkrył, a które tylko duchem owego czasu tłumaczyć się dają. Mistrz Livius Groppius był tego istotną przyczyną. Stefan Batory jakkolwiek mąż światły i wysokiéj mądrości, był przecie synem swojego wieku.

Już się wyżéj powiedziało że wiarę pokładał w badaniach astrologicznych, i lubo się z tém tail, często się radził swojego nauczyciela. Gdy więc po pierwszém poznaniu z Panem Samuelem, uczuł dla niego skłonność, niechciał się temu uczuciu oddać, aż wprzódy zalecił Groppiuszowi, żeby wyczytał w gwiazdach, jakie być może jego przeznaczenie. Poczciwy Mistrz, z największą sumiennością uskutecznił badania w swojém obserwotorium, i z wielkim żalem, — bo Pan Samuel jemu się bardzo był podobał, — wyznał przed Xięciem, że albo niema wyobrażenia o nauce gwiazdziarskiéj, albo Pan Samuel dni swoje skończy najhaniebniejszą katastrofą. Te słowa z pewnością wyrzeczone przez nauczyciela, dla którego czuł wdzięczność i wielkie przywiązanie, dostatecznémi były, żeby wszystkie jego dobre chęci dla Pana Samuela cofnięte zostały.

W kilka dni po rozmowie Xięcia z Panem Bekieszem, przyszła urzędowa a oczekiwana wieść o jednomyślném jego obiorze na Króla Polskiego, i że poselstwo, upoważnione do zaproszenia nowo-obranego Króla, już wyruszyło z Krakowa. Z Senatu wysłani byli: Xiąże-Kardynał Radziwił, Biskup Krakowski, Xiąże Wiśniowiecki, Wojewoda Wołyński, i Pan Jan Zborowski, Kasztelan Gnieznieński. Ze stanu rycerskiego Pan Humiecki, Generał Ziem Podolskich, Pan Piotr Rostworowski, Podczaszy Czerski, i Pan Jan Zamojski, Rotmistrz Kawaleryi Narodowéj: oba ostatni, Posłowie na Sejmie elekcyjnym — pierwszy Mazowsza, drugi z Województwa Bełzkiego. Ci delegowani mieli polecenie podać

Stefanowi Batoremu «*Pacta Conventa*» — umowa między Panującym a poddanymi; po których podpisaniu zobopólném, mieli mu złożyć hołd poddaństwa, w imieniu połączonych dwóch narodów.

Był-to zapewne niemały zaszczyt dla Xięcia-hołdownika, być powołanym jednomyślną wolą wielkiego Narodu, do zajęcia miejsca między pomazańcami Bożymi: z lennika Królów, postąpić na ich brata, i stanąć na równi z najpotężniejszymi Mocarzami świata. Wszakże to pasterstwo ludów w ówczesnych okolicznościach, nie mogło być sprawowane bez wielkich ofiar, zwłaszcza w Polsce, gdzie forma stowarzyszenia utrudzała wykonanie najzbawienniejszych przedsięwzięć panującego. Trzeba było do sprawowania rządów, w narodzie nawykłym do swobód, spadkowo powiększających się pod berłem Jagiellończyków, rozwinąć najczynniejszą sprężystość, bez naruszenia jednak tych swobód, przysięgą stwierdzonych. Trzeba było równowagę utrzymać między magnatami, w potędze i dostatkach ledwo że Monarchom niesprostającemi, a szlachtą burzliwą, niemniéj dumną od magnatów, a miłującą swoje przywileje, z zapałem nie zawsze kierowanym rozwagą. Niemniéj między liczebnie silniejszymi wyznawcami Kościoła Rzymskiego, a różnowiercami którzy zapełniali Senat, i najpierwsze urzędy piastowali, nieodwracając zawistnego wzroku od zapalonych obrońców wiary panującéj, i od ogromnych dostatków i przewagi ich duchowieństwa, ciągle opierającego się wszelkim ustępstwom, do zrobienia których dwaj ostatni Jagiellończykowie aż nadto pokazali się być skłonnymi. Z drugiéj strony skarb publiczny w Polsce był wypróżniony, wojska gotowego było mało, Pospolite Ruszenie było główną siłą zbrojną Rzeczypospolitéj, o którego zwołanie trzeba było się jeszcze targować z Sejmami, a zanosiło się na wojnę straszną z Carem Iwanem Wasilewiczem, zdobywcą Kazania i Astrachania, a który świeżo ogromny Sybir dołączył do swoich obszernych dzierżaw. Położenie nowego Króla wielce było drażliwe, i ta korona więcéj była cierniowa niż złota. Wszystko to było nie tajne Stefanowi Batoremu, a jednak nie zdołało oziębić jego szlachetnego serca. Ufny w Bogu i

w prawości swoich uczuciów, nie nastraszył się temi trudnościami które go spotkać miały. Władzca nie zupełnie bezzawisły szczupłego Xięztwa, czuł że przynosi nowéj ojczyznie swojéj niemały pożytek chociażby nie czém inném, tylko zabezpieczeniem od napadu najstraszniejszego w owym czasie dla niéj nieprzyjaciela. Bo odkąd reformacja religijna rozdwoiła duch Europejski, potężny jeszcze Islamizm już nieznajdywał przeciw sobie tylko pojedyncze odpory. A każdy naród będąc odosobnionym, od szczegółowych jedynie stosunków zawisnąć mogły jego bezpieczeństwo i byt. A właśnie wziętość jaką był uzyskał Stefan Batory u Sułtana Tureckiego, była dla Polaków rękojmią że przynajmniéj z téj strony ich bezpieczeństwo naruszone nie będzie. W saméj rzeczy Porta Ottomańska niczego tak się nielękała, jak widzieć Cesarza Rzymskiego przyłączającego koronę Polską do tylu innych koron, niegdyś wyborowych, a które zostały z czasem dziedziczną spuścizną jego domu. Wyniesienie Batorego było więc powitane w Carogrodzie okrzykami radości. I na wstępie tego nowego panowania, Sułtan wydał rozkaz Hanowi Krymskiemu i Baszom pogranicznym, żeby pod najsroższą odpowiedzialnością, niedopuszczali swoim podwładnym, naruszać granice Rzeczypospolitéj. Ten firman nie mało się przyczynił do dania Stefanowi największéj popularności między szlachtą, zwłaszcza Województw Ruskich, które ciągle były narażone na mordy i rabunki.

X.

Jak tylko przyszła niepłonna wieść o wyborze Stefana Batorego, wszelkie zabawy ustały w zamku Kumiswarskim. Nie z powodu by to niespodziewane powodzenie, miało bohatera zasmucać. I owszem, czuł w sobie radość z obszernego pola, podanego jego zdolnościom, i żądzy sławy. Ale chciał się przygotować do nowego zawodu, czerpiąc siłę u Tego, Ktory wywyższa i strąca Mocarzów świata jedném skinieniem swojéj wszech-władnéj woli. Wedle obyczaju owych rycerskich wieków, odosobnił się przez cały tydzień od wszelkich zatrudnień i zabaw świeckich, by odbyć ćwiczenia duchowne, błagać wsparcia od Najwyższego, zespolić się z n m w oczyszczającym sakramencie, w którym Stwórca Samego siebie oddaje niewdzięcznemu, ale zawsze ulubionemu stworzeniu. Xiężniczka Gryzelda także niepokazywała się na pokojach, mając za nieprzyzwoitość oddawanie siebie zabawom w tedy, kiedy jéj stryj ich podzielać nie mógł. Goście zbierali się u Pana Bekieszy któremu Król zalecił, niczego niezaniedbać dla ich bawienia i podejmowania nie tylko jako gości, ale jako bliższych jego serca przyszłych poddanych.

Po tygodniowém pobożném odosobnieniu, pokazał się pierwszy raz Stefan, już nie w Kumiswarze, ale w pałacu Xiążęcym w Hermansztadzie, dokąd cały jego dwór z rozkazu jego się przeniósł, i gdzie dał publiczne posłuchanie poddanym których miał wkrótce na zawsze pożegnać. Ale dowiódł swojemi rozporządzeniami, ile był troskliwym o

ich dobro. Na wypadek odjazdu, ustanowił rząd złożony z mężów wziętych w narodzie, a których głos publiczny uznawał być najgodniejszymi jego ufności. A na ich czele postawił Biskupa Hermansztadzkiego, starca pełnego świątobliwości, światła i roztropności, który lubo urodzony w najniższym stanie społeczeństwa, zasługami i cnotami doszedł do wysokich zaszczytów Kościoła.

Na tém publiczném posłuchaniu, Pan Samuel chciał być pierwszym z Polaków, który by mu złożył hołd poddaństwa, ale Pan Kaźmierz Mroczek zdołał go przekonać, że swoje życzliwe chęci powinien wstrzymać aż do przybycia wyprawionego przez Sejm poselstwa. Gdyż wedle praw Rzeczypospolitéj, obrany na Króla, za takiego nie jest uznany, aż podpisze «Pacta Conventa,» które mu są podane. Do téj chwili jest tylko Elektem, gdyż być może że znajdzie warunki podane sobie, tak ciężkiemi, iż korony nieprzyjmie. I że tém wyprzedzeniem czynności legalnéj umocowanego poselstwa, mógłby się narazić Sejmowi, i tém zamknąć sobie nadzieję świetnego powrotu do ojczyzny, ile że mu niemoże być tajno, że między sejmującemi, można liczyć wielu stronników i krewnych Pani Wapowskiéj, a tém samém zawziętych nieprzyjacioł, którzy z każdéj jego lekkomyślności korzystać będą. Nawet wymógł na Panu Samuelu iż mu obiecał że, aż do przybycia poselstwa, unikać będzie wszelkiego spotkania z Elektem.

Przyszedł nakoniec dzień od wszystkich pożądany, w którym poselstwo przybyło do kresu swojéj podróży. Z rozkazu Stefana, wielkie honory go spotykały od chwili w któréj wkroczyło do Siedmiogrodza. Władze miejscowe wychodziły naprzeciwko posłów do bramy miejskiéj. A że Kardynał był na czele poselstwa, wszędzie na jego powitania duchowieństwo szło przed ludem, przeprowadzało go do najgłówniejszéj miejscowéj świątyni, gdzie dawały się słyszéć mowy w języku łacińskim tak rozpowszechnionym w całych Węgrzech, jako i w Polsce, i odśpiewanie hymnu Ambrożowego. Te wszystkie ceremoniały, używane dla okazania dostojnym posłom czci należytéj, mniéj pospieszną robiły ich podróż, bo codziennie trzeba było przez

to wszystko przechodzić, i przyjmować zaprosiny na uczty. Stefan Batory rozkazał podejmować z najwyższą okazałością przedstawicielów najgościnniejszego w świecie narodu, i na to nie żałował z własnéj skarbnicy wydatków; do których kwot łączyły się dobrowolne ofiary gościnnych magnatów Węgierskich, chcących dać o sobie zaszczytne wyobrażenie Polakom. Aż nakoniec poselstwo stanęło w Hermansztacie.

Wszystkie władze stanęły przed bramą dla ich przyjęcia. A na ich czele Biskup Hermansztadzki, i Xiążę Andrzéj Batory, Prałat Kanonik Świętego Jana Lateraneńskiego w Rzymie, a brat rodzony Xiężniczki Gryzeldy. Tam najwytworniejsze mowy dały się słyszéć. Xiążę Andrzéj szczególnie wsławił się między mówcami. Pałac Biskupi, i obok niego dwie kamienice Kapituły, przygotowane były dla Posłów i ich orszaku. Biskup i Kanonicy, odstąpiwszy swojego mieszkania, ulokowali się po klasztorach a dostojni posłannicy Stefana, oświadczyli poselstwu Polskiemu, iż go mają przeprowadzić do pałacu dla niego przeznaczonego. Poselstwo konno wjechało do miasta, a dwóch magnatów, Xięcia-Kardynała piechotą przeprowadzało, trzymając konia za cugle. Biskup Hermansztadzki i Xiążę Andrzéj z duchowieństwem siedli w kolasy przygotowane, i co tchu wyruszyli naprzód, żeby w kościele Katedralnym pontificaliter przyjąć Xiążęcia Kościoła, i mężów którym on przewodniczył.

Postępowała wolnym krokiem kawalkata, złożona z Posłów, za którymi szła chorągiew z trzydziestu hussarzy Xięcia Kardynała, synów szlacheckich, którym poruczone były i bezpieczeństwo i okazałość poselstwa. Każdy z nich siedział na koniu wysokiéj ceny, i nosił pancerz ze szczérego srebra: z tegoż kruszcu były strzemiona i musztuki; ale co najwięcéj zadziwiało naród, to skrzydła które wyrastały z ramion ussarzy, że wyglądali jakby archanioły. Zauważano że wierzchowce Xięcia Kardynała i Posłów Senatorskiego stanu, mieli podkowy srebrne, lekko przybite do kopytów, tak że co kroków kilkanaście, jakaś podkowa odlatywała, a giermkowie jéj niepodnosząc, drugą przygo-

towaną natychmiast przybijali; posłowie zaś stanu rycerskiego, to w prawo, to w lewo, ciskali garście srebrnych pieniędzy między pospólstwo, tłumnie zgromadzone żeby patrzéć na widowisko zupełnie dla niego nowe. Zwłaszcza, pierwszy raz Hermansztadt posiadał Kardynała, który okryty purpurą, błogosławił korzący się przed nim naród. To rozsypywanie pieniędzy, nie tylko dla przepychu, ale nawet z potrzeby było obmyślone, bo tém ułatwił się postęp, gdyż pospólstwo w prawo i w lewo rzucając się do zdobyczy, droga otwierała się przed jezdzcami.

Okrzyki uwielbienia towarzyszyły poselstwu aż do kościoła katedralnego, dzwony kołysały się po całém mieście. Stanąwszy przed kruchtą, Xiążę Kardynał, a za jego przykładem Posłowie i Ussarze, pozsiadali z koni i poszli do świątyni, która w jednéj chwili, napełnioną została. Biskup Hermansztadzki znowu powitał mową krótką dostojnych gości, którzy za Kardynałem poszli do kaplicy Świętego Matyasza, by pokłon uczynić relikwiom Św. Apostoła, które tylko raz w rok otwierały się dla narodu, ale które dla nadzwyczajnéj okoliczności, na prośbę Kardynała, zostały wyjęte ku czci pobożnych. Po czém Kardynał i jego koledzy uklękli przed wielkim ołtarzem, gdzie około półgodziny modlili się. A odśpiewawszy «Te Deum laudamus,» pozwolił im udać się do przeznaczonogo dla nich mieszkania.

Usługa liczna im przydana od Władzcy Siedmiogrodza, zajęła się końmi, ussarzami i służebnikami Panów Polskich, a ci zastali komnaty swoje ubrane wedle obyczaju polskiego. Bo Pan Bekiesz, który tyle lat gościł w Polsce, z rozkazu swojego Pana, tém się zatrudnił. Hrabia Szent-Iwani, jeden z najmożniejszych magnatów Siedmiogrodzkiéj ziemi, podjął się Marszałkowstwa nad domem i usługą Poselską, i trzeba wyznać, że tak się dalece sprawiał, iż w czasie ich pobytu w Hermansztadzie, zdawać się im mogło że z Polski nie wyjechali, bo ich tryb życia w niczém odmienionym nie był. Hrabia porozprowadzawszy gości po komnatach dla nich przeznaczonych, miarkując że muszą być znużeni i podróżą i wszystkiemi uroczystościami ich przyjęcia, odszedł zostawując ich samych.

Wszakże widać że nigdy niebywał w Polsce, jeżeli myślał że wysoki urzędnik Polski, czémkolwiek wymówionym być może od przyjęcia nawiedzin i ponoszenia trudów urzędowania, przed parą dla wszystkich przeznaczoną do spoczynku. Każdy, czy pan, czy szlachcic, był gatunkiem Trybuna gminowego, którego podwoje do godziny dziesiątéj wieczór, poczynając od ósméj z rana, nigdy zawartemi nie były. W Polsce nie znano szwajcarów których pytać trzeba czy gospodarz w domu, a w spisie obowiązków pokojowych sług, nie była umieszczona powinność meldowania panu, kto go nawiedza, i zapytania czy przyjmuje nawiedziny. Dałby szlachcic największemu panu, gdyby ten go przyjąć niechciał! Szedł prosto: jeżeli pana zastał w domu, do niego się udawał, jako do równego sobie zacnością, chociaż wyższego dostojeństwem; a jeżeli go niezastał, Marszałek dworu, równy urodzeniem i swojemu panu, i gościowi, go przyjmował i częstował. Ten obyczaj tak był wkorzeniony w narodzie, że nie było magnata który by się z niego chciał wyłamać. Obyczaj, który w części przynajmniéj aż do dni naszych się zachował.

Posłowie Polscy zaledwo okiem rzucili na swoje komnaty, jakby się zmówili, wszyscy się zebrali u Xięcia Kardynała, dla narady około ich przedstawienia Elektowi, gdyż właśnie kiedy jeszcze byli w kościele, przybył do nich Pan Maryuszy, Kanclerz Xięztwa Siedmiogrodzkiego, z posłannictwem od swojego Pana, że niechce w jutrzejszym dniu przerywać ich wypocznienia, po tak trudnéj podróży, ale że pojutrze, o godzinie dziesiątéj z rana, zaprasza ich do swojego pałacu, dla złożenia mu poselstwa Rzeczypospolitéj. I bez zadziwienia, ledwo zaczęli między sobą względem tego się naradzać, ujrzeli wchodzących Pana Samuela, a za nim Panów Mroczka i Zdorę.

Pan Samuel z oznaką najgłębszego uszanowania powitał Xięcia Kardynała, z którym miał związki pokrewieństwa; ucałował rękę wuja swojego Generała Ziem Podolskich, rzucił się w objęcia ulubionego brata Pana Kasztelana Gnieźnieńskiego, ścisnął dłoń swoją z dłonią Panów Zamojskich i Roztworowskich, z mniejszą poufałością skłonił

się Xięciu Wiśniowieckiemu, Wojewodzie Wołyńskiemu, o którym wiedział że był gorliwym przyjacielem rodu Tęczyńskich i Pani Wapowskiéj. A Panowie Kaźmierz i Ezechiel, witali panów ściśnieniem ich kolan.

— Dobrze mi wyglądasz, Samusiu, — odezwał się pierwszy Pan Humiecki; — zmężniałeś; bywa to że obca pasza poprawuje konia. Musiałeś się wydalić z Polski, a otoż ona do ciebie sama przybywa. Dobrześ sobie poradził żeś się udał do Xięcia Siedmiogrodzkiego. jakbyś przeczuwał że on będzie naszym Królem. Prawdziwie w jego obiorze widać palec Boży. Bo to prawowierni i dyssydenci, Koronni i Litwini, Rusini i Prusacy, Panowie i Szlachta, jakby się sprzysięgli żeby nie kogo innego tylko Stefana mieć panem swoim. Ani jednego głosu niebyło przeciwko niemu. To cud był. Bardzo jestem ciekawy go oglądać, bo nigdy go nie widziałem, chociaż papierowe stosunki z nim miewałem, trzymając straż pogranicza Rzeczypospolitéj od Bissurmana. Razu jednego odesłałem mu kilkunastu jego poddanych, których z jassyru tatarskiego odbiłem. Był to dzień ciepły dla wszystkich, a następny był jeszcze cieplejszy dla kilku towarzyszów mojéj chorągwi, bo kazałem ich okuć w łańcużki na cały tydzień, i mojego porucznika Chodeńskiego zaparłem na dwie doby do furdygi że się nie opatrzył. Czy uwierzycie Panowie, że nie podesławszy derhy, pozaciągali kulbaki na konie, i tak poszli w pogoń za Tatarami. Popisali się chłopcy, niema co powiedzieć, ale też kilka koni tak posednili, że do niczego. Jakem nazajutrz zaczął chorągiew lustrować, a to obaczył, mój mocny Boże! łaska Twoja, żem paraliżu niedostał. A żeby trawa na waszém sercu porosła, piecuchy, co nieumiecie się z koniem obchodzić. Albo Waszeć, Panie Poruczniku, czy oczy nosisz w szarawarach żeś tego niedopatrzył; żebym babie powierzył moją chorągiew, lepiejby jéj pilnowała. I tak każdy dostał co zasłużył. Nikomu nie odpuściłem, chociaż to się biło dopiéro jak lwy. Ale męztwo męztwem, a staranie o koniu staraniem. Et haec facienda, et haec non omittenda. Owoż tedy, jak odesłałem Xięciu Stefanowi jego ludzi, on do mnie napisał piękną łaciną. Dotąd zachowuję list, cho-

ciaż niespodziewałem się że będę kiedyś jego poddanym i sługą. Jeszcze z tym listem posłał mnie w podarunku konia tureckiego myszatego, pięknego w swoim rodzaju, którego z wdzięcznością przyjąłem, ale w nim niemiałem upodobania, bo ja drobnych koni nielubię. Krzyże i wzrost, oto cała rzecz. A na tém zawsze zbywa tureckim koniom. Nasi panowie mają do nich pochop, i jeżeli na przeciw temu Sejm nie obmyśli prawa, to z czasem nasze stada tak zdrobnieją, że nie będzie na czém posadzić kawalerji Narodowéj. Eminentissime, wszakże pojutrze mamy się stawić przed Najjaśniejszym Elektem, by mu podać *Pacta Conventa* do podpisu. Trzeba będzie coś powiedzieć; wasza Eminencja przemówisz od Senatu, po swojemu, to jest mądrze i pięknie.

XIĄŻE KARDYNAŁ.

— A od stanu rycerskiego Waszmość, i wiekiem i urzędem najstarszemu, najwłaściwiéj się odezwać.

PAN HUMIECKI.

— A mnie na co to się zdało! Elekt po polsku nie rozumie, a ja po łacinie swojego niewymyślę, a czego się nauczę, tego niespamiętam. Niech-no popis zrobi mojego żołnierza, a choć jego niewiele, on zaraz pozna moją retorykę. Nie każdemu zarówno i mówić i bić się; chociaż Pan Mroczek, którego mam zaszczyt witać, i tego się bije, i w sprawie Samusia tak płynnie rozprawiał po łacinie, jak-by tę mowę z mlekiem wyssał. Albo nasz kołega, Pan Jan Zamojski, który wódz i żołnierz całą gębą. Choć ja stary a on młody, a jednak niepowstydziłbym się pod nim służyć, bo wiém że dobrze poprowadzi. A pomimo tego, żeby niewiedzieć jacy mędrcowie z nim byli, to poradził-bym im milczyć, a uprosić Pana Zamojskiego żeby on powiedział czego oni chcą: na czém lepiéj wyjdą, niż żeby się sami tłómaczyli. Więc kiedy on z nami jest, pokój o retoryce: on pokaże co Polacy umieją. Ja na siebie daje sponsją że się niepotknie.

XIĄŻE KARDYNAŁ.

— Nasze poselstwo powinno nam pójść dobrze, cała rzecz

żeby nasz Elekt podpisał «*pacta conventa*,» bo jak wam, koledzy, wiadomo, ani na jotę z nich odstąpić niemamy prawa. Ale w tém zdaje mi się żadnéj trudności niespotkamy.

JAN ZAMOJSKI.

— Najmniejszéj. To co Rzeczpospolita żąda od niego, to jest pomocy własnego żołnierza, i własnego grosza, na wypadek wojny z północą, która tuż — tuż nad nami wisi, — jest tak stosowne do myśli jego, że gdyby go nawet do tego nieobowiązano, on, z przekonania, sam-by to ofiarował. Daj Boże, żeby wszystkie zamysły Rzeczypospolitéj, taki pomyślny skutek otrzymały jak go otrzyma nasze poselstwo.

PAN SAMUEL.

— Mojém zdaniem jest że my powinni na pierwszém spotkaniu z przyszłym naszym Królem, rozwinąć największą okazałość, bo na panach Siedmiogrodzkich przepych robi nadzwyczajne wrażenie. Wasza Eminencja pozwolisz mnie mój dwór dołączyć do waszych dworów, jak staniemy pojutrze przed Najjaśniejszym Stefanem. Czekałem niecierpliwie na wasze przybycie, bo niechciałem bez was złożyć mu hołdu poddaństwa.

XIĄŻE WIŚNIOWIECKI.

— Lubo przewiduję że się Waszmości narażę, wszakże jako senator Rzeczypospolitéj, nieoglądając się na to co się stać może, jurata fide, winienem, o ile jest we mnie, praw jéj przestrzegać. Szlachta która z Waszmością przeniosła się w te strony, nie tylko że może, ale powinna stanąć przy nas, kiedy będziemy zawierali z Elektem umowę, po któréj przyjęciu, padniemy mu do nóg, na znak iż go znamy być panem naszym. Ale Waszmość, Mości Panie Samuelu, na tym akcie uroczystym znajdować się niemożesz.

PAN SAMUEL.

— A to dla czego? Czyż nie jestem szlachcicem wam wszystkim równym? Czy, jako Pułkownik, nie jestem jak wy przysięgłym sługą Rzeczypospolitéj? Ciekawy jestem kto mnie zabroni stanąć obok was dla powitania mojego Króla!

XIĄŻE WIŚNIOWIECKI.

— Prawo, prawo, które Waszmość na każdém miejscu winieneś szanować, jeżeli masz siebie za syna Rzeczypospolitéj. Wszakże uczęstnictwo do poselstwa, jeszcze tak ważnego, jest czynnością publiczną, a Waszmość będąc pod dekretem banicji, wszelka activitas jest w nim w zawieszeniu, pokąd się z tego dekretu nie oczyścisz. Bóg świadek, że żadnéj sierdzistości nie piastuję w sercu mojém przeciwko Waszmości; bo lubo byłem przyjacielem nieboszczyka Kasztelana Przemyslskiego, jego śmierci nieprzypisuję rozmyślnéj woli Waszmości, ale dopuszczeniu Bożemu, który ten dom zasłużony ojczyznie chciał zasmucić. Świadczę się dostojnym moim kolegą, a rodzonym jego bratem, którego ośmielam się mieścić w poczcie moich przyjaciół, że nieprzestawałem nakłaniać Pani Kasztelanowéj, ażeby jako chrześcijanka, raczyła odpuścić swoją krzywdę, i tém ułatwić jego powrót do kraju. Mam w Bogu nadzieję że to się da zrobić z czasem. Ale dziś, jakkolwiek w potocznym trybie życia, miło mi jest na każdém miejscu widzieć się ze znakomitym kawalerem, bratem moich przyjaciół, synem męża, którego nawykłem czcić, mając zaszczyt więcéj lat dwudziestu kolegować z nim w Senacie. Spełniając urząd publiczny, nie wolno mi widzieć w Waszmości, tylko przestępcę przywłaszczającego sobie to co mu jest zabroniono posiadać. Po odbytym akcie poselstwa, mając siebie za prywatną tylko osobę, na pokojach Królewskich, w obcych domach, u siebie, będę mu zawsze rad; ale upraszam go żeby nie brał udziału do naszych czynności, choćby samą przytomnością swoją na naszém posłuchaniu: tém nas uwolni od najprzykrzejszego położenia.

PAN SAMUEL.

— Xiąże Wojewoda Wołyński nie jest juryzdykcją sądowniczą, żeby na mnie exekwował dekreta. Wreszcie ten dekret moją cześć zachował nienaruszoną. Xiąże mnie krzywdzisz, a ja od nikogo skrzywdzić siebie nie dam. Wiek Xięcia zasłania go od skutków mojego gniewu. Wolę to uważać jako zrzędzenia starca, niż odwoływać się do zem-

sty, któréj inny pewnie-by nieuszedł. Obok was pojutrze przed Królem stanę. Współuczestnictwo Samuela Zborowskiego niczemu i nikomu krzywdy nieprzyniesie, a jak stanę obok was, obaczymy, Mości Panie Wojewodo, czy każesz mi się ustąpić!

XIĄŻE WIŚNIOWIECKI.

— Mimo siebie puszczam te obelgi które nierozważny młodzieniec rzuca na wiek mój, i na gorliwość z jaką przestrzegam praw naszego narodu. Ale żadna pogróżka nie zbije mnie z toru powinności Senatora. Panowie, niedopuszczajcie tego zgorszenia, żeby banita stanął przed Królem jako posiadający ufność Rzeczypospolitéj. Wszakże to jest *«crimen lesae Majestatis,»* upoważnić posłować do Króla takiego, który najmniejszego urzędu sprawować nie może. Czyż nie dość że jednego Króla znieważył: tam, przynajmniéj, mógł być wymówionym że gwałtowność uniesienia przytomność mu odebrała. Ale tu, quo titulo stanie z nami? Już-ci Król wie że Pan Samuel jest wskazany na banicją. Czyż to nie śmiech ludzki, jak z nami razem będzie Króla zapraszał do téj Polski, któréj jemu samemu oglądać nie wolno. Zmiłujcie się, koledzy, niepokazujmy Królowi na wstępie, że u nas prawa żadnéj powagi nie mają. Cóż ja mogę mieć osobistego przeciwko Pana Samuela? do jego brata się odwołuję: niech on powie, czy ja niemam słuszności za sobą. Jeżeli koledzy przyznają że dekret Królewski na Pana Samuela zachowuje mu wszelką activitatem, ja się z państwem o to spierać nie będę, tylko zaniosę manifest, ażebym się kiedyś nie wstydził przed Rzecząpospolitą że byłem obojętny na widok zdeptania jéj praw.

PAN JAN ZBOROWSKI.

— W saméj rzeczy, bracie, przez żaden sposób tobie nie wypada być z nami na pierwszém posłuchaniu Królewskiém. Najlepiéj zrobisz, jeżeli na ten dzień zachorujesz, a jak ten dzień przejdzie, potém z nami póki zechcesz, bawić się będziesz na pokojach Królewskich. Żaden z tych Panów nie jest dla ciebie nieżyczliwym. O mojém sercu wątpić niemożesz, a jednak i ja zgadzam się ze zdaniem Xięcia Wojewody.

PAN SAMUEL.

— I ty przeciwko mnie, Janie. Ale ja nigdy nie zezwolę na moje pohańbienie. Cóż to? Czym ja przewinił przeciwko ojczyznie, żebym takie poniżenie znosił! Wszakże moja sprawa jest sprawą prywatną, a nie publiczną. Pan Wojewoda tu niby występuje jak senator, gorliwy obrońca praw Rzeczypospolitéj, ale ja w nim niewidzę tylko patrona Pani Wapowskiéj.

PAN HUMIECKI.

— A już brykasz Samusiu. Co tobie w głowie, że z każdym co nie śpiewa twojéj piosenki, zaczepki szukasz. Konia prowadzi musztuk albo trzęzła, a człowieka rozsądna rada. Trzeba też posłuchać co starsi mówią. Xiąże Wojewoda nie dziś się urodził. Gdzie ty był, kiedy on już radził? Ty się niedopuściłeś żadnéj podłości, i gdyby kto śmiał tobie coś podobnego zarzucić w przytomności Xięcia Wojewody, on pierwszy swoją powagą zamknął by mu gębę. Ale sam wiesz, żeś w uniesieniu nabroił, kiedy aż Senator padł ofiarą twojéj porywczości. Że dekret Królewski stanął na ciebie, tego w kłaki nieobwiniesz, ile że to dekret jeszcze bardzo dyskretny, ja pierwszy czegoś gorszego się spodziewałem. Jeżeli on tobie zawadza, da Bóg, że jak serca się połagodzą, pójdzie jakoś pod stół: my wszyscy o to się starać będziemy, a nowy Król nasz powie za tobą dobre słowo Pani Wapowskiéj, przez wzgląd na to, co twoi bracia na konwokacji dla niego robili. Ale póki to nie nastąpi, trzeba iść stępią, a nie chcieć sadzić rowy i poręcze, bo jak się ochwacisz, to potém i stępią niepójdziesz. Pan Zamojski jeszcze się nie odezwał, — ja ci powiedzieć mogę jakie on tobie dawał dowody swojéj życzliwości, kiedy ciebie niebyło. Być przyjacielem w oczy to niewielka rzecz, ale ja widziałem jak on zaocznie za tobą się ujmował. Jego się poradź, on kuty na cztery nogi: Jego rady się trzymaj, a tego pewnie niepożałujesz.

PAN ZAMOJSKI.

— Pan Samuel jest prędki, ale nadto ma szlachetny sposób myślenia, żeby nie poznał, jak go pierwszy impet

opuści, że posłuszeństwo Prawu zawsze cześć, a nigdy upokorzenia nie przynosi. Pan Samuel zawsze jest godny naszego szacunku, i każdy z nas za zaszczyt poczytać może jego koleżeństwo. Ale w najmniéj znaczącéj sprawie, dekret niewypełniony, nie dozwala obywatelowi urzędowéj czynności. Gdybyśmy, przez słabość dla niego, przy powitaniu naszego Króla, i zobowiązaniu go do podpisania umowy z Rzecząpospolitą, nie okazali się gorliwymi w przestrzeganiu Prawa, narazilibyśmy siebie na słuszne wyrzuty Sejmujących Stanów, i na nieufność nowego Króla, a Panu Samuelowi wyrządzilibyśmy nie przysługę, ale szkodę; bo nasz Elekt o wszystkiém jest uwiadomiony. Szacunek, co go ma dla niego, podwoi się, jak się dowie że się nie stawił z nami, przez posłuszeństwo dla Prawa, które, choć z jakąś własną szkodą, i na obcéj ziemi chce wykonywać. Przeciwnie, gdyby się upierał do nienależytéj czynności, utraciłby na zawsze jego łaskę. Bo ja znam dobrze naszego przyszłego Króla. Wyobrażenie powinności jest u niego tak święte, że ani sobie, ani nikomu nie pozwoli przeciwko niéj wykroczyć. Jeżeli, czego się niespodziewam, gwałtem zechce Pan Samuel wcisnąć się między nami przed Królem, my tego zgorszenia nie staniemy się sprawcami, żeby aż gwałt gwałtem odpierać. Ale to pewna, że tym krokiem zamknąłby sobie nazawsze wrota do ojczyzny.

PAN HUMIECKI.

— Jak xiążka mówi Pan Zamojski, aż miło słuchać. Ja to wszystko mam w myśli, tylko tak wypowiedzieć nie umiém. Ta to żebyś nieproszony gwałtem się stawił przed Królem, tylebyś jego i widział. To węgier zawzięty, własną ręką tureckie łby zmiata, a słyszę niema konia któregoby nie dosiadł. Niezawodnie wyda rozkaz żeby ciebie niepuszczono do jego komnat. Czy nie lepiéj raz go nie widzieć, a potém co dzień, i z nami, i bez nas, niżeli raz go jeszcze obaczyć, a potém nigdy: bo on ciebie i znać nie zechce. A ty wiesz o co tobie idzie: co mam gadać — ty mnie rozumiesz. Zresztą my tylko nogi, krzyże, kłoda, a nasza głowa Eminentissimus Princeps Episcopus Cracoviensis — wszak prawda?

Co on każe, to spełniać trzeba. A kiedy my i wiekiem, i jakiemiś dostojeństwami zaszczyceni przecie, a jemu jesteśmy posłuszni, to i Waści korona z głowy nie spadnie że pójdziesz za jego wolą.

XIĄŻE KARDYNAŁ.

— W rzeczy saméj Pan Samuel na naszém posłuchaniu znajdować się nie zechce: o to go upraszam, jako przyjaciel i krewny. Tuszę że oporem swoim nie zechce utrudniać naszego położenia. Widzę tu Pana Mroczka i Pana Zdorę: oba moi znajomi, oba z zasłużonéj krajowi szlachty, zapraszam ich do naszéj assystencji na dzień pojutrzejszy, kiedy nasze poselstwo stanie przed Elektem. Jeżeli jest jeszcze jaki szlachcic, sługa wasz, lub Pana Samuela, oświadczcie mu żeby się razem z wami stawił.

Pan Kaźmierz i Pan Ezechiel, oba się skłonili na znak posłuszeństwa. Pan Samuel gryzł sobie usta, w dość silném poruszeniu. Pan Zamojski z początku usiłował go uspokoić, ale widząc w nim jakoby jakąś niechęć przeciw sobie, zostawił go, i zaczął na stronie rozmawiać z Panem Mroczkiem. Xiąże Wojewoda Wołyński usiadł przy Xięciu Kardynale, i oba z sobą cóś cichym głosem mówili. A Pan Humiecki, zawsze wesoły i rabaszny, przybliżył się do Zdory, i rzekł:

— Jakże Waści się powodzi na Siedmiogrodzu. Po rumianych policzkach widzę że jeszcze się niezatęskniłeś za naszą Polską.

— Tęsknota niczemu niezaradzi, JWPanie; a nakoniec, nie miałem czasu tęsknić. Bo tu się nie próżnowało. Byłem użyty od przyszłego naszego Króla do wytępienia rozbójników, którzy z Wołoszczyny na obywatelów Siedmiogrodzkich napadali, i dałem im radę, że dotąd na nikogo napadać nie będą. Potém tańce u dworu, hulanki u panów tutejszych, gdzie tokajem jak wodą szafują. Tutejsi magnaci tak popularni, że odkąd jestem na Siedmiogrodzu, jeszcze srebrnego grosza nie wydałem na wino. A i polowania bywają. Jak mnie JWPan widzi, temu dni kilka odyniec kłem mnie uderzył po boku, a potém podeptał mnie, że ledwo do siebie

przyszedłem. Jakoś czas tak schodził, że gdybym tu i kilka lat siedział, nie pamiętałbym o Polsce.

— Jakże Waści odyniec na dwoje nie przeciął?

— Ba! bo pancerz miałem na sobie; pancerz dla mnie to ojciec i matka. Jabym nie był od tego żeby obudziwszy się zaraz go wdziać na siebie, i niezrzucić aż się spać położy.

— Kiedy tak lubisz pancerz, to ciesz się, bo go będziesz nosił do syta, nawet spać w nim nie raz Waści wypadnie. Gdyż zanosi się na straszną wojnę z Carem Iwanem.

— Daj Boże, JWPanie; może się człowiek na coś przyda. Żeby to na nas nieprzyjaciel wystąpił w takich zbrojach jak ussarze Xięcia Kardynała, toby dopiéro była pociecha.

— Wszak zdaje mi się, że Waść jesteś Chorążym w chorągwi Pana Tęczyńskiego.

— Byłem nim kiedyś, ale jak dostałem się do Siedmiogrodza, mój Rotmistrz widać że musiał za mną tęsknić, bo aż tu przysłał rozkaz żebym niezwłocznie stawił się pod moim znakiem. Ale że Rzeczpospolita była w pokoju, a nasze towarzystwo w Szkalmierzu tylko z szynkarkami wojowało, taki rozkaz nie był wcale po mojéj myśli; ile że już mając jakieś zasługi na Siedmiogrodzu, zabierałem się wstąpić do stałéj służby Xięcia Stefana. Złożyłem więc moje chorąztwo w ręce Pana Tęczyńskiego. A teraz jestem sobie liber baro, na zawołanie każdego co zechce w pole wyruszyć. A ten niech mną obraca wedle woli swojéj. Jak Król będzie formalnym Królem, a przyjdzie do wojny, jak tego JWPan robisz nadzieję, to on mnie nie da za piecem leżéć.

— Nie inaczéj, Mości Panie Zdoro, tém więcéj że w paktach konwentach stoi i to żeby komput był zwiększony. Zdaje mi się że od tego zacznie, że kilka nowych chorągwi utworzy. Da Bóg, że będziemy z sobą wkrótce nad Dźwiną, bo że pokój z Turkiem, niema mnie czego pilnować Dniestru. Samuś trochę rozdąsany, ale to jakoś przejdzie; a trzeba go ztąd wyprowadzić, bo czy uważasz jak Xięciu Kardynałowi oczy się mrużą. Zmęczył się: kapica nie hartuje jak pancerz... Samusiu, już czas tobie pożegnać szanownych gości, bo chociaż Eminentissimus tobie rad, ale ty mu nie

tyle teraz potrzebny, ile spoczynek. A za jego przykładem i my się wywczasujem. Nieprawda, Mości Wojewodo? Przepraszam Pana za mojego siostrzeńca, że nic do rzeczy się odezwał. Zwyczajnie paliwoda: ale poczciwe serce niech-no trochę podstarzeje, a będzie z niego człowiek. Jego ojciec a mój szwagier, nieboszczyk Pan Krakowski, za-młodu jeszcze większym był sowizdrzałem, a potém tak się utemperował, że z niego był wzór Senatora. Wszak, jeżeli mówię nic do rzeczy, to proszę mnie wystrofować. Owóż tedy Samuś sam za siebie przeprosi Xięcia, jak mu te chandry przejdą.

— Mości Generale, i my kiedyś byli młodzi, a na coż-by człowiek się postarzał, gdyby niemiał być wyrozumiałym na wybryki młodzieży. Ja całego domu Zborowskich jestem przyjacielem, i mam prawo do serca Pana Samuela.

— Podziękuj-że, Samusiu, Xięciu Wojewodzie. Czy szynę masz w karku, że tak stoisz wyprężony... Tak, to ale; teraz podaj rękę Panu Zamojskiemu, na znak że przyjaźń odpłacasz przyjaźnią. Nie zbywam ciebie, ale proszę żebyś szedł z Bogiem, i zrobił się chorym, póki nie ułatwimy tego po co nas posłano. Wiem że ty kwaterujesz w pałacu, i cieszę się, jako wuj, żeś zasłużył sobie na względy naszego przyszłego Króla. Parę dni przeczekać nie wielka rzecz, a potém znowu między moimi kolegami a tobą największa będzie filadelfia.

Chociaż Pan Samuel w istocie jeszcze niezupełnie był ochłonął ze swojego wzruszenia; nie mógł wstrzymać lekkiego uśmiechu na te gawędzenie szczerego i rubasznego starca. Pożegnał wszystkich w sposobie okazującym że to co mu powiedziano trafiło do jego przekonania, i wyszedł z Panami Mroczkiem i Zdorą.

XI.

Dziedziniec pałacu Xięcia Siedmiogrodzkiego był napełniony widzami, oczekiwano przybycia poselstwa polskiego przed oblicze panującego. W narodzie walczyły na przemian uczucia żalu, że wkrótce ulubionego władzcę utracą, dumnéj radości, że trzy narody połączyły się w jednomyślnéj woli dla powierzenia swoich losów ich Xiążęciu. Gmin Siedmiogrodu — szczera krew Słowiańska, cieszył się z tego połączenia swojego z pobratymczemi narodami pod berłem wspólnego Pana. A szlachta, lubo z pochodzenia magjarskiego, słowianom obcego, podzielała radość powszechną, widząc w wyniesieniu swojego Xięcia, rękojmię niezawisłości Siedmiogrodza od jarzma czy Rakuzkiego, czy Bissurmańskiego. Tém więcéj, że obcowanie z Polakami znajdującymi się na dworze Hermansztadzkim, dało jéj wysokie wyobrażenie o waleczności i obyczajach nowych poddanych jéj pana, wyobrażenie, które jeszcze wzrosło w dniu wczorajszym, kiedy z rozkazu Stefana wyżsi urzędnicy, magnaci i dygnitarze, tak duchowni jako i świeccy, przyszli powitać poselstwo u Xięcia Kardynała. Pan Zamojski już był im znany osobiście, i ich przedstawiał swoim kollegom, ale wysokie światło Kardynała, powaga Xięcia Wiśniowieckiego, wojownicza rubaszność Generała Ziem Podolskich, i grzeczność Pana Rostworowskiego; niemniéj gładkość i starowne wychowanie szlachty która im assystowała, do reszty ich zniewoliła.

Przybyli nakoniec posłowie w karetach dworskich, glejtowani ussarzami skrzydlatymi Xięcia Kardynała, dworzanami posłów, i oddziałem straży Xiążęcéj. Przybycie posłów powitane było hukiem dział pałacowych. Karety stanęły przed krużgankiem pałacu, gdzie Xiąże Prałat Rzymski Batory, i Pan Bekiesz, Wielki Koniuszy, otworzyli karetę w któréj siedział Kardynał, i podali mu ręce, żeby go przez stopnie przeprowadzić. Za Kardynałem i inni posłowie stanęli u podwoi, na progu których zostali powitani od dworu Xiążęcego, który ich przeprowadzał przez schody prowadzące do sali audiencyonalnéj. Ussarze i inna szlachta Polska, pozsiadali z koni, i wszyscy wtłoczyli się, za posłami, do sali, gdzie Stefan Batory ich oczekiwał. Xiąże Kardynał miał rzecz do Króla w języku łacińskim, w imieniu Duchowieństwa i Senatu, i podał mu Pacta Conventa do podpisu. A Pan Jan Zamojski w tymże języku przemówił do niego w imieniu stanu rycerskiego. W mowie swojéj krótko wyłuszczył prawo polityczne narodu, który powołał Xięcia do najwyższéj władzy, powołał nie większością głosów, ale jednomyślnością, tak drogą słowiańskim plemionom, a któréj nieomylność okazała się w tém, że wśród tylu ubiegających się potężnych Monarchów o naszą koronę, do niego skłoniła wszystkich serca.

Stefan Batory odpowiedział krótkiémi słowy, że dziękuje narodowi za ufność którą jego zaszczyca, że niczego niezaniedba ażeby się okazać jéj godnym. A co do paktów konwentów, że nawzajem tyle ma ufności w narodzie Polskim i w tych co w jego imieniu te pakta układali, że bez ich czytania je podpisze, w przekonaniu iż muszą być dobre, i że jeżeli je późniéj odczyta, to jedynie dla tego, żeby je dopełniać. I w saméj rzeczy przyjął pakta z rąk Xięcia Kardynała, i bez wahania je podpisał.

Jak oddał podpisane pakta Kardynałowi, ten obracając się do kollegów i do zgromadzonéj szlachty Polskiéj wyrzekł głośno:

— Oto jest Pan wasz, Stefan, z Bożéj łaski Król Polski, Wielki Xiąże Litewski; — czy który z was ma co przeciwko niemu?

Na te słowa, Posłowie padli do nóg Królowi, a za nimi szlachta, i wszyscy jednomyślnie wykrzyknęli, «Vivat in aeternum Stephanus Rex noster?» Król niemógł łez wstrzymać, na widok tego samorzutnego dowodu wierności i uniesienia pierwszych swoich poddanych których widział.

Po odbytéj audiencji Król posłów przywołał do swojego gabinetu, i z nimi pracował do wieczora; obiadem tylko przerwali prace. Zasięgał wiadomości o stanie kraju, o jego skarbie, o sile zbrojnéj, o środkach jakich by można użyć dla pomnożenia jednego i drugiego. Pan Zamojski wszystko przed nim objaśniał.

— Tego utaić nie można, Najjaśniejszy Panie, — rzekł do niego, — że w Skarbie same pustki, i że chorągwie źle są pokryte. Ale że są znaczne dobra stołowe, zupy solne i miasta bogate, jako Ryga, Gdańsk i inne, co wszystko może przysporzyć środki dostateczne do opatrzenia Skarbu publicznego; a nadewszystko zamożna szlachta, któréj dostatki zawsze są gotowe na potrzeby kraju, byle ten co ich zażąda, umiał jéj ufność pozyskać. Nasze wojsko komputowe nieco zdrobniało, ale bardzo łatwo na stopie wojennéj postawione być może, bez domagania się od Sejmu podatków, a tylko baczeniem ażeby Starostowie dopełniali swoich obowiązków. Nadto Rzeczpospolita w Pospolitém Ruszeniu stanu rycerskiego znajduje potężny zasób do prowadzenia wojny, czy zaczepnéj, czy odpornéj, bo każdy szlachcic jest żołnierzem bitnym, a jeszcze Najjaśniejszy Panie, masz środek dotąd zaniedbany, a który w ręku Waszéj Królewskiéj Mości może stać się wielce potężnym.

KRÓL.

— Jakiż to środek?

ZAMOJSKI.

— Wasza Królewska Mość nie tylko jesteś Królem Polskim, ale jeszcze jesteś władzcą od Polski obszerniejszéj Rusi. Między słowiańskiemi narodami, Rusini szczególnie się odznaczają wytrwałością w wojnie i wiernością dla swoich panów w pokoju. Nic łatwiejszego jak mieć sześć-

dziesiąt tysięcy kozaków na zawołanie, a z takowym posiłkiem nie wiém czegoby nasze rycerstwo nie dokazało.

HUMIECKI.

— Ma słuszność Pan Zamojski. Kto ma Ukraińskich kozaków, na jakie sto djabłów temu z takim kosztem sprowadzać halabardników i rajtarów z Niemiec. Wasza Królewska Mość niech mnie o nich zapyta, bo od więcéj lat trzydziestu, trzymając straż od granic tureckich, niema żołnierza Rzeczypospolitéj, któregobym nie znał na pamięć. Na ostatniéj wojnie tureckiéj miałem cztery pułki kozackie, — daj Boże do śmierci takich chłopców, bo to się bije po swojemu, nigdy nie śpi i nikomu też spać nie daje. Bywało, jak to się wyprosi żeby ich puścić na wędrówkę, i tydzień i drugi przeminie, a o nich i nie słychać, człowiek ma ich za przepadłych, aż pokazują się i ciągną powrozem Turków co nie miara, a tak się obłowią, że bazarnice dają potém swoim córkom posagi, jakby jakie obywatelki. Bo kozak materye i klejnoty tureckie przepędza na gorzałkę, jak szlachcic żyto, i częstuje czy Polaka, czy Litwina, czy kto mu się popadnie. Bejram w obozie póki się nie wyszastają, a potém sami się znowu napierają, żeby ich wypuścić z obozu. Z kozaków zawsze miałem pociechę. Bo to konie ich, na oko pięciu szelągów niewarte, chude, nikłe, kłapouche, ze stérczącym grzbietem, ale cnotliwe, że kiedy pójdzie cwałem, strzała ich nie dopędzi. Kozak cały dzień na nim harcuje, a o sednie tak dobrze jak nie słychać. Ja nimi zawsze ćwikałem w oczy towarzyszom Kawaleryi Narodowéj.

ZAMOJSKI.

— Oni wybierają swoich hetmanów, nie jeden z naszych panów był przez nich wybranym. Hetmanili im Xiążęta Wiśnowieccy i Zbarazcy, a nawet Pan Lanckoroński, lubo z czystego rodu polskiego. Niedawno był hetmanem u nich Pan Samuel Zborowski, bawiący ninie na dworze Waszéj Królewskiéj Mości. Jeno że kozacy, nie doczekawszy się jego powrótu, jakiegoś ze swoich obrali na jego miejsce. Ma to być prosty kozak, ale roztropny, wtrawiony do naszego rzemiosła i człowiek wielkiéj wiary, czegoż więcéj

potrzeba! Nie będzie trudno Waszéj Królewskiéj Mości ten naród przywiązać do siebie. Ma Korona, ma Litwa swoich hetmanów, dla czegożby Ruś nie miała go także, uznanego przez Sejm.

XIĄŻE WIŚNIOWIECKI.

— Nie dla tego to mówię że jestem Rusinem, ale odzywam się jako wierna rada Waszéj Królewskiéj Mości, i śmiem jéj przełożyć, że naród Ruski, obszerniejszy w przestrzeni swojéj od Polskiego i Litewskiego, a w niczém im nie ustępujący, przecie jest dotąd pozbawionym tych przywilejów, któremi tamte prowincye się cieszą; dotąd byliśmy zaniedbani. Królowie Polscy, poprzednicy Waszéj Królewskiéj Mości, przenieśli stolicę Państwa z Gniezna do Krakowa, a Jagiellończykowie często w Wilnie przemieszkiwali, tak wszystkie prowincye nasze z kolei miały szczęście posiadać w łonie swojém swoich panów. Jedna tylko nieszczęśliwa nasza Ruś, tak dobrze jak nieobeznana z obliczem swoich Panujących.

ZAMOJSKI.

— Każde miejsce, w którém Król przebywa, staje się stolicą Rzeczypospolitéj. Jest to obyczaj zachodni przywiązywać mieszkanie Królewskie do jakiegoś szczególnego miasta, ale my, chwała Bogu, tego obyczaju nie mamy. W każdém Województwie, w każdym powiecie, nasi Królowie znajdują dwór na ich usługi gotowy. Zygmunt August nie w Krakowie, ale w Knyszynie dni swoje skończył. I nasz Król teraźniejszy nie da się przykuć do Krakowa, ale obóz będzie jego istotną stolicą, bo nie zanosi się na to, żeby Rzeczpospolita miała się cieszyć długim pokojem.

KRÓL.

— To co mówicie o kozakach, zgadza się z mojém przekonaniem. Kiedy jeszcze nie mogłem mieć nadziei zostać waszym Królem, jakby jakiém przeczuciem, wielce się zajmowałem tém wszystkiém, co się tyczy tego osobliwszego rycerstwa. Zasiągałem niejednokrotnie o nim wiadomości od Pana Samuela Zborowskiego, który mu świeżo hetmanił,

a szczególnie od Pana Mroczka, który się wtajemniczył do wszystkich jego ustaw i obyczajów. Pojutrze trzeba nam wyruszyć do Krakowa, — u mnie wszystko w pogotowiu. Dwa tysiące hajduków, stosownie do *paktów conwentów*, wyprawione będą do Polski. Trzeba nam myśléć o jak najrychlejszéj koronacyi, o uroczystości małżeńskiéj z Królewną Anną, którą mnie na żonę przeznaczacie, a potém tak wystąpimy w pole, żebyśmy się nie powstydzili. Niech-no się lepiéj obeznam z wami w Krakowie, — mam w Bogu nadzieję że nie będziecie żałowali waszego wyboru. Po koronacyi, da Bóg doczekać, dążyć będziemy ku Inflantom, ale rzemiennym dyszlem, bo obrócę drogę na Kijów, żeby się poznać z Rusinami i urządzić ich hetmaństwo. A do was należy wpływać na Sejm, którego ufność umieliście pozyskać, żeby mi nie bruzdził, żeby w łonie swojém nie rozsiewał kłótni, a tylko miał na celu powszechne dobro.

ZAMOJSKI.

— Bądź pewnym, Miłościwy Panie, że nie jesteśmy tak skłonni do swawoli, jak nam to zarzucają postronni, kiedyśmy ciebie wybrali Królem. Bo wiemy dobrze że nie jesteś z takich, którego rozkazy lekce-ważonemi być mogą. Pochlebiam sobie, że tak umiałem pojąć duszę Waszéj Królewskiéj Mości, iż gotów jestem przysiądz, że wszystkie trzy narody, składające naszą Rzeczpospolitę, nie tylko że nigdy opierać się nie będą twojéj woli, ale będą się starały ją przeniknąć, żeby jéj ogłoszenie uprzedzić.

KRÓL.

— Przyjmuję tę dobrą wróżbę, Mości Panie Zamojski, z ust waszych, bo wiem, że nikt lepiéj nie zna waszéj szlachty. I cóż ja żądać mogę co by nie było z jéj dobrem. Wszakże dla siebie nic niewyniosę z waszéj Rzeczypospolitéj. Dzieci mieć nie będę, mój spadkobierca jest w stanie duchownym, a na nim kończy się ród Batorych. Na Króla elekcyjnego nie mogliście znaleść dogodniejszego odemnie. Bo nie mam krwi, dla któréj korzyści, korzyści Rzeczypospolitéj chciałbym poświęcać.

PAN HUMIECKI.

— To prawda, Najjaśniejszy Panie; jak się do nas przeniesiesz, to nietylko z powinności, ale z własnéj ochoty musisz zostać Polakiem, bo niezostawujesz na Siedmiogrodzu nic takiego, cobyś mógł żałować A przyszła nasza Królowa, ostatni potomek naszych Jagiełłów, chociaż nie w pierwszéj młodości, ale tak zacna, tak mądra, tak bogobojna, że właśnie stworzona na dozgonnego przyjaciela Waszéj Królewskiéj Mości. Królowi, nawet wodzowi wojska, młoda i piękna żona, tak potrzebna jak szydło w worku. Człowiek rad prędko wojnę skończyć, żeby się z żoną nakochać, a tu czasem i trzy i więcéj lat trzeba dotrwać. Ot zaraz i tęsknota napada; a co wart, nie dopiéro wódz ale żołnierz, kiedy u niego w sercu zamiast odwagi tęsknota, bo jedno i drugie trudno pogodzić trudno. Albo to ja przez to nieprzechodził. Moja żona, był to cud piękności; niech powie Xiąże Wojewoda Wołyński, który, jak się porachujemy, to może przyzna że odemnie parę laty starszy. A była Xiężniczką Zbaraską z domu. Owoż tedy, kiedy człowiekowi wypadało prowadzić za sobą swoich na Bissurmana, jak zaczną grać samopały, a świstać strzały, to człowiek o siebie się nie boi, a broń Boże! Ale jakie pokusy djabeł na niego obmyśla; oto szepce mu do ucha: jak ciebie ubiją, jakże twoja żona rozpaczać będzie. Bywało się żegnam, ledwo nie obydwoma rękoma, a téj myśli odpędzić nie mogę: aż złości biorą. I co wart wódz który myśli o czém inném, niż o tém co ma przed oczami. Nieraz pomyślałem sobie: a czemuż ja baby nie pojąłem! nie siedziała by mi ciągle w głowie, ani bym tęsknił za domem. To też kiedy ją straciłem, dwa lata z nią przeżywszy, omal nie wstąpiłem do klasztoru z rozpaczy, ale przyjaciele jakoś to mi wyperswadowali, a nawet nieboszczyk Xiąże Prymas Gamrat, wyraźnie mi powiedział, że moje powołanie nie od Ducha Świętego, tylko zwyczajnie at sobie, a więc zakon nie będzie miał ze mnie pociechy, i jak wilk do lasu, człowiek do wojennego swojego rzemiosła powrócił. Mnie był smutek w sercu, i dotąd trwa, ale Rzeczypospolitéj było wesoło, bo nigdy lepiéj mojéj powinności

niedopełniałem. Rad byłem na placu bitwy poledz, a Najjaśniejszy Pan, jako sam doświadczony żołnierz, wiesz najlepiéj, że jedyny sposób być panem cudzego życia, swoje własne nie ważyć. Póki żona żyła, różnie bywało, ale odkąd Bóg ją do siebie przywołał, zawsze mi szło pomyślnie z Bissurmanem. W moich Czarnokozincach wyniósł się zamek, że w nim i Waszą Królewską Mość nie powstydziłbym się przyjmować, a ręka chrześciańska ani jednéj cegiełki się nie dotknęła. Wszystko to robota jeńców Tureckich i Tatarskich, dla których chleba i barraniny nie żałowałem, bo go darmo nie jedli. To kiedy moja żałoba się skończyła, a na jakie parę tygodni wyjadę z granicy do Krakowa, ażeby z czasem Król nie zapomniał jak też wyglądam, to Wojewodziny i nie Wojewodziny, Kasztelanowe i nie Kasztelanowe, podsuwają mnie swoje córki; każdaby rada nazwać mnie swoim zięciem, i widzieć córkę Generałową Ziem Podolskich, dającą rozkazy licznéj czeladzi, między ścianami obitemi makatami Tureckiemi, na które ani szeląg z ziemskich przychodów się nie wydał; i wjeżdżającą do stolicy w poszóstnéj kolasie, ciągniętéj przez konie których by nie zawstydziły nie tylko konie Cesarza Rzymskiego, ale może i Ojca Świętego. Bo trzeba wiedzieć że moje domorosłe koniki są takie, że na nich się świat kończy. Żeby Bogu się podobało cóś piękniejszego i poczciwszego stworzyć, to już nie będzie koń, będzie coś innego. Otoż nasze panie tak dla mnie grzeczne, tak się przymilają, że kto inny by sobie pancerza niedobrał dla ochronienia serca, tylko że od śmierci mojéj żony, moje serce już przestało być mięsistém. Wszakże to człowiek ma siódmy krzyżyk a jeszcze mu pokoju nie dają. Niech powie Xiąże Wojewoda Wołyński, jak jedna wysoka dygnitarzowa, młoda i piękna wdowa, brała mnie w obroty na pokojach Króla Henryka; jak ona mi to dowodziła że przykro umierającemu nie mieć dzieci, coby mu powieki zamknęły. A ja na to: A, Mościa Dobrodziko, na co te dzieci, kiedy może tak Bóg zrządzi że śmigownica jeszcze lepiéj je zamknie. I to szczerze jéj powiedziałem; ja się więcéj obawiam podagry niż kuli, bo widziałem jak nieboszczyk Xiąże Prymas krzyczał

kiedy na niego nacierała, to trochę gorsza sprawa niż śmigownica. Bogu dzięki, tych chorobek nie znam, a jednak co tydzień się spowiadam, żeby zawsze być gotowym na Boskie zawołanie. Owoż tedy, Najjaśniejszy Panie, że kiedy jest Król, musi być Królowa, nic dogodniejszego nie może być dla Waszéj Królewskiéj Mości, jak to, że sejmujące stany przeznaczyły mu na żonę Miłościwą Annę, Królowę naszą, bo to...»

— A tak, — przerwał Król, poruszając brwiami, co było u niego oznaką, że niecierpliwie słucha co mu mówią. Ale wkrótce łagodny uśmiech zabłysnął na jego ustach, i rzekł do starego gawędy: — Dobrze mówisz, Panie Generale Ziem Podolskich, bo wiele doświadczyłeś. Da Bóg, że wkrótce będziemy razem tam gdzie śmigownice i samopały huczą. Jest to muzyka dla naszych tańców... Ale co to jest, że Pan Samuel Zborowski nie pokazał się między tymi co mnie raczyli powitać?

PAN JAN ZBOROWSKI.

— Mój brat, Najjaśniejszy Panie, nieśmiał się pokazać na tym uroczystym akcie, bo na nim cięży wyrok, jednak nie ze wszech miar nieprzyjaźny, kiedy dał mu szczęście być poznanym od Waszéj Królewskiéj Mości, a nawet pozyskać pewne jego względy.

PAN ZAMOJSKI.

— Wedle praw naszych, jeżeli kto z nas zostaje pod dekretem sądowym, w nim prawa obywatelskie są jakoby w zawieszeniu. A Pan Samuel i po za obrębami Rzeczypospolitéj chce pokazać, że umie im być posłusznym. Za szczęście poczyta sobie złożyć Waszéj Królewskiéj Mości hołd winnego poddaństwa, ale niewypadało mu być świadkiem uroczystości, w któréj Miłościwy Pan nasz podpisał przymierze, łączące go w dożywotnim związku z Rzecząpospolitą.

PAN JAN ZBOROWSKI.

— Dekret, pod którym mój brat jęczy, był na niego forowanym od Króla Henryka, za powództwem Pani Wapowskiéj, Kasztelanowéj Przemyślskiéj, za przypadkowe zabicie

jéj męża; ufamy w łasce Waszéj Królewskiéj Mości, ja i bracia moi, że w Krakowie raczysz Miłościwy Panie, ten wyrok, karzący przypadek jakby on był rozmyślnym występkiem, potęgą Majestatu swojego odmienić, i zachować dla Rzeczypospolitéj zasłużonego sługę, a wiernego poddanego Waszéj Królewskiéj Mości.

KRÓL.

— Wszystkie okoliczności téj sprawy mi są wiadome, i nie taję się z moją przychylnością dla Pana Samuela. Chciałbym go widzieć między swoimi, oczyszczonym z wyroku który nas pozbawia jego usług. Ale w tym wyroku są dwie okoliczności: pierwsza, zniewaga Majestatu, druga, zabójstwo Senatora. Względem pierwszego występku, mogę go ułaskawić, bo zniewaga Królewska jest moją zniewagą, i tę chętnie odpuszczę, przez szacunek jaki mam dla całego jego domu. Co do zabójstwa Pana Wapowskiego, jakkolwiek można je uważać za przypadkowe, wszakże jest to krzywda pozostałych po nim wdowy i sierot. Tu się moja władza kończy. Potrzeba żeby one poszły za moim przykładem, ale do tego naglić ich nie mogę. Oprócz mojego wstawienia się do nich za Panem Samuelem, nic innego przyrzekać mi nie wolno. Do Waszmości, krewnych i przyjacioł jego, należy skłaniać skrzywdzoną stronę do odpuszczenia swojéj krzywdy. Bo jeżeli Pani Wapowska okaże się upartą w swoim gniewie, cóż będę mógł uczynić? Wasze prawa wkładają na mnie obowiązek obstawać za krzywdy moich poddanych, ale nie dają mi mocy je odpuszczać.

JAN ZAMOJSKI.

— Mojém zdaniem, Pan Samuel powinien udać się prosto do chorągwi swojéj, która w Inflanciech stoi. W obozie wyroki sądowe się niewykonywają, zwłaszcza kiedy walczyć trzeba z nieprzyjacielem. A jeżeli jaki Starosta wmiesza się w szyki bojowników, ten patrząc na czyny Pana Samuela, pewnie mu nie przypomni wyroku, który lubo mu nie dozwala przystępu do Rzeczypospolitéj, zachowuje mu sławę i poczciwość. Tam niech czeka skutku starań i zabiegów przyjaciół i krewnych, którzy poparci życzliwością Waszéj

Królewskiéj Mości, niczego niezaniedbają, ażeby zmiękczyć serce Pani Wapowskiéj. Tuszę że Pan Samuel tyle zjedna sobie chwały w wojnie do któréj Rzeczpospolita się gotuje, że cały naród odezwie się za nim do jego nieprzyjaciołki, i że ona sama pozna, że nieprzystoi wdowie Senatorskiéj, nastawać na przeciw męża zasłużonego Królowi i ojczyznie, a który miłość i szacunek pozyskał w narodzie.

PAN HUMIECKI.

— Dobrze mówi Pan Zamojski. Ja sam biorę na siebie przekonać Samusia, żeby zaniechał jechać do Krakowa, a prosto się udał do Inflant. Powiém mu: co tobie zdrową głowę kłaść pod Ewangelję, wściubiając się tam gdzie ty niepotrzebny. Kręć sobie jak chcesz, a tego niewykręcisz, żeby na ciebie nie było dekretu w Krakowie. Gdzie indziéj Starosta jak cię obaczy, uda że o tém nie wie; ale w Krakowie niema przekupki która by co do joty wszystkiego na pamięć nie umiała. Dotąd o tém, nawet po szynkowniach gadają. Na koronacji będzie ścisk, cała Polska z całą Polską się obaczy: będą tam ludzie różnego gatunku. A nuż się znajdzie taki co tobie leźć będzie w oczy. Ja ciebie znam, ty zapomnisz że na złodzieju czapka gore, nie wytrzymasz. Do korda się odwołasz, tobie w to graj. A tamten czy szablą lub tarczą zasłoni się od ciebie, czy nie, pomyśli sobie, najbezpieczniéj wyrokiem sądowym się zasłonić. I ćwiknie tobie w żywe oczy: a ja nie mogę się potykać z Banitą. I cóż mu poradzisz. Wyraźnie stchórzył, a przecie nikt nie będzie miał prawa mu powiedzieć: pokazałeś siebie kpem... A może się odezwałem nic do rzeczy, to przepraszam Waszą Królewską Mość. Bo to człowiek zestarzawszy się z włoczęgami całego świata, czasem zapomina przed kim stoi, kiedy mu język się rozbryka, jak koń tatarski.

KRÓL.

— I owszem, mój kochany Generale, mów zawsze do mnie po swojemu. Tak dobrze mówisz, że Król który się ciebie zawsze radzić będzie, na tém nie straci. Spodziewam się na Sejmie koronacyjnym widzieć go w dożywotniéj Radzie mojéj, bo wiem że w Senacie już dawno na niego czeka krzesło.

PAN HUMIECKI.

— Czy w Senacie, czy w stanie rycerskim, zawsze będę wiernym poddanym i sługą Waszéj Królewskiéj Mości. Już to nie pierwszy raz obiecują mnie dać krzesło: zwyczajnie staremu już czas wypocząć. Mam na to listy świętéj pamięci Króla Zygmunta Augusta. On był łaskaw na mnie, jedno że była wola Najwyższego, ażeby stanął przed nim w połowicy dni swoich. I Król Henryk obiecywał mnie na następnym Sejmie ziścić wolę swojego poprzednika, ale, niedoczekawszy się Sejmu, uciekł od Rzeczypospolitéj jakoby od złéj żony. Dziękuję Waszéj Królewskiéj Mości, że moje zasługi nie poszły mimo jego uwagi. Nie taję się, że jak mój ojciec umarł Senatorem, tak i jabym rad, w równém dostojeństwie dni moje zakończyć, których nienajwięcéj mi wolno się spodziewać. A chociaż w Senacie krzesło ma być wygodne, dla tego przecie nie odrzekę się kulbaki. Bo człowiek wie jak na niéj siedzieć, i jeszcze nie bardzo się pyta, czy koń który ją nosi jest ujeżdżony, czy tylko utarty. A czy się dobrze znajdzie w krześle, skądże o tém ma wiedzieć? To tylko szczęście, że Wasza Królewska Mość nia każdemu pozwolisz na niém drzémać, chyba takiemu co już wyraźnie do konia niezdatny, a innych zabierzesz z sobą tam gdzie nie pytają jak kto mówi, ale co robi. I mnie nie zostawisz w Krakowie. Bo może na coś lepszego się przydam w obozie, niż do liczenia w mieście dachówek. Niech to nie razi Waszą Królewską Mość, że już mi wschodzi siódmy krzyżyk. Jeszcze podkowę końską złamię, jak się podochocę: jak mnie widzi Wasza Królewska Mość, gotów jestem o tém go przekonać. A co do robienia pałaszem, możebym się i samego Pana Samuela niebardzo przestraszył. Chociaż w Koronie i Litwie niewiele takich co jego zakład dotrzymają. A kto mu dał tego pierwsze nauki? Bóg świadek, ja. On smarkaczem był, kiedy to bywało nawiedzam moją siostrę w Zborowie. Nieboga uskarża się przedemną że jemu rady dać nie może, taki uparty i zawadijaka, że więcéj ma z nim kłopotu niż z jego siedmiu braćmi razem. A ja go polubił, bo z tych swawolnych chłopców wyrabiają się czasem najtęższe towarzysze Kawa-

lerji Narodowéj. Otoż kazałem zrobić palcaty, i zacząłem go wprawiać do szlacheckiego rzemiosła. Ale napłatałem sobie biedy, bo smarkacz pokoju mi nie dawał, a ja mu mówię: Samusiu, jeżeli cały ranek nie narazisz się matce, to z tobą pójdę w palcaty, a jeżeli na ciebie poskarży się, idź-że sobie do kogo innego żeby się z tobą bawił. Ja mam seciny towarzyszów, nie takich śmierdziuchów jak ty, ale z dużemi wąsami, okutych w stal jak kopyto u wierzchowego konia, a słuchają co im starszy każę, a chcesz żebym z nieposłusznym chłopięciem przestawał. Otoż, czego batog od niego doprosić się nie mógł, chęć popisywania się ze mną tego dokazała. Póki nie wyjadę ze Zborowa, póty matce w niczém się nie sprzeciwia. Ale też się i wyuczył. Bo to moja krew i moja nauka. Wierz mi, Miłościwy Panie, że z niego będziemy mieli pociechę, czy w Inflantach, czy *kuda nasz pan nami oberne*, — jak mówią na Rusi. Bo nie tylko że z niego niepożyty rycerz, ale nawet umie drugich prowadzić. On we własnym interesie paliwoda, na to się nie ogląda co być może za godzinę. Ale kiedy się bije za sprawę publiczną, to taki przytomny, tak zapobiegliwy, że stary może się od niego czegoś nowego nauczyć. Byłby z niego prawdziwy Hetman, żeby nie to, że tyran na konie. U niego koń na to tylko żeby się bić na nim, ale żeby go pielęgnować, żeby o jego wygodach mieć troskliwość, to ani w głowie Samusiowi. Co też on koni pozbawił. A najwięcéj mi żal karego konia co go dostał odemnie; to u mnie było oko we łbie. Wtedy zanosiło się na wojnę z Mieczowymi, tam miało być jego pierwsze pole, ja tam nieposzedłem, bo było dość roboty od strony Tureckiéj dla mnie. Ale jak zaczął mnie tarabanić w uszy: tu niema konia dla mnie, jak koń wujaszka: dla honoru krwi twojéj, daj mi go, żebym na nim Mieczowych strącał; wyuczyłeś mnie robić szablą, dajże mi to, na czém bym mógł na twoje szczęście pracować, ażeby twoja nauka nie przepadła. Tém mnie dobił. Oddałem mu go, jak komu dobremu, i dokazywał na nim, niema co mówić; ale po wojnie tak go zaniedbał, że nie był do ludzi podobnym. Koń spadł był z ścierwa, zwyczajnie spracowany: żeby był do mnie napi-

sał, jabym mu na to poradził, ale on idąc za radą podobnych sobie młokosów, jak zaczął go karmić jęczmienną osypką, podpalił go, że na nic. Albo to teraz znają się na koniach, albo umieją się z niemi obchodzić... Otoż znowu stary się rozgadał, a może nic do rzeczy.

KRÓL.

— Ale nie, mój Generale, i owszem. Wszakże sam jestem miłośnikiem koni, a co wart rycerz któryby nie lubił na nich patrzéć, a kiedy ich niewidzi, niebył rad przynajmniéj o nich pomówić. Koniarstwo i łowiectwo są duszą szlacheckiego stanu, bez nich zniewieściałby w czasie pokoju. Da Bóg, Mości Panie Humiecki, jak będziemy w Polsce, że się szczerze zajmiemy uporządkowaniem stad, w dobrach stołowych. Teraz, Mości Panowie, pozwolicie mnie się zająć rozporządzeniem mojego odjazdu. Jutro na pożegnanie moich tutejszych poddanych daję ucztę, na którą i Waszmościów i wszystkich Polaków szlachty znajdującéj się w Hermansztadzie zapraszam: proszę to im w imieniu mojém oświadczyć. A pojutrze, ku mojemu Królestwu się skieruję Do was, a szczególnie do Pana Kasztelana Gnieźnieńskiego, należy, skłonić Pana Samuela żeby jak najśpieszniéj złączył się z swoją chorągwią w Inflantach, i tam czekał naszego przybycia. Nie zagrzejemy kąta w Krakowie. Pan Samuel znajdzie tam pole, na którém zdoła zatrzeć to co mogło być nagannego w jego postępku. Miło mu będzie najzawziętszych nieprzyjaciół swoich zmusić do szacunku, a tém samém do umiarkowania. Jesteście umocowani Rzeczypospolitéj, możecie jéj oświadczyć moją wdzięczność, za tę ufność którą we mnie położyła. Ja też nie mniéj jéj ufam. A wzajemna ufność między panującym a poddanymi, jest rękojmią potęgi i szczęścia narodu. Oświadczcie jéj także, że poddaję się Prawu i to zaręczę przysięgą: a Stefan Batory nie tylko przysięgi, ale nawet danego słowa nigdy nie złamał. Ale jako sam dam przykład posłuszeństwa prawom, tak też nieścierpię żeby którykolwiek z was poddani moi, je gwałcił. Wasze prawa są dobre, ale nie

zawsze i nie od wszystkich są wykonywane. Ale ja baczyć będę, żeby odtąd było inaczéj.

To rzekłszy, skinął ręką na znak iż się już skończyło posłuchanie. Posłowie skłonili się nizko i zostawili Króla samego.

Karety dworskie odwiozły posłów do ich mieszkania, gdzie przybywszy, zebrali się u Xięcia Kardynała, który pierwszy do nich odezwał się témi słowy:

— A co, Panowie, czy mamy powód żałować naszego wyboru? To mi Król, oto właśnie takiego nam potrzeba było. Bo będą go i miłowali i bali. Apostoł mówi że Królów bać się potrzeba. Naszych Jagiełłów że miłowała Rzeczpospolita, ale że się ich nie bała, z tego niemałe szkody poniosła.

JAN ZAMOJSKI.

— A czy uważaliście, jak się jemu oczy zaiskrzyły kiedy nam oświadczył, że na to szczególnie usilność swoją obróci, ażeby prawa bez względu na osoby wykonywane były.

XIĄŻE KARDYNAŁ.

— My nic innego nie żądamy. Miłujemy wolność, ale brzydzimy się swawolą: a wolność być nie może, jeżeli silna prawica Panującego nie trzyma jéj straży. Daj Boże, żeby nasze mądre prawa niedrzémały na papierze, jak na miękkiéj pościeli, ale żeby oddychały rzeczywistym żywotem.

PAN HUMIECKI.

— O to pokój. Król Stefan nie da sobie w kaszę napluć. Ja to dam na piśmie, że odtąd Panowie dyssydenci na tém poprzestaną, że ich nikt nie będzie gabał w ich kirkach, ale że już nie będą naprzykrzali się tym, co staréj wiary się trzymają. Bo ta Polska swawola, co ją nam postronni wyrzucają, przez nową naukę do nas zaprowadzoną została. Wprzódy Polacy zawsze byli posłuszni swoim Królom. Ja o to nieraz sprzeczałem się z nieboszczykiem Panem Krakowskim, moim szwagrem, który jednak przed śmiercią dowiódł że miałem słuszność. Bo umarł po staremu. A mój siostrzeniec, Pan Gnieźnieński, nie powie że mówię nic do

rzeczy. Bo on jeszcze za życia świętéj pamięci ojca z nami trzymał.

XIĄŻE WIŚNIOWIECKI.

— Już to prawda. Dawniéj w Polsce tylko były kościoły, a na Rusi i Litwie cerkwie. I żyliśmy z sobą w zgodzie, bo nasza wiara nie jest ludzkim wymysłem. Ale jak zaczęli dyssydenci powszechnego kościoła wiarę obalać, nakoniec i nas pokłócili z sobą. Ale Król wszystkiemu zaradzi, on wie że nasze prawosławie, wiara całego narodu, który wierzy w słowo Boskie, umie czcić pomazańców Bożych.

JAN ZBOROWSKI.

— Jednak niespodziewałem się że Król tak ozięble przyjmie moje wstawienie się za moim bratem Samuelem. Wszakże on wie ileśmy pracowali na elekcji, żeby jednomyślność jemu zapewnić. A jednak zbył mnie ni tém ni owém, jak gdyby mu było trudno otrzymać od Sejmu Koronacyjnego amnestję dla wszystkich przestępców w powszechności. A cóż dopiéro gdyby za jednym raczył przemówić.

JAN ZAMOJSKI.

— Dziwię się że Pan Kasztelan, Senator znany z rostropności swojéj, tak dalece może się zaślepiać przywiązaniem do swojéj krwi, żeby aż zapoznawać prawdziwie dla niéj ojcowską życzliwość Króla. Przypomnij sobie, Panie Kasztelanie, jakie było powszechne szemranie naprzeciw Króla Henryka, że wyraźnie odstąpił od prawa, przez stronność dla Pana Samuela, kiedy za zabójstwo Senatora i to w jego przytomności, skarał go tylko wygnaniem, nawet nienaruszając jego czci. A chcesz, żeby na wstępie, stróż prawa dopominał się od Sejmu by go nawet od téj kary, tak nie odpowiednéj jego wykroczeniu, uwolnił. Cóż by powiedziała Rzeczpospolita na widok Króla, rozpoczynającego swój zawód od wstawienia się za interessem prywatnym, kiedy tyle publicznych leży odłogiem. Czyż niewłaściwiéj podać Panu Samuelowi sposobność wielkiemi czynami zmusić poniekąd Króla do przemówienia za nim? Jakże można tak źle odpłacać skłonność Królewską do Waszmości brata.

HUMIECKI.

— Bój się Boga, opamiętaj się Waszeć, Panie Janie: tać-to pewnie bratu swojemu lepiéj odemnie nieżyczysz. Królowi podziękować trzeba, a nie upatrywać w nim jakieś ale. Wszakże, na jutrzejszą ucztę wszystkich nas zaprosił, i Samusia nie wyłączył. Obaczysz Waszeć, Panie Janie, że Samuś bardzo uprzejmie przyjmie radę Królewską. A cóż to, on baba, żeby niechciał krwią nieprzyjacioł zmazać to co inkaustem naprzeciwko niego zapisali. Żebyś Waszeć nie był jego bratem, pokłóciłbym się z Waszecią, że mojemu siostrzanowi poczytujesz za krzywdę to co jest dla niego największą łaską. Królowi niczego wyrzucić nie można, to wielki i mądry Król, chyba w kronikach coś jemu podobnego znajdziesz. A jak się zna na koniach! Uważaliście że on myśli uporządkować stada po ekonomijach. Ja go niechciałem martwić, ale już miałem na ustach: Najjaśniejszy Panie, to mało uporządkować, ale wszystko trzeba do góry nogami przewrócić. Sodoma i Gomora stada koronne: niech Pan Bóg broni, co koniuszowie z niemi wyrabiają. Moich bronowłok folwarcznych nie oddałbym za źrzebców Królewskich. To woła o pomstę do Boga. Kiedy człowiek co na tém żęby zjadł, przejeżdża przez Ekonomję Niepołomicką, gdzie za Zygmunta Pierwszego tak piękne stado się chowało, to musi zamykać oczy, bo wolał-by oślepnąć niż na takie chabety patrzyć. Ale da Bóg że jakoś temu zaradzimy.

Ta filipika szanownego Generała Ziem Podolskich zakończyła rozmowę dostojnych mężów. Bo Xiąże Kardynał z tém się odezwał, że tak przez cały ten dzień był zajęty, że nawet dotąd ani zaczynał swojego brewiarza. Porozchodzili się wszyscy po swoich komnatach, żeby jemu nie utrudniać ćwiczeń duchownych.

XII.

Podczas gdy odchodzili, Generał Humiecki rzekł Kasztelanowi Gnieźnieńskiemu: — Panie Janie, co Waszeć myślisz z sobą teraz robić?

— A cóż? udam się do wczasu, za przykładem Xięcia Kardynała.

— Otoż nie; jutro Król nas przywoła do siebie, bo robiąc różne rozporządzenia, bez nas się nie obejdzie; potém kazał nam sobie służyć na cały wieczór, a pojutrze trzeba nam będzie puścić się na wędrówkę; więc nie mamy czasu do stracenia. Mojém zdaniem, każmy siebie zaraz zawieść do zamku, prosto do kwatery Samusia, żeby go uwiadomić o woli Królewskiéj, wybić mu z głowy myśl udania się do Krakowa, naglić jego wyjazd do Inflant, a dla pocieszenia jego serca, oświadczyć mu, że Król zaprasza go na jutrzejszy wieczór do siebie. Bo, chociaż pewnie z tém poszle do niego kogoś ze swoich dworzan, wszelako miléj mu będzie, jeżeli o czém pomyślném dowie się od swoich, niż od cudzego, a tém bardziéj, jeżeli jest razem i złe i dobre.

— Poznaję zawsze na nas łaskawego wuja, zawsze gotowego o sobie samym zapomnieć, kiedy my potrzebujemy pocieszenia. Udajmy się do niego. Niech do tylu powodów wdzięczności dla wuja, jeszcze i ten przybędzie.

— Ta to o wdzięczność nie idzie, ale o to żeby Samuś sztorcem nie stanął. Ale nie, on nas posłucha. Czy to raz bywało, że nawet Pan Mroczek nie umiał go przekonać,

a ja byłem zawsze dla niego jak musztuk dla konia miękkiego w pysku. Ruszajmy Panie Janie, nie ma gadania.

Ruszyli więc do Zamku, i poszli do Pana Samuela, którego zastali rozmawiającego z Panami Mroczkiem i Zdorą.

— Samusiu, — odezwał się stary Generał; — pomyślne wieści przynosimy tobie. Król bardzo dobrze przyjął wiadomość, że ty niezłożyłeś razem z nami hołdu poddaństwa z powodu uszanowania twojego dla naszych praw. Bo chociaż różnie z tobą bywało, i z trudnością my ciebie do tego skłaniali, a ty się rwał do pokojów Króla: my to jakoś przed nim wystawili, że to nie my zainstynktowali, ale ty sam tego się domyśliłeś. I Pan Zamojski dzielnie w tém nas popierał. Owoż tedy pokazuje się, że Król dla ciebie życzliwy. Bo kiedy twój brat, Pan Jan, odezwał się za tobą, żeby Król, wyrok który ci wzbrania powrótu do kraju, jakoś zmodifikował, on bardzo mądrze odpowiedział, że tego zrobić nie może, póki się Pani Wapowska nie da przeprosić, a że do nas krewnych twoich należy do tego ją skłonić, do czego i swoich parę dobrych słów obiecał dołączyć. A tym czasem radzi ażebyś jak najrychléj pośpieszył do twojéj chorągwi, gdzie niedługo na nas czekać będziesz, bo na zażartą wojnę się zanosi. Prawdziwie w czépku się rodziłeś, Samusiu, że właśnie podaje się tobie środek, który wszystko najgładziéj rozwiąże. Król powiedział, że bez Pani Wapowskiéj, poradzić nie potrafi na to złe któreś sam sobie napłatał, a Bogiem a prawdą, mądrze powiedział, bo ja pierwszy, chociaż jestem wujem twoim, inaczéj bym niepowiedział. Na co się i twój brat zgodzi. Więc tobie ani myślić teraz o Krakowie: koronacja bez ciebie się obejdzie. Jak wojna nastąpi, ty na niéj spać nie będziesz, ale tak się popiszesz, że Pani Wapowska, rada nie rada, da siebie zmiękczyć, i będzie zmuszoną z tobą się pojednać. Bo za tobą będą instancje, któreby skały wzruszyły. Gdyż Król będzie miał rozwiązane ręce, we wszystkich swoich życzliwościach dla ciebie. Uważaj tedy, Samusiu, że tobie koniecznie wypada jak najprędzéj pokazać się w Inflanciech. No, powiedzże, Samusiu, czy mówię nic do rzeczy, czy tak jak roztropny wuj, w tobie własną swoją krew miłujący?

A uważaj, Samusiu, że mówię do ciebie w imieniu naszego Miłościwego Pana, który niezawodnie mnie zapyta, co myślisz z sobą zrobić. Cóż mam na zapytanie Królewskie odpowiedzieć?

— Co? kochany wujaszku, — odpowiedział z szybkością Pan Samuel; — oto proszę powiedzieć Królowi, że z najżywszą wdzięcznością pójdę za jego rozkazem. Że od dzieciństwa mojego zawsze wiernie służyłem Królom Rzeczypospolitéj; że mu dziękuję wszystkiemi siłami mojéj duszy, że mi pozwala przynosić moją krew jemu w ofierze. Proszę wuja, którego łaska nie opuszczała mnie nigdy od lat moich niemowlęcych, żeby mu zaręczył, że się na moich usługach niezawiedzie. Pójdę bronić jego sławy i całości Rzeczypospolitéj. Pacta conventa włożyły na niego obowiązek powiększenia siły zbrojnéj: choć w części przynajmniéj miło mi będzie do tego się przyczynić. Chorągiew Królewską któréj jestem pułkownikiem, własnym kosztem podwoję. Bo i majątek i krew moja są własnością Jego Królewskiéj Mości.

— Dobrze mówi Pan Pułkownik, — odezwał się Pan Ezechiel. — Ja pierwszy, chociaż jestem Chorążym, na towarzysza przystaję do jego chorągwi. Bo przystojniéj mnie być choćby luzakiem w obozie, niż chorążować w szynkowniach Skalmierskich. Wreszcie już ja swoje chorąztwo złożyłem. Nam Inflanty powinny być w głowie, a nie ta koronacja, bo jak się ona bez nas obejdzie, tak i nam nic nie przybędzie że my na nią patrzéć będziemy. Na niéj turniejów nie będzie, już się z tém Król dał słyszyć. Będzie tylko piękne i okazałe nabożeństwo, mów i kazań bez końca: z czego nie wielki przybytek. Pan Pułkownik i ja nie bardzo naprzykrzamy się naszym kaznodziejom, tam gdzie nas zapraszają jak swoich, a mielibyśmy się wciskać tam gdzie każdy ma prawo powiedzieć: a po co tu leziesz, wszak waść cudzy. W Inflanciech tego nam nikt nie powie, bo Inflanty nasze. Jeżeli kule i strzały mają naturę komarów, co cudzego napadają, a lasowikom dają pokój, to powinny być dla nas dyskretne. Bo i Pułkownik i Pan Mroczek i ja najniższy ich sługa, więcéj lat trzech w Inflan-

ciech z niemi się ocierałem, to dawne znajome, aż tęskno za niemi, i daj Boże najprędzéj im powiedzieć: jak się macie.

— Niechże ciebie uściskam, Samusiu, — rzekł Pan Generał Humiecki, — że tak uprzejmie przymujesz to po co my do ciebie przybyli. Bo ja ci się przyznam, że bałem się byś okuńkiem nie stanął, jak my do ciebie głosem rozsądku przemówimy. Ale jak widzę temperujesz siebie; zaczynasz chodzić za radą starych; co tak, to ale. A jak jeszcze jakie parę lat powojujesz, to będzie z ciebie uzupełniony człowiek. Drzewo dobrze nie rośnie, jedno na gruncie dla niego właściwym, toż i szlachcic. Póki on jeszcze młody, trzeba dla niego dobrać grunt taki, jaki mu jest potrzebny, inaczéj z niego nie będzie pociechy. I tak, dla jednego kapica, dla drugiego paleŝtra, dla innego gospodarstwo; a ty, Samusiu, nie dojrzejesz tylko w wojaczce. Żeś trochę więcéj roku siedział w Krakowie, w pokoju powszechnym — bo niema czego liczyć tego turnieju, który się w kilku godzinach i zaczął i skończył, a tylko ciebie rozdrażnił — otoż i przewróciło się tobie było w głowie, że aż narobiłeś biedy, którą jak widzisz niełatwo odrobić. Ale wszystko się odrobi w Inflanciech, bo gdzie idą na ostre a ty tam jesteś, to pewnie wszędzie dasz wiedzieć o sobie. I Król nieraz podziękuje tobie i sobie: tobie, za to coś zrobił, a sobie, że ciebie w domu niezostawił... A, oto i Pan Jan Zamojski: uważaj, Samusiu, jakiego w nim pozyskałeś przyjaciela; jak się dowiedział że my do ciebie ruszyli, domyślił się po co, i zaraz za nami, żeby głos swój dołączył do naszych głosów, by ciebie przekonać, że teraz twoje miejsce nie tu, nie w Krakowie, ale za Dźwiną.

— W saméj rzeczy udałem się do Pana Samuela nie żebym myślał iż mój głos będzie więcéj u niego ważył niż głosy Waszmościów, ale żeby go przekonać tém, że rady wujowskie i braterskie są zupełnie zgodne ze zdaniem wszystkich przyjaciół jego, między którymi miło mi jest siebie policzyć. Nie tylko jako przyjaciel Pana Samuela, ale nawet jako jego ziomek, jako stronnik publicznéj sprawy, pragnę żeby na nowo wstąpił w zawód, w którym już tyle chwały

pozyskał. Wojna jest niezawodna, Król ją chce osobiście prowadzić, cała jego obawa, żeby się ona nierozpoczęła wprzódy niż będzie mógł opuścić Kraków, niż dostateczna siła zbrojna zgromadzi się na pograniczu. W Inflanciech ledwo półtora tysiąca mamy żołnierza, a nieprzyjaciel niezawodnie zacznie od tego że rzuci się na Inflanty, świeżo do Rzeczypospolitéj przyłączone, a które, nam obce krwią i językiem, obojętnie patrzéć będą na wojnę któréj skutek: że zawsze cudzą się staną własnością. Każdy więc rycerz, przybywający do Inflant w niniejszych okolicznościach, jest dla nas drogim nabytkiem, a cóż dopiéro wojownik tak dzielny, tak doświadczony, jakim jest Pan Samuel, za którym tyle rycerzy niezawodnie pójdzie.

— Tak jest, Panie Zamojski, — odezwał się Pan Ezechiel; — ja pierwszy z moimi kilku ludźmi służę Panu Samuelowi, a nim dojdziemy do Inflant, to zbierzemy nie mało młodzieży. Niech-no Pan Samuel się odezwie, a niewiele się znajdzie takich, coby radzi za piecem siedzieć, kiedy ich bracia będą łba nadstawiali.

— Pojutrze, — rzekł Pan Samuel z uniesieniem; — słońce już mnie nie zastanie w Hermansztadzie. Proszę was moich krewnych i przyjaciół, żebyście jutro dołączyli wasze dziękczynienia do moich przed Najjaśniejszym Panem naszym, że mnie uznał godnym być z liczby tych co Rzeczpospolitę mają zasłaniać swojemi piersiami. Da Bóg że to jego o mnie łaskawe mniemanie zdołam usprawiedliwić. Da Bóg może że na zwycięzkiém polu legnę. Od pierwszéj mojéj młodości zawsze pragnąłem skończyć śmiercią walecznych, a cóż dopiéro teraz, kiedy tyle przygód już odczarowały przedemną ten świat, do którego jestem jeszcze przykuty. Już jedna wróżka powiedziała mnie że zginę od miecza, może ta wieszczba ziści się w Inflanciech. Lampa przed zgaśnięciem zwykle wydaje połysk chwilę tylko trwający, ale nadzwyczajny. Oby takie było i moje przeznaczenie, obym okryty ranami na pobojowisku od nieprzyjaciela opuszczoném, skonał pośród okrzyków zwycięztwa moich towarzyszów broni.

— Poznaję ciebie, Panie Samuelu, po tym szlachetnym

zapale, — odrzekł Pan Zamojski. — Jest-że-li rycerz-obywatel, któryby nie przełożył śmierć w kwiecie młodości, wśród zwycięzkich szeregów swoich rodaków, nad żywot długi w gnuśnym pokoju, w dostatkach, powodzeniu i w obfitości tych dóbr docześnych, co ich tak pragną dusze poziome. Sława jedna, wynagradza nam krótkotrwałość naszego żywota. Bo to co się musi skończyć, zawsze trwa krótko.

— Najsprawiedliwiéj mówi Pan Jan Zamojski, — odezwał się Generał Ziem Podolskich. — Na co daleko szukać dowodów, kiedy mnie macie przed sobą. Wszakże to ja zbliżam się do lat siedmiudziesięciu, a zdaję mi się że onegdaj się urodziłem. Jak to niby dawno, jak Arcyxiąże Ferdynand się żenił z Królewną Węgierską, po któréj wziął w posagu Węgry i Czechy. O tém się czyta w kronikach. A ja byłem na tém weselu z nieboszczykiem ojcem moim, który był z liczby naszych posłów na tę uroczystość wyprawionych z Krakowa. Prawda że byłem jeszcze śmierdziuchem, ale już umiałem sylabizować z elementarza, i do mszy służyć; i wszystko tak pamiętam, jakby to się przed kilku tygodniami stało. Był na tém weselu Cesarz Rzymski Karol Piąty, brat Arcyxięcia, który dzielnie wojował i na lądach i na morzach, a tak był potężnym, że o nim mówiono, że w jego państwie nigdy słońce nie zachodzi, bo choć na jednéj z jego ziem już ciemno, to na drugiéj dnieje. Jakie tam były uczty, gonitwy, turnieje, mowy wszystkiemi językami: tego by człowiek na wołowéj skórze nie wypisał. A wszystko tak mi stoi przed oczyma, że sam sobie nieraz mówię: czy to być może, żeby od tego czasu tyle lat upłynęło. Anim się spostrzegł, jak starcem zostałem z młodego. Człowiek na życiu siedzi jak na koniu, zdaje mu się że tak go trzyma za cugle, że ono musi pod nim chodzić noga za nogą, a tymczasem życie leci cwałem: dopiéro się opatruje kiedy już blisko mety. Bogu dzięki, nawet szkół niedokończywszy wziąłem się do wojaczki, i aż po dziś dzień, ciągle czas schodził w pracy: to z Niemcem, to z Tatarem; tém tylko człowiekowi się zdaje iż długo żył, że ma dużo rzeczy do mówienia o sobie. A gdybym, jak drugi, odziedziczywszy spory kawał ziemi po ojcu, wziął się do domatorstwa, żeby liczyć kopy

w polu, a talary w skrzyni, pić i polować z sąsiadami, albo się z nimi z nudów pozywać; a zwłaszcza że do xiążki nie jestem pochopny, i od dzieciństwa czułem od niéj wstręt: a tobym zupełnie ogłupiał. I dopiéro doczekawszy moich lat, mógłbym powiedzieć: wczoraj chyba urodziłem się, że nie mam nic do opowiadania o mojém życiu. Owoż tedy Samusiu, życzę tobie żebyś się jak najdłużéj popisywał, a potém żeby ciebie z tego świata niewywlekła ani podagra, jak nieboszczyka Xięcia Prymasa, który dla mnie był wielce łaskawym, ani też żadne inne chorobsko; ale miecz rycerski, jak tobie gdzieś tam wróżono, jak powiadasz. Wiém żeśty chłopiec łebski, mnie podziękujesz za moje życzenie, bo ci gorzéj nie życzę niż sobie samemu. Ażeby przepadł ten co mi życzy, żeby mnie Pan Bóg powołał leżącego na piernacie.

— Niech każdego z nas Bóg od tego zachowa, — na to Pan Zamojski; — najwłaściwiéj szlachcicowi skończyć na placu bitwy: wszakże, niech się dzieje Jego święta wola. Wkrótce poniesiem zdrowie nasze w potrzebie Rzeczypospolitéj. Miło nam będzie położyć dla niéj życie, ale wolno nam mieć nadzieję że z téj wojny wrócimy jako zwycięzcy, i że będziemy się cieszyli w pokoju, jéj szczęściem.

— Panie Janie, — odrzekł Generał Humiecki, — nie każdemu idącemu na wojnę już z niéj niepowracać. Ja pierwszy około pieciudziesiąt lat wojuję, a przecie żyw jestem, ale ileż to moich kolegów pod mogiłami spoczywa, mój mocny Boże! Mówcie co się wam podoba, a ja, stary żołnierz, ile razy rozpoczynam wyprawę, zawsze mam siebie za zabitego, a jak po jéj końcu widzę siebie między żyjącymi, to dla mnie jak znalezione — jakaś łaska niespodziana, któréj ani oczekiwałem, ani na nią zasłużyłem. Teraz zanosi się na wojnę, ale taką, jakiéj może dotąd Rzeczpospolita nie doświadczała. I Król Jegomość, i wy tam pójdziecie, a i mnie starego Król nie zostawi na pograniczu Tureckiém, jak to sam z łaski swojéj oświadczył: bo Bissurman na Króla Stefana się nie porwie, o to pokój. Ja jemu gdzie indziéj się przydam, ile że moja chorągiew z pomiędzy wszystkich jest najwięcéj pokryta, jéj Towarzysze osiwiali pod dowództwem starego Humieckiego; myśl nieprzyjaciela zgadują, a takie

mają konie, że na każdym z nich Xiężniczka mogła by siąść i ruszyć do kościoła, żeby w nim ślub wziąść z swoim oblubieńcem. Owoż tedy, że oprócz Xięcia Kardynała który nas pobłogosławi i za nas się pomodli, i Xięcia Wojewody, który w Senacie za nas i o nas myślić będzie, my wszyscy, da Bóg doczekać wiosny, wystąpimy za Dźwiną do tańca. Więc dajmy sobie słowo, że który z nas z porządku stanie pierwszy przed Bogiem, ten wybiegnie do bramy niebieskiéj, żeby przyjmować i wprowadzać kolegów pozostałych, których z kolei po nim kula czy rohatyna do zamku Bożego wyprawi: bo wątpię żeby któremu z nás dała radę szabla, albo kopija. Turcy, których znam jak swoich, tyle lat z nimi obcując: ba! nawet ich językiem mówię z większą łatwością niż łacińskim: utrzymują, że wszystkie rodzaje śmierci są niebezpieczne dla duszy, wyjąwszy téj która przychodzi w boju z nieprzyjacielem; mówią, że kiedy kto umrze po swojemu, to niezgadniesz gdzie poszła dusza, ale kiedy ona ciało opuściła na pobojowisku, to niezawodnie trafiła prosto do nieba, i nikt ją po drodze niezatrzyma. Otóż wiecie Państwo, że chociaż Bissurmani do naszego kościoła nienależą, to jednak trafia do mojego przekonania... A może odezwałem się nic do rzeczy? to przepraszam was wszystkich tu przytomnych.

— Niemasz czego przepraszać, Mości Generale, — odpowiedział Pan Zamojski. — Każdy prawowierny który za swojego Króla i za swój kraj życie poniósł w ofierze, jeżeli w tém nie miał żadnego osobistego widoku, śmiało w poczcie świętych może być umieszczony. Bo każda sprawa sprawiedliwa jest sprawą Boską, a czy można przypuścić żeby Bóg zaparł się tego, co dla niego życie swoje poświęcił.

— Słyszycie Państwo, co Pan Zamojski mówi. Wszakże to Rektor Akademii Padewskiéj. Dziękuje Bogu, że nam kazał się urodzić w stanie rycerskim, bo tém zabezpieczył nam sławę, a tém zbawienie. Wielka szkoda, Samusiu, i Waszeć Mości Panie Ezechielu, że nie jesteście prawowierni. Dla jakiego czarta, chwyciliście się tych wymysłów Niemieckich, o których w mojém dzieciństwie ani było sły-

chu. Wszakże ja pamiętam kiedy to się zaczęło, jak świętéj pamięci twój ojciec wyprowadził za sobą żaków z Krakowa, żeby się uczyć od Niemców nowéj wiary. Mnie tam niebyło, bo już byłem uciekł ze szkół, ale nie żeby szukać rozumu u Niemców, a broń Boże! a co to, czy ja na felczera lub szlifierza był zdatny, żebym Niemieckiego rozumu potrzebował; ja uciekłem do chorągwi mojego wuja, Pana Opalińskiego, Starosty Poznańskiego, który umarł Podskarbim Nadwornym Koronnym. Mój ojciec już nie żył, matkać się trochę kwasiła, chciała żebym kończył szkoły, ale mój wuj i Rotmistrz jakoś ją zmitygował, że mi dała swoje błogosławieństwo, i jako małoletniemu co musiał z jéj ręki patrzeć, coś na porządne utrzymanie. I tak człowiek od towarzysza powoli dosłużył się, przy łasce Boskiéj a miłości ludzkiéj. Otoż pamiętam jak to te Pany wracali do nas z nowym nabożeństwem. A jak apostołowali po swojemu. Pan Kasztelan Krakowski, ojciec Samusia, a mój szwagier, chociaż wówczas głowa wyznania Niemieckiego, nigdy mnie o wiarę nie gabał, bo znał mnie dobrze: nawet w jego przytomności powiedziałem Panu Leszczyńskiemu, Wojewodzicowi Kujawskiemu, który mnie namawiał do swoich nowinek: at, wolałbyś Waszmość werbować ludzi do swojéj chorągwi, która o połowę nie jest tak pokrytą jak być powinna, niż do swojego kirku, poczciwych ludzi, którzy mieli gdzie się Panu Bogu modlić, kiedy waści jeszcze nie było na świecie. Albo Xiąże Mikołaj Radziwił, Hetman Wielki Litewski i Wojewoda Wileński, on ze mnie gwałtem chciał zrobić Kalwina, i na każdém spotkaniu do tego mnie namawia bywało. Już-ci ja jego nieofukiwał jak Pana Leszczyńskiego, bo co Wojewodzic to nie cały Wojewoda, Hetman, a jeszcze tak dzielny i ojczyznie zasłużony wódz. Ale jednak będąc u niego w Nieświeżu, kiedy mnie namówił że musiałem z nim pójść do jego kirku, bo on wielce był łaskaw na mnie, bo chodziwałem z nim na polowanie, i nie skarzył się że mu tam byłem na zawadzie, otoż tak mnie to jego nabożeństwo zmęczyło, że siedziałem w ławce jak na szpilkach, wyglądając tylko kiedy nas puszczą, bo u nich wszystko jeszcze dłuższe niż u nas, a

niema na co patrzéć, bo ani obrazka tam nieznajdziesz, tylko siedź na miejscu, patrzaj na ściany gołe, i słuchaj kazania które końca niema. Nareszcie doczekałem się końca a siedziałem w ławce, obok Xięcia Hetmana, i to właśnie mi było na przeszkodzie że się niewyniosłem z kirku, który przed laty był kaplicą zamkową naszéj wiary. Wszakże Eminentissimus, syn Xięcia Hetmana, jest teraz w Hermanstacie, pytajcie go czy kłamię. Otoż Xiążę wyszedł zemną na dziedziniec, i mówi mnie: Mości Starosto, — bo jeszcze to było nim zostałem Generałem Ziem Podolskich, — powiedz że sam, czy nasze starodawne nabożeństwo, tak przez papieżników dodatkami oszpecone, nie jest najwłaściwsze dla prawdziwego chrześcijanina. A ja mu na to nie wiele myśląc: at zachciało się Waszéj Xiążęcéj Mości; co najlepszego w naszém nabożeństwie, jako obrazy, kapelija, jarzące świece, to od Niemców w łeb wzięło, a to co u nas bywa nudnego, jako naprzykład kazanie, to, nie tylko że zachowali, ale w dwój-nasób zrobili dłuższém. Xiąże trochę się skrzywił, ale nic na to nie umiał odpowiedzieć, i odtąd dał mi pokój; a może nic do rzeczy się odezwałem.

ZAMOJSKI.

— Choćby coś można powiedzieć przeciwko temu, ale intencja dobra, bo widzę w tém usilność Generała do pojednania z kościołem Pana Samuela, swojego krewnego.

GENERAŁ.

— Toż właśnie o co idzie, bo jako jego ojciec w czasie ostatniéj swojéj choroby, z któréj i umarł, rewokował, tak i syn jego powinien być nieodrodnym, a gotując się na wojnę, która jest ze wszystkich śmiertelnych chorób najwięcéj śmiertelną, tak zrobić jak on .. Coś nic na to nie mówisz, Samusiu?

PAN SAMUEL.

— Najpiękniéj wujaszku, odzywasz się do mnie, mówisz do przekonania, i niewątpię że kiedyś rozpamiętywać będę każdy twój wyraz, dla mojego pożytku, ale teraz cała dusza moja tak jest przepełniona szczęściem swojém, że o

niczém inném myślić nie mogę tylko o téj wojnie, do któréj i nasz Król, i wy mnie powołujecie. Nie zostaje mi, jak złożyć wam najczulsze podziękowania za ten zachęt co mi przynosicie. Bądźcie pewni, że łaskawe wasze o mnie nadzieje zawiedzionemi nie będą. Pójdę tam gdzie Król, krewni, przyjaciele, honor, iść mi każą. Śmiało puszczam wodze mojéj przyszłości. Bo ona niemoże być dla mnie tylko pomyślna. Albo zginę na téj wojnie, albo jeżeli z niéj wyjdę cały, najzawziętszych moich nieprzyjaciół, najsroższych moich prześladowców zmuszę, żeby mnie szacowali.

GENERAŁ.

— Niechże ciebie uściskam jeszcze raz, Samusiu, żeś tak łebski; patrz, łzy radości stanęły mi w oczach; aż mi wstyd. Jakże tobie zazdroszczę że pojutrze możesz jak z procy wyskoczyć ku Inflantom. Oj, żeby mnie Król kazał z tobą ruszyć, więcéj by mię pocieszył, niż tą godnością Senatorską, którą mnie przyobiecał; chociaż zgrzeszyłbym, żebym powiedział że ona mi się na nic nie przyda. Ale ja widzę jak na dłoni co to będzie. W Krakowie Sejm, narady, mowy, potém ściągaj Chorągwie, pokrywaj ich szlachtą, potém idź powoli przez Ruś i Litwę: bo pędzić konia w pochodzie, to chyba chcieć pieszo walczyć u mety. A tak czas schodzi przykro, że człowiek ledwo nieoszaleje; a ty tym czasem już gotów, już się popisujesz w utarczkach, już jeńców odsyłasz do Zborowa, albo Kalnika, albo co najwłaściwiéj, do Skałata, bo tam twoja scheda, w któréj jeszcze zamku nie masz. Ty się bijesz, a twoi jeńcy wynoszą tobie tymczasem zamek, z wieżycami, otoczony rowami, i obronny, że cała okolica, broń Boże napadu, znajdzie w nim puklerz, i ciebie błogosławić będzie. Da Bóg że ciebie śmigownica do Niego wyprawi, tego potrzebować niebedziesz, bo mogiła tobie będzie zamkiem. A nuż wyjdziesz cały i powrócisz po kilkuletniéj wyprawie do domu: bo cóś się zanosi na długą sprawę: jak tobie będzie miło, dla sąsiadów sprawić inkrutowiny w zamku na który ani dzień pańszczyzny, ani najemny robotnik nie poszedł, ale wszystko zrobiło się niewolnikiem, o którego się gardło-

wało, póki się w ręce niedostał. Po mojemu. Albo to ja bym nie musiał mieszkać w dworku wiatrami ogrodzonym, jak szlachcic na zagrodzie, żebym nie był dostał mularzów i kopaczów z łaski wojen Tureckich. Nieboszczyk brat dostał zamek po ojcu w Tynnie, a ja tylko ziemię i chłopów; że kiedy, bywało, przyjadę do Sniatynia, albo do Zbrzezia, oglądać moje stada, to na folwarku się mieszczę jak mogę z moimi ludźmi u dyspozytora. A teraz i w Sniatyniu, i w Zbrzeziu takie stoją zamki, że Tyniecki w kąt, a makaty po ścianach złotem połyskują. A nikt nie powie: patrzcie na zamki tego trutnia Humieckiego: po rodzicach ich nie wziął, a sam je wystawił, na jedyną pamiątkę że poddanych męczył, z nich wyciskając grosiwo na te zbytki. Bo gdyby kto śmiał to powiedzieć, każdy mu odpowiedzieć może: głupiś Waść. To nie chłopska robota, cegła na cegłę się kładła zawsze z pożytkiem Rzeczypospolitéj, ręka jéj poddanego do tego się niewtrącała, a tylko takiego który wcale o czém inném myślał, niż jéj zamki budować. Nie znajdziesz tam ani jednej komnaty, która by niemiała siakiéj-takiéj pamiątki jakiegoś zwycięztwa Humieckiego. Z podobnego zbytku, kraj niema szkody. Otoż, Samusiu, jeżeli za Dzwiną kości niepołożysz, daj tobie Boże żebyś się ożenił, a żonę wprowadził do zamku przez twoich jeńców wyniesionego. Otoż stary się rozgadał, a wiém że Król jak się obudzi, nie będzie się pytał czy my się wyspali, czy nie, ale za nami poszle, bo to roboczy człowiek. Samuś w dobréj myśli, możemy go smiało zostawić.

— Przedziwny Generał, — odezwał się Pan Ezechiel, jak zostali sami; — jeszcze się nie urodził taki, który służąc pod nim, na jego rozkaz w ogień by nie skoczył. Oj, żeby jak najprędzéj być z nim razem w potrzebie. A jak umie zachęcać do wojaczki! Jak on to pięknie nas przekonywał, że niema szczęśliwszéj śmierci nad tę, która się w wojnie otrzymuje. Tak jak ja ze szkół uciekł, a jednak wszystko umie, nawet po turecku. Pamiętasz, Panie Kaźmierzu, jak to przed bitwą Wolmarską, naprzód wasz Xiądz do was przemówił; a potém, z roskazu Xięcia Hetmana Radziwiła, jego Kapelan, Pan Lismanin, do nas dyssydentów. O jed-

nym i o drugim był głos powszechny, że to mieli być mędrcy. Jak to oni nas przekonywali, że śmierci lękać się nie trzeba, jakbyśmy się jéj bardzo obawiali. Gadali oni nam prawie to samo co mówił dopiéro Pan Generał: a jednak jaka różnica! Przy ich kazaniach, człowiek pomimo najszczerszéj chęci przykładania uwagi, nie mógł się wstrzymać żeby czasem nie ziewnął; a kiedy Generał się odezwie, to człowiek cały siedzi w uchu, boi się aby jedno słówko niestracić. Oto mi dopiéro prawdziwy kaznodzieja. A patrzcie Państwo, wszak to ten zamek w Zbrzeziu, tak wspaniały, tak mocny, jest robota jeńców przez niego zabranych! Oto mi gracz. Oto wzór dla nas. Ale też mnie klina zabił w głowę. Czy uwierzy Jaśnie Wielmożny Pan, że już mi się marzy, wynieść dla siebie zamek jeńcami ktorych narobię. Tylko że mi o tém myślić nie wolno.

— Dla czego? na to Pan Samuel.

— Bo wedle łaskawéj Pańskiéj obietnicy, mając służyć pod jego znakiem, jeżeli mi się uda kogoś uchwycić, to tylko mogę mieć prawo do konia i zbroi, ale on sam jest własnością tego, który zwycięzkim znakiem dowodzi.

— Otóż ja ci zapowiadam, że do żadnego z twoich jeńców rościć sobie niebędę prawa. Twoja praca, niech tobie służy, odsyłaj sobie twoich jeńców gdzie ci się podoba, niech tobie zamki murują.

— To tylko tak się mówi. Gdzież mnie o zamkach myślić. Choćbym z łaski Pańskiéj ich odesłał do mojego dziedzictwa, jakaż mi z nich przybędzie pociecha, albo jest tam taki, któryby tego dopilnował! Pani Zdorzyna jakby ich obaczyła, pewnie nie do budowania zamku by ich użyła ale do cepa, do kosy, choć by w pastuchy. Wszystko by to pouciekało. Czy to każdemu ożenić się, i zaraz zostać wdowcem, jak Panu Generałowi. A na co mnie jeńców w domu, ja sam siebie w domu mam za jeńca, i dla tego w nim niedługo goszczę. Jeżeli łaska Pańska, że mi odstępujesz swoich praw do tych jeńców, których za jego szczęściem spodziewam się dostać, to wolałbym, jeżeli to być może, żeby mnie Pan cóś naznaczył od sztuki, co bym mógł zaraz i włożyć do kieszeni; a jeńcy niech samemu

Panu służą. To dla mnie wygodniéj, ja nic wiele żądam, cokolwiek, aby człowiek nieżałował, że to przy życiu zostawił.

— Dobrze, mój Ezechielku: ułożysz się ze mną jak ci się podoba. A ty, Kaźmierzu, co na to wszystko mówisz?

— Oto, że nic lepszego dla Pana stać się nie mogło, jak ta wojna, która jego powołuje. Da Bóg, ona Pana nie tylko uwolni od wygnania, ale go wyniesie na te wysokie w Narodzie dostojeństwa, których dom Zborowskich nigdy nieprzestawał piastować.

— Szczęśliwyś Kaźmierzu, żeś był zawsze obcym wszelkim namiętnościom serca, bo wszystko umiesz zimno rozważać. Ale niewiesz że człowiek zakochany, jakkolwiek uczuciem swojém skołatany nie raz bliskim jest rozpaczy, wszakże miewa takie chwile, że szczęście całego żywota nie jest nadto drogim okupem dla ich nabycia. Twoja stateczna przyjaźń, w téj wojnie nie upatruje dla mnie nic innego tylko sławę, która zatrzéć zdoła moje przewinienie, i dostojeństwa odpowiedne mojéj wyniosłości mi zjedna. Ja co innego w niéj widzę: oto otwierające się przedemną pole na którém życzliwość pięknéj Gryzeldy uzyskam. Świetne rycerskie czyny jaśnieją nawet przy blasku krwi Królów. Pamiętasz, Kaźmierzu, jak pierwsze jéj na mnie spójrzenie, kiedy mnie dzięki składała za moją usługę, zniewoliło nazawsze moje serce; do owéj chwili, tak zimny na ponęty miłości, czułem siebie być przykutym do jéj źrenic. Wszystko we mnie mogło ją przekonać ile ją kochałem, ale tego jéj nieśmiałem powiedzieć. Pierwszy raz w życiu, zostałem lękliwym, nieufnym w sobie. Lubo w jéj ciotce znalazłem życzliwość, wsparcie, zachętę, wszakże to wszystko nie było zdolne ośmielić mnie do wyznania Xiężniczce moich uczuciów. Kiedy przed nią opowiadałem niektóre moje czyny, wtedy słuchała ich z uwagą, jéj źrenice spotykały się z mojemi, często jakieś wzruszenie pokazywało się na jéj nadobnych obliczach; ale kiedy usiłowałem skierować rozmowę do moich uczuciów dla niéj, ona odwracała oczy odemnie, przybierała postać obojętną, wpadała w jakieś roztargnienie, a ja, jakby zimném żelazem na-

wśród przeszyty, wnurzałem siebie w ponure milczenie. Przypomnij sobie, Kaźmierzu, kiedy na ostatnim noclegu, zrobiliśmy napad na obóz Tatarów, kiedy, dzięki waszéj dzielności, prawie pod jéj okiem tak świetne odniosłem zwycięztwo: a jego świadectwo złożyłem u nóg Gryzeldy. Uważałeś, Kaźmierzu, jak ona pierwsza podała mi rękę. Jak, kiedy wyraźniéj odezwałem się do niéj z mojemi uczuciami, już nie odwracała swoich oczow odemnie, jak łatwo dała się nakłonić od dostojnéj swojéj ciotki, do oddania mnie swojéj szarfy. Ona jest krwią krwi bohaterów, wielkie tylko czyny jéj serce mogą zniewolić. Teraz, ile razy do niéj się przybliżam żeby jéj wynurzyć uczucie które się stało przeznaczeniem mojego życia, ona albo okazuje obrażoną dumę, albo, co najszczęśliwiéj, zastawia się puklerzem przyjaźni, przeciwko pociskom mojéj miłości. Widzę tego przyczynę: oto, że, gnuśniejąc w bezczynności, czémże mogę rozżarzyć iskierkę téj skłonności, którą, pochlebiam sobie, iż wznieciłem w jéj sercu, na Podolu. Ale teraz, śmiało spuścić się mogę na przyszłość. Zagrzany miłością i nadzieją, opasany jéj szarfą, w nikim oporu nie znajdę: za Dźwiną, pozyskam taką sławę, dopełnię rzeczy tak wielkich, że Gryzelda musi zostać dla mnie wzajemną, a nawet, w wyznaniu téj wzajemności, znajdzie dla siebie chlubę. Nieprawda Kaźmierzu?

— Nieinaczéj. O rękę synowicy Króla, tylko wielkiemi czynami dobijać się można: a wielkie czyny dla Samuela Zborowskiego są igraszką. Ja mam przeczucie że na téj wyprawie, sam jeden, staniesz nam za hufce. Że Król, chociażby dla ciebie, Panie, nie miał téj życzliwości którą nieprzestaje ci okazywać: jak pod jego okiem zaczniesz dobywać twierdze, łamać nieprzyjaciół szyki, zabierać tłumy jeńców, sam pierwszy powie: Samuelu, niemogę dla ciebie sowitszéj obmyślić nagrody niż moją własną krew. Moja synowica jest twoją, boś ty ją zdobył na nieprzyjaciołach naszéj ziemi, a dla niéj nic lepszego niemogę zrobić jak ją powierzyć najpotrzebniejszemu dla mojego tronu bohaterowi. Kto się dziś odważy wstawić do Króla za Panem o rękę Xiężniczki: na czém oprzeć może takie żądanie? Ale

za rok, wszyscy do niego przemówią, bo Pan wiesz co waży w obozie ten, o którym wiedzą z doświadczenia, że jego przytomność już jest rękojmią zwycięztwa. Pierwszy Pan Zamojski, który nad każdą rzeczą długo się zastanawia, to Królowi poradzi: a to człowiek który ma wielką przyjaźń dla Pana, a u Króla największe zachowanie.

— Kaźmierzu, proszę cię nie mów o tym Zamojskim, bo to sprawuje jakieś nieprzyjemne na mnie wrażenie.

— Dla czego? czyż Pan może wątpić o jego życzliwości? Po tém wszystkiém co widzę, niemogę nie być przekonanym, że Pana jest szczérym przyjacielem.

— I ja się na to piszę, — odezwał się Pan Ezechiel; — lubo do niego nie mam nabożeństwa: chociaż go szacuję, bo widziałem własnemi oczami jak w ostatniéj wojnie Inflanckiéj prowadził Bełzką szlachtę na Mieczowych. A w takim szyku, że i Kawalerja Narodowa w kąt. Wtedy Mieczowi haniebnie plecy pokazali. Nazywano go z początku bakałarzem, ale potém wszyscy się przekonali, że nie tylko że żadnemu rycerzowi nie ustępuje, ale wielu z nich jeszcze czegoś nauczyć może. Ale go za to nie lubię, że nigdy się nie śmieje, ani się rozgaduje, tylko wszystko za nadto na rozum bierze. A potém strasznie ostry. Szlachta Bełzka wystawiła swoim kosztem Chorągiew, a jemu dano jéj dowództwo. Otoż mnie towarzystwo opowiadało, że aby który z nich lada czém przekroczył regulamin, za nic nie odpuści. Pan Generał także ostry, ale często na tém skończy że nałaje, nakrzyczy, i da pokój. A Pan Zamojski nie krzyczy i nie łaje, ale byle o co, towarzysza w łańcuszki okuć, to jak chleb z masłem zjeść. Dla niego prawo jest tém, czém dla rabina biblia: ani od jego joty nie odstąpi, choćby go potém djabli mieli porwać. Wszakże, że jest Pańskim przyjacielem, na to ja pierwszy gotów przysiądz.

— Ja sam nieraz od Pana Zamojskiego niepłonnéj przyjaźni otrzymywałem dowody, — odrzekł Pan Samuel. — Cóż by go wreszcie zniewoliło być dla mnie obłudnym: w całym narodzie, ani jeden głos się nieznajdzie przeciwko jego poczciwości; na cień zarzutu nigdy nie zasłużył. Czuję dla niego najwyższy szacunek, a jednak, pojąć niemogę

zkąd pochodzi wstręt pomimowolny, silniejszy niż rozum, niż przekonanie. Ile razy go widzę, coś nakształt jakiegoś strachu mnie ogartuje. Najżyczliwsze jego słowo mnie razi, czyni mnie niespokojnym, jakby coś złowieszczbnego. Przezwyciężyć siebie niemogę. Jego przytomność, każde jego słowo do mnie wyrzeczone, nawet brzmienie jego nazwiska, na mojéj duszy robi jakieś niewypowiedziane wrażenie. Nie mogę powiedzieć żebym go nienawidził: ale coś jest w nim dla mnie złowieszczbnego. Usiłuję, wzajemną przyjaźnią odpłacić dowody jego życzliwości dla mnie: zkąd-że to pochodzi, że go nienawidzę?.. Kiedyś ta tajemnica się objaśni... Ale już pora spóźniona. Dobra noc, mili koledzy. Już się zaczął dzień ostatni naszego pobytu w dziedzicznéj stolicy naszego Pana. Nadto jestem skołatany mojemi myślami, bym się spodziewał spoczynku, ale wy bracia go potrzebujecie, żebyście mogli wszystko ułożyć do rychłego wyjazdu.

XIII.

Była godzina ósma zrana, a już Król Stefan od dwóch godzin w swojéj komnacie pracował z Panem Bekieszą i Panem Janem Zamojskim. Cała ta praca wyłącznie była obróconą do niezbędnych przygotowań na zanoszącą się wojnę, która miała być ostatniém zjawiskiem potęgi narodowéj. Po niéj albowiem były piękne i świetne ustępy sławy, wszakże sama akcya epopei naszéj widocznie słabnęła, pomimo dzielności tych, którzy z największém poświęceniem chcieli jéj przynieść pomyślniejsze rozwiązanie. Bóg jeden jest niezmiennym w swojéj wielkości, dobroci i potędze, — a narody o tyle tylko mają jakiś udział tych przymiotów, o ile się z nim ściśle jednoczą.

Już ta konferencya miała się ku końcowi, kiedy Król zadzwonił. Wszedł pokojowy, z zacnéj krwi Węgierskiéj, gdyż, stosownie do ówczesnych obyczajów, usługa osoby panującego była wyłącznym udziałem stanu szlacheckiego.

— Ruszaj Waść natychmiast do komnat które zajmuje Pan Samuel Zborowski i szlachta tu z nim z Polski przybyła. Od tego zaczniesz, że powiesz Panu Mroczkowi, żeby natychmiast się stawił przedemną. A jak go wyprawisz, pójdziesz do Pana Samuela, i oświadczysz mu, że moją jest chęcią, ażeby był dziś u mnie na obiedzie, i że ostatni wieczór naszego tu pobytu, wszyscy razem skończymy.

Nie długo Król czekał: bo po kilku chwilach przybiegł Pan Mroczek, zawsze gotowy do spełniania rozkazów pańskich.

— Mości Panie Mroczek, — rzekł Król, — naszą jest wolą, żebyś Waszmość jutro, jak najraniéj, wyjechał, i żebyś nie marnując czasu w podróży, spiesznie się udał na Zaporoże. Waszmość masz tam swoje zasługi i zachowanie w kozactwie i w jéj starszynie: oświadczysz im naszą życzliwość. Upoważniam Waszmości do ułożenia się z nimi w naszém imieniu. Staniesz przed nimi, nie jak Attaman, ale jak nasz umocowany. Naszém życzeniem było by widzieć Pana Samuela ich Hetmanem, jakim był wprzódy; wszakże, byle jakakolwiek w tém zachodziła trudność, nie jesteśmy przeciwni nowemu ich Hetmanowi. Wiemy, że najściślejsza przyjaźń łączy Waszmości z Panem Samuelem, ale wiemy i o tém, że Waszmości pierwsze obowiązki są dla Rzeczypospolitéj któréj jesteś synem, i dla nas którego jesteś poddanym. Oświadcz Hetmanowi od nas, że byle złożył przysięgę wierności i posłuszeństwa nam i Rzeczypospolitéj, chętnie potwierdzimy go w dostojeństwie które od swoich towarzyszów broni otrzymał. Zabezpieczamy im wolny wybór wszystkich urzędów, tak wojskowych, jako i sądowniczych; przyrzekamy słowem Królewskiém, że krzesła wszystkich Województw Ruskich, nie będziemy obsadzali tylko rodowitymi i osiadłymi Rusinami. Bierzemy nawet na siebie obowiązek starać się na Sejmie, ażeby ich władykowie umieszczeni byli w Senacie Rzeczypospolitéj. A za te wszystkie dobrodziejstwa nic więcéj nie wymagamy, tylko żeby Hetman Ruski, z dwudziestu tysiącami kozaków, był zawsze gotowym na nasze rozkazy. Pisarstwo kozackie dotąd nikomu nieoddane: wiemy że kozacy czekają na Waszmości, karmiąc się nadzieją, że do nich przybędziesz. Ja Waszmości upoważniam ażebyś się starał o ten urząd dla siebie. Oto przyjm z rąk naszych credentialem, które Hetmanowi złożysz. Waszmość wiesz wolę naszą; wszelkie instrukcje pisane były by zbyteczne. Wszystko z ufnością zdajemy na wierność i roztropność Waszmości. Czyście nas zrozumieli?

— Najjaśniejszy Panie. Da Bóg, że wszystko się ułoży wedle woli Waszéj Królewskiéj Mości. Mnie nic niepozostaje jak złożyć u Jéj stop moje poddańskie podziękowanie za

tę ufność którą Wasza Królewska Mość mnie zaszczycasz, bez względu, że niemiałem czasu na nią zasłużyć, i podnieść serce do Najwyższego, ażeby mi użyczył sił i światła, abym się okazał jéj godnym.

To rzekłszy, padł do nóg Królowi. Król go podniósł, dał mu pańską rękę do pocałowania, i swoją mowę do niego tak przedłużył:

— Niepotrzebujemy Waszmości ostrzedz, że to wszystko, co jest między nami, nikomu niepowinno być wiadome.

— Rozumie się, Najjaśniejszy Panie. Z tego powodu, wypada mi dziś jeszcze opuścić Hermansztadt. W czasie obiadu, kiedy za stołem Waszéj Królewskiéj Mości nasi będą biesiadowali, ja gładko wysunę się, nikogo, nawet Pana Samuela, niepożegnawszy, na koń ze swoim luzakiem, żeby jak najprędzéj dostać się do Siczy przez Pokucie, Podole i Ukrainę.

— Dobrze, — odpowiedział Król; — miło nam jest widzieć go tak spiesznym w dopełnieniu naszych usług. Uprzedziłeś myśl naszą, ruszajże sobie w imie Boże: dajemy Waszmości nasze Królewskie błogosławieństwo. Teraz powiedz mi Waszmość, bo go znasz najlepiéj, co to za człowiek ten Ezechiel Zdora?

— Najjaśniejszy Panie, jest to żołnierz nieustraszony, i niczém więcéj tylko żołnierzem. W każdym innym stanie znaleść się nie umie. Po ojcu odziedziczył dość znaczny majątek, któryby dawno stracił, gdyby go nie ożeniono, można powiedzieć, pomimo jego woli z uczciwą kobietą, która wszystko co posiada, pod siebie zagarnęła, że do własnych pieniędzy dobrać się nie może; i to szczęście dla jego potomstwa. Ezechiela odwaga przechodzi wyobrażenie, ale jest, że tak powiém, przywiązana do jego kopii, topora i miecza: gdzie ich użyć nie może, tam zaraz staje się lękliwym. I dla tego, lubo do swojéj żony najmniejszego nie czuje przywiązania, boi się jéj sprzeciwiać, a w tém tylko cała jego usilność, żeby być od niéj jak najdaléj. A jeżeli podziela wygnanie Pana Samuela z nami, to nie tyle z przywiązania do jego osoby, ile że mu podała się zręczność wydalenia się od żony, i nadzieja że będzie tu użyty do

jakiéjś wojennéj wyprawy, któréj u nas nie mógł się doczekać. Ja, który z nim wzrosłem, w dwóch słowach jego opiszę: oto jest z takich, jacy na wojnie lepsi tworzyć się nie dadzą; ale w pokoju żyć nie umie: sam sobie jest ciężarem, a tém i dla drugich bywa nieznośnym.

— Jeżeli tak jest burzliwym, czy może być posłusznym dla swoich wodzów. Waszmości wiadomo być powinno, że chociaż męztwo jest głównym przymiotem żołnierza, męztwo bez karności nie wiele pożytku przynosi na wojnie.

— Otoż właśnie, Najjaśniejszy Panie, sprawiedliwość trzeba oddać Ezechielowi, że wszystkie obowiązki żołnierza, są doskonale od niego pojęte. Ten sam człowiek, w pokoju tak kłótliwy, tak porywczy, tak niepohamowany; w czasie wojny, zupełnie swoje przyrodzenie przekształca. Ślepy wykonywacz rozkazów tego pod którego znakiem służy, własnéj woli zdaje się wyrzekać. Bez szemrania poddaje się karze na jaką jego wódz go wskazuje: ani pomyśli nawet że wola wodza może być niesprawiedliwą. Dla niego, wierność przy Chorągwi jest religją. I ztąd najsurowsi Rotmistrze dobijali się, że tak powiém, by go mieć pod swojemi rozkazami. Do tego przytomność rzadka, czynność niesłychana w czasie wojny: zdaje się że spoczynku nie potrzebuje; dzień i noc na koniu.

— Ale czy ma on uczciwość w sercu? Bo to, co mnie o nim Waszmość mówisz, w nim poznaję; ale upatrujemy w nim chciwość, namiętną żądzę łupów; które niedopuszczają w nim pokładać zaufania. Przyjęliśmy, między innemi obowiązkami, pamnożenie własnym kosztem komputowego wojska Rzeczypospolitéj. Obmyśliliśmy więc, stosownie, cztery nowe Chorągwie Kawalerji Narodowéj wystawić. Zdora jest rycerz śmiały, zasłużony, jemu chcielibyśmy poruczyć wysztyftowanie jednéj Chorągwi; ale ta jego chciwość wstrzymuje naszą życzliwość. Chciwy i marnotrawny: jakąż w nim znajdziemy rękojmię, że kwoty, które jemu powierzymy na kupno koni i rysztunków, przez niego strwonione nie zostaną.

— O to, Wasza Królewska Mość możesz być spokojnym. Jesto człowiek dla którego prawa rycerskie są jedyném

wyznaniem, i w przestrzeganiu onych ma dziwnie drażliwe sumienie. I tak, dla zdobycia lada zysku, który otrzymawszy natychmiast zmarnuje, zabić bliźniego, byle po rycersku, jest niczém. Dla niego ten grosz tylko jest miłym, który orężem otrzymał, i ztąd do swojéj ojcowizny, jednak dość znacznéj, najmniejszéj wagi nieprzywiązuje. Na wojnie podobnego rabusia nikt nie widział. Napróżno nieprzyjaciel zwyciężony oczekiwałby od niego jakiegoś dowodu wspaniałomyślności, a obok tego, danego słowa, za wszystkie skarby świata nie złamie. Jeżeli Wasza Królewska Mość mu powierzysz pieniądze, których słowem rycerskiém obowiąże się użyć na ten, a nie na inny przedmiot, ja ewinkuję mojém gardłem, że prędzéj umrze z głodu, nim aby jeden z nich grosz użył na zaspokojenie własnéj potrzeby. Toż i we wszystkiém; jak tylko da słowo swojemu wodzowi że mu będzie we wszystkiém posłusznym, nie ma poświęcenia coby go od niego nieotrzymał. Wasza Królewska Mość sam miał tego dowód. Wyciągnąłeś go, Miłościwy Panie, na słowo, że na Jego dworze żadnéj kłótni nie stanie się przyczyną. I ten sam człowiek, który dni kilka nie może przepuścić bez zwady, blisko roku z nikim się niekłócił. A sam byłem świadkiem, jak jeden dworzanin Waszéj Królewskiéj Mości, stał mu się przykrym. Ezechiel zęby ściskał, pienił się ze złości, a jednak na tém się skończyło, że mu powiedział: oj, dałbym tobie, żeby mnie twój Xiążę rozwiązał ręce, — i ustąpił z miejsca.

— A więc na Waszmości sponsją się spuszczamy. Oświadcz że mu Waszmość naszą łaskę Królewską, i powiedz mu żeby przed dwónastą udał się do Pana Bekiesza, gdzie będzie i Pan Zamojski. Tam, przed nimi, niech się zwiąże słowem rycerskiém. Pan Bekiesz odliczy mu kwotę przeznaczoną na wystyftowanie nowéj Chorągwi Królewskiéj, którą jego dowództwu poruczamy. Niech jak najśpieszniéj przyprowadzi ją na ten stopień, żeby była przydatną Rzeczypospolitéj, i nie tracąc czasu, żeby przed wschodem słońca, jutro opuścił naszą dziedziczną stolicę.

Tu skinął ręką, na znak że już posłuchanie Pana Mroczka się skończyło.

Pan Mroczek się skłonił, i odszedł spieszno, żeby przyjacielowi oznajmić łaskę Królewską.

Wielki u Dworu obiad, a potém wieczór tańcujący, po raz ostatni złączył naszych ziomków w Hermansztadzie. Wszyscy byli weseli; nawet Pan Samuel: jakkolwiek czasem wnurzał się w zadumania na widok pięknéj Gryzeldy, którą za kilka godzin miał opuścić. Znowu nadzieja, że w Krakowie u jéj nóg złoży wawrzyny, zdobyć się mające za Dźwiną, rozpędzała tęsknotę z jego czoła. Inni oddawali się wesołości, nawet na wodzy nie trzymając jéj głośne, a czasem rubaszne wyrażenie. Nadto mieli wiele powodów do niéj, żeby myśléć o wstrzymaniu jéj oznak. Raz, że oglądali Króla, — a niema formy rządowéj, któraby mogła osłabić w plemieniu słowiańskiém uczucie miłości dla Panujących, i radości jaką w niém ich przytomność wznieca. Powtóre, za dni kilka mieli wrócić do Polski, — a nikt więcéj od Polaka nie tęskni za rodzinną ziemią. Nakoniec, nadzieja bliskiéj wojny, bojów, mordów, życia obozowego, obfity pokarm przynosiła wyobraźni zawsze kwiecistéj, a która, od lat młodocianych aż do późnéj starości, jest nieodstępną towarzyszką Polaka. Radość, żądza sławy, i rzęsiste kielichy, na przemian Tokaju i Cemplinu; wszystko to zagrzewało serca i umysły naszych przodków, i gościnnych Siedmiogrodzan.

Po skończonéj uczcie, gdzie się krzyżowały i koncepta i kielichy, a gdzie Generałowi Ziem Podolskich gęba się niezamknęła, Król otworzył bal Polskim tańcem, wziąwszy w pierwszą parę żonę JW. Maryarzy, Kanclerza Xięztwa Siedmiogrodzkiego. Potém Xiążę Wiśniowiecki, Wojewoda Wołyński, i wiekiem i urzędem najznakomitszy z przytomnych, wystąpił z Xiężniczką Gryzeldą, gospodynią uczty i balu. Polacy i Siedmiogrodzanie z kolei prowadzili damy,

przy odgłosie dźwęcznéj muzyki. Pan Generał Ziem Podolskich żadnego tańca nie opuszczał, i nieraz rubasznością swoją przywołał wstyd rumiany na lica swojéj tanecznicy. Pan Ezechiel, z młodzieżą obójga narodów, wyglądali tylko hasła do ulubionych mazurków i krakowiaków, przeklinając w duchu nie kończący się poważny taniec, kiedy Pan Samuel stanął w pierwszéj parze z Xiężniczką Gryzeldą.

— Zginęliśmy, — rzekł Pan Ezechiel do Pana Kaźmierza, — obaczysz że się nigdy niedoczekamy końca téj processji, Patrz jak żywo rozmawia nasz Pan Samuel z Xiężniczką, wcale się nie zanosi na to, żeby prędko ją zaprowadził do krzeseł.

W saméj rzeczy, Pan Samuel nadto był przepełniony swojém szczęściem że mógł swobodnie rozmawiać z swoją Xiężniczką, żeby z niego uczynić ofiarę dla miłośników żwawszych pląsów. Rączkę pulchną i białą, noszącą na sobie wszystkie cechy arystokratyczne, trzymał w swojéj rycerskiéj dłoni. Każde poruszenie różowych paluszków, przebiegało po wszystkich jego żyłach; schylony do niéj napawał się wonią jéj oddechu; ust jeszcze nieotwierał, a już jakaś dziwna wymowa wylewała się nie tylko z jego źrenic, ale z każdego jego poruszenia. Uważać można było, że i Xiężniczka nadzwyczaj była ożywiona. Można było spostrzedz, że oddech Xiężniczki był i krótszy i częstszy, bo ruch jéj piersi przypomniał by poecie morze poruszone wiatrem, jakkolwiek niegwałtownym, wszakże pobudzającym fale, niszczące zwierciadlność wilgotnéj przestrzeni. A jednak poważny taniec niepowinien by takich oznak znużenia pobudzać.

— Pani! — mówił jéj rycerz; — jeszcze chwil kilka, a oblicza Twego oglądać nie będę. Jéj rysy za nadto głęboko są wyryte w mojém sercu, ażeby jéj obraz mógł mnie kiedy opuścić, ale czy mogę pochlebiać sobie że choć przelotną pamiątką raczysz mnie zaszczycić.

— Czy możesz o tém wątpić, rycerzu, kiedy tobie kilkakrotnie oświadczyłem i moją wdzięczność i przyjaźń, na którą tak dzielnie zasłużyłeś.

— Przyjaźń! ach, jakże to uczucie jest zimne!

— Może w kim innym, ale nie we mnie.

— Między przyjaźnią a miłością przestrzeń jest wielka: pozwól Pani aby przynajmniéj nadzieja ją zmniejszyła. Nadeszła uroczysta chwila, która musi koniecznie rozwiązać moje przeznaczenie; ja żyć nie chcę, ja żyć nie mogę, jeżeli mnie Pani odmówisz jakiegoś do życia zachętu. Życie moje, sława mojego imienia są w ręku twoim. Jedno twoje słowo wszystko rozstrzygnie. Proszę, nawet domagam się tego, żebyś mnie powiedziała, czy wolno mi cień nadziei piastować?

— Rycerzu! odrzekła Gryzelda pomieszana; — dałeś mi słowo, że w czasie twojego tu pobytu, podobnéj rozmowy ze mną wszczynać niebędziesz.... Czy Samuel Zborowski złamać może prawa rycerskie?

— Nie, Pani; owszem stoję przy tych prawach, ośmielam się nawet je przypomnić Xiężniczce Siedmiogrodzkiéj, córce i synowicy rycerzów. Jeżeli dama uznała rycerza być swoim, jeżeli mu pozwoliła swoje znaki nosić i wzywać jéj imienia w gonitwach; ma obowiązek w chwili w któréj się z nim rozłącza, może na zawsze, przy pożegnaniu go wysłuchać, pozwolić mu wynurzyć przed nią wszystkie swoje myśli. Tak stoi w prawach rycerskich, których, krew panująca najtroskliwiéj przestrzega. Poraz może ostatni mówię do ciebie, Xiężniczko. Miłuję ciebie wszystkiemi siłami mojéj duszy; ta miłość jest mojém życiem, mojém jestestwem. Nie taję się, że karmię siebie nadzieją, że może zdołam wzruszyć twoje serce. Bo to być niemoże, żeby miłość tak gwałtowna, tak stateczna, tak ognista, nie wzbudziła wzajemności; ale pragnę żeby jedno słowo z ust twoich poparło moje przekonanie. Pani, u nóg twoich skonam, jeżeli tego słowa nie wyrzeczesz.

— Rycerzu, co czynisz! Na Boga, na honor rycerski ciebie zaklinam, opamiętaj się, nie zapominaj gdzie się znajdujesz; że oczy wszystkich ku nam zwracasz, że nasz Król i Pan może chcieć wiedzieć, co do mnie mówisz. Przestań mnie obrażać, rycerzu, i kończ ten taniec — Gryzelda o to cię prosi.

— Nie! — odrzekł Samuel w uniesieniu. — Na nic się

nie oglądam. Jeszcze powtarzam — w twoim ręku jest życie albo śmierć moja. Powiedz mi że mi pozwalasz mieć nadzieję, albo ogłoś wyrok śmierci. Wygnaniec z ojczyzny, na ten pocisk byłem obojętny; bo ty dla mnie więcéj niż ojczyzna, niż cześć, niż godność. Król mnie wyprawia za Dźwinę, bym walczył z jego nieprzyjaciołmi; za kilka godzin, na rozkaz jego, opuszczam te miejsca, zawierające w sobie jedyną istotę która owładała wszystkie sprężyny mojego serca. Przysięgam ci, Pani, na honor rycerski, na godło mojego szlachetnego rodu, że jeżeli mnie nie wesprzesz słowem nadziei, twoje milczenie przyjmuję za wyrok śmierci. Za Dźwinę pośpieszę by oręż nieprzyjacielski ten wyrok na mnie spełnił. Przy pierwszéj potyczce, zrzucę z siebie szyszak, cisnę tarczę, głowę obnażoną poddam pod miecz pierwszego który na mnie natrze. Ani myślę bronić siebie. Dźwigając brzemie twojéj wzgardy, śmierć będzie mi największym zyskiem.

— Czegoż odemnie wymagasz, rycerzu? Chceszli żebym zapomniała com winna sobie, upoważniając ciebie do nadziei, które niepodobieństwo żeby zjiścić się mogły. Bądź prawym rycerzem, wiernym Królowi i ojczyznie, ochraniaj życie które jest ich a nie twoją własnością. A jeżeli, do tych świętych nazwisk, jeszcze możesz chcieć coś przydać; jeżeli żądasz odemnie jeszcze jakiegoś zachętu; powiém ci, że Gryzelda policzy za dzień szczęśliwy dla niéj ten, w którym ujrzy twój powrót zwycięzski, z jéj stryjem i panem.

Zauważano że Król od początku tego tańca patrzał na niego pokręcając wąsa, i że kiwnąwszy na Pana Bekieszę żeby się do niego przybliżył, coś mu powiedział, i zaraz potém znowu rozmawiał z Xięciem Wojewodą Wołyńskim, Panem Generałem Ziem Podolskich, i innymi Posłami Polskimi, którzy siebie się trzymali. A o kilka kroków od nich zrobiła się gruppa z Polaków, młódszych wiekiem i posadą, i kilku młodych Siedmiogrodzan, będących z nimi w zażyłości. Wszyscy byli zajęci i rozweseleni jakimś opowiadaniem Pana Ezechiela, kiedy Pan Bekiesz przystąpił do téj gruppy i rzekł: — Mości Zdoro! — Pan Ezechiel prze-

rwał opowiadanie, i zbliżył się ku niemu. Pan Bekiesz schylił się do jego ucha i powiedział mu cichym głosem: — Waszeć otrzymał z rąk moich i zalecenie Królewskie i wszystko co jest potrzebne dla dopełnienia onego. Czy masz to w uwadze, że już się zbliża godzina twojego wyjazdu?

— Jaśnie Wielmożny Pan bądź spokojny — wszystko już jest w pogotowiu, o saméj północy siadam na konia, więc jeszcze cała godzina przedemną.

— Patrz Waszeć jak Pan Samuel Króla nudzi, i mitręży zabawy niekończąc tańca. Żeby było męztwo w młodzieży toby już dawno krakowiaki i mazury dały się widzieć Królowi.

— A to jakim sposobem, Jaśnie Wielmożny Panie?

— Jużci, gdyby kto się ośmielił odbić Xiężniczkę Panu Samuelowi, zakończyłby taniec, a Król doczekałby się weselszych pląsów.

— Jeżeli o to tylko chodzi, to Pan nasz Miłościwy zaraz będzie rad: bo chociażby miała być o to późniéj rozprawa, biegnę odbić Xiężniczkę. Jeżeli żaden z nas tego się dotąd niedomyślił, to nie z powodu innego, tylko że nam się zdawało, że w przytomności Króla Jegomości, niewolno iść odbijanego.

— Bynajmniéj, i owszem Król będzie z tego rad; ale pamiętaj Waszeć, że jak tylko odprowadzisz Xiężniczkę do jéj krzesła, natychmiast masz się wysunąć i iść prosto na miejsce gdzie już wszystko przygotowane do twojego wyjazdu: i nie za godzinę ale zaraz trzeba wyruszyć z Hermansztadu, ażeby aż jutro opatrzyli się Waścini rodacy i tutejsi przyjaciele, żeś wpadł jak w wodę. A skwapliwość Waścina w spełnieniu żądań Króla nie ujdzie jego uwagi.

W tém taniec, prowadzony pierwszą parą, ku nim się zbliżał. Pan Ezechiel szybko wyskoczył naprzód, klasnął ręką o rękę, i przy niemałém zadziwieniu przytomnych, odebrał Xiężniczkę zadumionemu Samuelowi, który stał jak wryty, nie wiedząc co z sobą zrobić.

Pan Ezechiel kilka kroków zrobił, zakończył taniec,

ośmielił się pocałunek położyć na jéj pięknéj rączce, odprowadził ją do jéj krzesła, poczém wmieszał się w tłum biesiadników, i wkrótce niepostrzeżenie wyszedł z sali.

Pan Samuel jeszcze niebył wyszedł z swojego zadumienia, kiedy zabrzmiał szumny mazur. A młody Marynszy, syn Kanclerza Siedmiogrodzkiego i dworzanin Królewski, jemu powiedział, że jego siostra zamówiona przez niego na pierwszy mazur, już w kole czeka na niego.

Przystąpił więc do koła i nizko się skłonił przed swoją tanecznicą.

Rozpoczęły się pląsy.

Nie bez zadziwienia i Król i Panowie Siedmiogrodzcy ujrzeli w kole Pana Generała Ziem Podolskich, tańcującego z Xiężniczką Gryzeldą, Pomimo swoich sześćdziesiąt kilku lat, dziarski starzec skakał tak lekko, tak zgrabnie hołubce wybijał, że nie jeden młodzian mógł na niego patrzéć z zawiścią.

Gdy skończył figurę, Król do niego przystąpił i rzekł:

— Generale kochany, dziękujemy tobie że się przyczyniasz tak świetnie do naszych zabaw: aniśmy się spodziewali w tobie znaleść tak zgrabnego tancerza.

— Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział Generał; — puściłem się w pląsy, raz żeby się pochwalić że byłem kawalerem dostojnéj i prześlicznéj synowicy Waszéj Królewskiéj Mości, powtóre żeby mojego Miłościwego Pana przekonać, że Humieckiego stare kości jeszcze nie tak strupieszałe, żeby je tam w jakiś kąt zarzucić, że one owszem na coś się przydać mogą, czy za Dźwiną, czy gdzie tam Wasza Królewska Mość nasze rycerstwo raczysz poprowadzić. A Bóg da, że w jego obliczu pokażę się w innym tańcu, do którego, ledwo wyszedłszy z dzieciństwa, zacząłem się sposobić, a za którym nawet pośród tych zabaw tęsknię.

— Pewnie na żadną wojnę nie ruszę bez Waszmości. Wszakże, po skończonym mazurze, radziłbym Waszmości pomyślić o spoczynku, bo jak tylko pierwszy brzask dzienny

nas powita, już trzeba nam być w pogotowiu. Niech to będzie między nami, ale jak tylko skończy się ten mazur, od którego nieodstąpię, żeby się napatrzyć na Waszmości popisy, wysunę się do swojéj komnaty.

— A ja, Miłościwy Panie, na nogach czekać będę hasła do wyjazdu. Kiedy poddani śpią, ich Monarcha czuwa, a kiedy Monarcha spoczywa, nam poddanym czuwać potrzeba. Czy to jedną noc bezsenną człowiek przepędził, i to niewidząc przy sobie jak ninie przecudownéj Xiężniczki, która prawie tak piękna jak nią była moja nieboszczka: bo niech powie Xiąże Wojewoda Wołyński, co to była za piękność. Na niéj świat się kończył, — jeden po niéj krok naprzód a już tylko Cherubinowie i Serafinowie. Ale na koniu, pod deszczem, a jednak powieki się niekleiły, a tylko się patrzało, czy kto ze swoich czasem nie zasypia. Bo to z Niemcem wojując można się i naspać, ale z Turkiem, a zwłaszcza z Tatarem, trzeba zapomnieć że jest sen na świecie. Niech Najjaśniejszy Pan sobie zdrów wypocznie, a na mnie swojéj pory czekać nie będzie.

Po skończonym mazurze, kiedy się urządzał krakowiak, opatrzono się że najzawołańszy tancerz, Pan Ezechiel, nieznajduje się w sali. Wszędzie zaczęto go szukać: naprożno, — krakowiak bez niego musiał się obchodzić. Wszyscy, nawet Pan Mroczek, nasuszyli sobie głowę, żeby dociec gdzie on się podział. Ale podczas gdy wszyscy zajmowali się tańcami, rzęsisto jeden po drugim następującemi, już Pan Ezechiel, w pełnéj zbroi, na dzielnym koniu, zostawiał za sobą bramę Hermansztadu. On jechał zprzodu, za nim służebny szlachcic prowadzący lózem konia wysokiéj wartości, — nabycie świeże Pana Ezechiela na Siedmiogrodzie. Daléj trzech giermków których sobie zawerbował, a którzy prowadzili dwa objuczone konie różnemi ruchomościami; trzeci na którym złożona była całkowita zbroja, właśnie ta, którą otrzymał był w darze od Króla, po tém polowaniu gdzie odyniec tak dla niego pokazał się niegrzecznym. A za tym dworem, żeby go z dozoru niespuszczać, jechał, na grubopłaskim węgierskim koniu, nie-

dawno przyjęty koniuszy, polak, mieniący się być szlachcicem, — chociaż w Hermansztadzie utrzymywano że on był wychodźcą Cyganem z Pokucia: a który wzrastał we względach swojego Pana, dla jego biegłości w sztuce konowalskiéj.

XIV.

On tego czasu lat kilka upłynęło, jak po długiéj wojnie, Polska cieszyła się pokojem. Nigdy ona niebyła na takim stopniu wielkości i sławy, bo nigdy równie wielkiego Króla nie miała. Stefan Batory tak silne wrażenie napiętnował na Ruskich narodach w téj wojnie, tak uporczywéj, tak zażartéj, w któréj wojska swoje ze zwycięztw do zwycięztw prowadził, że była pogłoska iż Car Iwan-Groźny, nie mający potomstwa, przemyśliwał ogłosić Stefana swoim spadkobiercą, żeby już w ówczas dwa najpotężniejsze szczepy Słowiańskie zespolić w jedno ciało. Rzecz pewna, że ta kilkoletnia wojna, skończyła się wzajemnym szacunkiem obu stron, i że przed nieszczęśliwemi zatargami które dopiéro pod koniec panowania Borysa Godunowa się wszczęły, z powodu dumy przemożnego w Polsce Magnata, w dziejach naszych śladu upatrzyć nie można téj nienawiści narodowéj, która późniéj pokilkakrotnie rozdzierała wnętrze dwóch pobratymczych ludów.

Polska, pod szczęśliwym przewodem Stefana, odzyskała Połock i Smoleńsk, utwierdziła swoje panowanie w Inflanciech, przywiązała do siebie kozaków Ukraińskich, nadaniem im przywilejów, stawiących ich na równi z szlachtą Polską i Litewską. A nawet, Król już obracał swoje staranie, ażeby umieścić Władyków w Senacie zbiorowego Państwa.

Nigdy Polska na równie wysokim stopniu nie stanęła, właśnie dla tego, że nigdy najwyższa władza nie była ró-

wnie energiczna, równie ściśnięta w rękach panującego. Stefan szanował prawa, ale też baczył żeby one otrzymywały posłuszeństwo i wykonanie od wszystkich, bez wyjątku na stan i położenie w towarzystwie. A w przestrzeganiu praw będąc nieugiętym, tak wielką miłość zyskał u szlachty, że nie było Króla dziedzicznego i samowładnącego, któryby więcéj od niego był panem swojego narodu.

Z rozumem ukształconym nauką, ale nadzwyczajnie praktycznym doskonale pojął żywioły narodu którego rządy Bóg mu powierzył. Poznał że siła narodu była w szlachcie: ale ta, będąc rozsypaną, bez ogniska w którem by mogła skoncentrować swoje siły, sama z siebie wpadała w ręce możniejszych braci, magnatów posiadających ogromne włości, a którzy używali téj przewagi swojéj często dla korzyści kraju, ale też często dla podkopania zasad władzy Królewskiéj, którą by radzi byli oligarchją zastąpić.

Przeniknął Stefan niebezpieczeństwo jemu grożące ze strony magnatów, ale razem i to, że konstytucya kraju dawała mu dostateczne środki, aby je odwrócić. Magnaci wyznania Rzymskiego, niemniéj przemożni wyznawcy Kościoła Wschodniego, po większéj części byli dla niego przychylni, ale dyssydenci, upojeni wyobrażeniami za granicą czerpanemi, nietaili swojego wstrętu od porządku istniejącego, i dość jawnie dążyli do wprowadzenia jakiejś reformy w systemacie politycznym narodu, barwiąc łaknienia samolubstwa pięknemi nazwiskami Cywilizacji i Porządku. A dom Rakuzki, lubo w Królestwach własnych niezmordowanie poskramiał ducha Reformy, na jakiem bądź stanowisku usiłował by się objawić: w sąsiedzkich krajach wszelki zaród poburzenia podżegał i zachęcał, żeby tém łatwiéj utorować sobie drogę do panowania wyłącznego nad Europą, któréj Królów uważał być lennikami Cesarstwa Rzymskiego. I tém się tłumaczą te ciągłe stosunki, mniéj lub więcéj jawne, między oligarchami Polskiemi, których stronnictwo po większéj części składali dyssydenci wyznania Augsburgskiego i Helweckiego, a Wiedniem: stosunki, od których Król Stefan, przez cały ciąg swojego panowania oczów nie odwracał.

Domy Zborowskich i Górków, jako się wyżéj powiedziało, przodkowały dyssydentom. A Marcin Zborowski, Marszałek Wielki Koronny, był duszą która poruszeniami tego stronnictwa kierowała. Zborowscy w czasie bezkrólewia sprzyjali Xięciu Siedmiogrodzkiemu, na którego dworze gościł wtenczas ich brat, wywołany z ojczyzny, Samuel. Wiadomo im było że ten brat był pozyskał przychylność Xięcia, niemniej że starał się o wzajemność Xiężniczki, synowicy Xięcia Stefana; chodziły nawet wieści że tę wzajemność był pozyskał. Dumny Marcin karmił się nadzieją ze jego brat ściślejszym związkiem skojarzy się z Panującym rodem Batorych, i ta okoliczność szczególnie posłużyła do postawienia go między poplecznikami Stefana, i do odstąpienia na chwilę od tego dawnego i spadkowego przywiązania dla domu Cesarskiego. Ale że się sam przekonał o niepodobieństwie zjiszczenia wyniosłych nadziei, że Król, sam przez siebie chcąc panować, był niedostępny wszelkim ubocznym wpływom, i nie był z takich, co by się dawali powodować przez jakieś uczucie wdzięczności lub bojaźni, a w Radzie mu danéj, nie uważał na dającego radę, ale jedynie na pożytek jaki z niéj otrzymać mogła Ojczyzna: przywiązanie domu Zborowskich, tak uroczyście okazane Królowi w czasie jego elekcji, widocznie stygnąć zaczęło, a jego dawna skłonność dla domu Rakuzkiego w miarę tego stygnienia odzywała się, i słuszne podejrzenie Króla wzbudzała.

W téj wszczynającéj się niechęci jednego z najpotężniejszych domów Polskich przeciwko Królowi, nie było słuszności. Bo Król, jakkolwiek podejrzewał jego wierność, wielce dla niego okazał się łaskawym. W rozdawnictwie Starostw w ziemiach zdobytych o nim niezapomniał, nawet, po zawartym pokoju wracając do stolicy, Marcinowi powierzył urządzenie Wojewodztw i Powiatów świeżo wcielonych do Rzeczypospolitéj; a chcąc okazać swoją życzliwość dla Samuela, jeszcze przed swoim wyjazdem do obozu, po kilkakrotnie dołączył głos swój do głosu krewnych i przyjacioł Panów Zborowskich, by nakłonić do kroków po-

jednawczych zawziętą Kasztelanowę Przemyślską; a jeżeli, niemogąc zmiękczyć nieubłaganą wdowę, nie czuł siebie w prawie pozwolić Panu Samuelowi by się pokazał w Krakowie: przynajmniéj w nowych dzierżawach Polski, jako nieuległych wyrokom sądowym, przed ich wcieleniem zapadłym, nie tylko że mu nie wzbronił pobytu, ale nawet poruczył jemu dowodztwo nad częścią straży pogranicznéj, pod rozkazami walecznego Mieleckiego, świeżo zaszczyconego buławą Koronną. Wszystkie te dobrodziejstwa nie były zdolne ułagodzić wewnętrzne niesmaki wyniosłego Marcina.

W téj wojnie wszyscy wojownicy okryli się byli sławą: magnaci i mężowie stanu rycerskiego, jako i kozacy co ich Pan Mroczek z Siczy przyprowadził. Wszyscy tak się odznaczyli męztwem i wytrwałością, że trudno było między nimi zrobić wybor najdzielniejszego. Był to współzawód heroizmu, w którym jeden drugiemu nie ustępował.

W rozdawnictwie nagród, Król sprawiedliwy niezapomniał o magnatach, jednak nie ścisnął wyłącznie między nimi — jako to dotąd było w obyczaju — szafunku swojéj szczodroty; i owszem, mając do rozdania mnóstwo ziem i starostw tak w Inflantach, jako i w Białéj-Rusi, nabytych w szczęśliwie ukończonéj wojnie, korzystał z nadarzonéj okoliczności żeby na przeciw-wagę partji magnackich, utworzyć partję czysto-Królewską. I wiele szlachty ubogiéj, albo miernego miana, a którzy ściągnęli byli jego uwagę walecznością, podniosł raptownie rozmaitemi nadaniami, na ludzi możnych i niezawisłych od magnatów. Kniazie plemienia Jagiellońskiego i Rurykowskiego, na Rusi i Litwie w szerokich dziedzinach osadowieni, mogli na to patrzać bez obawy stracenia wpływów u szlachty wychowanéj w dziedzicznéj dla nich uległości, do któréj nawykła była jeszcze od tych czasów, kiedy ci Kniaziowie byli udzielnymi władzcami, rozciągającymi nad nią panowanie takie jak i nad gminnym narodem. Ale magnaci Koronni nie mogli nie poznać że Stefan, rozdawaniem Królewszczyzn między szlachtą bez ich zalecenia, przywiązywał ją do Tronu i podkopywał zasady

tego klientyzmu, który dotąd był węgielnym kamieniem ich potęgi.

Jeszcze więcéj rozjątrzyło Marcina Zborowskiego stateczne zaufanie Króla w Janie Zamojskim, i to jego przekonanie którego nigdy nie taił, że nadzwyczajne powodzenia odbytéj wojny, były po większéj części skutkiem rad i dzielności Zamojskiego. To przekonanie Królewskie cały oboz podzielał, tak dalece, że kiedy Król, nie zważając na to że przodkowie Zamojskiego nie piastowali dotąd wysokich urzędów, przez któreby się mogli zapisać na kartach dziejów Polskich, ale pamiętny na jego zasługi osobiste, nadaniem dziewięciu starostw, z wielkorządztwem stolicy, a nadewszystko powierzeniem wielkiéj pieczęci Koronnéj, szlachcica miernego majątku raptem posadził między najmożniejszymi panami: okrzyk wdzięczności szlachty, prawie powszechny, uwieńczył jego szczodrotę. Ale w tym wymiarze sprawiedliwości, Marcin Zborowski, głowa oligarchów, nic innego nie widział, tylko krzywdę wyrządzoną domom, ledwo że nie spadkowo piastującym najważniejsze dostojeństwa Rzeczypospolitéj, i widoczną dążność do odjęcia im téj przewagi niczém nieoszrankowanéj, co ją usiłowały rozciągać nad całym narodem: tém więcéj że Jan Zamojski, gorliwy wyznawca równości szlacheckiéj, otwarcie dawał się z tém słyszyć, że konstytucja polityczna narodu zwątloną została prepotencją magnatów, którzy abusive się utworzyli, przeciwko ducha téj konstytucji, a to przez zbytnią dobroć Jagiellończyków; ale że czas wrócić do niéj, by ją oczyścić od wszystkich jéj narośli.

Jedna jeszcze okoliczność, na pozór mało znacząca, do najwyższego stopnia podniosła niechęć Marcina przeciwko Królowi.

W czasie wojny, na jednéj bitwie, Jan Zborowski, Kasztelan Gnieźnieński, z pomiędzy wszystkich swoich braci najmniéj wyniosły i najwięcéj obywatelski, ciężko został raniony. Pan Samuel objął dowodztwo tego oddziału po wyniesieniu brata z pobojowiska, i ze zwykłą jemu dzielnością poraził nieprzyjaciela. Był to czyn piękny, za który Król mu publicznie dziękował. Ale kiedy Pan Marcin Zborowski,

chcąc z tego dla brata korzystać, na osobności z Królem przekładał mu, żeby powagą Królewską zdjął wyrok poprzednika swojego, wskazujący na banicję tego Samuela, tak Królowi i Ojczyznie w niniejszéj wojnie zasłużonego, a który świeżo od niego publiczne dowody jego łaskawych względów otrzymał: Król odpowiedział, że «bez zezwolenia Pani Wapowskiéj, pokąd ona żyje, tego uczynić nie czuje siebie być w prawie, ale że po skończonéj wojnie, jeżeli Bóg pozwoli powrócić do Krakowa, z większą niż wprzódy śmiałością o to będzie się u niéj domagał, w przekonaniu że zwycięzkiemu swojemu Królowi tego nic odważy się odmówić.» Zresztą dodał: — może-by się do tego znalazł środek najwłaściwszy. Wiadomo Waszmości że odjazd Króla Henryka zerwał zawiązane stosunki między kawalerem de Villaret i Kasztelanką Przemyślską, a jéj matka niczego tyle niepragnie, jak usadowić córkę młodszą równie świetnie jak jéj siostrę, Panią Koniecpolskę. Gdyby Pan Samuel chciał jéj wynagrodzić stratę męża, oświadczając chęć zostania jéj synem, niewątpimy że jéj zawziętość ustąpiła-by chlubie mieć córkę zaślubioną walecznemu potomkowi wielkiéj krwi Zborowskich. Sami chętnie podejmujemy się swatowstwa, a nawet gotowi jesteśmy, byle tego Pan Samuel zażądał, napisać do Królowéj, żeby Panią Wapowskę do tego przygotowała. A mając rozwiązane ręce dla okazania życzliwości Panu Samuelowi, przyrzekamy, że gdy jest kilka wysokich urzędów wakujących, po wyeliminowaniu wyroku na niego zapadłego, bez wahania się zakonferujemy jemu ten, który się jemu najdogodniejszym zdawać będzie.

Marszałek Koronny, na znak podzięki, skłonił głowę przed Królem, ale odszedł z rozjątrzoném sercem, bo w tych łaskawych wyrazach nic innego niewidział, tylko odjęcie bratu wszelkich nadziei otrzymania ręki synowicy Królewskiéj.

Odtąd nienawiść Zborowskich i ich przyjaciół ku Zamojskiemu, nie przestała wzrastać, i tylko bojaźń co ją wzniecał Król, wstrzymywała ich od gwałtownych oznak téj nienawiści. Wszakże ona nie uchodziła przenikliwego oka Stefana. I jeżeli z jednéj strony Marcin Zborowski i jego

współdziałacz Górka, Generał Wielkopolski, dla ściślejszego związania się z dyssydentami, przybierali postać najfanatyczniejszych wyznawców protestantismu, tak dalece że w niedziele, całe poranki obracali na spiewanie psalmów i słuchanie kaznodziejów których sprowadzili do obozu, a resztę dnia poświęcali rozpamiętywaniu Pisma Świętego, wszystko to z surowością purytańską: z drugiéj strony Stefan otaczał się Jezuitami, fundował dla nich kollegia, i okazywał im największą ufność, by tém przeważyć cierpkość sekty, z natury swojéj zawsze przeciwnéj każdemu Rządowi, a która w Polsce służyła za narzędzie kilku magnatom, usiłującym schwycić wszystkie władze narodowe, powstałe z obyczajów rodzimych, dla których największą czuli wzgardę. Jeżeli poruszając wszystkie sprężyny dumy i chciwości magnatów, nawet wyznania narodowego, Marcin usiłował ich przywiązać do swojego stronnictwa, wystawując niebezpieczeństwo im grożące, utratą wszelkiéj wziętości u szlachty, przez napływ ludzi nowych, których Król wywyższał jedynie dla tego, żeby przez nich przymusić do równości ich samych którzy de facto osobny stan składają w narodzie; z drugiéj strony Król, za poradą Zamojskiego, coraz więcéj przybliżał się do szlachty, dając jéj sowity udział łask swoich, przypuszczając ją do krzeseł i dygnitarstwa. I w saméj rzeczy, pod żadnym Królem tyle nie powstało pańskich domów ze szlachty ubogiéj.

Taki był stan rzeczy przy kończącéj się wojnie: a lubo Król aż nadto był wiadomy o złych chęciach Marszałka Koronnego, i o nieżyczliwości jego krewnych i przyjaciół, postanowił sobie, stosownie do praw których był stróżem, być obojętnym na wszystkie mowy i myśli, dopóki w szkodliwe czyny się nie zamienią. Niczém nie dawał poznać że przenika cel do którego dążą; w rozdawnictwie nagród nie omijał tych, o których wiedział że dopuszczają się słów obelżywych przeciwko niego, byle tylko na nie zasłużyli: a nie można zaprzeczyć że na téj wojnie, czy życzliwy Królowi, czy jemu w duchu przeciwny, każdy swoją powinność dopełnił. Niczém nie okazywał Marcinowi by jego o coś złego posądzał; uprzejmie, jako pierwszego Ministra jego

usługi i rady przyjmował, często nawet szedł za niemi. A nawet, jako się wyżéj powiedziało, kiedy po zawartym pokoju wracał jako tryumfator do swojéj stolicy, a panowie i szlachta już się zabierali wracać, jedni do przypysznych zamków, drudzy do dziedzicznych zagród: Król, Hetmana Mieleckiego zostawił w zdobytych ziemiach, z niewielką ilością niezbędnego żołnierza dla trzymania zamków w stanie obronnym, i Samuela Zborowskiego, który, pod rozkazami Hetmana, miał trzymać straż pograniczną, a jego bratu Marszałkowi Koronnemu, nadał Starostwo Połockie i jemu powierzył urządzenie uzyskanych ziem, — może woląc go trzymać za Dźwiną, niż widzieć w Krakowie usiłującego wichrzyć kraj, i drogami tajnemi, i powagą wysokiego i potężnego urzędu.

XV.

Była wielka uczta na zamku Krakowskim, na któréj się znajdowało mnóstwo panów i szlachty. Albowiem w dniu tym odbywały się zaręczyny Jana Zamojskiego, Kanclerza Koronnego, z Xiężniczką Gryzeldą.

Przed samą ucztą, Xiąże Biskup Krakowski pontificaliter błogosławił zamianę pierścionków, i przyjął obietnicę Państwa młodych.

Król, kiedy Kanclerz mu padł do nóg, powiedział znajdującym się na téj uroczystości.

— Odmówiliśmy naszą synowicę Xiążętom udzielnym, starającym się o jéj rękę. Bo chcieliśmy was przekonać, że ani pragniemy, ani potrzebujemy innéj dla nas podpory, tylko takiéj którą w Ojczyznie naszéj znaleźć możemy. Powierzamy ją śmiało temu, któremuśmy powierzyli pieczęć Koronną, a którego zasługi i prawość są tak wielkie, że tylko skoligaceniem jego z krwią naszą mogły być dostatecznie nagrodzone.

Zauważano że Xiężniczka była blada i widocznie pomięszana, co przypisywano skromności przyrodzonéj w szlachetnéj dziewicy, zmuszonéj poniekąd wystąpić na publiczne widowisko, i to w przytomności wszystkiego co było najwietniejszego w Narodzie; a nakoniec obawie jaką wzniecić może zbliżenie się zawodu nieznanego.

A bladość jéj lica okryła się gorącą barwą wstydu, kiedy Humiecki, już Wojewoda Podolski i Sebastyan Rzewuski, Podkomorzy Bełzki, sędziwy jak i tamten starzec, oba,

po odbytych zaręczynach, uklękli przed nią by podziękować: pierwszy w imieniu szlachectwa całéj Polski, za zaszczyt przyniesiony jemu, tém iż krew Królów raczy się połączyć dożywotnie z ich bratem, a drugi w imieniu Województwa Bełzkiego, że odtąd ją liczyć będzie między swojemi obywatelkami.

Król, drżącą jak listek Gryzeldę, w pierwszéj parze poprowadził do stołu, a Królowa Anna Jagiellonka podała rękę Zamojskiemu.

Więcéj dwuchset osób siedziało za stołem Królewskim. Na twarzy kilku magnatów można było dośledzić znaki, iż starali się wykłamać na niéj postać życzliwości dla Pana Zamojskiego. Ale między magnatami nawet znajdywali się tacy którzy, to jego wywyższenie uważali być z rzeczywistym pożytkiem kraju. A co się tyczy szlachty, ona nie posiadała się z radości, rokując dla siebie z tego na co patrzała, najpowabniejsze nadzieje. Bo chociaż bez jakichś niezaprzeczonych zasług nikt w owych czasach niedostępywał krzeseł i dygnitarstw, a coż dopiéro ministerjum, jeszcze tak ważnego jak Kanclerstwo Koronne: wszakże i to pewna, że największe zasługi osobiste w szlachectwie świeckiém, nie były zdolne doprowadzić do tych wysokich dostojeństw. jeżeli ich niepopierały krew świetna, nazwisko powtarzane w dziejach narodu, i kolligacje z témi kilku domami, które nawykły patrzać na te dostojeństwa, jako na swoją własność.

Za Janem Zamojskim nic innego nieprzemawiało, tylko miłość szlachty i wielkie zasługi. Bo chociaż starożytnego rodu, jako cała szlachta w okresie, kiedy nie było przykładu żeby kto pod cudze herby się podszywał, albo podrobionemi dokumentami udowadniał swoje szlachectwo: wszakże, przed nim żaden Zamojski ani zajął krzesła w Senacie, ani nawet piastował jakiś cokolwiek-znaczny urząd w stanie rycerskim. Nie był związany pokrewieństwem, chociażby najdalszém, z żadnym senatorskim domem, a nawet w swojem Bełzkiem Województwie, gdzie z bratem odziedziczył szczupłą ojcowiznę, niebył skoligacony z żadnym z tych zamożnych domów, co przyrodzonym sposobem składały

arystokracją prowincionalną. Jego ojciec, człowiek surowych obyczajów i uczony jak większa część szlachty owych czasów, ale wplątany w błędy Kalwina, w których i obu synów wychowywał, a nawet, spostrzegłszy w Janie osobliwszą zdolność do nauk, przeznaczył go do świeżo odkrytego zawodu dla młodzieży dyssydenckiéj w pastorskiém rzemiośle, które, wsparte szczodrotą magnatów protestanckich, zaczynało być wielce korzystném. Ale młody Zamojski miał duszę nadto polską i rozum nadto rozważny, żeby nie powziąść wstrętu od tego kierunku umysłowego, który gdyby zwycięztwo otrzymał, niezawodnie wynarodowiłby nasz stary szczep słowiański. Opuścił szkoły Rakowskie, przed Biskupem Krakowskim rewokował błędy w których był wychowany, i za jego wsparciem dostał się do Padwy dla skończenia nauk, i w nich takie zrobił nadzwyczajne postępy, że otrzymał Rektorstwo przodkującéj Akademii w uczonych Włoszech. W tym świetnym zawodzie, dosłyszał głos ojczyzny trapionéj wojną, przywołującéj jéj synów do obrony jéj dzierżaw. Prawy obywatel, wszystko opuścił, by pobiedz na jéj ratunek I co nie było rzadkiem w owych czasach, do wysokich nauk łącząc szczególną zdolność do rycerskiego rzemiosła, walcząc w Inflanciech w szeregach Pospolitego Ruszenia swojego Województwa, zwrócił ku sobie szczególną uwagę Hetmana, Mikołaja Czarnego Radziwiła, jednego z najuczeńszych mężów i najszczęśliwszych wojowników owego tak świetnego dla Polski okresu. Odtąd nie przestawał czynnie służyć krajowi. Wszakże, pierwiastki swojego znaczenia w narodzie ani od Króla, ani od magnatów nieotrzymał, ale rotmistrzostwo, poselstwa na sejmach, były mu powierzane od téj szlachty, z któréj łona powstał, a któréj na wzajem tyle zaszczytu przyniosł. Na Sejmach niezmordowany obrońca równości szlacheckiéj, jako wszystkich praw zasadniczych Rzeczypospolitéj, taką był wziętość pozyskał za Zygmunta Augusta, że chociaż niechętni jemu magnaci nazywali go człowiekiem nowym, jakkolwiek Król był dla nich słabym, wszakże przemyśliwał by go w Senacie umieścić, i nawet głośno pokilkrotnie dawał się z tém słyszyć. Ale, wedle swojego zwyczaju wszy-

stko na poźniéj odkładając, śmierć go zaskoczyła wprzódy, nim do skutku przyprowadził swoje dla niego życzliwe chęci. Jednak przez wzgląd na ubóstwo cnotliwego i zasłużonego męża, obdarzył go starostwem, które lubo go niewzbogaciło, przynajmiéj zabezpieczyło mu środki utrzymania bez nadzwyczajnych ofiar swojéj niepodległości.

Wszystkie te okoliczności były szlachcie wiadome; ztąd każdą nową łaskę co ją Król Stefan wyświadczał Zamojskiemu, uważała być łaską dla niej-że saméj. Dzisiejsze pokolenie, osierocone ze wszystkich cnót swych przodków, temu, bez wątpienia, nieuwierzy. Dawniéj, chociaż były namiętności gwałtowne, ale nie były one tego rodzaju jak teraźniejsze. Było głębokie uszanowanie dla tego wszystkiego co było godziwém i świętém, był jakiś duch dodatni, jednawczy, skupiający wszelkie nadgminności w ognisku wspólnych uczuciów. Wielkość członka stowarzyszenia uważaną była za ogółu spuściznę.

Szlachta ocenić umiała wyższość Zamojskiego, bo w téj wyższości widziała urzetelniony swój własny ideał. A ta popularność którą posiadał w narodzie, spływała na Króla umiejącego ją oceniać, gdy odważał się go podnosić nad równość szlachecką, żeby tém gruntowniéj ją zabezpieczyć.

Przy obiedzie rzęsiste kielichy spełniały się za zdrowie Państwa młodych, i sam Król uczęstnictwo brał w téj rubasznéj zabawie szlacheckiéj. Rozmaite mowy krzyżowały się, tak polskie jak łacińskie. Wesołość była wielka i głośna a poufałość Króla z poddanymi, nie tylko ziomków, ale nawet znajdujących się Posłów Dworów zagranicznych rozrzewniała.

Uczta przedłużyła się aż po zachód słońca, którego blaski zastąpione zostały przez tłumy jarzęcych świateł.

Całe zgromadzenie powstało nakoniec, by za przewodem Króla pojść do sali zamkowéj, gdzie mnóstwo szlachty, po większéj części z ich żonami i córkami, już się zebrało, zaproszone na tańce które zakończyć miały uroczystość, a do których rozpoczęcia dał hasło Król, otwierając bal z Panną młodą.

W tém zgromadzeniu biesiedniczém znajdował się i Pan

Ezechiel. Nie tańczył, bo trochę chromał na lewą nogę, nieco uszkodzoną na ostatniéj wojnie, ale siedział koło swojéj żony, z którą się zdawał być w najlepszéj komitywie. Uważano nawet, że z nią rozmawiając, po kilkakrotnie jéj rękę całował, — widać że kielichowe popisy za stołem Królewskim, przygotowały były jego serce do czułości małżeńskiéj. A co więcéj jeszcze budowało, — tych zwłaszcza którzy mając zażyłość z Panem Ezechielem byli nieco wtajemniczeni do pożycia tego stadła, — Pani Zdorzyna, któréj ile razy się zdarzało spotykać z małżonkiem zawsze mu pokazywała surowe oblicze, tu uśmiechała się do niego i wdzięcznie przyjmowała jego oświadczenia.

Ale były do téj zmiany gruntowne pobudki.

Pan Ezechiel już był nieco poważniejszy, i chyba przez zapomnienie oddawał się dawnéj rubaszności: widocznie owszem usiłował wygrywać jakąś przybraną rolę, niekoniecznie jemu właściwą.

W czasie ostatniéj wyprawy, kiedy przy dobyciu Wielkich-Łuk wielu dzielnych rycerzy poległo, a jeszcze więcéj okrytych ranami — a między nimi Xiąże Radziwił Sierotka, Wojewoda Wileński i Pan Jan Zborowski, Kasztelan Gnieznieński — wyniesieni zostali z pobojowiska; podczas gdy od strony północnéj, mężny i uczony Arciszewski, pod okiem Króla, z Panem Zamojskim łamali szańce niedobytéj dotąd twierdzy, a Pan Humiecki z swoją i Pana Samuela chorągwią i kozakami Zaporozkimi co ich Pan Mroczek przyprowadził, bronili przeprawy oddziałowi nieprzyjacielskiemu idącemu na odsiecz Wielkim-Łukom: Panu Ezechielowi, spieszonemu wraz z Pancernikami téj Chorągwi Królewskiéj którą wysztyftował, udało się wdrapać na wały twierdzy od zachodu, i na nich utkwić godło Królewskie. Załoga już niemając możności bronienia się dłużéj, wraz z twierdzą poddała się Królowi, który publicznie przyznał Panu Ezechielowi pomyślne rozwiązanie tego oblężenia.

Pan Ezechiel, dzielny żołnierz, był rabusiem najgłośniéjszym w obozie, gdzie powszechnie uważano rabunek za prawo wojny. Wszakże tu sprawiedliwość winna mu być oddaną, że niewielki pożytek dla siebie ciągnął z tych ra-

bunków, ale je obracał na korzyść swojéj chorągwi, utrzymując ją bez obciążania Skarbu Królewskiego. a przecie żadna chorągiew ani lepszemi końmi, ani lepiéj uzbrojonymi towarzyszami pochwalić się nie mogła. Co mu zjednało zaufanie i życzliwość Królewską.

To wszystko niewielkie wrażenie by zrobiło na Pani Zdorzynéj, niepojmującéj żeby pole zasłane trupami mogło być dla kogo powabniejsze niż łan kopami najeżony. Ale Król, po zawartym pokoju, pamiętny o bezpieczeństwie Inflant, obronne zamki téj krainy powierzył Starostom na których dzielności mógł polegać. A zauważywszy że miasto Fellin było jednym z najważniejszych punktów wojennych, zamek Felliński, wyniesiony od Krzyżaków, ale nieco uszkodzony pokrzepił, całe miasto otoczył wałem podług abrysu Arciszewskiego, a Pana Ezechiela mianował Starostą nad zamkiem i grodem Fellińskim, dodając: «*Protestant z protestantami łatwiéj się porozumie niż katolik.*»

Pan Ezechiel nieposiadał się z radości, i nic niemożna było widzieć pocieszniejszego jak te jego usilności żeby przybrać powierzchowność poważnego urzędnika. Ile razy kto mu powie — Mości Starosto, — wtedy wypręża się, głowę do góry zadzierając; i czoło marszczy jako człowiek nawykły do zatapiania się w głębokich myślach. Była to śmieszność ale zaprzeczyć niemożna, że Król nie miał powodu żałować swojego wyboru.

Pan Ezechiel zaledwo objął swoje Starostwo, poznawszy że sądowniczy zawód jemu nie był na rękę, z dziwną roztropnością postąpił. Szukał dla siebie substytutów, nie między towarzyszami swojéj chorągwi, jakby się tego spodziewano, ale poradził się najpoważniejszych obywatelów Fellińskiego powiatu. I z ich instynktu, instrumentował Podstarostę, Sędziego i Pisarza Grodzkiego, ze szlachty wziętéj w powiecie, a którzy w jego imieniu sprawiedliwość wymierzali: czém uzyskał niemało popularności dla Króla i dla siebie. A chociaż przydano mu kilka folwarków, niewiele pańszczyzny używał do uprawienia roli Starościńskiéj, i jego gospodarstwo, prawdę powiedziawszy, na wolę Bożą było poruczone. Ale za to bez przestanku kopacze pracowali

około wałów, cieśle ciosali ostrokoły, mularze poprawiali mury, a jeżeli jaki grosz mu przybywał z propinacji miasta, dość zamożnego i wsiów, które go okrążały, z tego większa była pociecha dla żołnierzy składających załogę, niż dla ich dowódzcy.

Wszystko to było wiadomo Królowi i Panom Rady, i za wstawieniem się Hetmana a łaską Króla, Starosta Felliński otrzymał to, czego najwięcéj żądał, a to, nobilitację ex charta belli, dla większéj części swojéj Chorągwi: bo ją sztyftując, niekoniecznie przestrzegał szlachectwa zaciągających się do niéj: byle zauważył że dobry jeździec, że dobrze robi szablą, i że odwaga mu patrzy z oczów, — nie pyta kto go rodzi, i, via facti, wpisuje go do Towarzystwa. Dobrze na tém wychodził w czasie wojny, bo to wszystko za nim tak lazło w opały, że trzy razy musiał odnawiać Choragiew nim się wojna skończyła, i nie stałoby szlachty, żeby tylko w niéj ścieśniał werbunek; ale w czasie pokoju, mógł być turbowany sądowie, że zwłaszcza tak poważny znak jak Chorągwi Królewskiéj, ważył się pokrywać Towarzyszami mniéj niż podejrzanego szlachectwa, — a, jak wiadomo, Pan Ezechiel niczego tak się nie obawiał jak prozekucji sądowéj. Ta więc łaska, ze wszech miar sprawiedliwa Króla i Hetmana, z tego względu zostawiła go zupełnie spokojnym.

Pan Starosta Felliński uprosił u Hetmana pozwolenie wydalenia się w Krakowskie na krótki czas, to domaganie się swoje opierał na pobudkach Chrześciańskich, że nie może znieść tak długiego rozstania się z żoną, i że chce ją skłonić by z nim razem osiadła w Inflanciech. W rzeczy saméj, nie to mu było w głowie: był albowiem przekonany że jego połowica za nic nie opuści swojéj ulubionéj Ukrainy, i dla tego właśnie gotował się ją najusilniéj zapraszać do Inflant Ona natenczas bawiła w Krakowskiem, jak się o tém dowiedział od Szerszenia, którego Imość wypędziła z Kosmyrzowa, dociekłszy jakichś jego szachrajstw, a który szukając pana, znalazł go nakoniec w Fellinie, i zaraz u niego znalazł dawne zachowanie.

Pan Starosta lubo się ciągle odzywał z gwałtownem tę-

sknieniem do żony, robił to dla tego, iż to uważał być przyzwoitém dla wysokiego urzędnika, stosując się w tém do obyczajów przyjętych między poważnymi ludźmi; ale w rzeczy saméj, obawiał się chwili swojego z nią spotkania i wymówek co je miała prawo mu czynić, za tę jego ucieczkę z Kosmyrzowa. Cóż go więc nakłonić mogło do téj podróży? Oto nic innego, tylko chęć pokazania się w Krakowie jako Starosta poważny, przed tymi, którzy go znali trzpiotém, dworzaninem, towarzyszem nadliczbowym, zaledwo Chorążym. Wdzięcznie pieściła jego wyobraźnią nadzieja wrażenia jakie na nich zrobi ten Pan Ezechiel, co się niezdawał być wartym złomanego halerza, a dziś urzędnik niemałéj wagi, szatający się między Senatorami, ledwo że nie brat-za-brat z dygnitarzami, a do którego sam Król nieraz mówi z szczególną uprzejmością. Jak to u Falendysza kiedy się pokaże, wszyscy przed nim powstaną, żeby go powitać. I w tych wesołych myślach puścił się do Krakowa, nie jak dawniéj wierzchem, ale w poważnéj kolasie, za którą, ciągnęły się dwie bryki z jego dworem.

Przybywszy do Krakowa, najpierwéj stawił się przed Panem Zamojskim, Kanclerzem Koronnym i Starostą Krakowskim. Pan Kanclerz go przyjął z osobliwą uprzejmością, kazał mu uważać jego dom za swój, i żeby prosto do niego zajeżdżał ile razy będzie w Krakowie, nazywał go kolegą, i przedstawił go Królowi, który na posłuchaniu powiedział mu między inném te słowa:

— Waszmość nie zawiodłeś naszych nadziei — żeby wszyscy Starostowie szli za Waszmości przykładem, bylibyśmy spokojni o bezpieczeństwo kraju. Hetman nam doniosł z jakiem staraniem wzmocniłeś zamek Twojéj Wierności poruczony, i że nigdzie nieznalazł załogi lepiéj utrzymywanéj niż w Fellinie. W swojem i Rzeczypospolitéj imieniu, dziękuję Waszmości.

Można sobie wyobrazić jak wielkie wrażenie te słowa wielkiego Króla sprawiły na umyśle Pana Ezechiela, nie mógł nic odpowiedzieć tylko padł do nóg Królowi, i, co mu się dotąd niewydarzyło, powstawszy rozpłakał się jak dziecko.

Po tém posłuchaniu, Pan Ezechiel nieomieszkał nawiedzić swoich dawnych znajomych, każdemu z nich przynajmniéj raz opowiadał wszystkie szczegóły tego posłuchania, po czém rozprzestrzeniał relacje o powabach jakie go przynęcają do Inflant. O piękności miast tamecznych, o pracowitości Łotyszów, a szczególnie o rozległych polach należących do jego starostwa. Nakoniec kilku znajomych zaprosił z sobą do Falendysza, powodowany do tego kroku kilku bardzo ważnemi pobudkami. Pierwsza, żeby się trochę tam poczwanić swojem znaczeniem, powtóre żeby się uiścić z niejakich zaległości rachunkowych, potrzecie, i to co zdaje się iż przeważało w jego umyśle, że po tylu latach rozdziału małżeńskiego, w dniu tym wybierał się do Kosmyrzowa, a więc czuł potrzebę pokrzepienia swojéj odwagi na spotkanie się z drogą połowicą.

Pojawienie się jego w winiarni, powitane zostało tak pochlebnie dla jego wyniosłości, że mógł być zadowolnionym. Pan Falendysz, taki sam jakim był przed laty, tylko nieco więcéj jeszcze trędowaty, na czele swoich czeladników, wystąpił z oracją do «Jaśnie Wielmożnego Starosty,» po któréj huczne applauzy dały się słyszyć z ust wszystkich biesiadników. Każdy się przyznawał do jego znajomości, każdy się mu kłaniał, zgoła był to dla niego dzień tryumfu. Na tém się skończyło, że Pan Starosta kazał sobie podać dawne rachunki, najskrupulatniéj z nich się uiścił; a kwotę na stół położoną lubo Pan Falendysz z oka niespuszczał, wszakże długo po nią ręki niesięgał, wymawiając się że — tego niepotrzebuje, że służy JW. Staroście bez żadnego interesu, a tylko dla zaszczytu żeby sobie zaskarbić łaskę tak wielkiego w ojczyznie męża, — i dopiéro po usilnych naleganiach Pana Ezechiela, włożył do kieszeni brzęczączkę, nieomieszkawszy wszakże jéj przerachować na nowo.

Tu nastąpiło dobre za nadobne. Pan Starosta, rozrzewniony tak czułém przyjęciem, wszystkich traktował. Uradowała się szlachta i on z nią pospołu, tak dalece, że kiedy przed winiarnią zajechała jego kolasa, a jego dworzanin mu oznajmił że mu pora jechać do Kosmyrzowa, nie bez trudności trafił do stopnia, przez który dostał się do kolasy.

Jest powszechne mniemanie że, gdyby człowiek niewiedzieć jak był pijany, skoro się spotka z jakiém wielkiém niebezpieczeństwem, natychmiast się wytrzeźwi. Niewiem do jakiego stopnia doświadczenie sprawdziło to mniemanie, ale to pewna, że zaledwo zachodzące słońce, odbijając się o szérokie kominy rezydencji Kosmyrzowskiéj, oznajmiło Panu Staroście Fellińskiemu że już się zbliżył do kresu swojéj wyprawy, wnet wszelką przytomność odzyskał, i uczuł że coś nakształt bojaźni nieco oziębia jego nieustraszone serce. Zaczął się kręcić w kolasie, macając jéj kieszenie, azaliż jaka butelka starego Węgrzyna do niéj trafunkiem niezabłądziła: niestety! na zapasie Krakowskim trzeba było poprzestać; i z niemałą niespokojnością zajechał przed ganek.

Wielce się zadziwił kiedy ujrzał przed gankiem wybiegającą do niego swoją połowicę, z wyciągniętemi ku niemu ramionami. Uradowany Pan Ezechiel tak niespodzianem przyjęciem, rzucił się w jéj objęcie, i, prawdziwie, to pierwsze spotkanie małżonków, po kilkoletniém rozstaniu się z sobą, było wielce budujące.

Przedstawiła mu matka Kazia, ślicznego chłopczyka, który, zawiesił się u szyi tatka, i powiedział mu: — A jaki gościniec tatko mnie przywiozł?

— Pan Ezechiel nieposiadał się z radości, rozkazał wynieść dla synka pałasik, bębenek i inne cacka, któremi człopczyk tak się rozweselił, że ojcu serce rosło jakby na rożdżach. Pani Starościnéj oddał pakę z różnemi preciozami, na dowod że nigdy o niéj nie przestawał pamiętać. Ona też tak się pokazała dla niego wylaną, tak powolną, tak pieszczotliwą, do tego tak miłego sukcessora mu dała, i tak dobrze go wyhodowała, że pierwszy raz w życiu Pan Ezechiel nie żałował iż go nieproszeni przyjaciele ożenili.

Pani Zdorzyna, w niezwykłéj uprzejmości, nie tylko że nieprzypomniała mu poniekąd zdradliwéj jego ucieczki, ale nawet milczeniem pokryła inne jego wykroczenia, jako naprzykład, strwonienie summy podniesionéj u Pana Kasztelana Tęczyńskiego. Duch wstąpił Panu Ezechielowi tak dalece iż ośmielił się nawiasem odezwać, że — zmuszonym może będzie udać się do jéj łaski po pieniądze, niezbędne

na wydatki rychło nastąpić mającego jego powrótu do Fellina.

Jakież było jego zadziwienie, kiedy, zamiast gderania, żona mu odpowiedziała najłagodniéj:

— Dobrze, kochanku, ja wiem, że w nowym twoim zawodzie, masz wydatki do załatwienia, a ja dla mojego Ezechielka mam kilka tysięcy złotych w pogotowiu.

Pan Ezechiel, już bez żadnéj dyplomacji, ale z wszelką szczerością rzekł do niéj:

— Moja droga, jedź ze mną do Fellina, niech przecie powiat pozna swoją Starościnę. Wiesz że w całéj okolicy, jeżeli wypadnie powiesić jakiego Łotysza, to się bez mojego nazwiska nie obejdzie: a do mojego Starostwa, nie jedna i nie dwie wsi należy; jutro odczytasz nomenklator moich folwarków. Ty mnie tam urządzisz gospodarstwo, a jak go poznasz, to może się pokaże że więcéj nas wzbogaciła łaska Króla, niż to co świętéj pamięci mój ojciec ukradł w Kalniku. Ale ty wiesz że gospodarstwo nie moja rzecz, i dla tego właśnie Bóg miłosierny dał mnie żonę tak rozumną i poczciwą... Owoż tedy zabieram ciebie z synkiem.

— Zgoda, kochanku, ja z moim drogim Ezechielkiem pójdę choć na kraj świata.

A Pan Ezechiel, który się dotąd podobnéj determinacji obawiał więcéj niż ognia, z radością przyjął to oświadczenie, wielce się zastanawiając nad tą nagłą odmianą w obejściu się z nim żony.

Tę tajemnicę trzeba wytłumaczyć.

Pani Zdorzyna była skąpa i gderalska, ale dumna z urodzenia i kolligacjów, dotąd czuła się być upokorzoną, że, mąż jéj nie będąc urzędnikiem, nie stała na równi z krewnemi, i to była przyczyna, że się zakopała w głębokiéj Ukrainie, żeby nie mieć oczy rażone ciągłem widowiskiem wysokich urzędniczek. Można więc wyobrazić sobie, co się z nią stać musiało, kiedy Pan Wojewoda Bracławski sam przybył do jéj wsi, by jéj oznajmić że jéj mąż, wzięty u Króla, otrzymał z rąk jego Starostwo grodowe Fellińskie, jedno z najważniejszych w Inflanciech. Baba ledwo że nie oszalała z radości, dwa dni niepuściła Wojewody z jego

dworem, sprosiła całe sąsiedztwo, na żadne wydatki się nie oglądając, a tylko szyję wyprężała ile razy te wyrazy — nasza Pani Starościna — obijały się o jéj uszy. Kiedy ze wszystkimi gośćmi odprowadzała Wojewodę do jego pojazdu, ten ją żegnając powiedział:

— Jeszcze raz winszuję Pani Starościnéj Dobrodzice zaszczytu którym jéj godny małżonek ozdobionym został, tém więcéj że mam to za szczebel do jeszcze wyższych dostojeństw, i jako sam będąc Starostą koleguję z nim w stanie rycerskim, tak pochlebiam sobie, że nie wiele lat upłynie a będę z nim kolegował w Senacie.

Wszyscy przytomni słyszeli te wyrazy, i po odjeździe Wojewody, nieomieszkali jéj winszować przyszłéj Kasztelanii.

To wszystko w jednéj chwili zdołało w niéj zupełną stworzyć odmianę. Zatęskniła się raptem za Krakowem, i w kilka dni potém, sześć pysznych ogierów chowu domowego, już po wielkim gościńcu ciągnęły kolasę w któréj Pani Starościna siedziała z synkiem i panną respektową, a za nią skarbnica z kucharzem i dwiema dziewkami poddankami z Ukrainy.

Przybywszy do Krakowa, nawiedziła, z niemałą uroczystością, wszystkie panie tam mieszkające, zaczynając od Jaśnie Wielmożnéj swojéj kolligatki Tęczyńskiéj; a potém z kolei domy senatorskie, dygnitarskie, xiążęce, i urzędników Wojewodzkich i Powiatowych; jedynie dla tego, żeby jak najczęściéj obijał się o jéj uszy, drogi okres: Pani Starościna Grodowa, Dobrodzika.

Co więcéj — Pani Kasztelanowa Tęczyńska ją przedstawiła Królowi, który ledwo z rozumu ją niewyprowadził kiedy jéj powiedział, że — zawsze pragnął poznać godną małżonkę rycerza i urzędnika tak znakomitego jakim jest Pan Starosta Felliński, że prosi ją na zawsze na wieczory zamkowe. I sam ją poznał z synowicą swoją, Xiężniczką Gryzeldą Batórówną, która dla niéj odtąd szczególną okazywała uprzejmość.

To wszystko dało jéj niemałe wyobrażenie o mężu, na-

wet poniekąd wyrzucała sobie, że dotąd nie umiała się na nim poznać.

A co do reszty ją przenicowało, Król polując w lasach Starościńskich, przytykających Kosmyrzów, wstąpił do rezydencji na parę minut, jedynie żeby ją powitać w jéj własnym domu. To wyboczenie, jak mi się zdaje, było potrzebne, żeby objaśnić powody téj harmonii niespodziewanéj, a wielce budującéj, naszego stadła.

Kiedy ta para, tak kontenta z siebie, rozmawiała z sobą, JW. Łukasz Górka, Wojewoda Poznański, zbliżył się do JW. Humieckiego, Wojewody Podolskiego, stojącego o kilka kroków przed kanapą na któréj Pan Ezechiel gruchał z małżonką swoją, a patrzącego na żwawsze pląsy, które po poważnym tańcu już się rozpoczynały.

— Kolego, — rzekł do niego, — te zabawy nie bardzo powinny rozweselać nas, krewnych i przyjaciół domu Zborowskich.

— Dla czego?

— A co to, Waszmość za górami mieszkasz, że o tém niewiesz, albo chyba o tém wiedzieć niechcesz, że nasz Pan Samuel zalecał się Xiężniczce wprzódy jeszcze nim my się tyle przyczynili, żeby jéj stryja na naszym tronie posadzić. Pan Marszałek Koronny, jak na cztery tuzy w tryszaku, rachował na połączenie rodu Zborowskich z krwią Batorych, i my wszyscy cieszyli się tą nadzieją. Ale my już Królowi niepotrzebni: w kąt poszły nasze zasługi; niech sobie Samuel przepadnie, bo już jest nowe sitko na kołku.

— Ej, Panie Kolego, Samuś niema czego przepadać. Czy to zaraz się żenić z pierwszą która się podoba. Właśnie na nótę tego mazura co go teraz tańcują jest piosnka.

Nie daleko Sokal Buga —
Nie będzie ta, będzie druga.

— Niespodziewałem się, Panie Kolego, że tak będziesz obojętny na srom który spotyka dom Zborowskich, tak ściśle połączony z naszémi domami. Żeby to upatrzył konkurenta w domu Radziwiłów, albo Lubomirskich, żalu by nie było. Ale żeby wzgardzić Zborowskim, dla jakiegoś

przybysza, który gdzieś-tam sroce padł z pod ogona, nim zaczął bakałarzować Włochom: przyznam się, że to jest dla nas krzywda, i wielka krzywda.

— At, niewiedzieć co się Waszmości roi po głowie. Zborowskich krew, moja krew. Dawałem im niepłonne dowody mojéj życzliwości, a żebym miał własnego chłopca, milszym by mi nie był nad Samusia. A przecie, za każdém widzi-mi-się, ani Samusia ani jego braci, nie myślę gardłować. Że o naszych zasługach Król wie, to pewna: ale wiele i oprócz nas jest jemu zasłużonych, a przecie, jego synowica za wszystkich iść nie może, jedno na jednym musi poprzestać. A to by dopiéro było pięknie, żeby Król niemiał prawa rozrządzić córką lub synowicą wedle upodobania! A co myślisz, Panie Kolego, o Kanclerzu? widać żeś z nami nie był na ostatniéj wojnie. Waszmość znasz mojego Achmata — to czoło mojéj stajni. Otoż czém Achmat w mojéj stajni, tém był Pan Zamojski w naszym obozie. Niechwaląc i siebie, o żadnym z nas nie mówiono na téj wojnie że pole zależał, a jednak my wszyscy przyznawali Panu Zamojskiemu pierwszeństwo; bo on nie tylko że jak my prowadził naszych do tańca, ale nawet uradzał jak i gdzie prowadzić, i co tylko, bywało, obmyśli, pokazuje się że dobrze obmyślił. Kiedy Król, jako Król, dał mu pieczęcie, ani jednego między nami nieznalazło się takiego któryby powiedział że Król źle zrobił. A kiedy, jako stryj i opiekun, oddaje synowicę poczciwemu Szlachcicowi, którego wyniosł i wzbogacił, któż ma prawo cóś przeciwko temu powiedzieć?

— Więc kolega lepiéj życzysz Zamojskiemu niż siestrzanowi, kiedy wolisz widzieć Xiężniczkę Gryzeldę żoną Zamojskiego, niż Samuela.

Jużci, żeby to być mogło, wolałbym ją widzieć za Samusiem, a w takim razie, na paradę, darowałbym mu cug taki, że jakby go zaprzężono do karety, zaręczam że nikt by niepatrzył na tych co w niéj siedzą. Bo, niechwaląc się, mam konie, że kto na jakiego z nich byle okiem rzucił, pewnie go nie odwróci, choćby na Xiężniczkę Gryzeldę... ot, może nic do rzeczy odezwałem się, — ale kiedy to

prawda. Ale ja, z maleńkiego, zawsze wolałem to co być może, niż to co być nie może. Bo, Mości Kolego, sam powiedz, czy Król, przy najlepszych chęciach dla Samusia, mógłby jemu oddać synowicę? Klacze prowadzą do ogiera, ale kawaler musi jechać do panny: a możeli Samuś pokazać siebie w Krakowie, pokąd się nieopamięta Pani Wapowska? Niech sobie buja z swoją Chorągwią w Inflanciech, ale tu niech się niepokazuje; a ktoż mu winien że sam sobie kaszy nawarzył?

— Ochraniaj Króla jak ci się podoba, Mości Kolego, a ja zawsze jedno mówię, że gdyby był wdzięcznym za usługi domu Zborowskich, z wielką łatwością, powagą swoją Królewską mógłby kazać eliminować te wyroki ciążące na Samuelu.

— Ba! czy już to co można zrobić, zaraz i robić. Można iść na wyprawę na koniu co się w kłusie co kroku spotyka, a przecie każdy szuka takiego co jest w kroku pewnym. Toż i Król: on niejedno-krotnie odzywał się do Pani Kasztelanowéj Przemyślskiéj, żeby odpuściła Samusiowi: czy to jego wina że baba uparta jak kozioł. Czyż nie lepsza święta cierpliwość, niż niewcześnie używać władzy przeciwko prawu. O to dopiéro był by wrzask na króla?... Ja niepojmuję co mógł mieć Pan Marcin przeciwko temu, że radził Samusiowi, na zgodę, żenić się z Kasztelanką. Dziewka urodziwa, nie uboga, dobréj krwi szlacheckiéj: a za największy posag otrzymałby możność powrócenia do swoich, i piastowania wysokich dostojeństw, nie tak jak dziś, co ma świat dla siebie zawiązany. Bóg święty wie co to się po tych głowach roi, a staremu z radą ani się odzywaj.

— A ja koledze powiém otwarcie, że to ożenienie Zamojskiego z Xiężniczką, uważam za pocisk przeciwko nam wymierzony. Nam trzeba się mieć na ostrożności — bo wyraźnie zanosi się na to, że nasze zasłużone w ojczyznie domy, chcą obrócić w poniewerkę. Jak szlachta się opatrzy, że pierwszy lepszy, z nazwiskiem nieznaném w Narodzie, może otrzymać najwyższe dostojeństwo, a nawet skoligacić się z Królem, to nas za Boże stworzenie mieć nie będzie. Przypomnij sobie Waszmość, jak na elekcji za domem Ra-

kuzkim obstawałem, a czyż nie wychodzi na moje? czy nie-przeczuwałem niewdzięczności Króla?

— Król dla nikogo nie okazał się niewdzięcznym. Jego synowica ani chlebem ani mięsem Rzeczypospolitéj, żeby do oddania jéj komu, aż potrzebował Panów Rady. A co się tyczy nagród, on rozdawał je tym którzy na nie zasłużyli, niepytając co robili tego lub owego przodkowie, ale co on sam zrobił. Na téj ostatniéj wojnie Król miał wiele do rozdania, a Bóg świadek że nikomu niebyło krzywdy: ani familjom Senatorskim, ani braciom rycerskiego stanu. Pan Zamojski otrzymał pieczęcie i kilka starostw: już-ci będąc szlachcicem musi mieć przodków, a gdyby ich nie miał sam będzie przodkiem: bo któż-by od tak wielkiego męża niechciał pochodzić. A komu była krzywda, że Król od jego zasług oczów nie odwrócił? Czy pan, czy szlachcic, byle się na coś przydał — wziął za swoje. Na co daleko szukać. Jak oddawna czekałem na krzesło: a dopiéro po dobyciu Toropecia doczekałem się Województwa Podolskiego. I to mnie u Króla szkody nieprzyniosło, że mój ojciec i dziad byli swojego czasu Senatorami. I mój Porucznik Chodyński, za mojém wstawieniem się, otrzymał Królewszczyznę. A nasi Panowie Zborowscy, czyż mało nagród dostali! Wszakże Panu Marcinowi do tylu Starostw co je posiadał, Król przydał jeszcze Połockie, i, sicut alter Rex, zarządza całą okolicą. Ani Radziwiłowie, ani Wiśniowieccy, ani Lubomirscy, ani Jabłonowscy, ani ich krewni, skarżyć się nie mogą, żeby o nich zapomniano. A my mielibyśmy zazdrościć szlachcicowi że zasługami swojemi pomieścił się między pany. A pfe! ja tego i słuchać niechcę. Inni mnie nazywają panem, ale ja sam siebie nazywam szlachcicem, i, zawsze wierny poddany i sługa Jego Królewskiéj Mości, trzymam z Panem Zamojskim i ze szlachtą.

W téj chwili Król przybliżył się do nich, i rzekł do Hrabi z Górki:

— Mości Panie Wojewodo Poznański, patrząc na ten mazur musisz się poniewolnie zasmucać.

— Dla czego, Najjaśniejszy Panie?

— Że niewidzisz w nim jednego z najpierwszych tanecz-

ników naszych — swojego syna, Pana Maxymiliana, który, z Waszmościną Chorągwią, stoi teraz na pograniczu Szwecji.

— I owszem, Najjaśniejszy Panie, cieszę się, że jeżeli Bóg nieużyczył mi tyle zdrowia żebym służył Waszéj Królewskiéj Mości na czele mojéj Chorągwi, przynajmniéj dał mi syna, który mnie zastępuje. Chłopiec do mazura zdatny, ale starałem się go usposobić i do pożyteczniejszych rzeczy.

— I nie masz Waszmość powodu skarżyć się że zawiódł jego starania, Pan Maxymilian pod okiem naszém odbywał pierwsze pole, i na wstępie pokazał siebie nieodrodnym potomkiem wielkich swoich przodków. Jest to rycerz waleczny, z którego coraz więcéj pociechy przybywać będzie dla kraju. Niech powie Pan Wojewoda Podolski, jak on był zawsze dla nas potrzebnym.

Wojewoda Poznański niziuteńko ukłonił się Królowi.

Potém Król, oparłszy się na ramieniu Wojewody Podolskiego, rzekł dość głośno:

— Gdzież tu jest Starosia Felliński?

— Tu! — krzyknął Pan Ezechiel; — zawsze gotow na usługi Waszéj Królewskiéj Mości.

— A, Waszmość przy żonie, — dobry przykład wszystkim dajesz.

— Oto ona, wierna poddanka Waszéj Królewskiéj Mości.

— I dobra moja znajoma. Wszak ją w jéj domu nawiedziłem.

Pani Starościna niziuteńko udygnęła.

Król ją wziął za rękę, i powiedział jéj cichym głosem:

— Waszmość Pani staraj się nacieszyć teraz z swoim mężem, bo, wedle wszelkiego podobieństwa, niedługo będzie gościł w tych stronach.

— A ja bez mojego męża tu siedzieć nie będę, Najjaśniejszy Panie. Dość już tych rozdziałów między nami. Gdzie mój Ezechiel, tam i ja za nim.

— A jeżeli by mu wypadło wyruszyć do swojego Starostwa?

— To mnie z sobą zabierze.. Nie prawda, Ezechielku, że ty mnie nie zostawisz?

— Nie, moja kochanko, wszakże ja po ciebie tu przyjechał.

Król oparł się na ramieniu Pana Ezechiela, i, schyliwszy głowę nad jego uchem, rzekł pół głosem:

— Wszak, drugi raz w czasie tańców, wypada nam Waszeci kłopotać. Zostawujemy Waszmości dzień jutrzejszy, żebyś miał czas się wybrać, a pojutrze musisz jechać do Fellinu, i aż do nowego rozkazu naszego pilnować zamku waszéj wierności poruczonego. Nie można przewidzieć co tam stać się może...

— Niech Najmiłościwszy Król będzie spokojny — moja żona — hic mulier: — wszystko przygotuje w dniu jutrzejszym do naszego wyjazdu, a wiém, że jutrzejszy dzień jak kamień ciężyć będzie na mojem sercu.

— A to czemu?

— Temu, że mnie przegradza od chwili, w któréj mam spełnić rozkazy Waszéj Królewskiéj Mości. Może da Bóg, że się wojna odnowi, a jest, z łaski Boga, a przy szczęściu Waszéj Królewskiéj Mości, i czém i o czém wojować.

— Nie, nie — postronnéj wojny ani pragniemy, ani się spodziewamy: inne są powody naszéj ostróżności... Za trzy tygodnie, wesele Pana Kanclerza z Xiężniczką Gryzeldą — a jakkolwiek i my i on, pragnęlibyśmy widzieć na nim Waszmości, wszakże musimy Waszmość wyprawić. Racz to przyjąć za dowód szczególnéj naszéj ufności, i każde słowo nasze w najściślejszéj zachować tajemnicy.

Pan Ezechiel skłonił się i pocałował rękę Królewską.

— Słuchaj Waszmość, Podróż swoją obrócisz na Połock, tam zastaniesz Pana Marszałka Wielkiego Koronnego, dla którego domu masz obowiązki .. Myślę, że tam obaczysz i Pana Samuela... Waszmość jesteś doświadczonym żołnierzem, — nikomu nic o tém nie mówiąc, zauważysz, czy Połock jest w zupełnéj gotowości bronienia się, na wypadek napadu, czy jego załoga jest liczna i opatrzona, jakiego narodu ludźmi Pan Marszałek ją wzmocnił, czy starsi mają siebie za sług Stanu, czy domu Zborowskich. Waszmość każdą rzecz uważaj jednak nad dni trzy nie bawiąc w Połocku, i o wszystkiém, sub sigillo confessionis, donieś Panu Hetmanowi, który te-

raz znajduje się w Dorpacie. My znamy szacunek dla Pana Marszałka, i daliśmy tego dowód, kiedyśmy jemu powierzyli urządzenie Ziem, odzyskanych krwią naszą. Bo mamy przekonanie, że dom Zborowskich jest nam i Ojczyznie wierny i życzliwy. Ale gdyby, broń Boże, czego przypuścić niemożemy, ten dom swoje przyrodzenie odmienił, żeby chciał cóś przeciwko naszéj władzy knować, przyznaj, Mości Starosto, że Waszmości położenie było-by trudne: jakże tu wybór uczynić między nami, a tymi dla których macie spadkowe przywiązanie.

— Bynajmniéj nie trudne, Miłościwy Krolu. Wszakże jestem przysięgły Waszej Królewskiéj Mości, a nie żadnemu magnackiemu domowi. Szanuję Pana Marszałka, miłuję z całego serca Pana Samuela, bo warci tego, ale swojej duszy im nie zaprzedałem. A jeżeli się nie zapieram jakichś obowiązków dla tego domu, — chociaż by wiele o tém jeszcze pomówić można, — moje obowiązki dla Waszéj Królewskiéj Mości są nierównie istotniejsze. Tu mój pan, mój ojciec, a tam brat szlachcic, choć magnat. A potém, co mam na rozum brać te rzeczy. Co tylko Wasza Królewska Mość mi rozkażesz, to spełnię z ochotą i bez wyrzutu.

— Tego się po Waszmości spodziewałem.

Poczém Król rzekł głośniéj, śmiejąc się:

— Mości Starosto, czy Waszeci nie markotno, patrzać na te wesołe mazury i krakowiaki, a do nich nie brać udziału. Wszakże to jeszcze niedawno byłeś zawołanym mistrzem w kunszcie pląsów.

— Miłościwy Panie, kamień z wałów Toropecia rzucony, oduczył mnie skoków. Zwalił on mnie z nóg pod okiem Waszéj Królewskiéj Mości. Prawa noga zawsze gotowa do tańca, ale lewa już niedopisuje siostrzycy, — zaledwo mógłbym pójść Polskiego.

— Otoż właśnie zbierają się pary do Polskiego, stawaj i Waszmość, — w dniu zaręczyn naszéj synowicy, wszyscy wierni nasi słudzy powinni okazać wesołość.

Ledwo Król wyrzekł te słowa, Pan Ezechiel nieco podrygując, przyskoczył do Panny Kasztelanki Wapowskiéj, niedaleko siedzącéj, skłonił się przed nią i zaprosił do tań-

cu; w którego kole stanął i Pan Kanclerz Koronny z Panią Zdorzyną. Jéj radość i duma tak się odbijały na jéj obliczach, że lubo były uposledzone od przyrodzenia, zaledwo że nie wydawały się nadobne.

Zabawy trwały do późna.

Zauważano, że Król był nadzwyczajnie wesoły, że z wielu gośćmi poufale rozmawiał. Zauważano i to, że Xiężniczka, która w czasie uczty była ciągle zamyśloną, na zabawie wieczornéj stopniami się wypogadzała. A ci krewni i przyjaciele Pana Samuela, którzy głosili że Xiężniczka Gryzelda jest ofiarą widoków stryja, rozporządzającego sercem które dla innego pała, nie bez zadziwienia spostrzegli, że Pan Kanclerz Koronny pokilkakrotnie rozmawiał z swoją narzeczoną.

Nie można było dosłyszyć o czém z sobą mówili, ale to pewna, że rozmawiali poważnie i poufale.

XVI.

Już blisko półrocza upłynęło od tego czasu.

Blisko Krakowa leży Łobzów; — za Piastów, wieś należąca do stołu Królewskiego, a od czasu Zygmunta I, attynencja Starostwa Krakowskiego.

Była to kiedyś wioska ulubiona Kazimierza Wielkiego, do któréj często lubił się wykradać, oddając siebie na osobności przelotnym miłostkom, każącym jego wysokie cnoty, pokąd nadobna córa Izraela nie wzbudziła w jego sercu stateczniejszych zapałów. Stary zamek Łobzowski, sięgający najoddaleńszych czasow Polski, zrestaurował, powiększył, ozdobił, i w nim osadził swoją Esterkę. Wszakże pod okiem Panów Rady duchownych i świeckich, nieoddawał się swobodnie zboczeniom, które tak srogo Bolesław-Śmiały przypłacił: bo, lubo nadto był miłowany w narodzie żeby podobnego losu miał się obawiać, wszakże niechciał utracić jego szacunku, oddaniem się jawnéj rozpuście z niewierną nałożnicą. Ale często w nocnéj porze, siadał na konia, i z jednym zaufanym giermkiem, okryty zbroją jak prosty rycerz, opuszczał zamek, i niepoznany udawał się do Łobzowa, zkąd, równie misternie, przed switem, do komnat swoich powracał.

Podania i pieśni Krakowskiego ludu zachowały dotąd różne ustępy epopei tego wielkiego Króla, podbójcy Czerwonéj-Rusi, i stwórcy już dokładnego prawodawstwa Polskiego. Jak raz, przed samym zamkiem Łobzowskim, pasował się z olbrzymem, który mu drogę zastąpił, a który,

nie mogąc przemódz mężnego Króla, uchodząc zapowiedział mu, że ród Piastów, panujący w Polsce, na nim się skończy, i że za jego rozpustę, Bóg w inne domy przeniesie jego dzierżawy. Co jednak jego nieodstraszyło od związków od Boga przeklętych. Są jeszcze inne podania, o których niewspomnę — raz że muszą być wiadome wyszukiwaczóm starożytności Polskiéj, powtóre że one żadnéj styczności nie mają z wypadkami które opisuję.

Swietność Łobzowa wraz z Kazimierzem Wielkim, wstąpiła do grobu. Król Ludwik zniechęcił sobie to miejsce od pierwszego nań wejrzenia. Pobożna Jadwiga jeszcze większy powzięła wstręt od zamku, przypominającego przewinienia dziadowskie. I odtąd, zamek spustoszały, zaczął się schylać ku upadkowi, tak dalece, że kiedy Zygmunt I wcielił Łobzów do Starostwa, już on był w ruinie zupełnéj, że Starostowie nie czuli się ani w możności, ani w chęci by go na nowo zrobić mieszkalnym.

Piotr Kmita, po którego śmierci Pan Jan Zamojski otrzymał Starostwo Krakowskie, objąwszy i Łobzów w swój zarząd, ani pomyślił o restauracji zamku, który się już na wszystkie strony rozpadał: ale wystawił nowy zameczek. a raczéj dom wiejski, jak na owe czasy obszerny, bo dziesięć izb a między niemi przestronną salę zawierał.

Dom opierał się o ogród gustu Włoskiego, z ulicami strzyżonemi, z fontanną, która za poruszeniem sprężyny całą godzinę igrała między kamiennemi Nimfami. Ogród przytykał las gęsty, od stworzenia swojego nieznający siekiery, — ojczyzna sarn i jeleni. Na pograniczu lasu z ogrodem, wznosił się wysoki belweder architektury Florenckiéj, z którego widok rozciągał się na całą okolicę, a któremu, ruiny zamku Łobzowskiego służyły za największą ozdobę. Ku tym ruinom, kiedy niekiedy zbliżali się pastuchy których trzody pasły się po dolinach, ale jak tylko słońce schodzić zaczynało z widnokresu, pastuchy uciekali od zaklętego zamku. Wsród dnia nawet, nikt by się nieodważył do tych ruder dostąpić, bo krążyły wieści, powtarzane u prostego ludu, że Esterka za pomocą Szatana, tak namiętnie przywiązała była do siebie Kazimierza że,

jako za jéj życia Djabli odbywali sejmiki w Łobzowskim zamku, tak i ją z sobą zabrawszy do piekła, nie mniéj jednak co soboty zbierali się między jego szczątkami; i że biada temu, który ich podejdzie.

Na dziedzińcu nowéj rezydencji, widzieć się dawał, na przeciwko domu, obszerniejszy dom drugi — koszara dla milicyi narodowéj i kruków Starościńskich. A z boku stała oficyna kuchenna, a w niéj kilka izb dla dworzan.

Piotr Kmita, obywatel burzliwy, ale żołnierz dzielny, i urzędnik prawy, ćwicząc się jeszcze w naukach, był z liczby tych uczniów, którzy podnieśli rokosz przeciwko Xięcia Biskupa Krakowskiego, Kanclerza Akademii, a którzy nagromadziwszy w mieście nie mało nieporządku, wyszli nakoniec za granicę, żeby tam kończyć nauki, a utracać wiarę. Za powrótem do kraju, wraz z Górką i Zborowskim stanął na czele dyssydentów, zakłócając spokojność kraju, ażeby po każdém zaburzeniu, przy zgodzie z Królem, jakąś nową łaskę otrzymać. Wszakże zostawszy Starostą Krakowskim, znacznie odmienił swoje postępki, i odtąd tyle starał się pożytku przynieść Ojczyznie, ile wprzódy wyrządzał jéj szkody. Czasem stary burzyciel w nim się odzywał, i nieco zaczynał dokuczać Zygmuntowi-Augustowi w pierwszym roku jego panowania, ale prędko dał się uspokoić, i odtąd z największą gorliwością, i z rzadką roztropnością zajął się urzędowaniem swojém, pod pewnym względem najważniejszém w kraju: gdyż bezpieczeństwo osoby Królewskiéj, niemniéj od bezpieczeństwa mieszkańców Krakowa, polegało na czujności Starosty.

Kmita, który był jednym z hersztów wichrzycielstwa uczniów Akademii, wiedział z doświadczenia, ilu klęsk publicznych staje się przyczyną, brak tęgości tych co dzierżą władzę, i zostawszy Starostą niczego niezaniedbał, żeby swojéj władzy dać środki zapewniające niezbędną dla jej godnego sprawowania sprężystość. Urządził milicję Starościńską, konną i pieszą, na stopie zupełnie wojennéj, zapewnił rychłe wykonanie swoim wyrokom. Za główne wykroczenia przeciwko pospolitemu prawu, bez litości ścinał szlachtę i wieszał plebejuszów. I taki wzniecił postrach, że

jemu przypisać można ten wstręt Pana Ezechiela od spotykania się z juryzdykcją sądową, którą tak naiwnie wynurzał niepoznanemu od siebie Panu Mroczkowi. Ale to pewna, że kradzieże, a nawet rozboje, wprzódy tak zagęszczone w Krakowie i jego okolicach, zupełnie ustały. Szlachta bawiła się wesoło, ale na wypadek zwady, trzeba jéj było udawać się aż po za obręby juryzdykcji Starościńskiéj, żeby dobywać szable z pochwy. I kiedy w czasie krótkiego panowania Henryka, tumulty i napady zaczęły zagęszczać się w Krakowie, głos powszechny powtarzał: — Widać że Pan Kmita dogorywa w cieplicach zagranicznych: żeby on się tu znajdował, pewnie by tego złego niebyło.

Jednak ręka sadzcy Starościńskiego zamku w Łobzowie, jakkolwiek silna, w potędze swojéj daleka była od ręki Królów. W Łobzowie śladu nie pozostało tego siedliska ulubionego kilku znakomitych mężów, wieśniacy zapomnieli na którém miejscu on się wznosił. Nawet ten las, gdzie nie jeden jeleń padł pod ręką Jagiellończyków, zamienił się w chlebopłodne niwy. Niszcząca prawica czasu, w Łobzowie tylko zamek Królewski cokolwiek zdawała się szanować, bo jego wspaniałe ruiny, dotąd się dają widzieć, i przywabiają wędrowców.

Chociaż po śmierci Pana Piotra Kmity, Starostwo Krakowskie blisko dwóch lat wakowało, jednak jego urządzenia niezupełnie dały się rozprządz: zdawały się oczekiwać równie dzielnéj dłoni, żeby znowu dawną korzyść przynosić dla kraju. I kiedy Pan Zamojski objął to Starostwo, wkrótce poznali że spokojność i szczęście cnotliwych, nie tyle zależy od ustaw krajowych, ile od ludzi którym są powierzone wydziały władzy wykonawczéj. W przeciągu kilku tygodni, Pan Zamojski osądził wszystkie sprawy zalegle ledwo nie zupełną bezczynnością dwóch lat. Przez te kilka tygodni, ścinano i wieszano winowajców, bez względu na żadne instancje. Pobyt w Krakowie stał się strasznym dla złych ludzi, ale naród błogosławił Starostę i Króla. I w saméj rzeczy, wkrótce te exekucje ustały, bo już nie było winowajców.

Pan Zamojski, od roku krwią połączony z Królem, który ledwo go poznał, a już przeniknął jego nadzwyczajne zdolności i jeszcze najdzwyczajniejsze cnoty, był, w całéj rozciągłości tego wyrazu, jego prawą ręką. Starosta Krakowski, Kanclerz Koronny, a wkrótce potém Hetman — wszelka działalność Polski ścisnęła się w jego osobie. Stosunki z Dworami zagranicznemi, urządzenie wojska, straż pograniczna, bezpieczeństwo stolicy, wymiar sprawiedliwości i łask: wszystko się o niego opierało. I, co zaprzeczeniu nie ulega, nigdy Polska nie była tak potężna, jak w okresie kiedy Stefan Batory panował, a Zamojski posiadał jego nieograniczoną ufność.

Był to czas wiosenny, i, od dni kilkunastu, Gryzelda Zamojska zamieszkała była Łobzów, dla oddychania wiejskiém powietrzem i wonią kwiatów, ze wszystkich stron Europy sprowadzonych do jéj ogrodu, przez dostojnego jéj małżonka.

Pan Zamojski o piątéj godzinie zrana opuszczał małżeńskie łoże, udawał się do kaplicy, ofiarując Bogu pierwiastki dnia w którym pozwolił mu się przebudzić; i, u nóg krzyża, czerpał ze źródła prawdziwéj mądrości: bo wiedział, że człowiek modląc się, uczy siebie najskuteczniéj. Wyszedłszy z kaplicy, zasiadał do pracy w swoim gabinecie, aż do godziny ósméj. O ośméj jechał do Krakowa, z gotowemi papierami, pracował z Królem do dziesiątéj; od Króla szedł na sądy, gdzie do południa słuchał induktów i replik, i własną ręką sentencje zapisywał. Od dwunastéj do pierwszéj, zasiadał w radzie Królewskiéj, gdzie był wyrocznią ztamtąd wracał do Łobzowa, gdzie, o drugiéj, obiadował z żoną i swoimi dworzanami. Godzinę, po obiedzie, obracał na przechadzkę z żoną pod cieniem kasztanów Łobzowskiego ogrodu, a przed czwartą, znowu się brał do pracy, zajmując się publicznemi interesami, albo nawet urządzeniem własnego majątku; a kiedy czas mu dozwalał czytał xięgi starożytności, lub uczone pisma współczesne;

a że te chwile uważał być rozrywce przeznaczone, każdy chcący z nim się widzieć, miał wtedy do niego przystęp. A o saméj siódméj, on, jego dworzanie — wszystko obywatele lub obywatelscy synowie, — i goście którzy go nawiedzali, zbierali się w komnacie Pani Kanclerzynéj, i bawili do dziesiątéj. W ciagu téj zabawy była wieczerza, do któréj gospodarz niebrał udziału. Wstrzemięźliwy w pokarmie, raz na dzień tylko jadał. Przy kończącéj się wieczerzy, znikał do kaplicy, żeby Bogu poświęcić ostatki dnia, jak mu poświęcał jego pierwiastki, a o dziesiątéj udawał się do spoczynku.

Takim był zwykły tryb jego życia; przerwany chyba jakąś nadzwyczajną okolicznością.

Niezaniedbując żadnych obowiązków swoich urzędowań, Zamojski często robił popisy swojéj milicji, albo, wraz z Królem, przegląd bądź Chorągwi Kawalerji Narodowéj, bądź żołnierza autoramentu zagraniéznego, stojących w Krakowie i jego okolicach. Czasem Króla przyjmował w Łobzowie, czasem przywołany jakimś nagłym wypadkiem do Króla, od niego aż późną nocą powracał. Bo, jakkolwiek mąż opiekujący się losem publicznym, usiłuje wprowadzić do prac swoich jakiś stateczny porządek, i ku temu niezmordowanie dąży, w narodzie pełnym żywota, jakim wówczas był Polski, jakieś zjawiska tego żywota, czy przyjaźne, czy grożące, często powtarzane, nie mogły kiedy nie kiedy tego porządku nieprzerywać.

Był wtedy majowy poranek. Wietrzyk letnim powiewem odświeżał przyrodzenie, jak wachlarz lica nadobnéj dziewicy zrumienione pląsami, i znalazłszy przez okna otwarte wstęp do gabinetu Kanclerza, igrał swobodnie między szeleszcącemi na stole papierami. Słońce powoli wydobywało się z podwojów wschodu, i coraz żywsze barwy rzucało na ziemię. A poryk trzód, szczebiotanie ptasząt, bzikanie pszczółek, i pienie donośne słowików, tworzyły zgododźwięk który zdawał się być głosem radości natury, uwielbiającéj własne swoje płody. Wszystko oddychało wesołością. Pan Kanclerz jeden zdawał się być zamyślonym, siedział przy stole i rozbierał w milczeniu widać jakieś ważne pisma,

a Pan Stanisław Żołkiewski, jego powiernik, naprzeciwko Kanclerza przy tym samym stole siedząc, na jego oblicze utkwił wzrok w którym się wyrażała niespokojność przyjaźni.

Pan Stanisław był starszym synem Stanisława, Wojewody Bełzkiego, męża znakomitego w radzie i na wojnie, ale który, wypłaciwszy dług winny ojczyznie, od lat kilkunastu żył w ojczystym zamku Żołkiewskim, rzadko kiedy, i to na krótki czas, pokazując się w Krakowie. Dziedzic obszernych włości, ogromne z nich przychody obracał na dźwiganie ubogiéj szlachty, i byle jaki młodzieniec okazywał jakąś zdolność, którą ubóstwo niedozwalało rozwinąć, a o tém Wojewoda się dowiedział, zaraz zostawał mu ojcem i opiekunem, hojném wsparciem zasilał, i już nie przestawał trudnić się jego losem. A nawet był dobroczyńcą samego Pana Zamojskiego, który, lubo świetny rodem, był synem rodzica mniéj niż miernego mienia; nieprzestawał go wspierać, i szczególnie się przyczynił do postawienia go na czele Chorągwi, niby przez Województwo Bełzkie, ale rzeczywiście przez Wojewodę wystawionéj, — który nadto był skromnym żeby z ofiar dla Ojczyzny szukać dla siebie samego chluby. Było to pierwszym dla Pana Zamojskiego szczeblem, z którego postąpił do najpierwszych dostojeństw. A sława którą sobie zjednał na wyprawie Inflanckiéj, najpożądańszą nagrodą stała się dla jego dobroczyńcy. Wszakże nie poprzestał na tém, pomagał jemu, aż dopóki już własnemi skrzydłami mógł latać. Nie dość że wspierał młodzieńca, ale nawet, po wojnie Inflanckiéj, chciał go jeszcze więcéj zbliżyć do siebie, ofiarując mu córkę; i gdyby śmierć zawcześna nie była przerwała nici jéj żywota w dziewictwie, młody szlachcic byłby został zięciem jednego z najmożniejszych panów.

Przyjaźń tych zacnych mężów nigdy nieosłabła. Nawet kiedy dary Królewskie i roztropna oszczędność Pana Zamojskiego, dozwoliły mu małą ojczystą wioskę zamienić w kwitnące miasto stołeczne obszernego Hrabstwa, Wojewoda Bełzki, mieszkający w sąsiedztwie Zamościa, podjął się opieki nad dobrami męża nadto zajętego służbą Ojczyznie, by mógł skutecznie się trudnić zarządem własności swojéj.

Pan Zamojski, zostawszy Kanclerzem na młodym ale już zasłużonym ojczyznie Żołkiewskim, usiłował się wywdzięczyć jego sędziwemu ojcu, przywiązał go do osoby swojéj, i wkrótce tak go umiłował, że już nic niemiał dla niego skrytego, i często na niego zdawał najważniejsze trudy urzędowania, doświadczywszy jego odwagi, poczciwości i zręczności. Powodowany skłonnością serca, — lepszego wyboru najostróżniejsza roztropność uczynić by nie mogła. Pan Żołkiewski był małomówny, najczęściéj zamyślony, unikał wrzawy Dworu: praca była dla niego najmilszą rozrywką. Rycerz niepożyty w boju, — stało się powszechną przypowieścią w rycerstwie, że kiedy wynoszono czyją zręczność i siłę, mówiono: — tak się bił jak gdyby Żołkiewski pożyczył mu ramienia. — A tak był mądrym w radzie, że Król Stefan często powtarzał: — jak Zamojski coś uradzi z swoim Wojewodzicem, to i złe na dobre wyjść musi. — Niedawał mu też zależeć pola, nadał mu Starostwa Barskie i Jaworowskie, i Pisarstwo Polne Koronne: co mu nie przeszkadzało oddawać się ciągłéj pracy w gabinecie Kanclerza, gdzie często nocy bezsenne przepędzał.

— Panie Stanisławie, — rzekł Kanclerz, — trzeba się nam będzie wstydzić przed Królem Jegomością. Waszmość pamiętasz, że przed kilku miesiącami mieliśmy doniesienie że Pan Marcin Zborowski coś niedobrego przemyśla dla kraju. I Król i my, puściliśmy mimo siebie wieści szkodzić mogące sławie wysokiego dostojeństwem i krwią męża, na niczém pewném nie oparte.

— A jakże nie mam pamiętać, Mości Kanclerzu. Jeszcze to wtedy Król wielce przed nami pochwalił postępek Pana Zdory, Starosty Fellińskiego, że kiedy Pan Marszałek Koronny, pod pozorem iż od Króla miał sobie zdany obowiązek urządzenia nowych dzierżaw Polski, chciał objąć w swoje władanie zamek Felliński, on się jemu oparł, i w liście do niego pisanym oświadczył, że nietylko niepozwoli mu burmistrzować w Fellinie, ale go nawet niepuści do miasta; a że choć zna szacunek i przyjaźń dla jego brata, Pana Samuela, i tego dawał mu niepłonne dowody, wszakże gdyby i on sam domagał się ażeby zapomniał dla niego o swoich

obowiązkach Starościńskich, toby mu przypomniał że jeszcze jest banitą: a że Starosta, w przestrzeni swojéj juryzdykcji, powinien każdego banitę imać; że oprócz Króla i Hetmana, od nikogo rozkazów nieprzyjmuje.

— Otoż uważaj, Panie Stanisławie, jakie to nieomylne oko naszego Króla. Kiedy Król przedemną odkrył myśl, że najważniejszy zamek Inflancki chce powierzyć Zdorze, ja śmiałem się temu sprzeciwić; przekładałem Królowi że choć ten Pan Zdora jest rycerzem rzadkiéj dzielności, ale że żadnéj rękojmi statku nieprzynosi, a Król odpowiedział: ja znam ludzi, — Zdora jest rabusiem, hultajowatym, ale nigdy nie zdradzi, choć-by mu góry złota sypano. I pokazało się że miał słuszność. Bo daj Boże żeby wszyscy Starostowie nasi przestrzegali swoich obowiązków z równą jemu gorliwością. Otoż przypominasz sobie zapewne, że po tych mało zasadnych doniesieniach, Car Iwan ostrzegł Króla że Pan Marszałek Koronny wzywał go do napadnienia na Polskę zbrojnie, i ofiarował mu oddać Połock, ale że Car wierny słowu, przysięgą stwierdzonemu, żadnego powodu nie da do zerwania przymierza, zwłaszcza z Królem tak wielce od siebie szacowanym. Wtedy Król tylko nas dwóch wezwał do rady, i chciał natychmiast zapozwać Pana Marcina do sądu swojego. My oba niepodzielali tego zdania, przekładaliśmy, że ponieważ zbrodniczy zamiar ani przyszedł, ani przyjść może do skutku, a więc najlepiéj w niczém nieokazywać że się o nim wiedziało, i owszem dawną ufnością nieprzestawać jego zaszczycać, a tylko mieć się na ostrożności. Bo jeżeli spostrzeże że już przeniknionym został, nie śmiejąc oczów podnosić przed panem swoim rozpacz i wstyd na zawsze go oddalą z drogi prawości: a sława zachowana, po nieuczciwym zamyśle, może wrócić smak do cnoty w skażonéj duszy. Król wtedy nam odpowiedział.

Zgadzamy się z waszém zdaniem, ale pamiętajcie, że Zborowscy nie są ludzie którzyby się poprawić dali. Co tylko jest władzy i dostatków w kraju, radzi by pod siebie podgarnąć. I każdy dar, każdą nagrodę, którą z naszéj

łaski otrzymuje nie ich krewny, lub adherent, uważają za krzywdę im wyrządzoną. O jak gruntownie Król ich przeniknął! Pan Marcin, widząc że mu się nie wiedzie z Moskwą, powrócił do Krakowa, a łaskawe przyjęcie Króla, nic nie przemówiło do jego serca. Ledwo się pojawił, a już w zmowie z Posłem Cesarza Rzymskiego, już przygotowania robi do rokoszu. Król o wszystkich jego praktykach świadomy, i dnia wczorajszego powiedział mnie: — A co, Mości Panie Kanclerzu, przy kim prawda? a czyśmy nie mówili że Zborowskim nie można wierzyć? Panie Stanisławie, wierz mnie, że co jest w tém dla mnie najboleśniejszego, oto że ja jestem niewinnym powodem tych zbrodniczych zamiarów potężnéj i zasłużonéj krajowi rodziny: bo, oprócz Kasztelana Gnieźnieńskiego, wszyscy Zborowscy są w spisku, ale niewidoma nasza baczność śledzi każdy ich krok. Cóż oni, albowiem, mogą wyrzucić Królowi mądremu, cnotliwemu, niezwyciężonemu, a tak miłującemu naród któremu panuje. Wszakże oni sami są okryci jego łaskami, wszystkich ich Król obdarzył urzędami i Starostwami: czy choć o jednym z nich zapomniał w tém rozdawnictwie łask po zawartym pokoju? Dla czegoż więc usiłują, chociażby z rozpadnięciem Polski, przenieść jego berło w inne ręce? dla czego niecofają się przed sromotą którą, i współcześni i potomność, okrywają nazwiska zdrajców Ojczyzny? Oto dla tego, że Król prostego szlachcica, nie potomka Hetmanów i Senatorow, ale domu choć starożytnego lecz ubogiego, zaszczycił swoją ufnością, powierzył mu pieczęcie Polski, wzbogacił chlebem którego szafunek prawo krajowe jemu oddało; nokoniec, tyle łask uwieńczył, oddając mu własną synowicę. Żeby Król nie był mnie wyniosł potężną swoją prawicą, Panowie Zborowscy dotąd by byli poczciwi.

— Nie, Mości Kanclerzu, już za Króla Zygmunta I, ten dom przestał być poczciwym, tylko że jego niepoczciwość jeszcze nie miała czasu przebrać miary nieprawości. Nie przeczę że Ojczyzna korzyści nie małe odniosła z ich zasług, ale te ich zasługi były zawsze bez poświęcenia, dla siebie więcéj niż dla niéj szafowali męztwem i zdrowiem;

za każdą usługę targowali się o nagrodę. Ich duma, ich niczém nienasycone łakomstwo, na wszystkie wysokie urzędy, na wszystkie bogate Starostwa, nawykły poglądać jako na własność ich domu. Każda nagroda, każdy zaszczyt otrzymany przez takiego który nie jest z nimi połączony krwią lub klientelą, ich zawiść wznieca. Nieprzyjaciele naszéj równości szlacheckiéj: od dawna marzy się temu domowi, urządzenie jakiegoś odrębnego stanu magnackiego na wzór sąsiednich Węgier, który to stan w dziedzictwie ma otrzymać wszystkie dostojeństwa nasze. Jeżeli w czasie bezkrólewia sprzyjali Królowi naszemu, to jedynie że myślili, iż, będąc Węgrzynem, dopomoże im wprowadzić, do naszéj Ojczyzny porządek który istnieje w jego narodzie. Oni to te zasady oligarchiczne odziedziczyli po swoim ojcu, który dla nich poświęcił wszystko, nawet wiarę, a który na Sejmie Lwowskim byłby zamysły swoje do skutku doprowadził, żeby nie znalazł tak dzielnego oporu w poczciwéj a ubogiéj szlachcie, i w tych cnotliwych Senatorach, co, idąc za głosem sumienia, pamiętni przysięgi swojéj, nad korzyści prywatne przełożyli prawa zasadnicze Polski, od Boga ich straży powierzone. Równie zawistném okiem patrzą na władzę Królewską, jako na równość szlachecką, i niezmordowanie podkopują te dwie posady naszego bytu. Co do mnie, jako obywatel, cieszę się że działają przeciwko nam, i niczego tyle niepragnę, jak żeby jak najoczewistsze dowody na nich nagromadzić, aby stanowczym przykładem, na zawsze odstraszyć wszystkich wichrzycielów, gotowych poświęcać prywatnym widokom całość i bezpieczeństwo kraju.

— Króla i moja myśl jest taka jak i Waszmości: możesz być pewnym, że dopełniając naszéj powinności, przed żadném niebezpieczeństwem nie będziemy się cofali. Patrz jednak, Panie Stanisławie, jak silnie uczucie powinności przemawia jeszcze do serca obywatelów. Pan Mroczek, Pisarz Kozaków za-Dnieprowych, spadkowy klient domu Zborowskich, przyjaciel od kolebki prawie Pana Samuela: który, od kilku tygodni przybywszy do Krakowa, prawie codziennie pracuje z Królem około urządzenia Kozaków, i

już od wyprawy Wielko-Łuckiéj zaszczycony szacunkiem-i względami Królewskiemi; pokazał się nie odrodnym krwi Polskiéj szlachcicem. Pan Marcin Zborowski myślał że w dawnym słudze domu swojego, znajdzie ślepe narzędzie do swych matkobójczych zamysłów. Powierzył mu wszystkie szczegóły spisku z Posłem Rakuzkim zawiązanego, żeby Króla detronizować, a Arcyxięcia Maxymiljana, wynieść na tron Polski. Że dwadzieścia tysięcy Niemców, na zawołanie jego, już jest zebrane przy granicy od strony Węgierskiéj. A jego samego namawiał żeby rokosz podniosł na Zaporożu, i zajął Ruś. Pan Mroczek odwodził go od tego zamiaru, przekładał mu że z władztwa Niemieckiego nigdy pociechy nie było dla krwi Słowiańskiéj, że Królowi teraz panującemu nic zarzucić nie podobna, że Kozactwo nadto jest do niego przywiązane, żeby jemu złamało wiarę; a nakoniec wystawił mu niezliczone klęski kraju, których się stanie sprawcą, jeżeli mu się uda wzniecić wojnę domową. A nie mogąc przełamać jego zaciętości, dnia wczorajszego, wezwany będąc do Króla żeby z nim pracować, wszystko, jako prawy syn Ojczyzny i wierny Króla poddany, przed nim wyznał. Król ze zwyczajną mu roztropnością postąpił. Wielce pochwalił jego czyn obywatelski, podziękował mu w imieniu swojém i Ojczyzny. A nakoniec powiedział mu: Mości Panie Pisarzu, czujemy jakby drażliwe było Waszmości położenie, między wiernością dla nas i kraju, a przyjaźnią i obowiązkami jakie czuć możesz dla domu pod którego opieką wzrosłeś i przyjąłeś wychowanie, gdybyś dłużéj zostawał w Krakowie. Zeznania Waszmości już włożyły w nasze ręce wszystkie nici tego ohydnego spisku: Ojczyzna jest ocalona, bo nasza czujność wszystkiemu złemu zapobieży. W dniu jutrzejszym, to co się tyczy Kozaków, ukończymy z sobą stosownie do ich żądań, oraz i bezpieczeństwa Polski, a pojutrze wrócisz na Zaporoże, i Hetmanowi oddasz pismo nasze. Utrzymuj w wierności Kozaków, oświadcz im naszą ku nim przychylność, i powiedz że wkrótce nawiedzimy ich żyżne stepy. A tak odprawiwszy Pana Pisarza, po mnie posłał, wszystko mnie powierzył, i kazał mi żebym dziś stawił się przed nim z Wasz-

mością, żeby naradzić się o dalszych jego w tym względzie postępkach.

— A Pan Samuel, czy także należy do tego spisku?

— Nie, nawet kiedy jego bracia ciągnęli go żeby z nimi razem udał się do Cara, on z gwałtowną otwartością, jaka jego postępki zawsze cechowała, oświadczył się przeciwko temu. Wszakże on zuchwałością swoją więcéj mnie trapi, niż jego bracia chytrością. Pałając zemstą i zawziętością naprzeciwko mnie, niedbając na wyrok który mu niepozwala, nie tylko w stolicy Królewskiéj, ale nawet na gruncie Polski nogę postawić; rozzuchwalony dobrocią Króla, który nieodpychając jego usług, dozwolił mu gościć w Województwach swieżo do Polski przyłączonych, pokąd w swoim czasie nie zdejmie z niego wywołania; oświadczył chęć dostania się w Krakowskie, a nawet co chwila jest oczekiwany od braci swoich, i może już teraz znajduje się w Krakowie.

— I wielkie serce Zamojskiego, miało by się obawiać tego zapamiętalca?

— Nie rozumiesz mnie. Panie Stanisławie, nadto się boję Boga, żebym jakiegokolwiek człowieka się obawiał, Ale zważ sam moje położenie. Znam szacunek dla Pana Samuela. Jakkolwiek on teraz o mnie trzyma, to pewna że byłem jego przyjacielem, że dziś nawet źle mu nieżyczę. Któżby zapoznawał jego przymioty, z których niejednokrotnie ojczyzna czerpała korzyści, a które większym i stateczniejszym blaskiem by rozświecały, gdyby wady jego przyrodzone umiarkowane były lepszém wychowaniem. Ale nie mniéj przeto jestem przejęty uczuciem konieczności, ażeby prawa się dopełniały, wykonanie bez względne praw, jest jedyną rękojmią całości narodu. A urzędnik któryby nie był tém przekonaniem przejęty, któryby, niemęzką czułością powodowany, chciał ułagodzić to co w prawie wydaje mu się być za nadto ostrém, co by swoje osobiste uczucia, jakkolwiek szlachetne ale osobiste, ważył się postawić naprzeciwko prawu, — tego wyrażenia woli powszechnéj, i dopuścił nad niém zwycięztwa: takiego urzędnika uważałbym jako zdrajcę ojczyzny, jako niszczyciela je-

dynego środka, którym godziwe swobody narodu zachować się dają. Strzeż mnie, Boże, ażebym w moim zawodzie publicznym, zapomniał kiedykolwiek o moich obowiązkach. Im więcéj ofiar wymagają, tém dla mnie stają się droższemi. Wszędzie, z Panem Samuelem miło by mi było się spotkać, jako Zamojskiemu ze Zborowskim. Ale biada mu, jeżeli w przestrzeni, mojéj juryzdykcji uległéj, niebacznie stanie przed mojemi oczami: bo już nieznajdzie we mnie szlachcica jemu równego, ale Starostę — wykonywacza prawnych wyroków, przysięgłego sługę Króla i ojczyzny, nieubłaganego i nieustraszonego stróża ich praw. Przy łasce tego ukrzyżowanego Zbawiciela, o którą codziennie ze łzami żebrzę u stóp Jego ołtarza: bo on przyrzekł że jéj nigdy nie odmówi temu który z wierzącém i pokornem sercem o nią prosić będzie: dopełnię moją powinność. Ale jestem człowiekiem, — przyrodzenie moje ucieka od przelewu krwi tego, którego szczerze miłowałem, którego moje serce rade by osłonić przeciwko tak wielkiéj surowości prawa. Nakoniec sława mi jest droższą nad życie, a przewiduję ile ona szwank poniesie, jeżeli Pan Samuel, głuchy na przestrogi ktorych nieomieszkam mu przesłać, padnie ofiarą mojéj prawości. Ile wzrastać będą potwarze! co je na mnie Panowie Zborowscy i ich adherenci miotać nieprzestają, wnikając nie tylko w mój zawód publiczny, o którym sąd pod pewnym względem i do nich należy, ale nawet w moje pożycie domowe, które w tak czarnych barwach usiłują okazać! Jak, to wywiązanie się moje z obowiązków urzędnika i obywatela, będzie wystawione przed narodem! jak mu wmawiać będą że mój czyn jest skutkiem zawiści człowieka nowego, który rad był upokorzyć ród zasłużony ojczyznie, oddając pod miecz katowski, jego, z innych miar świetnego, potomka!

— Mości Kanclerzu, źle trzymasz o naszym narodzie, jeżeli myślisz żeby aż potwarze tego wyniosłego domu na nim wrażenie sprawiły. Ja sam niemniéj cenię od niego przymioty Pana Samuela, a nawet, więcéj do niego zbliżony wiekiem, ścislejsze z nim miałem stosunki. Dałby Bóg, żeby przestrogi mu dane, odwróciły go od zbrodniczéj usilności

dowania praw, żeby dał się przekonać że jego pojawienie się w stolicy Królewskiéj zgrozę wznieci w sercu wszystkich prawych Polaków. Lecz jeżeli zacięta duma, w nim zagłuszy głos powinności: lubo jako człowiek, jako towarzysz broni, łzami uczczę jego złą dolę: jako obywatel, cieszyć się będę że podaje się sposobność przekonania narodu, że pod Królem szczęśliwie nad nami panującym, prawa nasze ocuciły się z letargu; w którym zbytnia łagodność Jagiełłów ich uśpiła. Że prawo nie jest pajęczyną przez którą bąk się przebije, a tylko dla much straszną, ale siecią z któréj żaden przestępca się niewyplącze, jakiebykolwiek były jego bogactwa i świetność krwi i skolligaceń. Czyn energiczny nauczy wszystkich szanować i bać się Króla. Pismo święte każe miłować, ale razem i bać się tych, którym Bóg powierzył pasterstwo ludów. Czas żeby to lekce ważenie władzy Królewskiéj, szerzące się u nas od lat kilkudziesiąt, a które błogosławieństwo Boże od narodów odwraca, zmniejszone, wprawdzie, odkąd Król-bohater nad nami panuje, nazawsze wypłoszone było. W rękach Królewskich jest siła dostateczna dla zapewnienia tego, czego prawo wymaga. Bo chociaż Panowie Zborowscy zapełniają Kraków swoją nadworną milicją, sługami i klientami, wszakże jest bitna straż Królewska, jest siła zbrojna Starościńska, jest wiele magnatów wiernych Królowi i ustawóm których milicje zawsze na zawołanie Królewskie, a nakoniec, szlachta niezapozna głosu tego Zamojskiego, który ją oswobodził od jarzma, co niektórzy wyrodni ich bracia usiłowali na ich karki narzucić.

Siła nasza aż nadto jest dostateczna. W przódy jeszcze nim Pan Mroczek oświecił Króla o zdradzie Pana Marszałka Koronnego, już jego praktyki na Litewskiéj Rusi, nadto były mu znane żeby na każdy krok jego niebaczył. Jego nagły wyjazd z Połocka, późniéj nocną porą schadzki z posłem Rakuzkim — wszystkie te ścieżki kręte i ciemne po których pierwszy Minister Polski chodzić nie przestawał, czujną troskliwość naszą, jak wiesz o tém, wywołały. Najdzielniejszych rycerzów swoich Król z najoddaleńszych stref Polski przywołał, nawet o Zdorze niezapomniał. W razie nieszczęśli-

wego, i oby go Bóg odwrócił! wypadku na Pana Samuela, nie tylko że jego bracia niepodniosą w mieście rokoszu, ale jak najspieszniéj z niego się wydalą, żeby bruzdzić po Województwach graniczących z posiadłościami Rakuzkiego domu: ale i tam nic niewskórają, bo wszędzie spotkają ostróżność rządu. Jeszcze powtarzam, z takowego wypadku zysk, a nie szkoda, będzie dla ojczyzny, — mnie tylko, w powszechnem weselu, smucić się wypadnie.

Nie, Mości Kanclerzu, publiczność może być oszukana, ale nie długo. Sąd publiczności o mężu dla niéj poświęconym, jest zawsze niemylny: bo jéj własny pożytek jest miarą jéj sądów. Zawiść i potwarze, jak ćma na światło, rzucają się na zasługi, na wielkość. Ale ani ćma niezdoła światła przygasić, ani te wysiłki brudnych namiętności, nie zdołają unicestwić tego, co jest chlubą całego narodu, co jest jego najdroższą iściznę. Wielka dusza Zamojskiego, gardzić powinna bezsilnemi pociskami zawiści.

Gdyby, przynajmniéj, mnie jednego jej potwarze dotykały ale są tak drażliwe położenia, że najwytrwalsze męztwo zachwiać się może. Dla ciebie, Panie Stanisławie, nigdy nie miałem nic tajnego. Patrzałeś na wszystkie moje postępki od czasu kiedy wola Króla powołała mnie do stanowczych wpływów na losy ojczyzny. Wierność moja, powodzenia w zamysłach o dobru publiczném, któremi Bóg tę wierność nagrodził, zjednały mi nieograniczoną ufność Króla, tak dalece, że sam ofiarował mnie to o czém bym nawet pomyślić nie śmiał — rękę swojéj synowicy. Padłem do nóg mojego pana i dobroczyńcy, ale niebyłem tak dalece zaślepiony nadspodziewaném szczęściem, bym aż zapomniał o powinności mojéj. Oświadczyłem Królowi, że bez przyzwolenia Xiężniczki, sumienie nie pozwala mnie nabywać prawa do jéj serca, ani honor rycerski, cudzém szczęściem okupywać własne. I uprosiłem Króla, żeby nie ogłaszał swoich łaskawych dla mnie widoków, pokąd nie ubezpieczę siebie ze strony téj którą mi przeznacza na towarzyszkę żywota. Król, i w tym kroku ocenił moją prawość. Tu dla mnie odkryło się nowe jestestwo. Wdzięki Gryzeldy, jéj cnoty, ta krew tak świetna w jéj żyłach pły-

nąca, to spokrewnienie z moim panem, z Królem jeszcze potężniejszym dzielnością i cnotami niż szerokiemi dzierżawami któremi Bóg go obdarzył — wszystko to aż nadto przemawiało do mojéj duszy. Z drugiéj strony, czułem się nieszczęśliwym, bo nie miałem na czém opierać nadziei jéj wzajemności. Pierwszy kwiat młodości już nie istniał na moich obliczach porytych bliznami, myśleniem, pracowitemi naukami. Byłem obcy uczuciom miłości, a tém samém nieobeznany z jéj językiem. Pragnąłem żony zacnéj, cnotliwéj, towarzyszki życia, która by się mną opiekowała, kiedy urzędowania mnie powierzane wszystkie uczucia moje tak pożerają, że każda myśl o sobie samym jest jakoby kradzieżą kraju. Wreszcie, w narodach, gdzie cnoty obywatelskie, stanowiące posadę ich bytu, wyrabiają się w pożyciu domowém, obywatel, a cóż dopiero wysoki urzędnik, winien być małżonkiem i ojcem. Ale oprócz ojczyzny, innéj kochanki nie znałem. I to mnie przerażało, że Panowie Zborowscy głosili, że Gryzelda wzajemnością odpłaca uczucia Pana Samuela, uczucia co je otwarcie wyznawał; że nawet mu przyrzekła, że jeżeli nie będzie mogła zostać jego żoną w zakonnéj celi Bogu poświęci swoje dziewictwo. Codziennie widywałem Gryzeldę, codziennie wzrastała ku niéj w mojém sercu miłość, — miłość nie zniewieściała, nie burzliwa: jak ją igraszki dowcipu poetów malują, a która sztucznie wszczepiona w umyśle nierozważnym namiętnego próżniaka, staje się jakoby drugą naturą: ale miłość bogobojna, cnotliwa, poważna, jaka wysokiemu urzędnikowi przystoi. Ileż to razy, kiedy już chciałem jéj wynurzyć niespokojność mnie dręczącą, kiedy już zabierałem się odkryć przed nią wszystkie tajemnice mojego serca, — słowa zamierały na ustach, strach mnie przejmował, żeby sobie nazawsze nie odebrać nadziei. Nie mogłem dłużéj żyć w téj wątpliwości, a nie śmiałem chcieć żeby ta wątpliwość była rozwiązaną. Wstyd mnie przenikał że staję się podobnym do tych którymi całe życie pogardzałem, czułem że niewieścieję, że dusza moja utraca hart który ją usposabia do rzeczy wielkich. Ta niespokojność nieopuszczała mnie nawet w publicznym zawodzie. Wyrzucałem sobie moją słabość, jako występek prze-

ciwko ojczyzny, któréj, wszystkie myśli, wszystkie uczucia, wszystkie zdolności moje, były własnością. Dzień po dniu upływał, a ja jeszcze i jednym krokiem niepostąpiłem. Nakoniec sam Król wyprowadził mnie z tak przykrego położenia. Zawołał Gryzeldę i mnie, i rozkazał nam przed sobą się wytłumaczyć. Wszystko się rozjaśniło przedemną, zostałem najszczęśliwszym z ludzi. Gryzelda, z szlachetną szczerością, zaspokoiła wszystkie moje obawy. Wyznała, że Pan Samuel Zborowski ocaliwszy jéj honor i życie, miał prawo do jéj wdzięczności, że jéj się podobał: ale jakkolwiek jéj ciotka była mu przychylną, i skłaniała ją do wywzajemnienia się jemu, ona nadto była nawykłą wychowaniem swojem do władania sobą, ażeby bez zezwolenia stryja i opiekuna rozrządzić miała swojém sercem; że usługi dla niego i ojczyzny, są jedyną drogą przez którą do niego trafić można; że dla mnie czuje najwyższy szacunek, i że bez wahania się, bez obawy powierza się mojéj poczciwości, i na wybór który dla niéj zrobił jéj pan i stryj, z zupełną ufnością się zgadza. Nazajutrz odbyły się nasze zrękowiny. Wkrótce potém zostałem małżonkiem najcnotliwszéj, najgodniejszéj kobiety. Pasmo pożycia mojego z najczystszéj przędzy osnute, robi mnie najszczęśliwszym z ludzi. A jednak, ileż to męztwa potrzeba, dla znoszenia tych wszystkich pocisków, co je na nas nieprzyjaciele moi miotają. Panowie Zborowscy głoszą wszędzie że Gryzelda padła ofiarą nieubłaganéj woli jéj stryja, że najgwałtowniejszą miłością pała dla Pana Samuela, że ciągle opłakuje związek przemocnie na niéj wymożony z tym którego nienawidzi; że nieprzestaje pałać cudzołożnym płomieniem dla ich brata, którego oczekuje jako wybawiciela. Takiemi to potwarzami niewzdrygają się czernić najpoczciwszéj żony, najzacniejszéj obywatelki. A jeżeli, zmuszony powinnością, nieoszczędzę Pana Samuela, czyż ta potwarz, niepowiększy się jeszcze. Czy nie będą powtarzać, że zazdrość małżeńską pokryłem pozorem miłości prawa, i że urzędnik publiczny stał się mścicielem zniewagi prywatnéj? Pociski na mnie wymierzone, nmiéj mnie obchodzą: bo przyjmując zaszczyty wysokich dostojeństw, już wiedziałem o ciężarach od nich nie oddziel-

nych; ale cóż winna Gryzelda moim nieprzyjaciołom?... Jednakże, Panie Stanisławie, ta dręcząca myśl, jakkolwiek nieprzestaje nasuwać się przedemną, nie zdoła osłabić mojéj działalności: jest to nowa, najcięższa ofiara dla ojczyzny ale nie ma ofiary dla niéj, przed którą godziłoby się uchylać... Już zbliża się pora w któréj Król nas oczekuje, już kolebka zaprzężona stoi. Pójdę pożegnać żonę, a za chwil kilka, ruszajmy gdzie wola Króla i powinność nas powołują.

XVII.

Kiedy stanęli przy rogatce Krakowskiéj, przy niéj zastali Pana Łętowskiego, Podstarostę Krakowskiego, wielce zaufanego Panu Zamojskiemu, który zajęty trudami wyższego urzędu, na niego był zdał wyręczenie siebie od obowiązków Starościńskich, — i tego nie miał powodu żałować. Bo Pan Łętowski, był czujnym, czynnym, nieustraszonym, a nadzwyczajnie roztropnym.

Położenie Starosty Krakowskiego wówczas, było trudne. W stolicy, to co dziś nazywają policyą miejską, zostawało w ręku Marszałka Wielkiego Koronnego. Ale Pan Marcin Zborowski, piastujący większą laskę, żadnéj ufności w Królu Stefanie nie wzbudzał, — i trudno było wymagać żeby Król bezpiecznie polegał na straży, obywatela dumnego, obrońcy wszystkich wichrzycielów, a który sam, za Króla Zygmunta-Augusta, wzniecał w kraju zaburzenia. W czasie ostatniéj wojny, po kilkakrotnie Król, w poufałych rozmowach z Zamojskim, wynurzał jemu obawy wrócenia po zawartym pokoju do stolicy, gdzie nawet jego osobiste bezpieczeństwo poniekąd wyłącznie zawisło od urzędnika wielce mu podejrzanego, a którego zmienić, prawa krajowe niedozwalały.

Ale troskliwa roztropność Zamojskiego, wszystkiemu zapobiegła.

Poradził Królowi żeby Marszałkowi Wielkiemu powierzył urządzenie Województw w ostatnich wojnach uzyskanych, by tym sposobem przez czas jakiś trzymać go w oddale-

niu od stolicy; a sam będąc jéj starostą i w tym wydziale zastępując nieobecnego Marszałka, utworzył rękojmię bezpieczeństwa i Królewskiego i publicznego w Krakowie, urządzeniem policji sprężystej, któréj nici tajemne już odtąd w jego ręku zostawały; tak dalece, że nawet powrót Pana Marszałka i wszystkie jego zabiegi, odjąć mu ich nie mogły. Pozornie rządy miasta zostawały u Marszałka, ale rzeczywiście Starosta był Wielkim-rządcą. I to nie mało się przyczyniło do nienawiści nieubłaganéj Pana Marcina przeciwko niemu. Bo widział zobojętnioną najpotężniejszą prerogatywę swojego dostojeństwa, a temu nie mógł zaradzić: gdyż Pan Zamojski w niczém nie przestąpił prawa powagi Starościńskiéj. Wszystko co się działo w Krakowie, dzięki baczeniu Pana Łętowskiego; było mu wiadome, — a Pan Marszałek nie domyślał się, że nawet jego krok każdy, miał tajemnych widzów którzy o wszystkiém donosili Staroście.

Pan Łętowski na osobności uwiadomił Kanclerza, że téj nocy Pan Samuel Zborowski przybył do Krakowa; że stanął u Pani Włodkowéj, Zborowkiéj z domu; że w chwil kilka po swojém przybyciu, poszedł do Marszałka Koronnego, gdzie już było kilkunastu przyjaciół i krewnych Zborowskich, którzy zdawali się jego przybycia oczekiwać. Że w tém zborzyszczu układano środki ażeby porwać Pana Zamojskiego, opanować Zamek Krakowski, i w nim podpisać akt konfederacji, któréj Marszałkowstwo z najwyższą władzą nad wojskiem ma się dostać Marszałkowi Koronnemu. Po imieniu i nazwisku uwiadomił Kanclerza o wszystkich którzy się téj nocy w jego domu znajdowali, a swoją relację zakończył mówiąc.

— I to winienem oznajmić Jaśnie Wielmożnemu Kanclerzowi, że Pana Samuela, Pan Marszałek i inni mitygować musieli: bo on ciągle odgrażał się na JWPana, ze chce go napaść na każdém miejscu gdzie go może spotkać, chociażby w kościele. Wszakże wszelka ostróżność jest z naszéj strony, i na wypadek napadu, ani się spodziewa Pan Samuel, skąd się zjawią obrońcy życia i dostojeństwa JWPana.

— Na Waszmości wiarę i roztropność się spuszczam. Ale

szczególnie miéj baczność na Zamek Krakowski: bo gdyby go zajęli spiskowi, coś ważniejszego niż moja osoba, było by w niebezpieczeństwie.

— O to, pokój, JWPanie, — zamek jest w stanie obronnym, i ma taką załogę że na niéj śmiało polegać można.

Po téj rozmowie, Kanclerz siadł do kolebki, i, nieco zamyślony, udał się z towarzyszem podróży na Wawel, żeby się stawić na wezwanie Królewskie.

Zastał Króla w pracowni, rozmawiającego z Panem Mroczkiem.

Jak Król go zobaczył, odezwał się wesoło.

— Kłaniamy się Waszmościom, Mości Panie Kanclerzu, i Mości Pisarzu Polny. Własnie potrzeba ażebyś, Mości Kanclerzu, przyłożył pieczęć Koronną na ten przywiléj co go dajemy Panu Hetmanowi kozackiemu, a w którym, stosownie do waszych rad, całą starszynę kozacką przypuszczamy do herbów i innych zaszczytów szlacheckiego stanu. Prostym kozakom, wszystkie prawa i swobody jakie Kazimierz Wielki mieszkańcom niektórych miast zaręczył, zabezpieczamy. Dozwalamy im wolny wybór Hetmanów, których przyrzekamy potwierdzać, w imieniu naszém i naszych następców. Oraz, że Starostwa i inne urzęda ich Województw, konferować nie będziemy jeno obywatelom ich krwi i wyznania, i to za rekomendacją Hetmanów kozackich. Z tém wyprawiamy Pana Pisarza Kozackiego, szlachcica Polskiego ale indygienowanego na Rusi, Waszmościom dobrze znanego, a wielce nam i ojczyznie zasłużonego. On przez dziś tylko zabawi w Krakowie, a jutro rusza na Zaporoże, żeby poczciwym kozakom przywieść ten przywilej, a przy nim nasze pozdrowienie i ojcowskie błogosławieństwo.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł do Króla Pan Kazimierz Mroczek, nisko się skłoniwszy. — Wszystkie rozkazy Waszéj Królewskiéj Mości które Siczy zaniosę, będą dopełnione, ale niech mi będzie wolno przed moim wyjazdem błagać Ją o jedną łaskę.

— Mów śmiało czego żądasz Mości Pisarzu, nie jesteś z tych którzy nie mają prawa do naszéj łaski. Miło nam będzie zrobić dla Waści to co mu może być przyjemném.

— Najjaśniejszy Panie! Mój dawny pan i przyjaciel, a który w ostatniéj wojnie miał szczęście nie być bez pożytku dla Waszéj Królewskiéj Mości, oraz dla kraju, uniesiony nierozwagą, odważył się téj nocy jawić w Krakowie. Jestto wykroczenie prawa straszne pod panowaniem Króla, niezmordowanego stróża tych praw, których dochowanie zaprzysiągł. Przewiduję, ile tym krokiem, naraził się Waszéj Królewskiéj Mości, i jakiém niebezpieczeństwem to narażenie jemu zagraża. Ale jeżeli pasterze ludów, na ziemi miejsce Boga zastępują, wszakże winni i o tém pamiętać, że miłosierdzie Boskie przewyższa jeszcze Jego nieskończoną sprawiedliwość — Najjaśniejszy Panie! niech ten krok lekkomyślny Pana Samuela, nieprzeważa w obliczu majestatu Twojego, jego zasług, jego czynów swietnych pod okiem Waszéj Królewskiéj Mości, i za Jéj szczęściem dokonanych.

— A cóż to do nas należy, Mości Pisarzu Kozacki. Mamy Starostów, których jest obowiązkiem zabezpieczać swobody obywatelskie, pilném wykonaniem wyroków prawnych. Powierzyliśmy bezpieczeństwo stolicy takiemu, który na naszą ufność zasłużył, niemamy powodu przewidywać byśmy mieli kiedykolwiek żałować ufności w nim położonéj. Nie jesteśmy stwórcą ani naginaczem prawa, jesteśmy tylko jego stróżem. Rozsądek i sumienie Starostów i sędziów, a nie nasza wola, stosuje to prawo do wszystkich bez wyjątku obywatelów. A jakaż by była powaga ich urzędu, gdybyśmy każdą ich czynność instynktowali. Królowie, nasi poprzednicy, sami sądzili sprawy obywatelskie, i to oderwanie się od zatrudnień innych królowania, niemało szkody przynosiło ojczyznie. Za zgodą Panów Rady i sejmu, spuściliśmy władzę sądowniczą Trybunałom, Ziemstwom i Grodom, która, zwłaszcza przy rozszerzeniu się szczęśliwém kraju, już być nie może udziałem wyłącznym Naszego majestatu. A powierzywszy jéj rozmaite wydziały mężom zasłużonym w obywatelstwie, krzywdę-byśmy im wyrządzili, gdybyśmy chcieli wpływać na ich czynności. Oto jest Pan Kanclerz Koronny, razem i Starosta Krakowski. Udaj się Waszmość do niego. Jego to rzecz a nie nasza. I pewnie ani słowa mu niepowiemy takiego, coby się dotykało jego urzędu Sta-

rościńskiego, ani jemu nawet pozwolimy żeby nam o nim mówił. Do niego należy przestrzegać swoich obowiązków Starościńskich, jak nam a nikomu innemu przynależy przestrzeganie naszych obowiązków Królewskich. — Po czém łagodniéj skończył: — No nasz miły Panie Mroczku, już pieczęć przyłożona, już masz w zanadrzu listy nasze. Jedźże jutro przed świtem do swojego Zaporoża, i bądź pewny, że jeżeli będziesz takim, jakim byłeś dotąd, nasza życzliwość i łaska, nigdy ciebie nie odstąpią.

Pan Mroczek klęknął przed Królém, i świętą jego rękę przyłożył do ust swoich, na znak pożegnania, i nieco zasmucony, wyszedł z komnaty.

Pan Kanclerz śpiesznie za nim poszedł, i wziąwszy go za rękę przyprowadził do okna. Tam mu powiedział.

— Panie Pisarzu, znam Waszmości przyjacielem Pana Samuela; ale znam go także wiernym sługą ojczyznie. Możesz te oba obowiązki połączyć. Dzisiejszy dzień masz jeszcze przed sobą. Udaj że się Waszmość do Pana Samuela, i powiedz mu odemnie, że proszę go ażeby natychmiast opuścił Kraków. W téj przestrodze pokazuję siebie więcéj dawnym przyjacielem Pana Samuela, niż urzędnikiem ściśle przestrzegającym swoje obowiązki. Bo żebym szedł jedynie za głosem powinności przysięgą stwierdzonéj, jak tylko dowiedziałem się o jego tu przybyciu, powinien bym go kazać imać i przyprowadzić do sądów moich. Uczucie przyjaźni dawnéj, zdołało przeważyć obowiązki urzędnika, — ale niech-że nie nadużywa iéj powolności. Niech nie czeka aż przypomnę sobie co winienem temu zaufaniu, którem Król i Polska mnie zaszczycają Mogę, i winien jestem, odpuścić wszelką prywatną urazę, ale zniewagi mojego urzędu nie zniosę.

Tak odprawiwszy Pana Mroczka, powrócił do Króla.

— Mości Panie Kanclerzu, — rzekł do niego Król: — przyznaj że mieliśmy słuszność, kiedyśmy wyrzekli nasze zdanie o Panu Marszałku Koronnym, że nic go poprawić nie zdoła. Spisek na przeciwko nam knowa, i już pewny zwycięztwa, iściznу w ojczyznie, jako łup na nas zdobyty, zawczasu rozdaje stronnikom swoim, i postronne mocarstwa

chce niemi pokusić do współdziałania. Nieszczęsny, ani się domyśla że każdy krok jego jest nam wiadomy, i że tron Stefana na miłości ludu oparty, jest nieporuszony.

— Nigdy, Najjaśniejszy Panie, niemiała nasza ojczyzna Króla mocniéj usadowionego od Waszéj Królewskiéj Mości, i wyznać trzeba, że Panowie Zborowscy, nigdy nie mogli obmyślić mniéj właściwéj pory do wszczynania między nami rokoszu. Zniewoleni szacunkiem co go wszędzie Wasza Królewska Mość zjednała sobie, najpotężniejsze Mocarstwa dobijają się o zawiązanie z nią ścislejszych sojuszów. Przed kilku miesiącami, Wielki Car Moskiewski dał Jéj dowod niepłonny swojéj życzliwości, a świeżo, Cesarz Rzymski, na którego tak rachują spiskownicy, niemniejsze mu jéj daje dowody, zapierając się w liście własnoręcznym do Waszéj Królewskiéj Mości pisanym, wszelkich czynności jego nieproszonych przyjaciół, i ofiarując zmianę swojego teraźniejszego posła, który tak słuszne podejrzenia w nas wzbudza.

— Pozbędziemy się nakoniec Fürstemberga, który, pełny ku nam nienawiści, odważa się deptać prawa narodów, swoje nienaruszone mieszkanie poselskie obracając w ognisko spisków. Nasz dawny przyjaciel Rozenberg, krew krwi, i kość kości naszych, wedle obietnicy Cesarskiéj, lada-chwila, jego miejsce zastąpi. Teraz gra idzie o co innego, niż o to co się tylko naszéj osoby może tyczyć: idzie tu o chwałę naszego Zbawiciela. Cesarz Rzymski, Car i Rzeczpospolita Wenecka, zawiązują z nami przymierze, żeby Chrześciańkie ludy z pod pogańskiego topora wybawić, żeby grób Syna Bożego już niebył więcej deptany od niewiernych. Ojciec święty otwiera swoje skarby, i, da Bóg, wkrótce może Carogród otworzy swoje wrota hufcom zjednoczonych Polaków z Moskwicinami. Wkrótce nasze rycerstwo wystąpi w pole, a oprócz nas trzech i mojego Bekieszy, nikt o tém niewie w kraju.

— Stosownie do woli Waszéj Królewskiéj Mości, ściągają się rycerze ze wszystkich dzierżaw naszych. Nigdy nasze Chorągwie niebyły lepiéj pokryte. Nim się skupią nad Dniestrem, już się dołączą do nich mężni Zaporożcy i milicje nadworne potężnych i wiernych panów Ruskich. A jak Sejm

się zgromadzi, Pospolite-Ruszenie Szlachty dopełni miarę naszych nadziei. Nic nam nie pozostaje do żądania, jak tylko żeby Panowie Zborowscy dopuścili się jakiego kroku, któryby nam dozwolił prawnie z nimi postąpić: bo taić przed sobą nie możemy, że na następnym Sejmie żadnéj usilności nie oszczędzą, żeby wichrzyć Polskę, żeby podniecać jéj nieufność w swoim pomazańcu. Mam jednak nadzieję w téj zuchwałéj otwartości, cechującéj Polaka, a jaką szczególnie ród Zborowskich się odznacza; że już pewny zwycięztwa, Pan Marszałek Koronny dopuści się jakichś czynów, które nam dozwolą poszukiwać nad nim prawnéj odpowiedzialności. Zaleciłem Panu Mroczkowi żeby ostrzegł Pana Samuela, że nie powinien się znachodzić w stolicy, mojéj juryzdykcji uległéj: zostawuję mu dość czasu, żeby głowę swoją ocalił, ale w tém.

— Mości Panie Starosto Krakowski, — przerwał Król poważnie. — To co dopiéro wyrzekliśmy przed Panem Pisarzem Siczowym, i teraz powtarzamy, że o tém co się tyczy Pana Samuela i słuchać niechcemy. Jako Starosta nie jesteś Waszmość naszą Radą Królewską, ale wykonywaczem prawa. Do czynności Starostów nigdy nie będziemy się wtrącali: ich obowiązki są przepisane: na ich sumieniu i roztropności polegamy. Oni wiedzieć powinni jak postępować mają, a do nich samych należy osądzić czy w ich zarządzie prawa są wykonane, czy wzgardzone.

Tu wszedł pokojowy Królewski, z doniesieniem że Pan Starosta Felliński, prosto z Inflant, zajechał na dziedziniec zamkowy, spełniając rozkaz Jego Królewskiéj Mości, i że prosi o pozwolenie stawienia się Królowi.

— Niech wnijdzie, — rzekł Król wesoło.

Wszedł Pan Ezechiel i klęknął witając Króla: po czém powstawszy, skłonił się nizko przed Kanclerzem i Pisarzem Polnym Koronnym.

— A co nam przywozicie z Inflant? odezwał się Król.

— Wszystko co może być najlepszego, Najjaśniejszy Panie. Wszyscy w Inflanciech są wierni poddani Waszéj Królewskiéj Mości. Nawet języka polskiego zaczynają się uczyć. Jak tylko odebrałem rozkaz Waszej Królewskiéj Mości, za

raz i siadłem na wózek, — moje przygotowanie kwadransa nietrwało, tyle tylko czasu ile potrzeba było do zaprzężenia koni, — i dzień i noc jechałem, dokąd nie stanąłem na dziedzińcu Miłościwego Pana. Co kto chciał płaciłem za najęcie koni po drodze, byle tylko jak najprędzéj się skończyła, — bo, z łaski Waszéj Królewskiéj Mości a gospodarstwa mojéj żony, kabzka u mnie niepusta, a mój Szerszeń, który teraz na dziedzińcu wózka pilnuje, do tego majster. Owoż tedy stanąłem u portu.

— A wasz zamek Felliński na kogo zdałeś?

— Niby na mojego Podstarostę, Pana Mirbacha, starożytnego szlachcica tamecznych stron, który w imieniu mojem wiesza złodziejów, — bo ten język prawników, jakoś się mojéj głowy nie chwyta. A trzeba wiedzieć, że tych złodziejów nie najwięcéj, — i to powiększéj części z żydów i przychodniów z obcych stron. Łotysze naród głupowaty, ale poczciwy i potulny: nie tylko szubienicy, ale i batogów się boi, — nie tak jak nasi, co to dopiéro za pięćdziesiątém uderzeniem odezwie się że go boli; a Łotysz na inkwizycji za trzecim batogiem wszystko o czém wie wyśpiewa. Otoż Pan Mirbach jest niby komendantem, ale w rzeczy saméj o wszystkiém pamięta bohater w spodnicy.

— Ktoż to taki?

— Nie kto inny jedno moja magnifica. A wiesz, Najjaśniejszy Panie, że to skarb chodzący ta moja baba. Ja sam niewiedziałem co to jest to Starostwo Fellińskie, ale jak ona go uchwyciła w swoje łapy, pokazuje się że to złote jabłko. Grosz prześciga grosz, ale też i zamek i załoga utrzymana jakby panienka na wydaniu. Sama Jmość trudni się stołem i odzieżą szeregowych, lenung własną ręką wypłaca. Oni się jéj więcéj boją niż mnie. Jaśnie Wielmożny Hetman Milecki robił przegląd wszystkich zamków tamecznych, a na pismie dał mi świadectwo, że mój, co do utrzymania, nad wszystkiemi celuje.

— I cóż więcéj słychać?

— O to, że zapisałem do Chorągwi mojego Kazia, — który już w niéj ma sowity poczet — pięciu ludzi, na koniach dzielnych, żeby, jak wyrośnie, był komputowym Towarzy-

szem... Co to za miły chłopiec, Najjaśniejszy Panie: bo to moja natura — dobrym sposobem wszystko z niego zrobisz, ale nuż go ofuknąć, jak się zatnie, matka rady mu dać niemoże; taki uparty. A kiedy się wysunie z domu, na pierwszego jak on smarkacza napada i bije się z nim, a jak jego samego dobrze wybiją, deszkiept sobie zatrzymuje, święta tajemnica: nikomu się nieskarży, a tylko czeka pory żeby się odwetował. To też pełno u niego guzów na głowie. Xiążki ani na oczy. Matka aż płacze, ale ja się cieszę. Bo wiém że jak starość mnie obróci w poniewierkę, on nieda ojca skrzywdzić, a będzie swego czasu wiernym sługą Waszéj Królewskiéj Mości. Zresztą, oprócz téj mizerji co na mnie spadła po ojcu, z łaski Waszéj Królewskiéj Mości jest czém wychować i opatrzyć dziatki: niema potrzeby on być jedynakiem, a jabym życzył sobie żeby coś przybyło, bo wtedy Jmość by się trudziła mniejszém, a tego by zostawiła więcéj na moje staranie; jakoż podobno coś tam jest w drodze, — przynajmniéj z tego moja Jmość się chwaliła.

— A! winszuję, winszuję Waszeci, Mości Starosto. Sprowadziliśmy tych sług naszych rycerskich w których osobliwą pokładamy ufność, a Waszeci w tém gronie mieszczę.

Tu Pan Ezechiel znowu klęknął przed Królem, i rzekł:

— Miłościwy Panie! nie wiem jaka jest wartość mojego serca i mojéj głowy, ale jakie one są, są one własnością twoją. Ja nie tylko że jestem twoim poddanym i przysięgłym sługą, ale tyś dla mnie więcéj niż ojcem: ojciec mi dał życie, któreby nie było warte funta kłaków, żeby nie twoja wspaniałość. Ze mnie, at zwyczajnie, był sobie sowizrzał, co na wielkie święto u jakiego pana gdzieś na szarym końcu siedział A za twoją łaską jestem teraz możnym obywatelem, wysokim urzędnikiem, że najpierwsi panowie po prawéj stronie od siebie każą mnie siedzieć za ich stołem. A ja siebie miałbym żałować dla Waszéj Królewskiéj Mości! Miłościwy Panie, na probę, rozkaż mi co ci się podoba, choć-by co najmniéj podobnego do wykonania: a obaczysz czy jestem wiernym poddanym i sługą.

— O tém nie wątpimy, nasz miły Starosto, i damy wam dowód nowy naszego zaufania. Pan Marszałek Koronny jest

wielce nam podejrzany, chociaż my się przed nikim z tém nie wydajemy. Donoszą nam jakoby zamierzał w czasie Sejmu szlachtę podmówić do rokoszu, i tem zaburzyć całą ojczyznę. Waszeć byłeś sługą domu Zborowskich, więc Pan Marszałek niezawodnie będzie się starał Waszeci przywabić do swojego spisku, będzie mu robił wielkie obietnice.

— A ja, Najjaśniejszy Panie, jeżeli słówko mnie o tém piśnie, to mu w oczy plunę, i jeżeli szabli nie dobędzie, to go jeszcze sromotniéj skrzywdzę.

— Otoż własnie ani chcemy, ani ścierpimy tego odgrażania się do zemsty prywatnéj, jakby prawa krajowe niebyły dostateczne dla zasłonienia czci każdego obywatela. Wszakże Waszeć jesteś Starostą, a nie sowizrzałem, jakeś dopiero powiedział, żebyś bez naszego lub Hetmańskiego przyzwolenia szałował krwią swoją która nie Waszeci, ale ojczyzny jest własnością. A my rozkazujemy wam tak działać, jak przystoi wiernemu poddanemu, prawemu obywatelowi, prawdziwemu synowi ojczyzny. Żadną obłudą Waszeć nie masz podchodzić ufności Pana Marcina, ani kłamanym współczuciem, upoważniać go do jakichś powierzeń. Ale jeżeli on sam z siebie je robić będzie przed Waszmością, umiéj władać swojemi uczuciami, oczekuj cierpliwie dalszych wynurzeń: a jeżeli w nich dójrzysz zdradę Stanu, staraj się tylko ażebyś na to miał świadków, i pózwij go do Naszych sądów. Wszak Waszeć będąc Starostą musisz wiedzieć, że kiedy kto zamierza *crimen status et perduellionis*, ten ktoby o nim wiedział, a nie doniosł Zwierzchności, wedle prawa staje się sam zdrajcą ojczyzny. A niespodziewamy się by dom Zborowskich był dla Waszmości tyle strasznym, żebyś przez obawę narażenia się jemu, chciał infamiją napiętnować swoje nazwisko.

— Ja Panów Zborowskich niebałem się, kiedy jeszcze byłem chudym pachołkiem, a miałbym się ich lękać kiedy wyszedłem na człowieka! To się na mnie nie pokaże, Najjaśniejszy Panie. Co Król każe, poddany robić musi. Ja się czego innego obawiam, — oto że nie jestem zdatny do tych szermów co się po za kratkami odbywają, jak Pan Pisarz Siczowy, którego spotkałem wchodząc do zamku, a

nawet niemiałem czasu kilku słów z nim zamienić. Bo on i żołnierz jakiemu równych mało na świecie, — o czém i Wasza Królewska Mość na ostatniéj wojnie mogłeś się przekonać; a ma tak wyrobiony język, że przed sądem, najzawołańszy pierca rady mu nieda. My wszyscy się zachwycali, kiedy on bronił Pana Samuela przed Królem Henrykiem. Aż pot się sączył po łysinie Pana Odrowąża Pieniążka. Ja przewiduję że, broń Boże sądowéj rozprawy z Panem Marszałkiem, on się wszystkiego zaprze, a czy ja go przeprzeć potrafię, zwłaszcza jeżeli świadkowie niedopiszą. Ale cóż robić! nie wielka sztuka spełnić rozkaz przyjemny: a choć-by niewiedzieć jak mnie wzięto w obroty, wszystko stanie się wedle woli Waszéj Królewskiéj Mości. Wszakże szukać nie będę Pana Marszałka, a jeżeli bez mojéj woli mnie nadybie, i przedemną skrewi językiem, za który go nie myślę ciągnąć, niech sobie a nie mnie biedę przypisze, — co mnie w to wchodzić!

— Więc nas Waszeć zrozumiałeś. Teraz jeszcze coś do tego przydamy. Kto wie co nastąpić może, z ludźmi tak nieumiarkowanymi, tak zarozumiałymi, za jakich są znani Panowie Zborowscy. Oni mają nie mały poczet ludzi zbrojnych, toż i ich przyjaciele i powinni. Nuż im przyjdzie na myśl, nietylko chytrze, ale gwałtownie porwać się przeciwko naszéj władzy? Znajdą z kim mieć do czynienia, bo nie jest w naszém przyrodzeniu, zasypiać pod cieniem naszego Majestatu. Nasze i Polski bezpieczeństwo jest opatrzone bitnym i doświadczonym żołnierzem. wszakże jednak nie można mieć nadto ostrożności, z ludźmi równie zapamiętałymi. Pod różnemi pozorami, sprowadziliśmy najzaufańszych naszych rycerzów, między którymi i o Waszmości musieliśmy pamiętać. Główny kierunek mogących się rozpocząć wojennych obrotów powierzyliśmy Panu Kanclerzowi, a pod nim Panu Żołkiewskiemu, Pisarzowi Polnemu. Gdyż Hetman dotąd z niemocą boruka się w Dorpacie, — jak to Waszeci musi być wiadomo. Na wypadek rozruchu w mieście, Waszmość masz się natychmiast stawić w naszym zamku, żeby pod rozkazami Kanclerza, lub w jego nieprzy-

tomności, Pana Pisarza, zwiększyć liczbę obrońców naszych i praw Narodu.

— Dał-by Bóg, Najjaśniejszy Panie, żeby Panu Marszałkowi przyszła do głowy szczęśliwa myśl iść wstępnym bojem, bo jakoś toby mi było więcéj na rękę pchnąć go kopiją, lub uderzyć toporem, niż ciągnąć na konfessatę. Wszakże wszystko się stanie wedle woli Waszéj Królewskiéj Mości.

— Waszmości dłużéj nie zatrzymujemy, po tak pracowitéj podróży, udaj się do spoczynku, a na jutro zamawiamy sobie Waścinę bytność na naszych pokojach.

XVIII.

Wyszedł Pan Ezechiel na dziedziniec Zamku, rozkazał Szerszeniowi żeby za nim stępą na wózku postępował, a sam poszedł piechotą przez most zwodowy, żeby się z sobą naradzić o dalszych swoich postępkach: bo to było w jego obyczaju, że kiedy jego umysł kołysał się, wtedy pieszo z wolna przechadzał się, coś do siebie cichym głosem mrucząc a dopiero potém, stanowcze brał przedsięwzięcie, od którego już go nic zbić nie mogło. I tak sam do siebie jął mówić.

— Najniewinniéj mogę wpaść w kabałę, — sam niewiém co z sobą począć... Broń Boże Pan Marszałek Koronny zacznie przedemną nieproszony otwierać się... A wiém że myśli nic potém, — bo jemu zawsze źle patrzało z oczów. Ja lubo byłem sługą jego domu, nigdy do niego nie miałem nabożeństwa. Pana Samuela, chociaż różnie między nami bywało, i miłowałém, i miłuję szczerze. On, popędliwością swoją, czasem podrwi głową, ale ze sługami jak z braćmi, — póki się nierozzłości; ale kiedy dobry, choć go do rany przyłóż. Ale Pan Marcin nadęty, zimny, jak się szlachcicowi odkłoni, to go i kark boli. A tak małomówny, że mój nieboszczyk ojciec, nie tyle swoich talarów przestrzegał, ile ten, swoich słów. Dałby Bóg żeby zawsze się téj drogi trzymał, i z niczém przedemną się nie wyrywał. Bo na co mi się przydało, szlachcicowi, z wielkim panem, sądowie zadzierać... Już-ci ja muszę być posłusznym Królowi. Jak Pan Marcin bąknie przedemną że coś knowa prze-

ciwko jego powagi, ja go pozwę, i dowodzić mu będę że on niepraw. Ale on naprowadzi na mnie pierców z całego świata, a ci wyprawionemi językami jak zaczną dowodzić że czarne białém, a białe czarném, i otumanią sędziów, moja prawda pójdzie w kąt, i jeszcze będę musiał odszczekiwać się z po-pod ławy. O, to dopiero będzie pociecha Panu Staroście Fellińskiemu!.. Chyba-by jeden Pan Kazimierz Mroczek potrafił mnie obronić, bo żaden kratkowy wyjadacz jemu rady nieda. Pan Odrowąż Pieniążek choć jaki jur, a omał że swojéj łaciny przed nim niezapomniał. Ale to darmo, on przeciwko żadnego Zborowskiego nie stanie. Jeszcze żeby który z nich mnie napastował, to, po dawnéj przyjaźni, możeby podjął się mojéj obrony, ale tu inna rzecz, — trudno wymagać żeby mnie pomagał, kiedy ja nastawać będę na gardło takiego, dla którego czuje obowiązki... Ach, jakbym go chciał spotkać!.. Tać to my się dopiero zbiegli w przedpokoju Królewskim, jedno że tak śpieszył, że ledwo my się pocałowali, a już i zniknął... A zdawał się być skonsternowanym czegoś... Jak go gdzieś złapię, musi mnie poradzić... Tylko nie; — *secretum stubae non revelabo*, — tak mnie uczyli przyjaciele, jak zostałem Starostą Sądowym Fellińskim. A cóż dopiero kiedy Król coś powierza. To coś więcéj niż *secretum stubae*, to *secretum status*... Ale to być ni może żeby Pan Marszałek Koronny mnie się zwierzał, — wszakże my nie najlepiéj rozstali się. On tego zapomnieć nie może, że ja jego niepuściłem do zamku Fellińskiego, a z jego rozkazem na piśmie danym, postąpiłem jak zwyczajnie postępują z papierkiem niepotrzebnym. Jeszcze to w mojéj odpowiedzi, dostało się coś i Panu Samuelowi... Już-ci trudno było mnie namówić, żebym pozwolił komu, nosa wściubić w mojéj juryzdykcji. Dla dziecka będzie i jednéj niańki... A to takie licho zuchwałe, że mnie tego nigdy nie odpuści. Ale nuż go djabli natchną, że mnie znajdzie, i zechce mnie ciągnąć do swoich praktyk, — bo on gotów wszystkiego się dopuścić przez złość na Pana Kanclerza. Tać-to w czasie ostatniéj wojny, ile razy powiodło się szczęśliwie Panu Zamojskiemu, a Król go za to pochwalił, to Pan Marciu le-

dwo że od rozumu nieodchodził. A jak jemu w obozie ciągle szył bóty, jak go czernił przed nami, jak się wściekał że ani u Króla, ani u nas niemógł jemu zaszkodzić. Bo to darmo, — czyny Pana Zamojskiego głośniéj za nim przemawiały, niż te gadaniny przeciwko niemu. Niech sobie domatorowie mówią co chcą o swawoli żołnierskiéj, a w żadnéj juryzdykcji sądowéj niema tak wielkiéj sprawiedliwości, jak w obozie, kiedy nieprzyjaciel na karku. Bo kiedy wódz dzielny, — chociażby jak był ostry, żadna potwarz niezaszkodzi mu u podwładnych. Ja pierwszy, sobie niedam napluć w kaszę, a jednak, będąc z woli Króla posłusznym Panu Żołkiewskiemu, że pod Siebieżem nie dość prędko przyszedłem na jego rozkaz, bo djabli mi nadali, że skwasiłem parę godzin, z własnego domysłu plądrując dom jakiegoś tamecznego szlachcica, który mnie był podejrzany a o którym wiedziałem że ma piękne srebra stołowe; — mój mocny Boże! jaka z tego powstała burza! Wszystko co z sobą wyniosłem od tego utrapionego szlachcica, odemnie odebrał, a jemu w mojéj przytomności powrócił; złajał mnie takiemi słowy, jakich od mojego urodzenia niesłyszałem, i o mały włos że mnie nie kazał roztrzelać. Żebym był słówko pisnął, było-by po mnie. Ja milczał jak żak, bo już był górę wziął nademną... A jednak kocham go i szanuję jak Papieżnik świętego swojego patrona, — bo prowadził mnie w ogień, a jak prowadził!.. Dałby Bóg żeby Pan Marszałek Koronny, zamiast tych babskich językowych konszachtów, otwarcie się porwał na Króla; żeby przyszło w mieście do bitki... Człowiek by się jakoś pokazał, i wysłużył sobie coś nowego u Króla... To wielki Król! — niezapomina o tych co mu się na coś przydali... Summa summarum stanęło na tém, że ponieważ Król wyraźnie mnie powiedział że nie mam podchodzić ufności Pana Marszałka Koronnego, jedno na wypadek gdyby on sam mnie o coś zaczepił, to oznajmić Zwierzchności, więc ja niemam potrzeby nawiedzać żadnego Zborowskiego, — ile że tu Pana Samuela niema, a do jego braci ani żadne obowiązki, ani najmniejszy affekt mnie nie skłaniają. A jeżeli Pan Marszałek mnie znajdzie, — bo ja się chować nie myślę. —

będzie jak Bóg zechce... A teraz, że jestém nieco zmęczony podróżą, pójdę wypocząć u Falendysza; tam się dowiém gdzie szukać Pana Kaźmierza. A czegoż u niego się nie dowiesz!.. A o tém co ma być kiedyś, na co mam się troszczyć, — jakoś to będzie.

— Szerszeniu? — krzyknął na koniuszego; — źleźno Waść z wózka, i pójdź-sam tu.

Szerszeń spiesznie dopełnił rozkazu pańskiego.

— Słuchaj Waść. Ja pójdę do Falendysza, — trzeba mi szukać znajomych, — u niego znaleźć i potrzebnego i niepotrzebnego. A ty temi samemi końmi ruszaj do Kosmyrzowa. Konie mieli czas wypocząć, — do Kosmyrzowa nie najdaléj, — a, żeby woźnica nie szemrał, daj mu Waść półtałarka dla rozweselenia serca, a w Kosmyrzowie, jego koniom daj owsa ile się w żłob wsypie, a jemu samemu gorzałki ile się w gardło wleje. W Kosmyrzowie wszystkiego w bród, bo rządca teraźniejszy z ręki Jmości, nie taki kiep jak Waść. Czy rozumiesz? —

— Słucham, JW. Panie.

— Otoż, co Waści każę, to opowiesz rządcy. Jak zabespieczysz wygodę najętemu woźnicy i jego chabetom, każesz wytoczyć moją kolebkę, a za nią skarbnicę: furmanką Jmościną przywieziesz mnie dziś jeszcze kolebkę, a skarbnicę opatrzysz wiktuałami, i płodzidymka Bartka na niéj posadzisz, żeby za kolebką w ślad postępował; a do jéj pociągu weźmiesz folwarczne konie... Bo ja osiadam w Krakowie, a do Kosmyrzowa chyba jak gość wpadnę czasem na jakie parę godzin, — tak to wypadło ex publicis, — ale ty tego, trutniu, nie rozumiesz. . Nie na tém koniec: parę wierzchowych koni, jakie są najpewniejsze w mojéj stajni z sobą przyprowadzisz, i dwóch masztalerzy, żeby i moim koniom i mnie usługiwali. Otworzysz moją zbrojownię, i dwie najlepszych zbroi, ani jednéj ich sztuczki niezapominając, zabierzesz na kolebkę. Jedną co ją mam z łaski Pana Samuela, a drugą naczarno szmelcowaną, z którą popisywałem się na turnieju, za Króla Henryka. Zresztą domyśl się, co nam może być potrzebném do przyjmowania u siebie gości, i to przywieź... Powracaj jak najspieszniéj

sprawiwszy się, bo niech cię Pan Bóg strzeże żebyś przed wieczorem nie stawił się przedemną. Jak przyjedziesz, na Kleparzu najmiesz dworek dla mnie i mojego dworu, — miesięcznie, — i niebardzo się targuj o cenę, — tylko żeby stajnia dobra, — a nim konie przy żłobie postawisz, każ octem powycierać należycie, a potém wrzątkiem wyparzyć, bo tu, słyszę, zaraza była na konie, w roku przeszłym... A mnie znajdziesz u Falendysza. Bo ja u niego do wieczora przesiedzę... Ale — ale! jak powrócisz, od tego zaczniesz że, w dworku roztasowawszy się z końmi i ludźmi, przygotujesz dla mnie odzież sutą, a mianowicie ten żupan co go w Wielkich-Łukach kazałem przerobić z ornata, — materija szczerozłota, — spodziewam się, że gdyby choć nasi Senatorowie kazali poznosić swoje najbogatsze szaty, niewiele podobnych żupanów mogliby okazać... Kontusz do niego z axamitu szafirowego, pas złoty w amarantowe kwiateczki, co mi go na pamiątkę darował Pan Humiecki, Wojewoda Podolski, za to że mi się udało uchwycić jedną szmigownicę nieprzyjacielską, która jemu coś bardzo zaczynała dokuczać... Do tego moją paradną szablę, w turkusy oprawną, i żółte bóty z safianu tureckiego: a szpinkę sam dobiorę — jest ich dość w mojéj skrzynce... Bo widzisz, mój kochany, może mnie wypadnie zrobić nawiedziny jakiemu magnatowi, a więc trzeba będzie wystąpić żeby się ludzi niepowstydzić. I niezapomnij, jak się na kwaterze obrobisz, żeby przyjść do Falendysza, i tam mnie szukać. A ja za to sprawię tobie butelkę Węgrzyna, którą z sobą zaniesiesz na kwaterę, żebyś się udobruchał do poduszki... Ale — ale! powiedz mojemu rządcy — jak on się nazywa. Fokisz, czy Sztokfisz?. czart wie jego szlachectwo, — wiém tylko że jakoś dziko się nazywa.

— Kotlicz, JW. Panie.

— O, to, to, — powiedz mu żeby jutro do mnie przyjechał, po dalsze rozkazy, a o naszéj kwaterze dowie się u Falendysza.. No i cóż? rozdziawiłeś gębę jak gawron i z miejsca nie ruszasz?

— Kiedy bo, Jaśnie Pan, o najważniejszéj rzeczy zapomi-

nasz, — a jakim djabłem ja przekonam Pana Kotficza żeby mnie słuchał, zapyta mnie o znak.

— Masz słuszność, synu. Nie taki z ciebie kiep jak się wydajesz. Oto jest mój sygnet herbowny, — pokaż mu go i zostaw u niego żeby mi go jutro odwiózł, — bo do jutra niespodziewam się żebym go potrzebował użyć. Ruszaj-że, trutniu, — a ja pedibus apostolorum trafię do Falendysza.

Szerszeń skoczył na wózek, woźnica zaciął konie batogiem, a Pan Ezechiel poszedł swoją drogą, coraz zbliżając się do celu swojéj wyprawy.

Już stanął na rynku, — zawsze zatopiony w myślach krzyżujących się w jego głowie, nie obzierał się ani w prawo ani w lewo, kiedy raptem ocuciły go z zadumania słowa: — Kłaniam się Waszmości, Mości Panie Starosto Felliński. Pan Ezechiel obrócił głowę ku stronie zkąd głos obił się o jego uszy, i obaczył kolebkę zastanowioną, a w niéj Pana Humieckiego, Wojewodę Podolskiego. Przyskoczył natychmiast do kolebki żeby powitać dostojnego a zawsze dziarskiego starca. Wojewoda chciał zejść z pojazdu, ale Pan Ezechiel go niepuścił. I po oporze ceremonialnym, na swoim postawił.

— Winszuję Waszmości szczęśliwego powrotu do naszéj stolicy, — rzekł stary wojak, — a jeszcze więcéj że, jak widzę, przestałeś chromać, kiedy idziesz stępo bez potykania się.

— A ja cieszę się, JW. Panie, że go widzę zdrowym i odmłodniałym.

— Daj Waść pokój! zwyczajnie babie-lato, — w dzień ciepło, a pod noc przymrozek. Nogi do konia jeszcze służą, ale na spieszonego żołnierza już mnie nie przerobić, — bo niech to będzie między nami, a czasem nogi mnie puchną. W wojnie jakoś człowiek niemiał czasu chorować, a teraz że próżnuję, to i bieda mi zaraz dokucza.

— Przecie JW. Pan, chwała Bogu i Najjaśniejszemu naszemu Panu, w senacie zająłeś krzesło, — na niém mu pewnie próżnować nie dają.

— A! zachciało się — Co to mi za praca siedzieć w krześle, i głosować z poczciwymi ludźmi. Król Jegomość

nie puszcza mnie z Krakowa. I umiém należycie oceniać tę łaskę: ale przyznam się Waści, że do mojego Zbrzezia ledwo że dusza mi niewyskoczy. Radbym pomówił z sąsiadami o tém co się robiło na ostatniéj wojnie... Wszakże to rok trzeci jak się niewidziało z swoimi dyspozytorami,— tęsknimy do siebie na wzajem... Bo, widzi Waść, jaki pan taki kram, — żebyś wszystkie moje folwarki strząsł, ani jednego u mnie sługi nie znajdziesz z karą lub gniadą czupryną, — wszystko same siwosze jak ja... A co też tam się robi z mojém stadem... Wiém że wszystko idzie dobrze, bo, nie chwaląc się, nikt się niepochwali sługami tak poczciwymi jak moi. A jakie łepaki! mam takich co to im nie na folwarku podstarostować, ale w potrzebie można-by ich użyć śmiało do rady, choć-by i w ważniejszych rzeczach... A Waść pamiętasz moją Pchełkę, na któréj miałem zaszczyt prowadzić was pod Siebieżem?...

— A jakże nie pamiętam! — klacz skarogniada, która JW. Pana wysuwała zawsze, przynajmujéj o dwadzieścia kroków przed nami.

— Ta to ją w obozie znali wszyscy; jeżeli cóś się udało niezgorszego zrobić, to była jej sprawa, a nie moja. Jak siądę na nią bywało, to i jéj, i mnie zdaje się że my z sobą zrosnięci. Co to było za poczciwe stworzenie!

— Domyślam się że JW. Panu musiała podziękować za służbę.

— Tu w Krakowie przy żłobie padła, jak by piorunem przeszyta. Niewiedzieć co się jéj zrobiło. Żeby to na wojnie, od kuli nieprzyjacielskiéj, żalu by nie było. Tego samego poranku będąc w stajni, bawiłem się z nią, — a tak mnie znała, że jak się odezwę, to już uszami igra z radości; a przed wieczorem już było po niéj. Bóg mi ją dał, Bóg mi ją odebrał; bo to mojego chowu, — jeszcze była źrzebiczką, a ja już poznałem co to będzie z niéj... Srodze ją żałowałem; ale ja na te rzeczy filozof — wiem że od Boga trzeba przyjąć i dobre, i niepomyślne. Jéj skórę, jeżeli wola, obaczysz przy mojém łóżku, zamiast niedźwiedziéj... Ale, ale — niezatrzymuję Waszeci, ale proszę go do siebie dziś na wieczerzę — zbierze się i panów i szla-

chty, znajdziesz i kolegów i znajomych dość. Bo to u mnie solenność... miarkuj Waszeć, poczciwi Podolanie moi, wyprawili kilku zacnych obywatelów aż do Krakowa, żeby Królowi podziękować, za to że mnie raczył wynieść na ich Wojewodę, a mnie powinszować tego zaszczytu. Serce Podolskie — poczciwe serce... Otoż ja sprawuję dla nich wieczernicę, jak mówią w naszéj Rusi. Muszę przecie ich obeznać z Panami Rady, żebym się przed nimi pochwalił swoimi obywatelami. Kto mnie kocha, będzie dziś u mnie, a kto niekocha, niech sobie pójdzie choć na złamanie karku... A może nic po tém się odezwałem, — to przepraszam.

— Ja trzymam z JWPanem, a że go kocham i szanuję, będę mu służył, choć bym przebojem miał się do niego dostać.

— Wiem żeś łaskaw na mnie, Mości Starosto, — wszakto my koledzy: razem wysłużyli sobie — ja, Województwo na starość, a Waszeć w kwiecie wieku, Starostwo, — nim, da Bóg, swojego czasu wyżéj postąpisz... Upadam do nóg, i czekam: a jeżeli mi skrewisz, kwita z przyjaźni. Po czém, kazał ruszyć wolniéj.

— Zacny, poczciwy Senator! — rzekł do siebie Pan Ezechiel; — a jaki dzielny wojownik! Żaden młody na wojnie lepiéj się od niego niepopisywał. Jak to mnie nie być u niego!... Ale, ale, Mospanie Starosto Felliński, — u Falendysza nie bardzo sobie pozwalaj, bo u Wojewody kielichy krążyć będą, a więc trzeba będzie stanąć do boju... Tym czasem, okropnie głodny jestem; już druga dochodzi na zegarze zamkowym, a ja jeszcze, oprócz dobrych słów, nic w ustach nie miałem. U Falendysza zawsze cóś się znajdzie do przekąszenia — ale otoż i jego dom. Idźmy!

Skoro tylko przestąpił prog winiarni, Falendysz, który nigdy wchodowych drzwi od ulicy z oka niespuszczał, najpierwéj go spostrzegł, i zaraz do niego przyskoczył, zmniejszywszy się o połowę uniżoném zgięciem, choć i bez tego przyrodzenie obdarzyło go wzrostem dość karłowatym.

— Jaśnie Wielmożny Starosto! *o beata illa dies!* w którym JW. Pan zaszczycasz moją winiarnię swojém przyby-

ciem. Każdy dzień taki, jest zapisany u mnie na kalendarzu, jako *fausta dies*. Widzę że Bóg łaskaw na mnie niegodnego swojego sługę, kiedy pozwolił mnie doczekać się przybycia JW. Pana. Miałem go kiedyś za *spes patriae*, poźniéj, po wojnie ostatniéj, kiedy się JW. Pan pojawił w stolicy — za nadto krótko dla serc naszych, powitałem go jako jéj splendor. Teraz, już niewiém jak go powitać. Bałem się żeby grób nademną się nie zamknął wprzód nim doczekam się jeszcze raz dostojne jego oblicze oglądać. Ale teraz.

— Dziękuję, dziękuję, za wymowne i czułe przyjęcie, Mości Falendyszu, ale muszę Waściną przerwać perorę, bo mnie się djabelnie jeść chce. Kiedyś łaskaw, każ mi coś przynieść, a najlepiéj kiełbas, aż mgło mnie.

Co prędzéj przysunął mu Falendysz krzesło, i zaczął się kręcić po wszystkich kątach winiarni.

— He! Grzesiu! Bryndusie! Maćku! kiełbas żeby nasmażyli: co najlepszego dostać można tém zastawić stół. Wszak to JW. Starostę nakarmić trzeba — jeżeli co mu się niepodoba, was wszystkich co do nogi powypędzam. Pamiętajcie że o wielkiego męża wygodę idzie.

Zdawało się że wszystko było w zamieszaniu, a jednak byle kto się odezwał o wino, zaraz butelka jawiła się na jego stole.

— No, Mości Panie Ławniku, jakże interessa idą?

— Nie najlepiéj, JW. Panie; ale czy to człowiek dla interesu służy ojczyznie? W moim pracowitym żywocie, innego celu niemam tylko żeby zasłużyć sobie łaskę jéj wielkich synów — a o zarobku nie myślę. Bóg świadek że wino w mojéj winiarni tańsze niż tam gdzie rośnie; — na ilości wychodzę, że przynajmniéj nie wiele swojego dołożę. Ale dla tak zacnych Panów, co JW. Pan ich widzisz tu przed sobą, i strata jest zyskiem... Pozwoli JW. Pan służyć sobie winkiem świeżo przywiezioném? — ledwo kilkanaście butelek dostałem: jest to nowe zjawisko na Węgrzech. W Monkaczach, kopiąc na fundamenta pod nowy ratusz, dokopali się sklepienia: jakiś to był sklep, może od tysiąca lat, — i w nim znaleźli oxeft z winem, ale aż zaskorupiałem od sta-

rości. Na dziesięć cali w około oxeftu był sam lagier, i tém wino się zachowało, bo już klepki się były rozsunęły. Otoż tego wina piętnaście butelek mi się dostało. Zapłaciłem bzdurstwo — dwa czerwone złote butelka, i za taką cenę oddaję; — bo to mam dla sławy mojego domu, a nie dla zarobku. Niech Jaśnie Wielmożny Pan pozwoli służyć sobie jedną buteleczką.

— Jakże te piętnaście butelek długo u Waszeć Pana trwają! — odezwał się jeden towarzysz Pancernego Znaku, który z swoim kolegą, poważnie i powolnie wysuszał butelki. Jakem przybył tu na Sty Wojciech, na rocznego ordynansa do mojego Rotmistrza, Jaśnie Wielmożnego Wielopolskiego, Strażnika Koronnego, — codzień, raz przynajmniéj, wstępuję do Waszeci, i zawsze widzę że kogoś poisz tém winem, mówiąc że masz jego piętnaście butelek. Prawdziwie to musi być cudowne wino, że nie ubywa, a przecie jutro obchodzimy Ścięcie S-go Jana.

Zmieszał się trochę Pan Falendysz, ale przyszedł do siebie zaraz, i rzekł.

— Walne żarty Pana Towarzysza Dobrodzieja. I ja czasem pożartować lubię, ale nie z takim znawcą wina, jakim jest JW. Starosta, co to jeszcze u szanownego ojca swojego, na wytrawném winie był wychowany... Bo to nieboszczyk tak był wymyślny.

— Daj Waść pokoj, a nie praw mi andronów. Może mój ojciec gdzie w cudzym domu napił się wina, ale u siebie, to co w domu się nierobiło, pewnie ust jego niedotknęło. Ja u niego na podpiwku poprzestać musiałem. A tego sławnego wina, daj butelkę, żebym niém poczęstował tego godnego Pana Towarzysza, który Waści kłamać niepozwala, a któremu się zalecam... Ale tylko jedną butelkę; bo dziś na cały wieczor jestem zaproszony do JW. Wojewody Podolskiego, gdzie mi wypadnie stanąć nie do jednéj butelki, a więc nie życzę sobie być rozbrojonym u Waści.

— Otoż to i zarobek, JW. Panie. Człowiek rad pracować, i pracuje. Ale panowie ciągły podryw robią. Żeby nie JW. Wojewoda, poczciwy Falendysz miałby szczęście kilka bu-

telek wynieść z swojéj ubogiéj piwnicy, a tak, musi na jednéj poprzestać.

— At, nieudawaj, Mości Falendyszu, — odezwał się tenże sam Towarzysz; — kurczysz się jakby sąsiedzi niewiedzieli jak kto siedzi. Jeżeli nasi panowie tu częstują szlachtę, to nie inném winém, jeno z Waścinéj piwnicy.

Pan Falendysz trochę skonfundowany, nizko się skłoniwszy, zniknął; ale wkrótce powrócił z kilku butelkami, jedną, z nich położył na stole, na którym już były zastawione kiełbasy i pieczenia, a przy niéj dwa małe kieliszki. Pan Ezechiel napełnił oboje. Pan Towarzysz przyjął kieliszek, ale jako po obiedzie wyprosił się od służenia jemu do mięsiwa.

Pan Ezechiel dość prędko uporał się z obiadem, jego szczątki kazał co najprędzéj wynieść, i zaczął się bawić z Towarzyszem, który mu się przypomniał, że był jemu przedstawiony od swojego Rotmistrza w czasie ostatniéj wojny.

Już butelka zbliżała się do końca, kiedy wpadł do winiarni Pan Kaźmierz Mroczek, obzierający się na wszystkie strony, jak gdyby kogoś szukał. Ale ledwo spostrzegł Pana Ezechiela, do niego się przybliżył i rzekł:

— Dobrze trafiłem, bo właśnie ciebie potrzebuję, Ezechielku.

Pan Ezechiel powstał, uściskał przyjaciela, mówiąc.

— A ja, znowu ciebie szukam, — takeś mi się wywinął na przedpokoju Króla, że nie tylko mówić do ciebie, ale nawét niemiałem czasu przypatrzyć się tobie.

— Chodź-że zemną do izby Falendysza, bo bym rad z tobą mówił bez świadków.

Pan Ezechiel przeprosił Towarzysza, nieco zasępionego iż mu się przerwała zabawa, zamawiając sobie na późniejszy czas odnowienie téj zabawy; a splotłszy się ramionami Pan Kaźmierz i Pan Ezechiel poszli do sypialni Falendysza, nieposiadającego się z radości, że Pan Pisarz Kozacki, i Pan Starosta Sądowy, oba piastujący nie poziome w kraju godności, w jego domu, jakby w swoim gospodarują.

Gdy weszli, Pan Kazimierz zamknął drzwi za sobą, i rzekł.

Życie mi niemiłe, Ezechielku, tak jestem zafrasowany losem Pana Samuela. Więcéj niż sześć godzin z nim przepędziłem: błagałem go żeby miał litość nad sobą, może bym skałę pokruszył, a jego zaciętości niezdołałem ułagodzić.

— Jak-to? Pan Samuel znajduje się w Krakowie!..

— Dopiéro go pożegnałem; dałby Bóg żeby to pożegnanie nie było ostatnie... Wszystko się teraz przed mojemi oczami, w czarnéj barwie przedstawuje.

— Czy oszalał Pan Samuel, że śmie pokazywać się w Krakowie. Jabym mu niebardzo życzył przebywać w Fellinie, chociaż jego kocham, i niezapieram się że mam dla niego jakieś obowiązki. A cóż dopiéro tam, gdzie Pan Zamojski jest Starostą!.. Wszakże to nie mniéj i nie więcéj jedno gardłowa sprawa.

— Albo ja tego nierozumiém. Pan Zamojski wyraźnie mnie powiedział bym ostrzegł Pana Samuela, żeby przypomniał sobie że jego pobyt w stolicy, jest zbrodnią główną. Że jako Starosta, zmuszonym będzie go imać, i położyć pod miecz katowski. Że prosi go by jak najrychléj opuścił te strony, i probował szczęścia tam gdzie Starostowie więcéj dbają o przychody Starostw, niż o spełnienie obowiązków Starościńskich. Że jeszcze ma porę ocalić siebie, ale że jak ta pora, którą mu zostawuje przez względy na dawną zażyłość, upłynie, już będzie zapoźno. Poszedłem szukać Pana Samuela, i znalazłem go u brata jego, Pana Marszałka Koronnego. Jako dawny sługa i przyjaciel, wszystko wynurzyłem co tylko mnie natchnąć mogły uczucia przywiązania i wdzięczności. Przekładałem mu, żeby korzystał z łaskawéj przestrogi Pana Kanclerza, żeby najśpieszniéj opuścił Kraków, jeżeli się niechce doczekać sromotnéj śmierci. To wszystko żadnego na nim wrażenia niezrobiło.

— I był-że temu przytomny Pan Marszałek Koronny?

— Był, i zamiast mitygowania brata, owszem upoważniał

go do zuchwałości, mówiąc: to niby-przyjacielskie ostrzeżenie Zamojskiego, jest tylko próba, czy nas zastraszyć nie zdoła. Nicodważy się on porwać Samuela, wśród jego krewnych i przyjaciół.

— Prawdziwie, z dumy poszaleli!

— Niepoznałem Pana Samuela; zawsze go widziałem gwałtownym i zuchwałym, ale i nigdy głuchym na głos przyjaźni. Ze wzgardą przyjął moją radę, nieprzestawał się odgrażać na Pana Kanclerza, nawet na samego Króla. Dał mi nawet dość jaśnie do poznania, że przestał już wierzyć w moją życzliwość, że mu wyszły z pamięci wszystkie moje zasługi, że uważa mnie za stronnika Pana Zamojskiego który jest sprawcą mojego wyniesienia i dalszych moich nadziei. Że ma innych gorliwszych przyjaciół którzy ani go nie odstąpią, ani rad nikczemnych podawać mu się nieośmielą, i że nawet moja przytomność jest dla niego ciężarem. Przyszło do tego, że padłem mu do nóg, błagając go żeby siebie ocalił. Nic nie pomogło. Mój rozdział z nim zupełnie mnie wyrugował z jego serca. Innego ma już powiernika, który pochlebiając wszystkim jego uniesieniom, zupełnie go owładał.

— Pamiętasz Winrycha, tego wykapturzałego mnicha, który po rozwiązaniu swojego zakonu, ojczyznie ofiarował swoje usługi?

Jakże nie pamiętam. Wszakże ten Rycerz Mieczowy, popisywał się z nami na ostatniéj wojnie. Znaliśmy go wszyscy za rycerza dzielnego.

— Otoż on jest teraz nieodstępnym towarzyszem Pana Samuela, który slepo daje się jemu powodować. Już ta przyjaźń ścisle była zawiązana za Dźwiną, a kiedy Winrych, temu kilka miesięcy, udał się do Krakowa, Pan Samuel jemu poruczył wszystko, co się jego tyczyć mogło. W jego zręczności cały dom Zborowskich największą ufność pokłada, i on jest przypuszczony do wszystkich jego narad.

— I na końcu pokaże się że Niemiec ich wszystkich zdradzi. Ja go widziałem pokilkakrotnie nieustraszonym w

boju, ale zawsze jakiś pomimowolny wstręt od niego czułem bo nigdy nikomu w oczy nie patrzy.

— Przybywszy do Krakowa, poznał się z Panią Wapowską, Kasztelanową Przemyślską, najzawziętszą prześladowczynią Pana Samuela, i bezkarnie nie ujrzał jéj córki, któréj wszelkie stosunki z swoim narzeczonym, ucieczką Króla Henryka zczezły na zawsze. Ta miłość jego wszystkim jest jawną, jako że często bywa u Pani Wapowskiéj, i że od niéj jest uprzejmie przyjęty. Przekonany jestem, że on musiał tu ściągnąć Pana Samuela, żeby z jego głowy błagalną ofiarę uczynić zwłokom nieboszczyka Kasztelana Trzemyślskiego, i niczém nieubłaganéj zemście pozostałéj po nim wdowy.

— I jak-że ty nie ostrzegłeś Pana Samuela, o konszachtach tego utrapionego Niemca z jego nieprzyjaciółką.

— Niby o nich niewie! Mnie słudzy Zborowskich mówili, że sam Pan Samuel kryjomo nawiedził wczora Panią Wapowskę razem z swoim Niemcem. Że jakoby miała mu powiedzieć, że już zawziętości przeciw niemu nie zachowuje w sercu, a tylko że dla oka ludzkiego, musi się naprzeciw niému srożyć, ale że da się z nim jawnie pojednać za wstawieniém się wspólnych przyjacioł, jak tylko będzie mogła to uczynić bez uszczerbku swojéj sławy. I że wtedy Pan Samuel przymówił się za przyjacielem nowym do ręki Panny Kasztelanki, — co dość obojętnie przyjęła. Paź Pana Samuela, który mu towarzyszył do Pani Wapowskiéj, i który pod drzwiami jéj komnaty wszystkiemu się przysłuchiwał, to wszystko pod sekretem dziś przedemną wyznał.

— Obaczysz, Panie Kazimierzu, że z tego wszystkiego pokaże się Niemiecka zdrada. Ani się spostrzeże Pan Samuel, jak wleci w połapkę; bo nikt mnie o tém nieprzekona, żeby Pani Wapowska rozbroiła swój żal na niego. Moja żona która ma z nią jakąś kolligację, a która w Tęczyńskich wierzy tak jak my w nasze szable, a Pana Samuela tyle nienawidzi, ile ja go kocham, mówiła mi przed samym wyjazdem moim z Fellinu, że Pani Kasztelanowa Przemyślska przed nią się wymówiła z tém, że nie umrze

spokojnie, aż obaczy ściętą głowę Pana Samuela. Jest to wyraźna zasadzka na niego.

— Aż nadto przewiduję jego nieszczęście I to właśnie co mnie serce goryczą napełnia. Nie mogę go ratować, bo już stałem się jemu podejrzany. Przynajmniéj nie będę tego świadkiem, Z rozkazu Króla wracam do Zaporoża, dziś jeszcze opuszczam Kraków. Zawiedziony przeznaczeniem w najdroższém mojém uczuciu, nic mnie niepozostaje, jak tylko wszystkie moje uczucia ścisnąć w miłości Ojczyzny. Jéj przyniosę to przywiązanie które miałem dla tego z którym wzrosłem, z którym podzielałem dobry i zły los, pokąd to mogłem czynić bez wykroczenia przeciw téj Ojczyznie którą nad wszystko miłuję... Żegnam ciebie, Ezechielu; da Bóg że się jeszcze obaczymy, że może będziemy z sobą żyli, może na placu sławy, oddasz mnie kiedyś ostatnią posługę... Wszakże, zaklinam ciebie, na tę kilkunastoletnią, a tak doświadczoną przyjaźń która nas łączy: miéj w opiece życie Samuela, uprowadź go z pośrodka nieprzyjaciół czyhających na jego zgubę: jedném słowem, ratuj tego drugiego szaleńca, o ile bez zdrady Ojczyzny będziesz to mógł uczynić.

— Daję tobie na to rękę, Kazimierzu. Król mnie oddał pod rozkazy Pana Kanclerza, a w przypadku gdyby jego nie było, Pana Żołkiewskiego. Nie wątpię że, jeżeli przyjdzie do tego by imać Pana Samuela, bezemnie się nie obejdzie; mnie polecą jego porwanie, bo wiedzą że trzaski będą latały. Ja będę go ścigał jak mnie rozkażą, ale dam mu wiedzieć żeby uciekał, i czwałem uciekającego gonić nie myślę. Chyba sam by się uparł zgubić siebie, to już nie będzie moja wina, Ale i na to ci daję słowo; że jeżeli z nim źle się stanie, a wykryje się, że do tego wpływał Pan Winrych, — ja niebędę uważał że on jest Liber Baro S-go Państwa Rzymskiego, i skoligacony z Kurfistrzami, ale napadnę na niego, i albo on mnie zabije, albo ja jemu duszę z gardła wydobędę. Jeżeli tego zaniecham, to niech wszyscy Niemcy oplują moją tarczę herbowną, niech mojego syna od szlachectwa odsądzą.

— Oby Bóg pomagał tobie, drogi Ezechielu, w tém wszystkiém co przedsięweźmiesz dla ocalenia Samuela! Żegnam ciebie. Bądź zdrów!...

XIX.

— Otoż jest! — rzekł do siebie Pan Ezechiel: — już i zniknął! a mnie samego w kłopocie zostawia. Trzeba mnie koniecznie widzieć się z Panem Samuelem, azaliż niebędę szczęśliwszym od Pana Kazimierza, jak mu dam przestrogi. Ja mu wyraźnie powiém: a co to Waszmość myślisz, że żartujesz sobie z Pana Kanclerza? tać to, człowiek ten, ma lwią siłę! podziękuj mu przeze mnie za łaskawe ostrzeżenie, i zaraz wynoś się z téj okolicy, jeżeli przed swoją porą niechcesz obaczyć się z Trójcą Swiętą. Wszakże to z samym Królem sprawa, — a z jakim! To nie Henryk, któremu w głowie były tylko zabawy, a który niedbał ani o koronę Polską, ani o jéj powagę.. A wolał by nas pilnować, niż uciekać do swojéj Francii, gdzie go jakiś wywłoka kozikiem poczęstował... Jednak, dziwne sądy Boże! Ten Król, — świeć, Panie, nad jego dnszą, za to że mnie obdarzył złotym łańcuchem, — całe życie męczył dyssydentów, a śmierć mu przyszła z ręki mnicha... Tylko, co mi się wdawać w cudze rzeczy; — pilnujmy własnych. Jeżeli Pana Samuela nie znajdę tak że będę z nim mógł rozpierać się semotis arbitris, to chyba wypadnie go szukać u Pana Marszałka Koronnego, a nuż natknę się na jakieś niedobre exwiscerowanie się.. On, z dumy, z zawiści na przeciwko Kanclerza, wszystkiego gotów siebie dopuścić. To wtedy przyjdzie na mnie nieszczęśliwa godzina, że będę musiał się zadzierać z wielkimi panami, i to nie po mojemu. Prawda że mając Króla po sobie nie bardzo mnie

dbać o gniew jakiego magnata; ale nuż Król umrze.... boć to przecie człowiek jak każdy z nas, — wtedy niewielka pociecha siedzieć w mojej skurze.... Niech tam sobie jak chce rozprawia Pan Kazimierz o szczęściu naszém, że my Królów wybieramy; — póki byłem charłakiem, to jego zdanie podzielałem, ale odkąd jestem sobie podpankiem i niepoślednim urzędnikiem, to bym darował chętnie to szczęście. Człowiek niemiał nic do stracenia, bezkrólewie wtedy otwierało mu pole do zysku — kto więcéj da temu służę. Ale dziś inaczéj rzeczy się mają. Człowiek rad by zachował to do czego przyszedł, a co może być mu wydarte w zamieszkach które po śmierci każdego Króla następują. A choćby i najspokojniéj bezkrólewie się odbyło: czy to nowy Król pójdzie drogą mu wskazaną od poprzednika. Kiedy on po ojcu następuje, tak się rzeczywiście dzieje: ale cudzy, zawsze robi wszystko na wspak. Za Króla Zygmunta-Augusta Mniszchowie réj wodzili, a już Król Henryk ani słyszeć o nich niechciał: Zborowscy, choć dyssydenci, górę wzięli; — kto się im naraził, niczego nie dostał; a o Panu Zamojskim szlachta wiele mówiła, ale u dworu on nic nie znaczył; a teraz, pod Królem Stefanem szczęśliwie nad nami panującym, on wszystkiém trzęsie w kraju, — I daj Boże jak najdłużéj: bo to wielki mąż, i łaskaw na mnie, a ja z nim, a nie z kim trzymam. Ale nuż bezkrólewie kaduk przyniesie, a potém przybędzie do nas nowy Elekt z po za gór, bo swojego wybrać, to jeszcze gorsze, bo jego krewni nikomu do niczego docisnąć się nie dadzą, — to może i Pan Zamojski chorągiewkę zwinie. Trzeba będzie czegoś nowego... a nuż Panowie Zborowscy wypłyną na wierzch, — dadzą oni pieprzu temu który się im naraził; bo podobnie mściwego człowieka jak Pan Marszałek jeszcze dotąd Pan Bóg niestworzył. A co on każe, bracia dopełniają natychmiast. Pewnie Pan Samuel nie pokazał by się w Krakowie, gdyby go Pan Marszałek niebył zaprosił... Wszystko to, mnie kłusuje po łbie, ale to darmo: jestem przysięgłym sługą Króla Jegomości — Jego ufności nie zawiodę, bądź co bądź. A potém, broń Boże nieszczęścia, czyż to zaraz i kłaść się! I

Pan Zamojski ma swoją partję, i pewnie rozumniéj prowadzi niż Pan Marszałek. Będziemy mogli poprobować się z sobą. — pokaże się może że nasze na wierzchu.... Wszakże żal mnie Pana Samuela, — ciężka mu będzie przeprawa z naszym Kanclerzem! Ostrzegę go żeby temu Niemcowi niewierzył, — wreszcie w żywe oczy mu dowodzić będę że on zdradza. Co ja mam się na Niemca oglądać. A niech się sobie odwołuje do sądu Bożego ze mną: ja mu służę: ale nie w juryzdykcji Pana Zamojskiego, żeby się za to mnie czepiał; ale do Machowéj ośm mil lekkich, a tam już nie znają Grodu Krakowskiego. Niemiec śmiały, nie będzie od tego, a ja że go ubiję to najmniejszéj wątpliwości nie podpada, — aby mój topor był zdrów....

Kiedy tak ruminował Pan Ezechiel, drzwi się otworzyły, i Pan Falendysz wszedł do izby.

— Czego Waść chcesz? — huknął Starosta; — że przerywasz moje zadumania!

— Przepraszam uniżenie JW. Starostę Dobrodzieja, ale dopiéro przybyli do winiarni dworzanie JW. Pana, i wszędzie go szukają.

— Aha; to mój Szerszeń, sprawił się truteń, anim się spodziewał że tak prędko będzie z powrótem.

Poszli do winiarni, gdzie w saméj rzeczy zastali Szerszenia i Kotficza rządcę Kosmyrzowa, który widać że chciał się zalecić swojemu panu, okazując siebie tak skwapliwym do jego powitania.

— Kłaniam się Waściom, — odezwał się do nich pokręcając wąsa, i strojąc siebie na ton poważny. — Rozkazy moje czy dopełnione?

— Wszystko piorunem się wykonało, JW. Panie, — odpowiedział Pan Kotficz. — Dworek na Kleparzu najęty, wnim gotowa usługa czeka na JW. Pana. Co można było zabrać z sobą naprędce, tośmy przywieźli, a jutro cztery fornalki nawiozą wiktuałów co nie miara, żeby JW. Pan był i zdrów, i syt, i wesół.

— Dobrze, Moci Panie; tak, to lubię, — o mnie Waść pamiętasz, a ja będę pamiętał o Waści.... Szerszeniu! weź no ztąd kilka butelek wina, żebyś miał czém poczęstować

Pana Kotficza, którego zdatność i przychylność, moja żona wielce mnie zalecała.

Pan Kotficz niziuteńko się skłonił, i ścisnął Pana swojego za kostkę lewéj nogi.

— No, moi Państwo, — przedłużył Pan Ezechiel; a macie czém mnie zawieźć na Kleparz?

O tu właśnie, na ulicy, stoi kolebka JW. Pana, odezwał się Szerszeń.

Dobrze, ruszajmy. Panie Falendysz, każ zanieść do kolebki mojéj półtuzina butelek wina stołowego, żeby moi poczciwi słudzy mieli czém się uraczyć; a jutro porąchujemy się z sobą.

Ach! JW. Panie, cała moja uboga piwnica na rozkaz Pański. Bryndusie! zaraz mnie wynieść półkosza, i w słomę dobrze obwinąć sześć butelek wina numero trzy, i to oddać woźnicy JW. Starosty.

Nakoniec Pan Falendysz wyprawił Pana Starostę, który w kilka minut z swoim dworem stanął na kwaterze dla niego najętéj.

Szerszeniu, rzekł do sługi, opatrzywszy swoją kwaterę; wszystko dobrze; każ no zawołać paupra żeby mnie ogolił: i broda i czupryna. coś mnie bardzo zarosły, a dziś jestem zaproszony do JW. Wojewody Podolskiego na wieczor, trzeba jakoś po ludzku się pokazać.

Przybył cyrulik, ogolił mu brodę; po czém wziął się do ważniejszéj części swojego rzemiosła, to jest do podgolenia czupryny, co wymagało ręki wprawnéj, ile że Pan Ezechiel miał kilka szram na głowie, między któremi, trzeba było brzytwę prowadzić z wielką ostróżnością. Siadł więc Pan Ezechiel, koło niego stali Kotficz i Szerszeń, żeby pana bawić rozmową, podczas gdy pauper, nie bez bojaźni brał w opiekę Starościńską głowę, zwłaszcza że Pan Ezechiel mu dał taką admonicję;

Pamiętaj żebyś mnie nie skaleczył, bo jeżeli mnie skrwawisz, tą sąmą brzytwą, obie uszy tobie oderznę.

Po czém odezwał się do Kotficza:

Powiedz no Moci Panie jak też idzie gospodarstwo w Kosmyrzowie. Może Waść myślisz że ja się na tém nie-

znam? Nie bój się, człowiek choć zajęty to wojaczką, to sądownictwem, mając dobra w różnych częściach Polski, musiał się obeznać z tém co mu chleb daje..., Wpadnę ja niespodzianie do Kosmyrzowa; wszystko rozpatrzę, a jak wezmę Waści na konfessatę, to mu pokażę że wiém jaka różnica między dobrém, a lada jakiém gospodarstwem.

A na czém JWPan się nie znasz! Coż to? albo na ziemi szerokiéj jest jaki zakątek któryby JW. Pan niezwiedził, czy jaki człowiek który by uszedł jego oka? To też dla mnie szczęście że jém chleb mądrego pana, który moją pracę oceni, a czego mnie niedostaje, nauczy. Dał by Bóg żeby JW. Pan, zawsze zajęty najważniejszemi interesami kraju, mógł znaleźć kawałek czasu, żeby wejść w szczegóły Kosmyrzowskiego gospodarstwa. JW. Pan obaczysz że u mnie wszystko nakręcone jak godzinnik. Człowiek na pazury bierze, pracuje, Bóg świadek, dzień i noc, a tylko żal że nie może na czémś obszerniejszém pracować.

To Waść Kosmyrzów masz za ba i bardzo!

A broń Chryste-Jezu, JW. Panie, Kosmyrzów to złote jabłko; ale to wszystko nie to co JW. Pana dobra na Rusi co kiedy dyspozytor weźmie się do objazki łanu, to jak ruszy ze świtém, słońce dobrze się podniesie nim stanie na jego końcu; a żyto tak bujne, że Zaporożec z koniem i z czapką w nim się schowa. O tam by człowiek pokazał dopiéro co umie;

Prawdę Waść mówisz, Moci Panie, to całą gębą majętność; a jakie gospodarstwo zaprowadziłem, jakie stado! Bo to wszystko nie ojcowizna, ale moja praca. Ja, Moci Panie, faber suae fortunae, po ojcu piędzi ziemi niedostałem, wszystko nabytek z kieszeni i z głowy. Waść, jak widzę, znasz mój Ochmatów, — piękny kawał ziemi, nie ma co mówić; ale pojedź-no Waść do Inflant, zaczep kołem o moje Starostwo Fellińskie, to powiesz że i Ochmatów w jego porównaniu jest bzdurstwem. Jak wpadniesz w moje Starostwo, jedziesz, jedziesz a z niego wyjechać niemożesz. A czego się nie domyślisz, o tém się tam niedowiesz, bo same Łotysze — z niemi ani mowy, ani rozmo-

wy. O to dopiero złote jabłko! Ortynki hollenderskie płyną. Moja żona, a Waścina pani, wiesz jaka gospodyni.

A jakże niewiem, JW. Panie; wszakże to ona mnie zainstrumentowała w Kosmyrzowie. Jaśnie Wielmożna Starościna, co to za pani sprawiedliwa! a jaka czynna, jak zapobiegliwa! jedném słowem jaka gospodyni; Takiéj żony nie tyle Panu, ile szlachcicowi potrzeba, bo z nią może być pewnym, że po śmierci, dziatki o kiju za chlebem nie pójdą.

— To prawda, Moci Panie, kobieta pojętna, bo na wielkim dworze wychowana — u krewnéj swojéj, JW. Tęczyńskiéj; do czego innego niż do gospodarstwa ją sposobiono; ale przy mnie nauczyła się roli pilnować, że już na nią we wszystkiém spuścić się mogę. A choć mam porozrzucane dobra, skarżyć się nie mogę — przy mojém i żony staraniu jakoś to idzie.

— A czy Jaśnie Państwo kontenci z rządzcy ich dóbr na Rusi?

— Przecie tam pałamaruje Swiryd, z mojéj ręki, niegdyś mój giermek, pokąd niedorobilem się własnéj ziemi: — z tamecznych stron, bo to libertowany chłop z Hrabstwa Kalnickiego; zna się na gospodarstwie Ukrainskiem, i umie się obchodzić z poddaństwem. Bo, widzi Waść, Rusin nie tak potulny jak Mazur, — jak mu dokuczyć to zaraz ucieka na step, i jeszcze gotów Tatarów naprowadzić na dwór; a u niego nikt nie ucieka, owszem przybywają cudzy, i dwie słobod nowych założył: jedną nazwał Zdoryszcze, a drugą Barbarką, żeby i mnie i mojéj żonie pochlebić. Jednak mam to na sumieniu, że nie szlachcicowi powierzyłem zarząd moich poddanych. Ale jakoś się to zrobiło z potrzeby; ile że miałem nadzieję że jemu u Hetmana wyrobię szlachectwo ex charta belli, jeżeli na to zasłuży.

— I jakże, JW. Panie? pomimo tak wysokiéj protekcji ten zaszczyt mógł go ominąć?

— Bo głupi, zwyczajnie cham. Ja się nim opiekował jak kim dobrym, wtedy kiedy on składał całkowity mój dwór. Wyuczyłem go robić szablą, a tak go wprawiłem, do topora, że sam ledwo bym mu dał radę; — a chłopisko

śmiałe, — bo widziałem go kilka razy w potrzebie; pomyślałem sobie: to już naśliniony szlachcic, byle tylko wojna, to i herbu się dorobi. Ale że wojny nie było, więc, przez wzgląd na jego zasługi, powierzyło mu się gospodarstwo, do czego pokazał się zdatnym. Od tego zaczął że się ożenił z jakąś popadzianką, ale tak rozdajną, że mu co roku coś przybywa, a czasem dwoje razem, a nic nie ubywa. Owoż tedy, Król Jegomość nim do Polski przybył, już mnie wyprawił z pieniędzmi dla wysztyftowania nowéj Chorągwi. Po drodze zawitałem do mojego Ochmatowa, i w jego okolicach nie mało koni nabyłem, i nawerbowałem odrobinę szlachty lub niby szlachty. Mówię tedy Swirydowi: idziemy na wojnę, rzuć to wszystko, a weź szablę i topor, ja ciebie wpiszę do regestru, i aby przepałka, ani sie spostrzeżesz, trutniu, jak z ciebie wyrośnie szlachcic. Ale cóż chamska natura — ani go odciągnąć od gryczanéj kaszy; wolał kluski zajadać z swoją dzieciarnią, niż za Dźwiną guzy zadawać i wykierować siebie na człowieka. A że, jak na chama, jest poczciwy, i ma u mnie swoje zasługi, nieodbieram mu chleba. — A, przecie sprawił się zgrabnie z moją czupryną! Masz, za fatygę; a Waść, Moci Panie Szerszeniu, do roboty.

Już dwa wiadra wody były przygotowane w sieniach. Pan Starosta wedle swojego zwyczaju zrzucił hajdawery i koszulę, słudzy obydwa wiadra wypróżnili na jego głowie.

Teraz orzeźwiony jestem zupełnie po niewczasach podróży, rzekł Pan Ezechiel, obcierając się; ubieraj; Szerszeniu, swojego Pana.

Wzięli się do niego słudzy, i przestrojenie dość spokojnie się odbyło; jednak kiedy przyszło do pasa, za każdem szarpnięciem, z kolei to Szerszeń, to Kotficz, odbierali laconiczne dowody pańskiéj niecierpliwości. Stanął nakoniec w całéj okazałości, przyczepił szablę u boku, i muskając wąsa przed zwierciadełkiem rzekł do nich.

Jeden z was niech w domu zostanie, oto naprzykład Waść, Moci Panie Kotficzu, i miéj zwierzchność nad ludźmi. A Waść, Szerszeniu, ubierz się porządnie, i ze mną ruszaj do Wojewody, bo mnie nie wypada pokazać się bez

assystencji. Dwóch pachołkow moich weźmiesz z sobą: jeden siądzie obok woźnicy, a drugi z tyłu uczepi się do kolebki. Weźmiesz z sobą moją drugą szablę, tę którą w podróży nosiłem przy sobie, ona niepokaźna, ale doświadczona, nie tak jak ta, co bogata, ale w któréj cnotę nie bardzo wierzę. I nie zapomnij mojego topora, to nie zawadzi; bo choć to człowiek idzie w gościnę, kto może przewidzieć co ma być, lub niebyć. A nuż przyjdzie do jakiéj burdy, na każdy wypadek trzeba być opatrzonym. Otoż, Mości Szerszeniu, jak staniém przed kamienicą Wojewody, Waść odeszlesz pojazd do domu, a Pan Kotficz zaraz po dziesiątéj go wyprawi do nas. A moich pachołków postawisz w sieniach między usługą, jeden niech trzyma w ręku moją łoźną szablę, a drugi topor; i jak im wybierzesz miejsce, żeby żaden z nich z niego o krok nie ruszył. A Waść za mną pójdziesz na pokoje, tam się napatrzysz na oblicza Panów Rady, i niemi jako szlachcic nacieszysz się. Ale często wymykaj się z pokojów do sieni, żeby pachołki nie zasypiali. Waści służby nie potrzeba uczyć.

Wszystko się zadość uczyniło jego woli. Zajechała kolebka przed gankiem, pochołki stanęli porządnie odziani w stroju węgierskim, a Pan Szerszeń w paradnym swoim ubiorze pokazał się nie jak okurzony armigier, ale jak obywatel osiadły, z wymuskaną czupryną, z pasem litym, a kontuszem krzyczącéj barwy. Siadł Pan Ezechiel do kolebki, kontent z siebie i z swoich sług, jednak z wielką ostrożnością, żeby safianowych obuwiów niepowalać; a za pozwoleniem pańskiem, siadł Pan Szerszeń po jego lewicy; woźnica trzasnął z bicza, i wkrótce potem kolebka zatrzymała się na Floryańskiéj ulicy, przed kamienicą Wojewody Podolskiego. Wyskoczył pierwszy z pojazdu Szerszeń, żeby swojemu panu pomódz do wyjścia; po czém, postawił pachołków, obrawszy dla nich miejsce. Ale tu jego służebnictwo się skończyło. Wedle staropolskiego obyczaju, już nie jak sługa, ale jako szlachcic równy rodowitością swojemu panu, poszedł z nim przez schody na pokoje, gdzie

już zebrani byli krewni, słudzy i przyjaciele najściślejsi Wojewody, oczekując innych gości.

Jak tylko gospodarz spostrzegł na progu Pana Ezechiela, wyszedł ku podwojom, żeby go powitać.

— Szanownego Starostę Fellińskiego, drogiego kolegę, witam, — rzekł kłaniając się.

— Staję na rozkaz JW. Wojewody, i ośmielam się mu przedstawić Pana Szerszenia, szlachcica z Xięztwa Oświecimskiego, który z łaski swojéj przy mnie bawi, a z którego usług korzystam.

— Kłaniam się Waściom, Mości Panowie Szerszeń: — znane mi to nazwisko. Bo kiedy jeszcze byłem towarzyszem, uciekłszy ze szkół, to kolegowałem z jednym Szerszeniem któremu imie było Jacek. Był z niego wielki koniarz, a nawet znał konowalstwo. Mój wuj Xiądz Ligęza, Opat Wachocki, darował mnie parę koni do zaprzęgu — mierzynki bułane, grubopłaskie, niezgorsze, a dla mnie bardzo drogie: bo nieboszczka matka gniewała się na mnie żem szkół niedokończył, i nic mnie niedawała na sustentację. Owoż tedy, pokazał się na moich konikach tylczak... To szczęście że cała Chorągiew od nich się nie zaraziła: — o to dopiéro byłaby bieda ze mną!... Myślę sobie — żal, ale coż robić.., Wołam luzaka, i mówię mu: wyprowadź to ścierwo za miasto, jednemu i drugiemu daj toporem po łbie, a skórę na nich zostaw: może się podoba jakiemu Niemcowi, niechże mu służy: — bo to się działo w Kwidzynie pod Gdańskiem. A że to się mówiło w przytomności Pana Jacka Szerszenia — który zwyczajnie jak kolega zaszedł do mnie na ciepłe piwko — ten się odezwał: poczekaj! nie tak gorąco brać rzeczy niech-no ja obaczę te konie. Poszedł do stajni, konie opatrzył, i powiedział: spuść się na mnie, Panie Wojewodzicu, nic się tym koniom nie stanie. I w saméj rzeczy wyleczył ich, że więcéj dwóch lat niemi jeździłem; a potém darowałem je Xiędzu Łojce, kapelanowi mojéj matki — za to że kiedy moja matka bywało narzeka na mnie, on zawsze jakimś dobrém słowém starał się ją mitygować. I ztąd zawiązała się przyjaźń między Panem Szerszeniem a mną — Ale to dawne rzeczy! może Waści ojca jeszcze nie-

było na świecie. Waść powinieneś być z tych samych co i on Szerszeniów, bo i Pan Jacek, ile sobie przypominam, był z okolic Oświecima.

— Był to brat rodzony mojego dziada, JW. Panie. Ale co się z nim zrobiło niewiadomo — jak mawiał nieboszczyk mój ojciec — Szerszeń co opuścił Szerszenie pod Oświecimem, niema czego do nich powracać. Tam cała wieś z samych Szerszeniów; my charłaki syn po ojcu, żaden z nas własnego chleba niema dosytu, i musi cudzy chleb jeść, żeby nie być głodnym. I mój dziad co miał szczęście być JW. Panu znanym, wyszedł z domu na luzaka, nim jakimś cudem wykierował siebie na Towarzysza. A co do mnie, Bóg niewypuścił mnie z swojéj opieki, kiedy mi dał pana który o mnie pamięta, a któremu drugim nawrotem służę.

— Winszuje wam obu — jednemu pana, drugiemu sługi. My szlachta sobie na wzajem służymy, nie tylko z potrzeby, ale z przyjaźni — No, Panowie bracia, proszę się rozgościć i odpasać szable. Bo to ja nielubię patrzyć na gości uzbrojonych Wszak pokój w ojczyznie całéj, do któréj należy i mój dom — Mości Panie Tyrawski, proszę do siebie.

Przybliżył się stary szlachcic.

— To Pan Wojski Latyczowski — przecie znany Waszmości, Mości Panie Starosto Felliński. To mój kolega szkolny — on to mnie namówił żebym z nim uciekł ze szkół.

— O, o, — to Jaśnie Wielmożny Pan mnie do tego namówił; Pana do swawoli namawiać nie trzeba było.

— Oj! Waszeć! i dziś byś rad swawolić: tylko nogi niesłużą, ale głowa zawsze młoda — On chciał od żony na wojnę uciekać, i z nami za Dźwiną dokazywać — A roku przeszłego prowadziłem jego żonę, a moją wielką dobrodzikę do powtórnego ślubu z tym Panem młodym! Ale szlachta Latyczowska z niego zażartowała: bo gdy zawakowało Wojskowstwo, zarekomendowała go do Króla Jegomości; który przychylając się do jéj woli, mianował go wojskim. Rad nie rad, musiał w domu pozostać, i pilnować żon cudzych i swojéj własnéj! A teraz, z łaski swojéj, trudni się zwierzchnością nad moim dworem — Oto jest Pan Szerszeń — dworzanin Pana Statosty Fellińskiego, starodawny szlachcic

z Oświecimskiego Xięztwa: — proszę mieć o nim pamięć — żeby był syt, i wesół. A że wszystkich u siebie aresztuję — no, Mości Panie Starosto, i Waszeć, Panie Szerszeń proszę się rozpasać.

— Ale, JW. Wojewodo, jak-że mnie chodzić bez szabli, kiedy widzę szablę u boku JW. Pana.

— Ja, gospodarz, przyjmuję łaskawych gości — jak-że mogę przywitać i przyjmować znakomitych mężów, bez szabli? Ale Waszmości żal rozstać się z bogatą szabelką, — nie bój się, nie przepadnie u mnie: Pan Wojski opiekuje się wszystkiemi gościnnemi szablami, i do każdej doczepi nazwisko właściciela, — to roboczy człowiek!

Potém schyliwszy się do ucha Pana Ezechiela, powiedział mu cichym głosem.

— Widzisz Waszmość, że tu pomimo etykiety, i interes zachodzi. U mnie wszyscy się zbierają, i niewszyscy jedni dla drugich życzliwi. Kaduk wniosł i Samusia — Już-ci trudno mnie wujowi, nieprzyjąć go u siebie — Choć on tu potrzebny, jak piąte koło u wozu. Ani mu to w głowie że się spotkać może z naszym Kanclerzem — Starostą Krakowskim; który lada-chwila, z łaski swojéj, do mnie przybędzie. Niespodziewam się żeby Pan Kanclerz chciał mnie krzywdzić w moim własnym domu — On uda że go nie poznał. Ale nuż Samuś zechce gwałtém wdzierać się w jego oczy. Będzie dość biedy, choć szabli u boku niepoczuje — Czy rozumiesz mnie? Nieuwierzysz jak mi kością w gardle stoją ci Zborowscy — wolałbym nie być ich krewnym!

Pan Ezechiel odpasał szablę; a Szerszeń także bez szabli poszedł z Marszałkiem dworu, zabierać znajomości z dworzanami.

Pan Ezechiel zaczął zalecać się swoim dawnym znajomym. Pan Marszałek Koronny dość oziemble go przywitał, ale Pan Samuel podał mu dłoń życzliwie. Co go ośmieliło wysunąć się z nim trochę opodal od gości, by rozpocząć z nim poufalszą rozmowę.

— Widziałem dopiéro Pana Kazimierza, — zaczął: — po-

żegnał mnie na długo, bo już był tak jak na wsiadaném do Zaporoża.

— Pan Mroczek już dawno odemnie odstąpił: ani pamięta o naszéj kiedyś tam przyjaźni.

— A! Panie, nie godzi się tak mówić. On! zapomniał o dawnéj przyjaźni! Wszak żegnając się zemną, jeszcze mnie polecił żebym czuwał nad życiem Pańskiem, o ile to może się zgadzać z moją powinnością, bo go widzi otoczonym niebezpieczeństwy, które, i jakkolwiek je lekce ważysz, są przecie rzeczywiste.

— Dla czegoż, nieproszeni, upieracie się brać mnie w swoją opiekę. Czyście niemieli czasu mnie poznać, że przypuszczacie iż jest na świecie taki, któryby zdołał w mojém sercu wzniecić obawę. Ten nikczemny Zamojski, który podłością doszedł do pierwszych w kraju zaszczytów; który wyzuł mnie z jedynego szczęścia, do którego dążyłem — a to, usypiając mnie kłamaną przyjaźnią; śmiał wysłać do mnie Mroczka, żeby mnie namawiał do sromotnéj ucieczki! Nienawiść ku mnie, obawę mojéj zemsty, usiłuje pokryć powagą urzędu, miłością prawa. Ostrzega mnie jako dawny przyjaciel, grozi jako Starosta; myśląc, że Samuelem gwoli obracać będzie! Lecz niech się nie wynosi. Ja mu dowiodę że nie on dla mnie, ale ja dla niego jestem straszny.

— Panie, to nie sprawa z Panem Zamojskim samym — Ja wiém, że gdyby to się dało roztrzygnąć szablą, czy kopiją: choć Pan Zamojski jest mężnym rycerzém, Pańskie byłoby z nim na wierzchu. Ale on wyzwania na rękę nieprzyjmie; on będzie się wymawiał tém, że do sądu Bożego, Pan jako ostatecznie osądzony, niemasz prawa się odwoływać; on na przeciw Pana nie toporem, nie tarczą, ale gotowym wyrokiem się zastawi, i wymówi się tém, że przysięgą obowiązał się, wyroki wszelkie do wykonania doprowadzić — Prawo jak wół. Wszak sam jestem Starostą. W oddalonych Starostwach, można z exekucją wyroków pozwolić sobie czasem i siak i tak: a jednak, gdyby Pan, niezdjąwszy z siebie banicyi, chciał zamieszkać w Fellinie, prosiłbym go na klęczkach żeby mnie téj krzywdy nie robił. A cóż dopiero w Stolicy Państwa, pod bokiem Najjaśniejszego Pana!

Coby to świat powiedział, żeby Pan Zamojski pozwolił Panu tu przebywać — Niech Pan wnijdzie w jego położenie, i na złe nie tłumaczy że jeszcze Pana ostrzega. Dalibóg, żeby kto inny a nie Pan, dawno był-by schwytany.

— Ciekawy jestem wiedzieć, kto się tu odważy mnie schwytać. Ja drwię z jego władzy Starościńskiéj. Waszmość Panie Ezechielu, jesteś obałamucony, tak jak nim jest Pan Mroczek. Niewidzisz że ten bakałarz, pozorem jakiejś życzliwości dla mnie, zasłania własną bojaźń — Ale wkrótce obaczysz, że nie on o moim, ale ja o jego losie stanowić będę.

— Mój mocny Boże! co też się Panu roi — I ja nie tchórz, a jednak strzeż mnie Boże, żeby Pan Kanclerz miał chrapkę na moje gardło: bo-bym zginął jak ruda mysz — Co Pan dufasz w swoich krewnych, i w kilku magnatach nieżyczliwych Panu Zamojskiemu. Wszakże on ma po sobie całą szlachtę, która cieszyć się będzie z upokorzenia ciężącego na jej równość domu. Przecie to z samym Królem sprawa — z Królem, jakiemu w potędze dawno nie było w Polsce równego. Gdyby magnaci odważyli się zbrojnie popierać zgwałcenie praw ojczyzny, większa część szlachty w ich milicyach służącéj, natychmiast-by ich opuściła. Co-to, przelewki? porywać się na szlachtę, i kwarcianego żołnierza, którego pełno w Krakowie. A czyż to bunt nie gardłowa rzecz? Komuż to świat tak nie miły, żeby w czasie ulewy pod rynwą stanąć? Magnaci niektórzy zazdroszczą Panu Kanclerzowi wziętości u Króla — nic dziwnego, że kiedy Pan i bracia Pańscy, naprzeciwko niego, i choćby na samego Króla podnosicie języki, temu potakują; ale jeżeliby przyszło do dzieła, żaden z nich niedopisze. I, jak Pan mimo siebie puścisz przestrogi, choć samego Pana Zamojskiego, i nie opuścisz miasta pokąd masz porę: a Pan Zamojski nakoniec rozkaże swoim, Pana zanieść do Zamku; nie wiele znajdziesz takich magnatów coby zaryzykowali swoje mieszkanie, dając jemu przytułek — Któżby się obawiał nieszczęścia, żeby przyjaciele od nieszczęśliwego nieuciekali?

— Prawdziwie, mozgownice wam jakiś czart poprzewra-

cał. Szkoda że wasze posłannictwa skutku pożądanego nie otrzymują; — choć bardzo wymównie przemawiacie. Widać że wielki bakałarz was wyprawił, i że jego nauka w las nie poszła. Ale to napróżno, żaden bakałarz niezdoła mnie nauczać żebym się lękał takiego co wart szacunku, a cóż dopiero takiego którym pogardzam.

— Panu się zdaje, że my zauszniki Pana Kanclerza; a dowody naszéj życzliwości, uważasz być skutkiem obłudnéj namowy. Na honor rycerski, na rodosłowne godło mojéj tarczy, klnę się że tak nie jest. Szanuję Pana Kanclerza: z tém się nie taję, bo wart tego; ale żadnych dla niego niemam obowiązków osobistych. Nie z jego, ale z Króla łaski jestem Starostą. A dla Pana mam wdzięczność, i niosę mu przywiązanie. Któż wątpić może o waleczności Pańskiéj? znanéj Koronie i Litwie. A ja który miałem zaszczyt podwakroć z Panem się potykać, mniéj niż ktokolwiek. Ale kiedy miecz prawa nad nim wisi, odwoływanie do własnego oręża już miejsca niema — Posłuchaj mnie, Panie, wynieś się z tych stron, a starania twoich braci, twoich krewnych, tylu przyjaciół, muszą nakoniec wyjednać, eliminacyę uciążliwego dla ciebie a ich samych krzywdzącego wyroku. Wtedy będzie pora szukać zaczepki z Panem Kanclerzem — on jako rycerz, będzie zmuszony stanąć na zawołanie; ale dziś!

— Dość tego, Mości Panie Starosto. Dziękuję mu za rady ale go upraszam żeby się nadal nie zajmował mojém przeznaczeniem.

I odszedł od niego, a przybliżył się do Barona Winricha, który o kilka kroków od nich, patrzał na ich rozmowę, z widoczną niespokojnością. Pan Samuel wziął go pod ramię, i oba z sobą cicho zaczęli rozmawiać.

— Niechże się z tobą dzieje jak Panu Bogu się podoba, kiedy nieumiesz się poznać na prawdziwych swoich przyjaciołach, — rzekł do siebie Pan Ezechiel. — Cieszże się z swoim Niemcem, ale żebyś tego nie żałował.

Poczem wcisnął się w grupę gdzie réj wodził Pan Hrabia z Górki, Wojewoda Poznański.

Jeden po drugim brał na język Pana Kanclerza, — bo

Pan Wojewoda Podolski, który jako gospodarz nigdy by niepozwolił na niczyje szkalowanie w swoim domu, był na przeciwnoległym końcu sali, i rozmawiał z Xięciem Biskupem Płockim, z którym najściślejsza przyjaźń go łączyła; — całkowity żywot Kanclerza nicowano: aż zaczynał się oburzać Pan Ezechiel, i już się zabierał odezwać, kiedy raptem podwoje się rozwarły, i wszedł Pan Kanclerz w assystencji kilku obywatelów, swoich domowników.

Wojewoda Podolski przyskoczył do niego najpierwszy, jako gospodarz, a za jego przykładem wszyscy hurmem cisnęli się żeby powitać dostojnego gościa. Musiał przebić się przez ten tuman pochlebnych zwrotów, oświadczeń uwielbienia i życzliwości, nim posunął się na środek sali. A ci którzy go dopiero łżyli, najwięcéj się odznaczali swojemi panegirykami.

Wkrótce potém, gospodarz nalał puhar, i spełnił zdrowie Kanclerza w ręce Xięcia Biskupa Płockiego; wprzódy wynurzając w krótkiéj mowie, radość, iż w domku swoim przyjmuje męża, którego miłuje jako przyjaciel, a którego czci jako obywatel. To co powiedział może nie było piękne wedle prawideł retoryki, ale było wdzięczne, bo pochodziło z szczerości serca.

Kielich poszedł po gościach.

Gościnne przyjęcie Kanclerza, zapał wszystkich przytomnych do spełnienia kielicha za jego zdrowie, sama powaga uwieńczonego sławą i zasługami sędziwego gospodarza: rokowały mile wszczynającéj się zabawie, że niczém zachmurzoną nie zostanie.

Zauważano że kiedy między innymi, i Pan Samuel stanął w bliskości Pana Zamojskiego, ten, jak to przewidywał pan Wojewoda Podolski, udał że go niepoznał. Ale kiedy, kielich z rąk do rąk przechodząc, dostał się nakoniec Panu Ligęzie, Stolnikowi Krakowskiemu, a gorliwemu stronnikowi Kanclerza: ten widząc obok siebie stojącego Pana Samuela, wypił w jego ręce zdrowie Kanclerza, i nalawszy kielich jemu go podał.

— Ja nieprzyjmuję kielicha skalanego nazwiskiem po-

dłego człowieka, — odezwał się Pan Samuel, w najwyższém uniesieniu.

Na te słowa powstał powszechny szmer nieukontentowania.

— Nie udawaj, Mości Panie Zamojski, że mnie niepoznajesz, — przedłużył w zapamiętaniu, — ja jestem Samuel Zborowski, któremu wydarłeś szczęście, a któremu przez zauszników swoich knsiłeś się odebrać sławę. Myślałeś że w mojem sercu zdołasz wzniecić obawę — otoż widzisz mnie przed sobą szydzącego z twoich pogróżek.

— Co to jest! — krzyknął Pan Wojewoda; — Waść chcesz mnie krzywdzić w moim własnym domu? ale ja siebie skrzywdzić nie dam. Idź-że Waść precz ztąd, do kroć-set djabłów, kiedy nie umiesz znachodzić się w poczciwém towarzystwie.

— Panie Wojewodo, rzekł Pan Zamojski spokojnie, — ani myśl żebym się na Waszmości obrażał, za to co mnie w jego domu spotyka. — Gdzie indziéj inną by odpowiedź otrzymał Pan Zborowski, który w położeniu swojém nikogo obrażać nie może. Ale tyle czci i szacunku czuję dla Waszmości, mój miły kolego, że dla nich poświęcę nawet obowiązki urzędnika. Nie zrobię mu téj krzywdy, żeby w jego domu, uwięzić winowajcę który w nim jako u krewnego znalazł przystęp. Może nawet wyjść spokojnie, bo do jutrzejszego południa, ścigać go nie będą: ale ostrzegam, że po południu, biada mu jeżeli jeszcze odważy się zostawać w tym obrębie, gdzie z woli prawa rozkazy daję.

— Co ja przed tobą mam się skrywać. Jeżeli jesteś szlachcicem, jeżeli prawa rycerskie mają u ciebie jakieś znaczenie, jeżeli nie chcesz żebym ciebie w kraju i za krajem ogłosił za podłego: wychódź ze mną na ostre.

I rzucił rękawicę u stóp Kanclerza.

— Cóż? nie odważasz się jéj podjąć? o! wiém że urzędem tchórzostwo swoje będziesz zasłaniał!

— A! to już za nadto, — odezwał się Pan Łętowski, Podstarosta Krakowski. — Delinkwent śmie żądać żeby sędzia stawał z nim w szranki, żeby cześć na równi mierzyła się ze zbrodnią. Mamy w wieży zamkowéj kilkunastu

podobnych bohaterów, którzyby także radzi popisem w pojedyńczym boju, zakończyć popisy dokonane na wielkich gościńcach. Ale wkrótce będą oni się potykali z bohaterem prawem przeznaczonym na podobnych rycerzów — Mości Kanclerzu! wola Pańska imać lub nie tego zbrodniarza: bo w przytomności Pańskiéj moja powaga nic nie znaczy: ale ani Panu, ani mnie, ani żadnemu poczciwemu szlachcicowi niegodzi się przebywać tam, gdzie banici zagłuszają głos prawa, i gdzie najwyższa juryzdykcyja wykonawcza nie jest bezpieczną.

Pan Samuel zapieniony wściekłością; chciał się do nich posunąć, ale już chmura gości go od nich przegrodziła.

Wyszedł Pan Zamojski z Panem Łętowskim, a za nimi wszyscy żeby Kanclerzowi assystować do pojazdu. Żaden z tych nawet co dopiero przeciw niemu tak powstawał, nie śmiał pozostać z Panem Samuelem, każdy owszem się wypierał jego przed Kanclerzem, tak ich nastraszyły ostatnie słowa Podstarosty.

I Pan Ezechiel co najrychléj ze swoim Szerszeniem dostali się do czekającéj na nich kolebki.

Jedni tylko bracia Pana Samuela, i Pan Winrych, jego nie odstąpili, i nie bez trudności uwieźli go z sobą do swojéj kamienicy.

W niej niedługo bawił.

Jako wszyscy co nieprzywykli walczyć z namiętnościami; po wybuchnięciu gwałtownega gniewu, zapadł w jakieś otrętwienie; już się niczemu ani chciał, ani umiał opierać. Dał się tedy wsadzić do zamkniętéj kolasy, która go pod strażą wywiozła do klasztoru Kamedułow w Bielanach, klasztoru szczególnie obdarzonego szczodrotą przodków Pana Samuela; i tam miał zostawać, aż do nowych rozporządzeń Marszałka Koronnego.

XX.

Klasztorem zakonników Bielańskich rządził — Ojciec Bruno z Syrokomli.

Rodzic jego, waleczny rycerz i wierny sługa Króla Kazimierza, już nieco będąc podżyłym, po tylu trudach dla ojczyzny poniesionych, przybył do spadkowego po przodkach swoich zamku, żeby w nim ukryć resztę swojego żywota. A że jeszcze był czerstwym, pojął cnotliwą małżonkę z domu zacnego choć ubogiego, ażeby po jego śmierci, za rozkazem Królewskim, było komu wychodzić na Pospolite Ruszenie z zamku Syrokomelskiego.

Obu małżonkom, jednejże nocy we śnie pokazał się sędziwy starzec, w bieli, z głową jaśniejącą w świętokręgu; który im oznajmił że w ciągu roku Bóg ich obdarzy synem, który kiedyś do najwyższych dójdzie zaszczytów.

W tym że roku urodził się im chłopiec, któremu dali na chrzcie imie Bogdan.

Wzrastał jedynak u rodziców dla ich pociechy, a oni pamiętni na sen, wychowywali jego starownie dla Polski: w pewności, że jak wyjdzie z wieku dziecinnego, rozpocznie świetny zawód, który go doprowadzi do zapowiedzianéj świetnej przyszłości.

Gdy pięknemu Bogdankowi kończył się rok dziesiąty, rodzice zawieźli go do Krakowa żeby go pokazać Królowi. Ale kiedy wkrótce po swojém przybyciu, w kościele katedralnym, brali udział w Świętych Tajemnicach, a Św. Jan Kapistran opowiadał Słowo Boże; kiedy święty mąż zaczął

wystawiać szczęście przygotowane od Boga tym którzy dla niego opuszczają wszystkie znikome ponęty świata: ten obraz Łaską Najwyższą napiętnowawszy się w umyśle dziecka, natchnął go niczém nieprzełomną ochotą do życia zakonnego; a nic nie mając tajnego przed rodzicami, postanowienie swoje im odkrył. Rodzice łzami się zaleli, błagając chłopca żeby ich nieopuszczał. Chłopiec niedał siebie poruszyć, owszem Bogu dziękował, że mu pozwala z najtkliwszego uczucia zrobić ofiarę; i nie mogąc wyjednać zezwolenia rodziców, uciekł niewiedząc gdzie i dokąd idzie, spuszczając się na Opatrzność, a ta go zaprowadziła do Bielan.

Tam przybywszy, poszedł do przełożonego, i padł mu do nóg, błagając ze łzami, żeby go wyratował od sideł świata.

I wstąpił do nowicjatu.

Ale to się utaić nie mogło. Rodzice strapieni, dowiedziawszy się gdzie ich jedynak przebywa, puścili się do Bielan; gdzie wedle owczesnego obyczaju, zaczęli od tego iż weszli do kościoła, żeby najpierwéj uczcić Pana nad Pany, i uprosić od Niego porady. Lecz jakież było ich zadziwienie, kiedy patrząc na wizerunek Św. Romualda, Patryarchy Kamedułów, poznali w nim tegoż samego starca, który się im przed dziesięciu laty ukazał. Poznali więc wolę Boga, i jakie zaszczyty przeznacza ich dziecku. I już téj woli nie tylko że się nieopierali, ale pobłogosławili syna i pożegnali się z nim, z uczuciem rzewném, wszakże nie bez jakiejś boleści serca.

Bogdan przy professji przyjął imie Bruno. Od wnijścia swojego do klasztoru, nigdy już z niego ani o krok nie wyszedł. Zatopiony w miłości Boga i bliźnich, taki sobie u braci zyskał szacunek, że jeszcze nie miał lat trzydziestu, kiedy go uprosili żeby raczył przyjąć przełożeństwo nad nimi; i już od pięćdziesięciu lat, bez przerwy, pasł świątobliwą trzodkę na pastwiskach Bożych. Był mężem głęboko uczonym, bo naukę swoją czerpał nie jedynie z xiążek, ani z wielomostwa ludzkiego, ale ze źródła prawdziwéj mądrości — z podnoża Krzyża; bo wysłużył był so-

bie u Boga najwyższy dar jaki otrzymać może śmiertelny — dar modlitwy: bez którego może być jakaś uczoność pozorna, ale mądrości nie będzie. Był przyjemny w obcowaniu, bo miłując Boga nad wszystko, w każdym człowieku szanował obraz i podobieństwo Jego: był łagodnym w prostowaniu mniemań odwiecznéj Prawdzie przeciwnych, bo miał wiarę w téj Prawdzie, a tém samém o nią się nie lękał: był wspaniałym i szczytnym w postępkach, bo lubo uroczystym ślubem wyrzekł się wszystkich korzyści swieckich tego szlachectwa co go krwią odziedziczył po przodkach, sam duch rodowy istniał w nim nieskazitelnie, hartując siebie w tém ognisku, z którego wziął początek.

Kiedy Pan Samuel przywieziony do klasztoru Bielańskiego, stanął przed Ojcem Brunonem, ten w uprzejmém przyjęciu swojém, nie zdawał się wiedziec że widzi dyssydenta, nieprzyjaciela jego wyznania: ale okazał się przejętym wdzięcznością dla potomka dobroczyńców tych samotników, których prowadził drogą zbawienia. Znarowiony tém wychowaniem i rozproszonym żywotem, Pan Samuel na widok pierwszy okapturzonego starca niemógł przezwyciężyć uczucia wstrętu. Ale wkrótce, niewypowiedziana pogoda jego oblicza i czarująca słodycz jego rozmowy stopniami do ufności przywabiały jego duszę. Wielce go zadziwiało i wyrozumienie starca na błędy, od których sam zdołał się ochronić, trafna znajomość ludzi w człowieku który ledwo że wyszedł z dzieciństwa, a już na zawsze opuścił towarzystwo ludzi.

Dwa dni nieupłynęło, a kolejno rozmowy z Ojcem Brunonem, przypatrywanie się ciągłemu nabożeństwu zakonników, i przechadzki po ogrodzie klasztornym, zaludnionym najpiękniejszemi roślinami, a z którego widok rozciągał się po malowniczych brzegach Wisły: wszystko to przygotowało jego duszę do jakichś błogich wrażeń, do jakiegoś pokoju, o których dotąd, skołatana burzliwémi żądzami świata, wyobrażenia nie miała.

Trzeciego dnia swojego pobytu, jednego poranku, kiedy jeszcze walczył ze snem, wpół ocucony pierwszemi blaskami słońca, przeszywającemi się przez okienice jego celi:

drzwi się otworzyły i ujrzał przy łóżku swojém rycerza uzbrojonego ale z podniesioną kratą — Poznał Ezechiela Zdorę, zerwał się z pościeli, i powitał jego uprzejmie. Wszakże, powiedział mu z uśmiechem.

— A cóż to, Mości Starosto, — czy nie z rozkazu Pana Zamojskiego, przybyłeś mnie imać?

— Może być że on mnie do Pana posłał, ale to pewna że nie w zgubnym zamiarze dla niego.

I jak żeś się dowiedział że mnie znaleźć można w Bielanach?

— Mój Boże! co to Pan myślisz że teraz coś się da utaić przed ludźmi! Pan Kanclerz musi dobrze o tém wiedzieć kiedy mnie tu do niego wyprawił.

— A w jakim celu?

— Zawsze w tym samym, żeby Pana skłonić do najrychlejszego opuszczenia tych stron, a jego samego tém uwolnić, od tego co dopełnić będzie musiał, a co uważa być nieszczęściem dla siebie. Wszakże do granic Państwa Rzymskiego blisko: cała ta okolica jest napełniona żołnierzem uzbrojonym który go szuka, a właśnie z rozporządzenia Kanclerza ta strona, przez którą Pan możesz się dostać do Szląska, jest zupełnie swobodna.

— Coś mój pobyt, za bardzo dokucza Panu Zamojskiemu.

— Pan to kładziesz na rachunek jego bojaźni, a tak nie jest. Jakiego djabła ma się obawiać Pan Kanclerz: on ma lwią siłę: my wszyscy pod jego rozkazami. Ja pierwszy Pana i kocham i poważam, a dalibóg będę mu posłusznym. Wszakże ja przysiągł Królowi wierność nie tylko na mojém zbawieniu, ale nawet na honorze rycerskim. Co byś sam Pan o mnie powiedział żebym taką przysięgę złamał. A Pańscy przyjaciele, co tak się na Pana Kanclerza odgrażali! jak Pana niestało, tak mu dokuczają swojemi oświadczeniami, że sobie rady dać nie może. Dobrze porachowawszy się, pokaże się, że oprócz braci Pańskich i ich dworzan — i to nie wszystkich, nikt po szczéremu głowy swojéj niezechce narażać. A Pan Wojewoda Podolski, niech

Bóg broni jak na Pana zażalony, za zniewagę w jego domu wyrządzoną Panu Kanclerzowi: z Panem Marszałkiem zerwał zupełnie, a o Panu ani słuchać niechce. — Posłuchaj Panie mojéj rady: pokądeś jeszcze cały, uciekaj co tchu na Szląsk — bo jutro już będzie za pózno.

— I Waszmość, tak waleczny rycerz, śmiesz mnie radzić to, czegoś-by pewnie sam nie uczynił!

— Ja? dalibóg ani-bym się wahał żebym był w skórze Pańskiéj — Może wstyd uciekać? a cóż to, przed jednym lub choć-by dziesięciu się ncieka? Ta to z całą ojczyzną, z Królem sprawa! A ktoby się ich nie nastraszył! — Dla Boga! Panie, korzystaj z przestrogi Pana Kanclerza. Wszakże kto wie, czy się z powinnością swoją nieominął, że ją Panu daje. Ja przyznam się Panu, że może na jego miejscu, nie był-bym tak miękkim, może-bym porozstawiał zasadzki w około klasztoru, żeby Pana uchwycić jak tylko z niego wyjdziesz — a Pana tu nie wiekować..

— Więc myślisz że Pan Zamojski tak mocno mnie miłuje, że nawet, dla mnie, przestępuje swoją powinność?

— I owszem; on Pana niecierpi, boś go najdotkliwiéj obraził; i właśnie dla tego że osobista krzywda wmięszała się do sprawy publicznéj, on się nie może porozumieć jaśnie z swojém sumieniem; — myśli sobie: jak ja jego schwycę, a gardłowo go ukarzę, to będą mówić nieżyczliwi że ja, bojąc się inaczéj wystąpić, jako urzędnik mszczę się za osobiste urazy.

— Daleko do mojego gardła!

— Ach! Panie — bliżéj niż się Panu zdaje. Ja choć jestem także Starostą Grodowym, sobie jednak niedowierzałem, ale, przez życzliwość dla Pana, radziłem się biegłych prawników. Wszyscy na jedno się godzą: że jeżeli zła godzina odda Pana w ręce Pana Starosty Krakowskiego, to choć-by tego niechciał, zmuszony będzie puścić go na rozprawę z tym potępieńcem, co to się czasem pokazuje w Zamku, ubrany czerwono jak upieczony rak. Bo prawo stoi jak wół.

— A więc mam kraj mój własny na zawsze opuścić?

— Za coż na zawsze? czas płaci, czas traci. Jakoś się da zrobić że dekret na Pana, eliminowanym zostanie — od czegoż przyjaciele? Sam Pan Zamojski będzie do tego dzwonił.

— A to co znowu!

— Nic dziwnego — Pan go wyzwałeś na rękę: już-ci sam Pan przyznaj że jemu z Panem jak teraz, niemożna iść na ostre. Odsądzono-by go od urzędów, a nawet od czci, żeby zamiast ścigania winowajców, bawił się z nimi po rycersku — Niech to Pana nie obraża — Ale jemu na sercu leży wyzwanie Pańskie. Wszak-to rycerz który dalibóg nikomu w dzielności nieustępuje; — to ja go nie dziesięć razy widziałem w potrzebie, a daj Boże! choć mnie, aż do śmierci nie lepiéj od niego dotrzymywać placu. On starać się będzie żeby mógł bez ubliżenia sobie, pokazać że się nie lęka, ani Pańskiéj kopii, ani Pańskiego miecza. On sam będzie chodził za Pańską sprawą, jak się wyniesiesz za granicę, a tam, o czém nie wątpię, nie będziesz nic knować nieuczciwego przeciwko ojczyznie — Wszakże nie taka u mnie głowa, żebym to co mowię wyssał z palca. Pan Kanclerz po części z tém się wymówił przedemną, a reszty się domyśliłem. Wierz mi Panie, że jeżeli masz ochotę, wywabić na rękę Pana Kanclerza, to uciekaj téj nocy jeszcze na Szląsk, — bo w dzień nie wypada — a ja zaręczam że po drodze niepotrzebnego niespotkasz. Nakoniec ja sam, gotów jestem Pana do granicy przeprowadzić.

— Wiesz co, Panie Ezechielu, to co mówisz trafia do mojego przekonania. Dziś około południa spodziewam się mojego Winrycha z mojemi końmi i ludźmi, a o samał dziesiętéj w nocy pójdę na Szląsk, i tam będę oczekiwéj mojego przeznaczenia; — jeżeli chcesz mnie tu dziś zastać, przybądź więc przed dziesiątą.

— Będę Panu służył, — masz Pan na to słowo rycerskie. Wracam do Krakowa, żeby się opowiedzieć przed Kanclerzem, i jeszcze się upewnić żeby między Bielanami a granicą, ani czat, ani patrolów nie było przed świtem — Ja Pana, jak powiedziałem tak i powtarzam, sam odprowadzę do granicy: a jak ją Pan przestąpisz, dopiero zacznę

go ścigać po całém Województwie Krakowskiém — Tylko ten Winrych który teraz Pańską ufność posiadł mnie niecieszy. Jabym nigdy Niemcowi nie wierzył.

— Ani się z tém odzywaj przedemną, Panie Ezechielu. Winrych jest walecznym rycerzem, z świetnéj krwi, tego samego co i my wyznania, i doświadczyłem jego ku sobie przywiązania.

— Ja o nim nic tak dalece złego niesłyszałem, to wiém tylko że mu niedobrze z oczu patrzy, i że ciągle bywa u Panie Kasztelanowéj Przemyślskiej o któréj wiedzą, jaką jest przyjaciołką Pańską.

— Wiém o tém, bo poczciwy Winrych niema nic dla mnie skrytego. Córka Pani Wapowskiéj zniewoliła jego serce; i uważam, że matki wola skłaniać się zaczyna do ośmielenia go o prośbę o jéj rękę, kiedy wiedząc o jego stosunkach zemną, przecie jemu nie wzbrania przystępu do siebie. Jak zostanie jéj zięciem, wtedy nic już niepostawi przeszkody dla mojego z nią pojednania — Teraz rozumiesz, Panie Ezechielu, dla czego tak często u niéj bywa?

— Wszystko to piękne, — wszelako, żeby zamiast tego Niemca Pan Kaźmierz był z Panem, byłoby bezpieczniéj — Z reszta ja będę przy Panu — Niemcowi nie dam zdradzić choć-by on wszystkie rozumy posiadł. I Pana przez granicę przeprowadzę. A co potém będzie, to już nie do mnie należy — Żegnam Pana — bo jest czém się zająć w Krakowie, a na wieczor trzeba być tu z powrótem.

Pan Samuel sam zostawszy, utwierdził siebie w przedsięwzięciu opuszczenia Polski. Nic w niéj nie zostawiał, po czém-by mógł rzeczywiście tęsknić. Nawet ta miłość którą czuł, a tak otwarcie wyznawał, dla Gryzeldy, była więcéj gwałtowna niż prawdziwa: bo niebyła czystą, niebyła Chrześcijańską. Z nią się kojarzyła duma, obrażona miłość własna, że ta którą pragnął posiadać, oddała siebie komu innemu; uczucie upokorzenia, że Król przełożył nad nim Zamojskiego. Przy napływie takich namiętności do jego serca, jakież w niem miejsce pozostać mogło, dla téj czystéj, świętéj miłości, która samorzutnie się objawia, a

zawsze w towarzystwie wiary i cnot. On miał wewnętrzne przeświadczenie, że tę miłość którą czuł dla Gryzeldy, umiał udowodnić największemi ofiarami: często obraz jéj wdzięków pieścił jego myśli; przypominał sobie jéj skromność, jéj cnoty · wpadał w rzewne zadumanie nad spokojném szczęściem które z nią pospołu, byłoby jego udziałem a które nazawsze go ominęło. Ale samo wspomnienie, że te wdzięki, te cnoty, stały się innego własnością, przyprowadzało go do wściekłości: sama miłość znikała pod pociskiem gwałtowniejszych jeszcze namiętności, które mu odbierały możność być prawym i sprawiedliwym. Chociaż od niéj nie tylko nieotrzymał był żadnéj obietnicy, ani nawet nic takiego, na czém-by mógł gruntownie opierać swoje nadzieje; narzekał na jéj wiarołomstwo, roszcząc sobie niezaprzeczone prawo do jéj serca: a wtedy coś podobnego do nienawiści zalegało wszystkie jego uczucia. Pragnął jéj nieszczęścia, jéj hańby; chciał-by ją porwać, napawać się jéj łzami, rozerwać gwoli nieuczciwych chuci, jéj najświętsze obowiązki. Kiedy obcował z Ojcem Brunonom, serce jego miękniało, głos rozsądku odzyskiwał swoje prawa, burze które nim miotały, zdawały się uciszać. Ale kiedy zostawał sam sobie oddany, samo przypomnienie Pana Zamojskiego, wprowadzało go znowu w jakieś zapalczywe obłąkanie, które go skłaniało do najwystępniejsych przedsięwzięć.

W takim był stanie umysłu, kiedy przybył do niego oczekiwany Winrych. Wziął go w swoje objęcie, jako najmilszego przyjaciela — I rzekł do niego:

— Drogi przyjacielu! tęskniłem za tobą — już dłużéj nie mogę pozostać w bezczynności. Ta samotność, ta spokojność, nie dla mnie.

— Właśnie też przybyłem żeby ciebie wyrwać z téj bezczynności, z téj gnuśności, tak drogiéj dla dusz nikczemnych, a w któréj ludzie zawistni twojéj sławy, a lękający się twojego męztwa, radzi-by ciebie widzieć pogrążonym.

— Nie, Winrychu, téj pociechy nie zostawię moim nieprzyjaciołom. Nie jestem jeszcze tak dalece opuszczony od Boga, ażeby ich pogróżki miały już koniec położyć mojemu zawodowi. Wygnaniec własnéj ziemi, zdołam na obcéj roz-

szerzyć sławę mojego imienia. Sąsiednie Niemcy płoną w wojnie: tam się odkrywa przestrouna niwa dla miłośników sławy. Miłość i przyjaźń mnie srodze zawiodły. Jedna tylko sława może mnie pogodzić z życiem. Pójdę jéj szukać na ościennéj ziemi; tuszę że moje usługi odrzucone nie będą, i że imie Samuela Zborowskiego, obije się niejednokrotnie o zawistne uszy jego nieprzyjaciół — Twoje przybycie zwiastuje mnie że i moje rumaki, i moi giermkowie, przecie złączyli się z swoim panem. Dziś jeszcze, zaledwo noc rozpuści swój płaszcz na wzgórza które nas otaczają, przywdzieję pancerz, siądę na mojego ulubionegu wierzchowca, i opuszczę, może na zawsze, niewdzięczną ojczyznę, niepamiętną na moje zasługi. Ty, Winrychu, szcześliwszy u nóg dziewicy któréj oddałeś serce, pozostaniesz. Przyjm-że odemnie najtkliwszéj przyjaźni życzenia, ażebyś uwieńczony został miłością.

— Nie, Samuelu, ja ciebie nieodstąpię Ty potrzebujesz przyjaznych piersi, w których byś wynurzał swoje troski. Ja z tobą pójdę szukać sławy na ziemi moich przodków. Czoło moje pod twoim przewodem okryje się nowemi wawrzynami: wtedy śmieléj go schylę przed matką pięknéj Taidy. Ty szukać będziesz sławy żeby zapomnieć o miłości; a ja, żebym się godniejszym pokazał jéj przedmiotu.

— Dobrze, przyjacielu drogi, idźmy razem.

— Samuelu — czy chcesz opuścić swoją ojczyznę, niepomściwszy się wprzódy, nad tym, który ciebie z niéj wygania? Czy twoja wzniosła dusza może znieść, żeby ten, który długiém pasmem intryg, wyrugowawszy ciebie z życzliwości Króla, wydarł tobie kochankę; któremu każda chwila twojego tu pobytu jest przedmiotem postrachu i udręczenia; który pod pozorem jakiejś dawnéj przychylności, wszystkich używa środków ażeby ciebie skłonić do opuszczenia téj ziemi: żeby ten nikczemny Zamojski, urągał się jeszcze z twojego tułactwa, żeby się wynosił przed zauszznikami, nawet przed całym narodem, że zdołał ciebie przestraszyć?

— Stój! Winrychu — twoje słowa jak żelazo rozpalone przechodzą po mojém sercu! — Mógł że by kto uwierzyć,

że Zamojskiego się lękam! — Wszystkie moje zamiary jedném słowem wywróciłeś. Nie do granicy, ale do Krakowa pójdę — będę szukał, muszę mojego prześladowcę wynaleźć. Będę się natrząsał z tego urzędu, który go tak nadyma; zmuszę go żeby się zmierzył zemną. Znieważę go w obliczu całego narodu, hańbą okryję godło jego tarczy, — godło dotąd nieznane, a które on pierwszy jakąś świetnością przyozdobił.

— Samuelu, — czyś dotąd jeszcze nie poznał Zamojskiego! Wszakżeś go w przytomności nas wszystkich wyzwał na rękę, a on, nikczemne serce, niewzdrygnął się zasłaniać powagą praw i urzędu! Już on zdołał przekształcić swoją sprawę w sprawę Narodu. Taić przed tobą nie mogę, że jeżeli pójdziesz do Krakowa, tam Zamojski bez dobycia miecza z pochwy ciebie zwycięży. Żaden głos za tobą się niepodniesie.

— I cóż mam począć? mam-że bez zemsty pędzić dni moje w hańbie!

— Nie, Samuelu, — moja przyjaźń tego niezniesie. Wszystko przygotowałem dla ocalenia twojéj sławy — Nie ty, ale Zamojski będzie przeklinał chwilę w któréj się urodził. On to będzie resztę dni swoich pędził w zgryzotach i hańbie — Przyprowadziłem tu poczet nieliczny ale przez ciebie doświadczony Kozaków, którzy swoje Zaporoże opuścili żeby zostawać w twoich usługach.

— Ach, najdroższy przyjacielu! czem że się tobie odwdzięczę — Moi poczciwi Kozacy pomimo nalegań moich braci, przecie niezapomnieli o swoim Samuelu — Ich tylko dziesięciu, ale z nimi wszystko przedsięwziąć mogę — Gdzież oni są? Pomóż, Winrychu, żebym najśpieszniéj się uzbroił, żebym ich powitał.

— Jeszcze nie czas nzbroić siebie — aż dopiéro pod wieczor wystąpim w pole. Nie do granicy, nie do Krakowa, ale — do Łobzowa. Tam wiarołomna Gryzelda pod strażą garstki dworzan i najętego żołnierza, wdzięki swoje szafuje nieprzyjacielowi twojemu i twojego domu. Przekupiłem żołnierzy którzy téj nocy wartę od bramy trzymają. Oni nas wpuszczą — wpadniém do jéj mieszkania. Tam Zamojskiego

nie znajdziem — Bo wiém że przed dniem nieopuści Zamku Królewskiego — Ale porwiemy Gryzeldę i uwieziemy ją za granicę.

— Winrychu, pogodziłeś mnie z życiem — Zemsta! zemsta! — Poznasz, podły bakałarzu co to jest Samuela obrazić! — Winrychu, każda chwila wiekiem mi się zdaje. Czyż już to słońce nigdy niezajdzie! — Zemsto! polarna gwiazdo dusz wyniosłych — kieruj odtąd mojemi kroki. Nic przed sobą oprócz ciebie widzieć nie chcę — Winrychu, idźmy na dziedziniec klasztorny, niech się moimi Kozakami i moim rumakiem nacieszę.

Jak tylko słońca ostatnie promienie przestały złocić wieżyce klasztoru Bielańskiego; Pan Samuel w pełnéj zbroi, obok Barona Winrycha, przed swoimi Kozakami już opuścił klasztor Bielański. Winrych, świadomy wszystkich ścieżek ubocznych; prowadził poczet do zamierzonego celu podróży. Niebo było pochmurne, xiężyc jeszcze się niepokazywał na horyzoncie. Co raz ciemniéj się robiło. Weszli w puszczę która się kończyła pod samym zameczkiem Łobzowskim. Ścieżki się krzyżowały. Często Winrych zsiadał z konia, żeby lepiéj się rozpoznawać, nakoniec sam wyznał że zbłądził. Kozacy nie obeznani z tą okolicą, nic poradzić nie umieli. Pan Samuel się niecierpliwił. Wszakże na los szczęścia, wszyscy w kupie prosto szli przed sobą. Trwało to około dwóch godzin. Nakoniec między drzewami zaczęło się przed nimi migać światło. Kierowali się ku niemu. I wkrótce napadli na gościniec który koniecznie do jakiejś wsi prowadzić musiał. Jakaż była ich radość, kiedy światło co raz silniéj zaczęło się pokazywać. Postępują w tym kierunku — aż odkrywa się przed ich wzrokiem dom dość oświecony.

— Dzięki Bogu! odezwał się Winrych; — wiém przecie gdzie się znajdujemy — Jest to zameczek wiejski Pani Wapowskiéj, Kasztelanowéj Przemyślskiéj, a wieś do niego należąca, nazywa się Koszlaki — Jesteśmy o ćwierć mili od Łobzowa. Kasztelanowa bawi w Krakowie, ale Podstarości Zamkowy Pan Rahoza, wielce mnie życzliwy, jest na mojém zawołaniu. Jedźmy do zameczku — tam wytchną na-

sze konie, a Pan Rahoza da nam przewodnika, który nas bez szwanku przeprowadzi do Łobzowa.

— Dobrze, mój Winrychu, rozporządzaj wszystkiém jak umiesz. Co do mnie, czuję, w sobie zupełny upadek — zdaje mi się że siła, a nawet męztwo, mnie odstąpiły. W Łobzowie tuszę że ich odzyskam. Teraz sen mnie morzy, — ale tak, że siedząc na koniu ciągle drzemię. Tego nigdy w życiu nie doświadczyłem — ale zdaje mi się że gdybym mógł przynajmniéj godzinę poleżeć, odrodziłbym się.

— Jeszcze mamy kilka godzin nocy, dla czego byś nie miał godzinki wypocząć wygodnie — Ile że i konie nasze pomęczone, potrzebują pokrzepić się — Ja nad tobą czuwać będę.

To mówiąc, wjechali na dziedziniec zamkowy.

Pan Rahoza wyszedł na przeciwko nim skoro stanęli przed gankiem, Winrych do niego przemówił jako do dobrego znajomego.

— Panie Rahoza — z moim przyjacielem i naszymi ludźmi ruszamy do Łobzowa, na wielki wieczor proszeni, a kaduk nam nadał że my zbłądzili. W innym razie cieszyłbym się z tego, bo to mi dało sposobność powitać Waszmości; ale wyznaję, że to mi teraz nie do smaku, bo się spóźnimy. — Choć prawdę powiedziawszy, pląsy Łobzowskiego Zamku, przeciągną się, że słońce wysoko się podniesie, nim się zabawy skończą — Otoż proszę Waszmości dać nam pewnego przewodnika do Łobzowa.

— A! całém sercem, Wielmożny Baronie — Ale niech Panowie będą łaskawi, przejść próg prawdziwego sługi — My całą noc jesteśmy na nogach: ja, dziatki, i czeladka — bo moja żona coś zachorowała obłożnie, i oczekujemy lekarza z Krakowa — Proszę Panów do siebie.

Rycerze poszli za nim do téj części wiejskiego zamku, którą z rodziną swoją zajmował, uprosił ich siąść i posilić się czemkolwiek. Pan Samuel pozostał, a Pan Winrych wyszedł: ale wkrótce powrócił, i rzekł:

— Jeżeli ciebie, przyjacielu miły, sen morzy: po przyjęciu posiłku wypocznij sobie wygodnie godzinkę, a ja sam cię obudzę, by na orzeźwionych koniach przedłużyć naszą

podróż, pod przewodnictwem pachołka, co go nam zacny Pan Rahoza nie odmówi.

— Dam mojego stajennego, wcale roztropnego chłopca. A przyjaciel Pański niech sobie wypocznie, na tym tapczanie kilimkiem obsłanym — jest na nim i poduszka. Tylko niech Pan raczy się rozgościć — zbroja nie uciecze, a jak Pan wypoczniesz, pomożemy mu włożyć ją na siebie.

Pan Samuel mocno poziewając, za pomocą Winrycha zrzucił hełm i zbroję, odpasał miecz i położył go na tapczanie. W czasie kiedy się rozbierał, zastawiono stół chlebem, masłem i zimną pieczenią cielęcą. Winrych zaczął wieczerzać, ale Pan Samuel tylko szklankę mléka wypił, i ubrany rzucił się na tapczan; i wkrótce snem twardym zasnął.

Ale jakież okropne było jego przebudzenie!

Sniło mu się że wszystkie jego członki otrętwiały, i że rozbójnicy wiążą go do dębu. Budzi się — chce się zerwać — czuje się być przygniecionym jakimś ciężarem. Szamoce się — otwiera zemdlałe powieki — widzi siebie w rękach oprawców; już jego ręce i nogi są ujęte w kajdany! Rzuca wzroki obłąkane — woła o ratunek — W tém pokazuje się na progu kobieta — poznaje Panią Kasztelanowę Wapowskę! — Zdrada! — odzywa się, i w ciągłém szamotaniu się probuje porwać swoje więzy.

— Uspokoj się, Mości Hetmanie Zaporozki! — rzekła Kasztelanowa; jesteś w ręku téj, któréj męża zostałeś zabójcą — póki w inne jeszcze ręce ciebie nie wydam; a te, koniec położą twoim zbrodniom — A! Panie Samuelu — myślałeś że zostałam głuchą na wołanie o pomstę krwi mojego męża; że ci dopuszczę uciekać za granicę — Ale żebyś o wszystkiém się dowiedział — Winrych ciebie wprowadził w sidła przezemnie nastawione. Niemam nic do wyrzucenia sobie; postąpiłam jak przystoi wdowie, względem zabójcy jéj męża, jak przystoi obywatelce, względem tego który prawa jéj narodu śmie deptać — Poczém obracając się do sług swoich; — Zaprowadźcie tego zbrodniarza do więzienia zamkowego, w nim niech oczekuje swojego losu. A ty, Winrychu, skoro się tylko rozwidni, jedź do

Łobzowa, by Panu Kanclerzowi Koronnemu oznajmić, że zbrodzień jego juryzdykcji uległy, schwytany został na moim gruncie, stosownie do wyroku Królewskiego, upoważniającego każdego obywatela do imania go, skoro się odważy wstąpić na ziemię kraju. Powiedz mu że go proszę ażeby jak najśpieszniéj oswobodził moje mieszkanie poczciwe od pobytu tego to człowieka.

XXI.

Ledwo jutrzenka zaczynała wydobywać Łobzów z nocnych cieniów, a już Pan Kanclerz z Panem Zołkiewskim, w gabinecie pospołu pracowali nad ukończeniem niektórych dzieł ważnych, poruczonych im od Króla.

— Panie Stanisławie, — odezwał się Kanclerz; — Bóg się zlitował nad Polską. Dał nam Króla równie mądrego jak walecznego. Oby tylko Bóg go zachował dla naszego szczęścia! Pogromca zewnętrznych, a otwartych wrogów: niepożyją go niechęci skrytych swojskich nieprzyjacioł. Każdy ich krok zostaje pod śledczém okiem im niewidomém. Nikczemni; umiarkowanie rządu przypisują uczuciom bojaźni, a nieumieją poznać że my jesteśmy nadto silni, żeby nieokazać się wspaniałomyślnymi.

— To prawda, Mości Panie Kanclerzu; — wszakże wspaniałomyślność jest za nadto daleko posunięta, kiedy poniekąd upoważnia zuchwalstwo. Komuż z nas są tajne zabiegi domu Zborowskich, jego nienawiść do Króla i do wszystkich tych, co ich zaszczyca swoją ufnością Pałac Marszałka Koronnego jest ogniskiem wszystkich spisków naprzeciwko Króla knowanych; każda jego czynność, każde słowo jego, jest przestępstwem Stanu: a jednak nie tylko że jego bezpieczeństwo nie jest naruszone, ale brat jego Samuel, ze wzgardą ustaw naszych, bezkarnie żartuje sobie z niedołężności Polskiego prawodawstwa. U Pana Wojewody Podolskiego miałeś go, Mości Kanclerzu, w ręku. Uwiodłeś się jakąś wspaniałomyślnością, jakiemiś względa-

mi dla cnot zasług gospodarza, którego serca niechciałeś zakrwawić, imając przy ognisku jego gościnności gościa i siestrzana. Pozwól sobie powiedzieć, że tym względom, poświęciłeś poniekąd obowiązki stróża i wykonywacza praw. I czy myślisz że tém wróciłeś smak do cnoty, nienasyconemu w wyniosłości domowi? Tém tylko powiększyłeś jego zuchwałość. Marszałek przypisuje bojaźni, twoje umiarkowanie, wmawia obywatelom tu zebranym, jakieś mniemanie o jego tajemniczéj potędze, któréj ty sam nieśmiałeś się narazić. Bądź pewny, Panie Kanclerzu, że nie w innym celu on sprowadził swojego brata, tylko żeby z ciebie natrząsał się w obliczu licznie zgromadzonéj szlachty, żeby jej ufność w tobie osłabić. Bo Rząd bezsilny, musi koniecznie stracić wiarę i ufność publiczną.

— Znam nasz narod, Panie Stanisławie; nie jest on pochopny, sam będąc mężnym, do podejrzywania cudzéj odwagi; i skłonniejszy będzie do przypisania mojego umiarkowania, szlachetniejszym pobudkom. A może gdybym był skorszym w spełnieniu moich obowiązków, pomawiał by mnie, że urzędnik miecz prawa użył dla pomszczenia osobistych uraz. Wszystkie środki wyczerpałem żeby pogodzić nienaruszoność prawa, z tą przyrodzoną litością, co ją sam czuję dla burzliwego młodzieńca, który jakkolwiek przewinił, jednak żadną podłością się nieskaził. Brat jego lubo jeszcze dotąd czysty w obliczu prawa, w istocie jest nierównie winniejszy; i wyznaję otwarcie, że dla niego nie pokazałbym podobnego umiarkowania, bo jest niebezpieczniejszym dla Polski. Ale Samuel, jako umiał być dla niéj pożytecznym, tak i nadal może zostać jéj ozdobą. Dałby Bóg żeby opuścił nasze dzierżawy: bo wygnanie, rozwaga, czas, zdołają oczyścić jego duszę z tych skaz, co namiętności rozbrykane na niéj napiętnowały.

— Więc, byle opuścił Województwo Krakowskie, byle się niespotykał z czujném okiem wielkiego Zamojskiego, wolno mu będzie w innych częściach Polski podbudzać stronników jego domu, rozprzestrzeniać wzgardę do opiekuńczej władzy naszego Pomazańca, zakłócać spokojność

dobrze myślących obywatelów, zapalać pochodnie wojny domowéj!

— Nie, nie, — żadna czynność moja szkody Ojczyznie nieprzyniesie. Jako Starosta pilnuję obrębów mojéj jurydykcji uległych, ale jako Kanclerz czuwam nad bezpieczeństwem całkowitego Państwa. Wyraźnie oświadczyłem cnotliwemu Wojewodzie Podolskiemu, że jeżeli przez wzgląd na dawne zasługi Pana Samuela, mimo siebie puszczając obrazę mojéj osoby, nie jestem skwapliwym do pogrążenia w żałobę i dom jego zacny, i mężów z nim krwią połączonych: zostawuję mu całą dobę do szukania dla siebie bezpieczeństwa po za posiadłościami uległemi poddaństwu naszego Króla; daję słowo szlacheckie, że jeżeli zaniedba korzystać z postąpionego jemu roku, będę go ścigał, i na nim wyrok będzie spełniony. A jeżeli Pan Marszałek go skłoni do tego, by moją przestrogą wzgardził, jego krew na niego spadnie. Dowiedziałem się że osiadł w klasztorze Bielańskim W miejscu Bogu poświęconém, prawo niopozwala spełniać wyroków sprawiedliwości ludzkiéj. Cała moja baczność ku temu tylko jest zwróconą, ażeby z tego przytułku nie wyszedł, a wszystkim Starostom dane są Królewskie rozkazy, żeby na wypadek przedarcia się Pana Samuela, chociażby do najwięcéj oddalonego Województwa, imali go, — jeżeli nie chcą być zapozwani do Sądów Królewskich o crimen perduellionis Wczoraj jeszcze, ostatniego środka ratunku dla niego użyłem — Wyprawiłem do Bielan Starostę Fellińskiego Zdorę, który nie ukrywa swojéj życzliwości dla Pana Samuela, — i właśnie dla tego jego użyłem; — rozkazałem zdjąć po zachodzie słońca wszelkie straże między Bielanami a granicą, żeby téj nocy jeszcze, oczyścił ziemię naszą z swojéj przytomności. Biada mu jeżeli z tego korzystać nie będzie. Zdora podjął się go przeprowadzić do granicy, i co chwila oczekuję go, żeby mnie zdał sprawę, z tego co zrobił.

Ledwo te słowa wyrzekł, a już Pan Ezechiel się pokazał.

— Skąd przybywasz? rzekł do niego Pan Zamojski.

— Ze stajni JW. Kanclerza. Wczora mogę powiedzieć, że nie próżnowaliśmy z moim koniem. Dwa razy obiegłem

przestrzeń między Krakowem a Bielanami, tam i nazad. Po drugi raz wróciwszy z Bielan do Krakowa, szukałem JW. Kanclerza w Zamku, w pewności że po skończonéj pracy z Królem złapię go na wychodzie. I to z własnego domysłu: bo w Zamku od sług niczego dowiedzieć się niemożna. Czekałem w garderobie Królewskiéj, aż na moje szczęście, bo bym czekał do białego dnia — JW. Bekiesz, który wychodził z gabinetu Królewskiego, powiedział mnie że JW. Pan od godziny pożegnałeś Króla. Ja znowu na koń i puściłem się do Łobzowa. JW. Pan już spałeś, nie chciałem go budzić; a że sam już kości moich nieczułem, tak byłem znużony — więc poszedłem do stajni, gdzie dopadłszy rozesłane siano, nań się rzuciłem, i wyspałem się porządnie z łaski stajennych JW. Pana.

— A z Panem Samuelem, co się stało?

— Już on musi być dawno za granicą — nawet nie czekał mojego powrotu do Bielan: ja go już nie zostałem, ale dowiedziałem się że przybył do niego jego teraźniejszy zausznik Baron Winrych z pocztem dziesiątka Kozaków; i że w pełnéj zbroi, z nimi wyruszył. Niech mu tego Bóg niepamięta, że wzgardził moją usługą. Zresztą, ponieważ na rozkaz Pański czaty od granicy zdjęte zostały, więc wątpić nie mogę że bez szwanku dostał się za granicę.

— Ach! mój miły Starosto, jakiż mi ciężar spadł z głowy że mnie Bóg uwolnił od ścigania jego osoby. Ale co widzę? rycerz w pełnéj zbroi na moim dziedzińcu, a za nim dwóch jezdzców. Co to jest! — Mości Starosto, przyprowadź go do mnie z łaski swojéj.

— Pan Ezechiel wyszedł, i wkrótce powrócił, a za nim rycerz.

Przybyły rycerz podniosł kratę od przyłbicy, i wszyscy poznali — Winrycha!

— JW. Kanclerzu, — odezwał się Winrych, — niech żyje Polska, Samuel Zborowski wpadł w ręce JW. Kasztelanowéj Przemyślskiéj: okuty w łańcuchy odbywa medytacije w więzieniu jéj zamku. A ta Pani wysłała mnie do JW. Pana, żebyś raczył przyjąć jéj więźnia i postąpić znim, tak jak tego wymaga prawo. Pani Wapowska już

w obecnéj chwili musi być na gościńcu Krakowa, dokąd dąży, żeby oświadczyć Królowi; jak się umiała wywiązać z obowiązków wdowy, wiernéj poddanki Jego Królewskiéj Mości i obywatelki przestrzegającéj powagi Praw, nam zabezpieczonych Królewską przysięgą.

Pan Zamojski w silném poruszeniu wziął głowę swoją w obie ręce, i czas jakiś był w zamyśleniu. Potém rzekł;

— Stało się! Boska tu, a nie moja wola. Ale jakim sposobem, Mości Panie Baronie, przyszło do tego że Pani Wapowska rozrządza teraz losem Pana Samuela? Wszakże Waszmość przywiązałeś się był do osoby tego nieszczęsnego: — jakąż więc koleją zmienną, z zaleceniami Pani Kasztelanowéj do mnie się teraz udajesz?

— Pani Wapowska, której córki przyjaźń szukałem, nauczyła mnie moich obowiązków. Przekonała mnie że otrzymawszy prerogatywy tutejszego obywatelstwa; okazał-bym się ich niegodnym, gdyby skłonność dla przyjaciela, przeważała w mojém sercu obowiązki co je czuć winienem dla Ojczyzny nowéj, któréj wierność zaprzysiągłem. Niedopuściłem żeby Pan Samuel występną głowę, unosił w obce kraje. Przeprowadzając go niby za granicę, umiałem go doprowadzić do zamku Pani Wapowskiéj, oczekującéj w nim zabójcę jéj męża. I obowiązki i miłość kierowały moje kroki: bo miałem w nagrodzie przyobiecaną rękę Kasztelanki.

— Winszuję jéj tak pięknéj kolligacii! — odezwał się Pan Ezechiel, mierząc z pogardą Winrycha.

— Panie Stanisławie, — rzekł Pan Zamojski do Pana Żołkiewskiego: — nic nam niepozostaje, jak tylko najspieszniéj wypełnić naszą powinność. Jest chorągiew w pogotowiu: weź jéj połowę, a na jéj czele ruszaj, i Pana Samuela zawieź pod jéj strażą do Zamku Krakowskiego, gdzie już mnie zastaniesz. Pan Winrych jako znający drogę, raczy Waszmości przeprowadzić.

Pan Żołkiewski śpiesznie wyszedł, a za nim Winrych. Jeden tylko Pan Ezechiel pozostał z Kanclerzem.

— Panie Starosta, — powiedział mu Kanclerz, — jużeś wypoczął, ruszaj i Waszmość z Panem Żołkiewskim: rad-

bym żeby Pan Samuel dawnego przyjaciela swojego mógł oglądać, w niefortunnéj przygodzie; może da Waszmości jakie zalecenie.

— Jak Pan rozkaże, winienem być posłusznym: ale jeżeli moja prośba jakieś u niego znajdzie względy, śmiem go błagać żeby mnie od tego uwolnił. Ja czuję dobrze że to co się gotuje dla Pana Samuela, nie może nie nastąpić. Ale ja z sobą się porachowałem: ja tego znieść niepotrafię; żebym go widział w kajdanach, najniewinniéj wpadłbym w nieszczęście. Bo ja niewytrzymam: temu przebrzydłemu Niemcu dam toporem po łbie. Ja i poddany i przysięgły sługa naszego Miłościwego Pana, ale jestem przyjacielem Pana Samuela, i tego taić nieumiém że szczerze go żałuję — A jak się o tém dowie Pan Kaźmierz w swojéj Kozaczyznie — bo to wszędzie gruchnie — dalibóg niewiem co się z nim stanie!

— I ja go żałuję — Sam świadkiem byłeś, z jaką troskliwością starałem się go ocalić — Wchodzę w pobudki Waszmości, i nie nalegam na niego.

— Jeszcze o jedną łaskę śmiem prosić JW. Pana: oto żeby mi wyrobił u Króla JMci pozwolenie dziś jeszcze opuścić te strony, i wracać do mojego Starostwa. Jak-że mnie być w Krakowie wtedy kiedy tracić będą Pana Samuela. Bóg świadek nigdy się niczego nie złąkłem, a tak się boję spotkać się z Panem Samuelem, że sama ta myśl serce mi ściska jak-by w kleszczach.

— I możesz być pewnym, że to pozwolenie otrzymasz — Wszakże, niemamy czasu do marnowania. Jedźmy do Krakowa. Zdam Królowi sprawę z tego wszystkiego, uproszę dla Waszmości pozwolenia odjechania do Inflant, a potém pójdę dopełniać najprzykrzejszy obowiązek mojego urzędu.

Pan Kanclerz i Pan Starosta Felliński razem siedli do kolasy: pierwszy zamyślony, drugi pogrążony w smutku.

A Pan Żołkiewski na czele swojego hufcu wyruszył ku zamkowi Pani Wapowskiéj.

Jak stanął u kresu wyprawy — zastawszy dwór Kasztelanowej zebrany na dziedzińcu zamkowym — rozkazał by

natychmiast postawiono przed nim Pana Samuela — Wzdrygnął się widząc szlachetnego męża w kajdanach.

Panie Samuelu, — rzekł do niego, — przychodzę dopełnić obowiązek wielce przykry dla mojego serca — Waszmości dostawić muszę do Zamku Krakowskiego: tam stanie się z nim nie to co my, ale to co Bóg chciał.

Pan Samuel w ponurém zostawał milczeniu.

Panie Samuelu, daj mi Waszmość słowo że się niepokusisz do ucieczki, a ja cię uwolnię z tych niecnych kajdan.

Pan Samuel i na to, milczenia nie przerwał.

— Jużci ja tego niezniosę, — odezwał się Pan Zołkiewski — żeby rycerz tak wysokiéj krwi w kajdanach wjeżdżał do Krakowa — Czy niema tu w zamku jakiéj karety, żeby w niéj zamknąć Pana Samuela?

Duchem wytoczono z wozowni zamkowéj starą karocę niegdyś pozłacaną. Pan Żołkiewski kazał rozkuć Pana Samuela, wmieścić go w tym pojeździe, a potém drzwi od karety na klucz pozamykać.

Rozkaz spełniony został.

Pan Samuel zdawał się być nieruchawym; — zauważano jednak, że kiedy Winrych się przybliżył do okna pojazdu, na Pana Samuela twarzy odmalował się niewypowiedziany wyraz boleśnego wstrętu.

Wyruszyła kareta, otoczona dwudziestu uzbrojonymi żołnierzami: a Pan Żołkiewski o kilkadziesiąt kroków naprzód wypuścił swojego rumaka, często oglądając się za sobą.

Po dwugodzinnym pochodzie przybyli do Krakowa.

Lud zbierał się tłumnie, pobudzony ciekawością, i opodal się snując odprowadzał karetę aż do Zamku; wszakże do dziedzińca niemógł dostąpić: bo jak tylko kareta przeszła most zwodowy, zaraz podniesionym został.

Już Pan Zamojski w sali Grodzkiego Sądu, z substytutami swoimi oczekiwał przybycia znakomitego winowajcy. Skoro mu oznajmili że już przybył, dał rozkaz żeby się przed nim stawił.

Pan Łętowski Podstarosta, sam wyszedł dla wprowadzenia Pana Samuela.

Kiedy otworzono karetę, nie z małém zadziwieniem, zna-

leźli go snem twardym uśpionego. Obudzono go nie bez trudności, a kiedy Pan Podstarosta oświadczył że ma z nim iść do izby sądowéj, wyszedł spokojnie z pojazdu, i śmiałym krokiem poszedł przez schody do sali.

Jak stanął przed kratą, Pan Zamojski, z głosem nieco drżącym, rozpoczął interogatorye; na które Pan Samuel odpowiadał śmiało i spokojnie. Rzecz nieszła już o samą sprawę, która ostatecznie była rozsądzona, ale o sprawdzenie toż samości, między osądzonym, a tym co się stawił przed sądem wykonawczym. To sprawdzenie nad półgodziny nie trwało. Pan Łętowski przeczytał głośno wyrok skazujący go na ścięcie; który-to wyrok Pan Samuel wysłuchał bez okazania najmniejszego poruszenia.

— Panie Samuelu, — odezwał się do niego Kanclerz; — teraz pójdziesz Waszmość do więzienia, — masz całą dobę dla pojednania się z Bogiem, przed którym staniesz jutro o samém południu — Dopełniłem ciężkiego obowiązku: ale niczego niedopuściłem się innego, jedno tego do czego powinność mnie zmuszała. W obliczu tu wszystkich przytomnych, protestuję się przed Bogiem, że niczego niezaniedbałem, dla ocalenia Waszmości. Sam mnie winieneś przynieść świadectwo, że gdybyś był na mojém miejscu, nic innego uczynić-byś niemógł. Daj-że mi rękę na znak, że opuszczając ten świat, żadnego przeciw mnie żalu niezostawujesz. Tego domagam się od twojéj sprawiedliwości.

Pan Samuel milczenia nie przerwał.

— Panie Samuelu, — przedłużył Kanclerz. — Boli mnie niechęć twoja, i że mnie przypisujesz nieszczęście swoje. Jak by w nim był udział mojéj woli! Sam wyznaj, że pokąd można było ciebie ocalić, bez narażenia własnego sumienia: najgorliwszy twój przyjaciel więcéj-by niezrobił odemnie. Ale jestem wyrozumiały na te uprzedzenia twoje. Jeżeli myślisz że cień prywaty w czémkolwiek wpłynął na moje postępki, poprzysięgam ci na Boga którego kłamliwemi usty nikt bezkarnie nie wezwał, że tak nie jest. A jeżeli niezdołam przekonać o mojéj względem ciebie niewinności, jeżeli owszem myślisz że moja zła wola stała się sprawczynią twojéj niedoli: niech i tak będzie. Stać się to

może dla ciebie powodem nabycia wielkiéj zasługi u tego Boga, przed którym jutro staniesz. Proszę cię w imię Chrystusa Pana, ażebyś mi odpuścił wszelki żal jaki mieć możesz przeciwko mnie.

— Otoś mnie zagadł, odpowiedział Pan Samuel; — niema co mówić; jestem Chrześcijaninem, i nie mogę być zbawionym, tylko przez zasługi naszego Zbawiciela. Masz rękę moją, na znak że opuszczam ten świat bez żadnéj sierdzitości na przeciwko ciebie.

Podali sobie ręce, a potém rzucili się w swoje objęcia jak najlepsi przyjaciele. Strumień łez puścił się z powiek Pana Zamojskiego. Pan Samuel tu się okazał mężniejszym, bo ani jednéj łezki nie uronił.

Kanclerz otarł łzy swoje, i rzekł;

— Powiedz czego pragniesz dla siebie w tym ostatnim dniu twojego żywota; każdy rozkaz twój spełniony będzie.

Pan Samuel się zamyślił trochę, poczém powiedział:

— Panie Janie, jeżeli łaska, sprowadź tu Ojca Brunona, przełożonego Bielańskich Kamedułów: niech zemną ostatnią noc przepędzi, żeby mnie pomógł do opuszczenia tego świata.

Odprowadzono go do więzienia.

Żażądał papieru i pióra, i zapisał na nim, rozporządzenia swoje. Czwartą częścią majątku swojego rozrządził in favorem Pana Kaźmierza Mroczka; oprócz innych pomniejszych legatów dla sług i ubogich. Zaklinał braci ażeby zawsze Królowi byli wierni, nie kusili się pomścić jego śmierci. Oświadczał najwyższy szacunek dla Pana Zamojskiego, a nawet legował mu na dowód tego szacunku szarfę błękitną co ją był otrzymał od jego żony wówczas panny, i ulubioną swoją zbroję. Panu Ezechielowi zostawił na pamiątkę konia tego na którym ostatnią przejażdżkę swoją odbył, i bogaty rząd.

Przed samym zachodem słońca, przybył Ojciec Bruno, i powitany został od Pana Samuela z wielką radością. Całą noc przepędził ze starcem, nawykłym pojednywać grzeszników z Bogiem. W jego rękach uczynił wyznanie staréj Wiary swoich przodków, odrzekając się wszystkich

nowinek Niemieckich, których dotąd był stronnikiem przez złe wychowanie i brak rozwagi; i pierwszy raz od urodzenia przypuszczony został do Tajemnic Pańskich. Dopiero około piątéj zrana położył się, i aż do jedynastéj spał tak smacznie, jakby po jakiéj biesiadzie.

Obudziwszy się, zastał Ojca Brunona modlącego się, i prosił żeby mu pozwolił z nim się modlić.

Po tych modlitwach — co je słowo za słowem powtarzał — starzec zaczął czytać — akta konających, — a te, Pan Samuel z wielką skruchą i podniesieniem ducha powtarzał.

Kiedy ostatnie słowo tych akt wymówił, usłyszał stukania.

— Ostatnia chwila się zbliża, rzekł do xiędza; poczém głęboko westchnąwszy. — O mój Panie! oddaję Tobie ducha mojego.

Drzwi się otworzyły z trzaskiem — stanął na progu Pisarz Grodzki z assystenciją swoją, i oznajmił że wszystko gotowe.

Pan Samuel skłonił się skromnie i poważnie, a trzymając pod rękę Ojca Brunona, który go do ostatniéj chwili nie odstąpił, wyszedł na dziedziniec.

Widok kata nieco go wzruszył, ale tylko przelotnie.

Kiedy się kat do niego przybliżył z uszanowaniem, prosząc go o pozwolenie ostrzyżenia mu długich kędziorów: podał mu głowę, i zdjąwszy z palca pierścień kosztowny, ofiarował mu go na pamiątkę.

Niech Jaśnie Wielmożny Pan uklęknie, i schyli głowę, a niech powtarza z xiędzem ostatnie słowa: — Jezus, Maryja, Józef.

Pan Samuel bez żadnéj przesady, bez tych słów i poruszeń teatralnych, któremi źle zrozumiana sztuka usiłuje uświetnić ostatnie chwile swoich bohaterów; — uklęknął i pochylił głowę. Ledwo wyrzekł słowo: — Józef, już był obywatelem krainy wieczności.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

9

120

164526

110467

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
090805

Biblioteka WSP Kielce
0167254